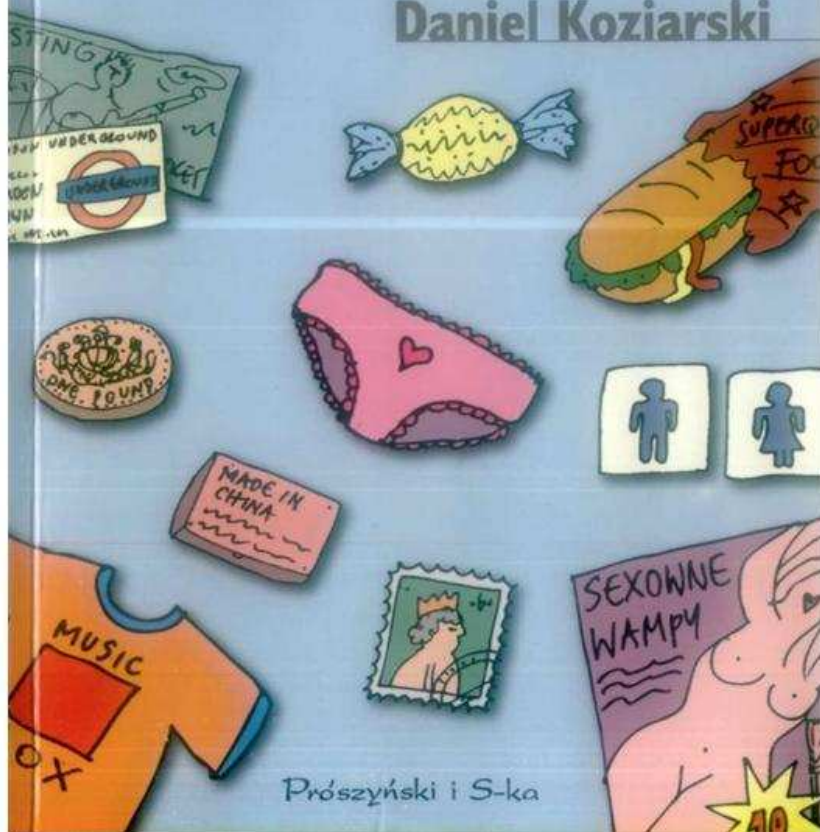


# SOCJOPATA W LONDYNIE

Daniel Koziarski



Prószyński i S-ka

for. Dana Jabłonna



### Daniel Koziarski

(ur. 1979) zadebiutował powieścią „Kłopoty to moja specjalność, czyli kroniki socjopaty”, zyciowie przyjętą zarówno przez czytelników, jak i recenzentów („Dziennik” uznał ją za *niemal gotowy scenariusz na sitcom roku* – *niepoprawny politycznie, inteligentny i zabawny*).

**Chiński właściciel sklepu** z zabawkami i jego niepełnosprawny krewny.

**Polka** bardzo otwarta na niebiałych mężczyzn.

**Grecka biolożka morska** o wielkich aspiracjach i wątpliwym zdrowiu.

**Pakistańczyk** z podejrzeniem wypchanym plecakiem.

**Egocentryczny Hiszpan** wlepiający mandaty z pasją inkwizytora.

**Angielska wschodząca gwiazda rocka** progresywnego.

**Żyd** z tajemniczą inskrypcją na przedramieniu.

**Polka** ze zbyt dużą ilością funtów (wagi).

**Niemiecki gej**, wielbiciel kolarstwa.

To tylko niektóre z postaci mających nieszczęście spotkać na swojej drodze Tomasza Płachtę.

Znany czytelnikom z „Kronik socjopaty”

Tomasz Płachta próbuje tym razem nad Tamizą udowodnić wszystkim swoją życiową zaradność, ale z jego zdolnością do ściągania na siebie kłopotów nie jest to zadanie proste. Czy w ogóle wykonalne dla notorycznego społecznika z niewyparzoną językiem w wielokulturowym świecie brytyjskiej metropolii, zdominowanym przez polityczną poprawność?

„Więcej takich książek, a obalimy mit o Polakach ponurakach”

Joanna Ruszczyk, „Newsweek”

Cena 29,90 zł

ISBN 978-83-7469-553-4



9 788374 695534

[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

PATRONAT MEDIALNY

**INTERIA.PL**

Porozmawiaj o kulturze:  
[www.kultura.interia.pl](http://www.kultura.interia.pl)

**granice.pl**

Współpraca z

radio **wawa**

ZARZĄD POLSKA MUZYKA

# SOCJOPATA W LONDYNIE



**Daniel Koziarski**

Copyright © Daniel Koziarski, 2007

Projekt okładki Janusz Fajto

Redakcja  
Katarzyna Pawłowska

Redakcja techniczna Anna Nieporęcka

Korekta  
Mariola Będkowska

Łamanie Małgorzata Wnuk

ISBN 978-83-7469-553-4

Wydawca  
Prószyński i S-ka SA  
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

Druk i oprawa ABEDIK S.A. 61-311 Poznań, ul. Ługańska 1

I'm listening to the words I thought I'd never hear again  
A litany of saints and other ordinary men  
Kneeling on the parquet  
Whatever has gone wrong?  
The fear and feeling hopelessness  
I don't want to belong

Pet Shop Boys,  
This Must Be The Place I Waited Years To Leave

## Nowy początek

Mówią, że wszystko, co złe, kiedyś się kończy. Może mają czasami rację. Otrzymałem zawiadomienie od właściciela sklepu z zabawkami na Clapham Common, że moje podanie o pracę zostało rozpatrzone pozytywnie i od połowy lipca, czyli już za kilka dni, mógłbym zacząć pracę w charakterze jego asystenta. Nawet nie przeprowadził właściwej rozmowy kwalifikacyjnej - dumnie przyjąłem to jako wyraz odgórnego zaufania, wręcz rodzaj długu, który zamierzałem spłacić z odsetkami.

Cieszyłem się jak dziecko, że opuszczę Amdena (jak się ostatecznie okazało Pakistańczyka, nie Libijczyka, zresztą, jeden sort) - miałem dość tak jego samego, jak i jego zakichanej smażalni na Ealingu. Nędzna praca, w której nie miałem prawa zostać ani jednego dnia więcej, a tymczasem tygodnie przechodziły w miesiące, czyniąc mnie zakładnikiem upokarzającej rutyny. W dodatku codziennie spędzałem całą wieczność w autobusach - tak, oczywiście istniała podziemna alternatywa, ale ja panicznie bałem się podróży metrem, bo wydawało mi się potencjalnym celem ewentualnego zamachu terrorystycznego. Odnosiło się jednak wrażenie, że w tętniącym życiu Londynie nikt nie przejmował się wizją ataków. Być może niektórzy łudzili się, że otwarte dla wszystkich granice Anglii staną się paradoksalnie najlepszym gwarantem bezpieczeństwa wewnętrznego, a ludzie tacy jak Amden są naprawdę potrzebni poddanym Królowej do pełni szczęścia i dla gwarancji ich dobrobytu.

Prawda - przechodziłem do sklepu z zabawkami - mogłem sobie wyobrazić histeryczną reakcję matki na tego rodzaju informację, czy też szyderczy śmiech Dominika, ale w końcu najważniejsze było to, że po kilku miesiącach stagnacji czyniłem krok naprzód.

\*

- Nie możesz mnie zostawić bez wypowiedzenia. - Amden pogroził mi palcem. - Jesteś złym człowiekiem...

- Wypowiedzenie? Od kiedy to przejmujemy się regulacjami? Ile razy prosiłem cię o rejestrację? I co, nadal jestem tu nielegalnie! Ja, Europejczyk! - Parsknąłem niewybrednym śmiechem. - Zapłać mi za ten tydzień i jesteś kwita... No, skoro tak przejmujesz się regulacjami, to możesz jeszcze dorzucić ekwiwalent urlopu. Ile to wypada... półtora dziennej stawki za każdy przepracowany miesiąc? Niech policzę...

- Co? Nie wypłacę ci tego wszystkiego... Nie w tej sytuacji!

Jego wielkie oczy nabrały demonicznego wyrazu. Jak w kalejdoskopie zobaczyłem w nich najgorsze sytuacje z okresu naszej współpracy, szczególnie zaś moment, w którym zrobił mi awanturę za to, że ośmieliłem się zmienić olej po dwóch dniach, zamiast - tak jak miałem to przykazane - po tygodniu.

- Za wykonaną pracę należy się wynagrodzenie - odrzekłem z nasiskiem.

- Regulacje? Kogo obchodzą regulacje? Gdzie twoje wypowiedzenie? - Zaśmiał się, wręczając mi plik dwudziestofuntowych banknotów. - Ciesz się, że w ogóle coś dostajesz. Nie chcę cię tu więcej oglądać. Teraz wynoś się, nie mam czasu, robi się ruch.

Przeliczyłem pieniądze i stwierdziłem, że to tylko niecała połowa tego, czego od niego właściwie oczekiwałem.

- Nalegam... - syknąłem, wyciągając rękę. - Nie próbuj mnie okantować.

- Wynoś się - powtórzył ostro, a potem odwrócił się i odszedł na zaplecze, zostawiając mnie samego.

Jeszcze tego pożałuje - przyrzekłem sobie w duchu. Poszedłem pożegnać się z Li, ale ona, od czasu, kiedy zignorowałem ją w Chinatown, nie odzywała się do mnie prawie wcale, poza „służbową” płaszczyzną kontaktów. Być może nie powinienem być wobec niej wówczas szczery, mówiąc, dlaczego jej nie zauważyłem - choć dla mnie była to okoliczność usprawiedliwiająca, dla niej okazała się zwielokrotnieniem obrazy (na swoje usprawiedliwienie dodam, że każdy, kto oglądał jakiś film z gatunku martial arts, prędzej czy później pogubił się w tym, kto jest kto).

Właścicielem sklepu z zabawkami Super Toys był Brytyjczyk chińskiego pochodzenia, albo raczej Chińczyk z brytyjskim paszportem, który przedstawił się jako James, choć tak naprawdę nazywał się Pen Jakamoto. Trochę to wszystko skomplikowane, jego nazwisko brzmiało przecież jak wzięte z „Shoguna”, a ja spodziewałem się czegoś klasycznie chińskiego, w stylu Pink Ponga.

Oprowadził mnie po wszystkich pomieszczeniach sklepu włącznie z podzielonym na kilka sekcji magazynem, zapoznając z szerokim asortymentem, jaki znajdował się w ofercie. Do moich zadań należeć miały głównie: obsługa klientów, inwentaryzacja, przyjmowanie, metkowanie i oczywiście rozkładanie towaru na półkach - rzeczy niewybrednie oczywiste, przy wykonywaniu których mój dyplom był tak użyteczny, jak koło zapasowe w rozpedzonym samochodzie z niesprawnymi hamulcami.

Oprócz mnie w Super Toys pracowali także mój rówieśnik Marcin, pochodzący z okolic Olsztyna (wyglądał jak Moby), oraz niewiele od nas starszy Kameruńczyk Adu (niestety, ze zrozumiałych względów nie interesowało mnie, z jakiego regionu Kamerunu pochodzi - o Kamerunie nic nie wiem, w końcu kraj ten znany jest tylko z Rogera Milli, nie oszukujmy się).

Pomimo relatywnie niskiej stawki i nikłego prestiżu, szybko uznałem pracę za dość satysfakcjonującą, szczególnie że nie musiałem się tam wiele przemęczać, nierzadko spędzając czas na bezproduktywnych - aczkolwiek przyjemnych - dyskusjach z szefem i współpracownikami.

- „Made in China”, wszystko „made in China”, czy w ogóle gdzieś się jeszcze coś produkuje oprócz Chin? - Ten temat musiałem naturalnie prędzej czy później poruszyć. - Te dzieciaki zaprzęgane siłą do pracy w nieludzkich warunkach, żeby tylko odłożyć pieniądze na psa...

- Nie rozumiem twojej uwagi. - Pan Jakamoto zmarszczył brwi.

- Nieważne, chodzi mi o to, że jeszcze niedawno „made in China” obniżało wartość rynkową produktu, powodowało grymas zażenowania na twarzy, a teraz przyjmuje się za coś zupełnie normalnego. Myślę, że fenomen Chin polega na tym, że przełamały w ostatnich latach tę barierę psychologiczną u ludzi, wchodząc we wszystkie strefy produkcji światowej - wyjaśniłem swój pogląd.



- To jakaś teoria spiskowa - odburknął. - Dlaczego sądzisz, że rzeczy z Chin były kiedykolwiek niższej jakości?

Pan Jakamoto uważnie lustrował mnie wzrokiem, a ja zastanawiałem się, czy to on jest w jakiś sposób przeczulony, czy też mój angielski sprawił, że sens wywodu został wypaczony, a przez to i intencja źle odebrana. Na szczęście on sam dyplomatycznie zmienił temat.

- Widzę, że żołnierzyki rozeszły się szybciej, niż się spodziewałem - stwierdził z uśmiechem zadowolenia.

- Ludzie tak mają, że zawsze wezmą coś za darmo, jeśli tylko im się zaproponuje, nawet jeśli naprawdę tego nie potrzebują - odrzekłem sucho. - Był tutaj taki dziadek z wnuczkiem i ja mówię: może żołnierz za darmo dla chłopczyka? Dziadek się uśmiechnął z aprobatą, wnuczek wziął w łapę, obejrzał ze wszystkich stron i odłożył, krzywiąc się. Dziadek zachęcał, ale wnuczek był uparty. No to dziadek sam wziął. Zapewne po to, żeby stawiając figurkę gdzieś w pobliżu poźółkłego albumu i czapki z odznakami, pocuć na nowo zew wojennej przygody, świst kul oraz jęk przyjaciela trafionego odłamkiem granatu. I jeszcze wziął dwa! Chciałem powiedzieć, że to promocja ograniczona, ale bałem się, że go rozgniewam. Wie pan, jak to jest ze starymi. Jeszcze mu się przypomni przydział jedzenia w obozie wojennym i...

- O czym ty, do cholery, mówisz?

Pan Jakamoto zawsze zachowywał spokój, ale tym razem jego twarz wyrażała najgorsze emocje - i właśnie ten widok człowieka zwykle opanowanego, który tracił nad sobą kontrolę, był sam w sobie czymś przerażającym.

- Tak sobie żartuję, proszę wybaczyć. - Pojednawczo wyciągnąłem dłoń w jego kierunku.

- A to dobrze. - Odetchnął z ulgą, ignorując jednocześnie mój gest. - Już myślałem, że rozdałeś za darmo całą partię żołnierzaków.

- Bo rozdałem... - Z trudem przełknąłem ślinę. - A żartowałem co do tego dziadka i jego wojennych reminiscencji...

- Miałeś je sprzedać, a nie rozdać! - Ukrył twarz w dłoniach. - Nie wierzę... Obudźcie mnie z tego złego snu!

- Powiedział pan, że to są sample - usprawiedliwiłem się. - A sample z założenia są darmowe.

- Może owszem, powiedziałem „sample”, ale miałem na myśli sample poszczególnych kolekcji, a nie żeby zaraz rozdawać wszystko za darmo! - Tracił panowanie nad swoim gniewem.

- Przepraszam - szepnąłem cicho.

Następnie skierowałem się do działu gier, żeby zająć się ich posortowaniem, uznając, że najlepiej będzie, jeśli po prostu zniknę mu z oczu, robiąc zarazem coś pożytecznego.

Kolejna partia sudoku. Pierdolone sudoku, nie wiem, co może być interesującego w układaniu liczb. Tymczasem okazało się, że jakaś tortura matematyczna urosła nagle do rangi narodowego hobby Anglików.

\*

do [ania.perucka2@wp.pl](mailto:ania.perucka2@wp.pl) od  
[tomasz\\_pl@yahoo.co.uk](mailto:tomasz_pl@yahoo.co.uk)

Droga Aniu,

Dotarło do mnie, że zwierzam się komuś, kogo tak naprawdę prawie wcale nie znam. Oczywiście, korespondujemy ze sobą od kilku miesięcy i znaleźliśmy co prawda wspólny język, ale nie da się ukryć, że schowani za parawanem bezdusznych kabli, jesteście sobie jednak obcy, niezależnie od tego, o jakich sprawach przychodzi nam pisać.

Tym bardziej dziękuję ci za zrozumienie i wsparcie. Nie wiem, czy miałbym tyle odwagi, żeby pisać o wszystkich swoich bolączkach komuś, kogo znam w sensie rzeczywistym.

Jesteś moim cichym sojusznikiem w tej prywatnej bitwie o Anglię. Obiecuję, że kiedyś ci to wynagrodzę. Tak jak Churchill wynagrodził wojenny trud Polakom.

Tomasz

## **(Po) rachunki**

Otwieranie konta bankowego jest szokującym doświadczeniem. Przychodzisz pewny siebie, kładziesz paszport na stół i myślisz, że już za chwilę z pocałowaniem ręki otworzą ci konto, a za parę dni prześlą kartę. Twoje złudzenia zostają szybko rozwiane, kiedy pada pytanie o potwierdzenie adresu. Możesz z kamienną twarzą wyciągać zaświadczenia od pracodawcy, umowy najmu, a nawet korespondencję z Home Office (odpowiednika MSW), ale okazuje się, że wszystko na próżno - banki mają zamkniętą listę dopuszczalnych sposobów na

potwierdzenie adresu, która wydaje się złośliwie skonstruowana w ten sposób, żeby ograniczyć otwieranie kont nowo przybyłym. Kuriozum.

I siedzi taki jeden czy drugi pajac z obsługi, w ogóle nic do niego nie dociera, stuka długopisem w blat stołu i dalej właściwie nie chce z tobą rozmawiać. Jakby w ogóle nie docierało do niego, że zamierzasz właśnie powierzyć bankowi swoje ciężko zarobione pieniądze, zupełnie jakbyś trafił na jakąś panią Basię przeniesioną do Londynu z urzędu gminy w Maciejowicach Dolnych. A może oni przechodzą jakieś intensywne szkolenie, podczas którego wmawia im się, że każdy nowy klient jest potencjalnym wyłudzcą kredytów albo złodziejem tożsamości?

Kiedy pierwszy raz biłem głową w mur w sprawie otwarcia konta, zasugerowano mi, żebym przedstawił moją korespondencję z innym bankiem i w ten sposób potwierdził swój adres. Dziwne, bo skoro chciałem założyć podstawowe konto w obcym kraju, to jasne było, że mam tylko podstawowe potrzeby, a idąc tym tropem - po co miałbym zakładać kolejne konto, jeśli dysponowałem już jednym?

Niejako przy okazji wpadł mi do głowy głupi pomysł, tak sznurowaty, że aż musiałem spróbować - w uzupełnianej ręcznie książeczce Banku Spółdzielczego, wyglądającej jak ostemplowany przez biurokratę notatnik z przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, dopisałem - a jakże, ręcznie i po angielsku - adres w UK.

Pracownica banku przyglądała się z zaciekawieniem książeczce oszczędnościowej, zupełnie jakby uczestniczyła w bezprecedensowej autopsji zielonego ludzika. Musiałem jej długo tłumaczyć funkcjonowanie tego typu antyku - patrzyła na mnie w taki sposób, jakby do końca nie była przekonana, czy kpię, czy o drogę pytam. Wreszcie wskazałem na wypisany tam adres - po jej twarzy przebiegł grymas uśmiechu. Może dlatego wstała i poszła „skonsultować się z menadżerką”. Jak można było przypuszczać, wróciła po kilku minutach i oświadczyła, że to niestety nie wystarczy.

Ostatecznie więc kolejny miesiąc skazany byłem trzymać swoje oszczędności w schowanej na dnie szafy kopercie. Każdego dnia od pięciu do ośmiu razy sprawdzałem, czy koperta jest na swoim miejscu i czy jej zawartość jest nienaruszona. Ciągnęło się to jeszcze jakiś czas, aż w końcu udało mi się dopiąć swego i założyć to cholerne konto, w czym pomógł mi zresztą pan Jakamoto.

Oczywiście w prasie polonijnej dużo było różnego rodzaju ogłoszeń, w których „życliwi” rodacy za „drobną opłatą” gotowi byli zaoferować swoją pomoc w otwieraniu kont bankowych, ale, jak konsekwentnie mnie pouczano, o czym sam zresztą dobrze już wiedziałem od czasów mojego amerykańskiego epizodu, na Polaków nie można było za granicą specjalnie liczyć. Wręcz należało się ich wystrzegać. Szczególnie kiedy oferowali pomoc za pieniądze albo mieli do wynajęcia pokój czy mieszkanie.

Jak tu na przykład traktować poważnie napisane w pośpiechu flamastrem ogłoszenie pokuj do wynajęcia, które wywieszono na szybie hinduskiego sklepu off-licence obok Black busty lady offering massage for good price i yoga courses for beginners? Przecież od kogoś, kto ma „pokuj do wynajęcia” nie kupiłbym nawet gazety na ulicy.

Swoją drogą ciekawe, dlaczego tak się działo i skąd się właściwie brała ta nasza emigracyjna antysolidarność, idąca nieraz w parze z faktycznym wyzyskiem? Przecież wśród innych wspólnot i mniejszości zaobserwować można było wzajemną sympatię, która przeradzała się często w zorganizowane systemy wzajemnej pomocy. Weźmy takich Albańczyków - razem pomieszkiwali, razem celebrowali, razem sprzedawali przemycone papierosy, razem podrabiali dokumenty, razem zajmowali się stręczycielstwem i handlem ludźmi. Australijczycy pomagali sobie w poszukiwaniu pracy, a Turcy tworzyli swoje małe enklawy w północnym Londynie, gdzie solidarność kulturowo-towarzyska szła w parze z hermetycznością tworzonych przez nich klubów.

A my? Przecież wzajemne relacje Polaków w Londynie nie były wyrażane ani przez tandetne polskie imprezy pełne bałwanów tulących się do wyborowej, ani pogaduchy przed polskim kościołem po mszy (które doprowadzały do kurwicy mieszkających w pobliżu kościoła), ani tym bardziej wieczory autorskie czy poetyckie starych polskich aktorów, którzy przyjechali do Londynu bredzić przed garstką słuchaczy (bo w Polsce wszystkim się już śmiertelnie znudzili). Wzajemne stosunki Polaków w Londynie określało bardziej to, co powiedzieli mi współlokatorzy: jeszcze przed przystąpieniem Polski do Unii urzędnik z Home Office twierdził, że lokalizowanie i wyłapywanie nielegalnych imigrantów z Polski nie jest szczególnie trudne, biorąc pod uwagę informacje, jakie władze posiadają dzięki licznym i oczywiście uprzejmym donosom „praworządnych” Polaków na Polaków niepraworządnych.

Co za naród! Pokonał Niemców w bitwie o Anglię, a teraz sam sobie podcinał skrzydła.

\*

A propos donosów, wydawało mi się czymś oczywistym zawiadomienie kilku różnych organów i instytucji o wszelkich wykroczeniach i łamaniu prawa, jakie zaobserwowałem, pracując dla Amdena, począwszy od zatrudniania na czarno, choć pracownik chciał płacić podatki i ubezpieczenie, a skończywszy na niejasnym statusie emigracyjnym samego właściciela. Nie, nie podpisywałem się, niemniej jednak użyłem języka dość profesjonalnego i sformalizowanego, mając nadzieję, że Home Office potraktuje moje pismo na tyle poważnie, by przeprowadzić jakąś kontrolę.

\*

Tydzień później zadzwonił do mnie Damian, ten sam, który udzielił mi kluczowej pomocy w czasie moich pierwszych dni w Londynie, zapewniając mi mieszkanie i pracę.

- Tomek, nie wiem, co się, kurwa, dzieje - panikował. - Słyszałem, że zamknęli twoją restaurację na Ealingu?

- Nic o tym nie wiem... Tym bardziej że nie pracuję tam już od prawie trzech tygodni. Ale jak odchodziłem, wszystko było w porządku, no wiesz, nic nie wskazywało na jakies kłopoty.

W mojej duszy grało **yes, yes, yes**. Czy można mi było tak wyrażać radość po przekroczeniu trzydziestki? Nieważne, w końcu udało mi się coś wywalczyć.

- Nic z tego nie rozumiem. Teraz dobierają się do dupy mojemu szefowi... - kontynuował Damian. - Boję się, że skończy się tak samo, jak u ciebie... Co ja zrobię bez pracy? Przecież teraz tyle tego polactwa, że nikt mnie nie zatrudni!

- Damian, z twoim wykształceniem ta rozłąka z Pakistańczykami - oczywiście jeśli do takiej dojdzie - wyjdzie ci tylko na dobre - odparłem.

- Wcale mnie to nie pociesza, ja się muszę utrzymać, rozumiesz? - odpowiedział spanikowanym tonem. - Ja nie wrócę do Polski!

Cóż mogłem na to odpowiedzieć? Żal mi go było, ale każda wojna ma swoje ofiary. Poza tym naprawdę szkoda polskiego absolwenta prawa, prawie doktora (brzmi znacznie lepiej niż prezydencki prawie

magister) zmieniającego olej w pakistańskiej smażalni i upewniającego się, że solniczki są wypełnione po brzegi.

Kto wie, może paradoksalnie wyświadczyłem mu wielką przysługę?

Pomyślałem jeszcze o Li - biedna, dzielna dziewczyna. Kiedyś opowiedziała mi, jak dostała się do Londynu - spędziła długie godziny w sekretnym pomieszczeniu tira znajdującym się za chłodnią. Wyziębiona, wygłodzona, o mało nie zapłaciła życiem za swoje angielskie marzenie. Spryt, determinacja i ciężka praca pozwoliły jej jednak przetrwać najgorsze i względnie się zaaklimatyzować. Dziś, jak podkreślała, wolałaby umrzeć, niż wrócić do swojego ojczyzno-ego kraju. Muszę opowiedzieć o niej panu Jakamoto... Swoją drogą ciekawe, jak on stawiał swoje pierwsze kroki w Londynie i - co jeszcze bardziej intrygujące - jak się tutaj dostał?

Miałem nadzieję, że Li nie została złapana u Amdena. W przeciwnym razie ta sprawa ogromnie ciążyłaby na moim sumieniu (tym samym, o którego brak oskarżała mnie moja matka).

\*

do [tomasz\\_pl@yahoo.co.uk](mailto:tomasz_pl@yahoo.co.uk)

od [ania.perucka2@wp.pl](mailto:ania.perucka2@wp.pl)

Tomku,

Mam już dość swoich rodziców, ale z drugiej strony nie stać mnie na przeprowadzkę, a poza tym nie chciałabym mieszkać sama.

Chciałabym mieszkać z kilkoma młodymi ludźmi, każdy zamknięty w świecie swoich spraw, ale z drugiej strony światy te przenikają się z racji ich wspólnego miejsca zamieszkania, spotkań w kuchni, czy na korytarzu. Taka harmonia samotności i koegzystencji ze wszystkimi jej implikacjami.

Mam nadzieję, że rozumiesz.

Ania

O czym ta dziewczyna pierdoliła i dlaczego ta wiadomość nie dała się skasować? Czasami komputery w kafejkach internetowych sprawiały wrażenie sprzętu pozbieranego z ulic i zmontowanego na przędce przez lokalnych somalijskich techników komputerowych.

## Współlokatorzy

Olek pochodził z Rumi i nalegał, żeby nazywać go Alex. Był z zawodu informatykiem, choć nie ograniczając się do spędzania czasu przed monitorem w poszukiwaniu zaginionych bajtów czy przy pisaniu programów, dorabiał w weekendy pracą jako butler na ekskluzywnych żydowskich przyjęciach. Był osobą bardzo łakomą, nie tylko na pieniądze, ale także, a może i przede wszystkim, na jedzenie - dość przyjemny, choć zarazem przyziemny i prostoduszny charakter - z pewnością facet, z którym nie można było, niestety, tak jak z Dominikiem, porozmawiać o tym, czy tak zwana biała czekolada jest rzeczywiście jeszcze czekoladą czy już wytworem czekoladopodobnym.

Alex często zdręczał mnie opowieściami o swojej narzeczonej, która zresztą przebywała w Polsce. Ostatnio podobno kilka razy nie odebrała telefonu, potem, pytana o to, użyła jakichś pokrętnych tłumaczeń, a na dodatek, a może wręcz, co najgorsze, zaprzestała nazywać Aleksa „miśkiem”, „kochaniutkim”, „snupim” i całą masą innych beznadziejnie pretensjonalnych, ale dla niego bardzo ważnych, bo rzekomo dowodzących miłości, określeń.

- Zdradza cię - rzuciłem chłodno, w stylu Woody'ego Allena demaskującego Christine Ricci w „Życie i cała reszta”.

- Nie mów tak. - W jego oczach pojawił się paniczny strach.

- Zdradza cię - powtórzyłem z pełną świadomością.

- Dlaczego tak sądzisz? Jesteś tego pewny? Wiesz... chodziło mi to nawet po głowie, ale ona przecież zawsze była mi wierna i lojalna. Trudno mi teraz... tak nagle... - bełkotał niemiłosiernie.

- Ty jesteś tu, ona tam, tego tak się nie da utrzymać - odparłem sucho. - Ściągaj ją do Londynu i ratuj, co się da...

- Ale ona musi skończyć studia... Jeszcze tylko niecałe dwa lata...

- Ja bym powiedział „aż”. Wiesz, ile może się wydarzyć przez, jak to ująłeś: „niecałe dwa lata”? Kto wie, może za te „niecałe dwa lata” - podkreślałem natrętnie - ty, ja, Kasia, a może i Luis będziemy już figurować w księdze zgonów! A ty tu mówisz o czekaniu na kogoś. Dobrze, gdyby to były jeszcze lata siedemdziesiąte, może wówczas bym cię poparł. Ale, do licha, żyjemy w czasach wiecznie niezaspokojonych kobiet, które rozkładają nogi, zanim pomyślą o konsekwencjach!

Wolałem być z nim brutalnie szczery, niż prawić jakieś tanie gadki, że wszystko się ułoży i zakończy słodziutkim happy endem. Już na samą myśl o tego rodzaju tanim pocieszeniu brało mnie na mdłości. Czasy happy endów mijały tak w filmie, jak i w literaturze, nie wspominając o życiu.

- Chodź, pokażę ci nasze ostatnie zdjęcia z wakacji. - Ożywił się nagle.

- Już mi pokazywałaś pięć razy - wypomniałem, wzdychając ciężko. - Przestań odgrywać tutaj meksykańską telenowelę, zadzwoń do niej i weź ją ostro na spytki. Albo po prostu zapomnij i nie trać więcej czasu.

- Tomek, ależ ja się denerwuję... muszę zacząć coś łykać, bo chyba zwariuję.

- Ty się staniesz przez nią lekomanem, a ja osiwieję do reszty z nudów.

- Kolega z pracy poradził mi takie chińskie pigułki. - Alex zaczął przeszukiwać kieszenie, aż wreszcie znalazł karteczkę z jakimś zapiskiem. - Podobno bardzo skutecznie łagodzą nerwy, a są oparte wyłącznie na ziołach. Żadnej chemii, sto procent natury.

- Jak pigułka może być oparta wyłącznie na ziołach? - Puknąłem się w czoło. - Pigułka sama w sobie jest chemią.

- Nieważne i tak nie mogę ich nigdzie znaleźć, nawet w chińskiej dzielnicy.

- Spytaj więc tego, kto ci je polecił - odpowiedziałem.

- Nie mogę, deportowali go tydzień temu do Chin, kiedy odkryli, że wcale nie urodził się w Manchesterze.

Parsknąłem niewybrednym śmiechem, wyobrażając sobie, że coś podobnego spotyka pana Jakamoto.

- Chcesz powiedzieć, że łykał te pigułki, bo czuł, że coś się szykuje? - Naszła mnie ochota na szyderstwa.

- Tomek, ja już nie wiem, co mam robić!

Rozłożył ręce, szykując się do ponownego wałkowania tematu, który, jak miałem nadzieję, został na ten dzień już zamknięty.

- Zbierz w sobie siły, zadzwoń i każ jej wyłożyć karty na stół, nic innego ci nie wymyślę. A w międzyczasie... łykaj te pigułki.

Wyrwałem mu karteczkę i postanowiłem znaleźć ten cholerny chiński specyfik, który być może zamknie mu na jakiś czas usta.

- Tomek, ja nie wiem, czy potrafiłbym bez niej żyć. - Rozczulił się na nowo. - Wiesz, jeszcze ci nie pokazywałem, przedwczoraj kupiłem jej kurtkę skórzaną i teraz nie mogę się doczekać, kiedy będę mógł



ją w niej zobaczyć. Przez to, że muszę czekać, będzie mi o niej teraz przypominać, podobnie jak wszystko inne – listy, zdjęcia, nawet słuchawka telefonu...

Szczęśliwie usłyszałem dźwięk klucza przekręcanego w drzwiach. Za chwilę naszym oczom ukazała się współlokatorka Kasia (w typowej dla siebie obskurnej miniówce i wydekoltowanej bluzeczce) w towarzystwie jakiegoś chłopaka, który wyglądał na pochodzącego z Indii albo z Bangladeszu, nigdy nie nauczę się ich odróżniać.

- Co Kasiu? Zamknęli Soho, czy roboty zabrakło? - rzuciłem po polsku.

- Jakieś nowości w świecie lego? Wybacz, że pytam, ale już z tego wyrosłam, to trudno mi być updated. - Nieumiejętnie próbowała się odegrać.

Potem, już po angielsku, przedstawiła nam swojego lowelasa.

- To Vikash, mój nowy chłopak, pochodzi z Madagaskaru.

- Z Mauritiusa... - Poprawił ją dość subtelnym tonem, ale ja i Alex i tak zaśmialiśmy się głośno. Cała ta sytuacja przyprawiła ją, osobę przecież bezwstydną, o rumieniec zażenowania.

- Powiedziałaś nowy chłopak? - zastanawiałem się głośno. - To ten, którego poznałaś dwa tygodnie temu, prawda?

- Powiedziałam „nowy”, inni? - odrzekła z naciskiem.

Nie zdawała sobie zapewne sprawy, że znowu zrobiła z siebie pośmiewisko.

- Chodźmy do mojego pokoju - zwróciła się do Vikasha. - Z nimi nie można wytrzymać dłużej niż pięć minut. Fucking Polish assholes?

Pomimo takiej antyreklamy, Vikash przyjaźnie pomachał do nas dłonią.

- Poczekaj. - Zatrzymałem ich. - Vikash, jesteś z Mauritiusa, ale z punktu widzenia etnicznego i kulturowego jesteście tym samym, czym są ludzie z Indii, prawda?

- Tak, można tak powiedzieć - przytaknął.

- Zawsze mnie coś zastanawiało, ale nigdy jakoś nie miałem okazji... Wybacz, że zapytam...

- Nie ma problemu, pytaj - odpowiedział grzecznie.

- Wytłumacz mi, czym jest ta czerwona kropka między oczami kobiet z Indii - ozdobą? A może ma jakiś wydźwięk religijny, czy wywodzi się z jeszcze innej tradycji? A jakbym ją zdrapał, to coś bym pod nią znalazł? Nie mam tu na myśli trzech słoników, jak w polskiej

loterii, ale pytam poważnie - to jest farba, czy jakiś tatuaż, czy coś innego? A tak już na żarty, czy to nie czyni waszych kobiet łatwiejszym celem dla wszelkiej maści obłąkanych snajperów?

Alex ukrył twarz w dłoniach. Może rzeczywiście nie powinienem był posuwać się tak daleko, ale jak się już nakręcę, to pojęcie samokontroli staje się czystą abstrakcją. Ale Vikash, niepomny obraźliwości moich rozważań, miał najwyraźniej zamiar oświecić mnie w tym względzie.

- Słuchaj, to jest po prostu - jak w małżeństwie...

Jednak zanim zdołał dokończyć myśl, Kasia niemal siłą wciągnęła go do swojego pokoju. Usłyszeliśmy dźwięk przekręcanego klucza.

Kasia, studentka księgowości, buddystka od siedmiu boleści. Było dla mnie nie do pomyślenia, żeby osoba tak roztrzepana, a przy tym kompletna ignorantka, zajmowała się w przyszłości księgowością nawet takiej firmy, której obroty zamykają się w czterech cyfrach. Od momentu, kiedy zmieniłem mieszkanie na to, w którym ona, na nieszczęście dla mnie, już się znajdowała, Kasia wydawała mi się pretensjonalną, bezwstydnie zachłystującą się Zachodem dziewczuchą z prowincji. Jednocześnie nie sposób było odmówić jej ambicji, czy wręcz siły przebicia - była uosobieniem najgorszego typu polskiego emigranta, czyli takiego, który pchał się z niedomytymi od gnoju paluchami do obficie zastawionego stołu. Był to zarazem przypadek szczególnie frustrujący, wydawało mi się jakąś niesprawiedliwością dziejową, że podczas gdy ja, absolwent zarządzania UG, zmieniałem olej i sortowałem frytki na polskim Ealingu, potem przekładałem zabawki z jednej półki na drugą, ona, jeszcze w trakcie studiów (na które jakiś dureń przyznał jej granty), zdołała załatwić sobie staż w biurze rachunkowym na Holbornie. A ten cały buddyzm to kolejny przejaw jej prowincjonalności. Traktowała go zapewne jako jedno z odgałęzień New Age, na który była przecież teraz moda - z tymi wszystkimi kadzidelkami, medytacją i wewnętrzną równowagą.

\*

Usiłowałem się skupić i napisać list do rodziców, ale tak naprawdę nie potrafiłem skleić tych kilkunastu czy kilkudziesięciu zdań. Owszem, działa się dużo i relatywnie wiele było do opowiedzenia, ale prawda była taka, że moją matkę interesowały suche fakty: pracujesz już w jakimś biurówcu?, znalazłeś sobie jakąś pannę?, czy pochodzi z dobrego domu i jest katoliczką, (koniecznie Polką)? Metoda zeroje-dynkowa, żadnych kompromisów. Nie, podarłem niezapisaną kartkę

papieru, rezygnując z dalszych wysiłków - rutynowy telefon w sobotę powinien wystarczyć.

Ciekawe, co u Kamila? W końcu ta kreatura, jego żona, niedługo urodzi dziecko - muszą się nad sobą teraz niemiłosiernie rozczulać, przy błogosławieństwie rodziców obu stron. Wyrośnie z niego pewnie jakiś fan Marilynna Mansona i Bad Religion - tatuś będzie miał kogo zabierać na koncerty za kilkanaście lat, kiedy nikomu innemu nie przyjdzie do głowy słuchać podobnych zespołów, a ich sprzeciw wobec chrześcijaństwa (czy o co im tam właściwie chodzi) będzie miał siłę buntu nastolatki farbującej sobie włosy na niebiesko i wkładającej do nosa jakieś żelastwo.

No i Dominik... Nie ma co, urwał nam się kontakt, nieważne już zresztą z czyjej winy. Chyba bardziej z jego - świadomie i ostentacyjnie przyłączył się do chóru tworzonoego przez moich krewnych oraz znajomych z roku: „Wróć, wróć, tam jesteś tylko służącym, tanią siłą roboczą, białym Murzynem, twoje wykształcenie zmarnuje się w kuchni!”. Poza tym, te jego męczące opowieści o małżonce Kasi - jaka jest kochana, jak się domem zajmuje, jak bardzo można na nią liczyć - no normalnie wypisz, wymaluj Grażynka z „Klanu” aż się niedobrze robiło. Ciekawe o czym z nią rozmawia? Mają w ogóle jakieś wspólne tematy? Jak dwójka tak niedopasowanych ludzi może w ogóle razem spędzać czas - to musi być autentyczna katorga! Zapewne oglądają na Polsacie teleturnieje z Ibiszem i debatuja godzinami, jaką lampę wstawić do salonu. Pierdołę Dominika, gówno mnie obchodzi. Nie chcę o nim nawet myśleć... Skreślony.

Alex powinien go skutecznie zastąpić - czasami straszliwie przynudza o tej swojej narzeczonej, ale ogólnie jest w porządku. Liczyłem na to, że nasza relacja z czasem jeszcze bardziej się zacieśni.

Tymczasem z sąsiedniego pokoju dochodziły już pojękiwania, zacząłem więc szukać zatyczek do uszu, które przywoziłem w olbrzymich ilościach z Polski. Posuwał ją dość gwałtownie, łóżko trzeszczało niemiłosiernie, a ona myślała zapewne w tym czasie, że skoro bierze ją niebiały, to odkrywa w ten sposób złożoność i zróżnicowanie świata, wyzbywając się zarazem ograniczeń, jakie nakładała na nią „polska zaściankowa mentalność”, jak to sama kiedyś mniej więcej określiła. Pamiętam, jak z miesiąc temu mówiła o tej mentalności jakiemuś Brazylijczykowi - niemal turlałem się po podłodze ze śmiechu, kiedy dokonała tłumaczenia „polskiej zaściankowości” na Polish

behind the wall mentality. Wówczas to Braziliano patrzył na przemian to na nią, to na mnie, wyraźnie osłupiały, zanim Kasia nie zawlokła go do swojego pokoju, żeby strzelił jej hramkę,

I tak ją ciupciali po kolei. Na dobrą sprawę robiła z siebie kulę ziemską, do której przylegały wszystkie państwa świata...

A potem chodziła na spotkania buddystów wyciszać się.

Taka była Kasia.

\*

Na domiar złego po zaledwie kilkunastu minutach przyszedł do mnie Alex. Niestety, miał mi coś do powiedzenia, bo zaczął się dobiąć do mojego pokoju. Zwlokłem się z łóżka i otworzyłem drzwi, robiąc dobrą minę do złej gry. Miał niezwykle głupi wyraz twarzy, a pod pachą plik gazet - wypatrzyłem tam „Daily Telegraph” i jakiś kolorowy magazyn. Dziwne, nigdy wcześniej nie widziałem go z gazetą, za którą trzeba było zapłacić więcej niż 30 pensów.

- Po co ci „Daily Telegraph”? Przecież ty czytasz jedynie „The Sun” - przypomniałem.

- Nie było „The Sun”, a poza tym musiałem kupić coś, co stanowiłoby przeciwwagę dla tego...

Rzucił na moje łóżko magazyn pornograficzny z dołączoną płytą DVD: Młodzi bawią się z dojrzałymi paniami.

- Wstydziłbyś się. - Zaśmiałem się ironicznie. - Co też ci przychodzi do głowy z tej samotności?

- Każdy zdrowy facet potrzebuje odreagować - stwierdził z dydaktyczną manierą. - Słyszysz tam za ścianą? Myślisz, że mogę trzymać wszystko na wodzy, kiedy tuż obok mnie ktoś ma używanie? Od razu przypominają mi się moje wspaniałe dni z...

- Nie, nie zaczynaj znowu o niej, błagam cię! Wracając do „Daily Telegraph”, to uważam to za stratę pieniędzy. Przeciwwaga? O czym ty w ogóle mówisz? Myślisz, że takiego Hindusa czy Pakistańczyka, który zadaje sobie trud sprowadzania tych świństw, obchodzi, że jakiś Polaczek to kupuje, żeby mieć się do czego trzepać? Jego interesuje tylko zysk.

- Wyobraź sobie, że wsadziłem porno pod „Daily Telegraph”, a on spektakularnie je wyjął na wierzch! Akurat obok mnie stały jakies czarne uczennice wracające ze szkoły. Ja strzeliłem buraka, a one zaczęły chichotać... - opowiadał zde gustowany.

- Teraz już przynajmniej rozwiązałem tajemnicę suszących się na lince pojedynczych skarpetek! - Znowu odezwał się we mnie mistrz ciętej riposty.

- Oj, nie bądź już taki chamski! A ty, to co? Chyba nie powiesz, że trzymasz to wszystko pod kontrolą... Dobra, idę... Jesteś dzisiaj taki trudny i dokuczliwy.

Podniósł z powrotem z łóżka świerszczyk i owinąwszy go w „Daily Telegraph”, wyszedł urażony z mojego pokoju.

\*

Charakterystyczny dźwięk zwiastujący wrzucenie przez listonosza korespondencji - uderzenie klapki o metalową obwódkę. Tak się złożyło, że byliśmy wszyscy w domu i jak stęsknione za właścicielem psy rzuciliśmy się w kierunku drzwi.

- A po co ty biegniesz? - odezwała się do mnie Kasia. - Od kiedy tu mieszkam, nie pamiętam, żeby cokolwiek do ciebie przyszło. Oprócz listu od twojej matki, na który zareagowałeś z furją, innt?

- Prosił cię ktoś o komentarz? - Machnąłem ręką. - Gdyby przychodziło do mnie tyle listów, ilu do ciebie koleś, to dziś tonąłbym w makulaturze.

Tymczasem Luis, ostatni z naszych współlokatorów, Hiszpan (czy jak mawiała Kasia: „Hiszpanin”), ochoczo zabrał się do przecinania kopert swoim szwajcarskim scyzorykiem.

Luis był, a właściwie go nie było, bo albo pracował (był jednym z tych zniechęconych traffic wardenów, czyli kimś, kto łązi po ulicach z pasją świadka Jehowy i szuka nieprawidłowo zaparkowanych samochodów, a potem w imieniu urzędu miasta wlepia mandaty), albo zamykał się w swoim pokoju i prawie z niego nie wychodził, przesiadując godzinami w internecie (miał go „na swoją wyłączność”, jak podkreślał na wypadek, gdyby któremuś z nas zachciało się na przykład sprawdzić pocztę).

- Po co Szwajcarzy wymyślili scyzoryk, skoro obowiązuje ich neutralność? - zastanawiałem się.

Nagle Luis, po zapoznaniu się z jednym z listów, podskoczył uradowany, najwyraźniej otrzymawszy jakąś niezwykle pozytywną wiadomość.

- Co się stało? Powiedz... - nie wytrzymała Kasia.

- Wygrałem, wygrałem! - krzyknął.

- Co wygrałeś? - spytał z kolei Alex, którego mina sugerowała gorzkie rozczarowanie brakiem korespondencji z Polski.

- Nie uwierzycie - wygrałem dożywotnio wodę z Ultrapure! Mam prawo do dwóch butelek dziennie w każdej sieci supermarketów!

Pierwszy raz widzieliśmy go w stanie takiej euforii.

- Gratulacje. - W głosie Kasi pobrzmiwał sarkazm. - Możesz się teraz upić wodą, skoro nic innego właściwie nie pijasz, innit?

- Nie pytam, czy podzielisz się z nami, bo zakładam, że woda też będzie na twoją wyłączność... Tak jak internet - rzuciłem w jego kierunku.

- Woda jest potrzebna, żeby oczyszczać nerki - dwie butelki to podstawa - odpowiedział Luis. - A wy nie popsujecie mi radości. Nie uda się to wam.

- Zakładam, że szef takiego koncernu nie życzy ci stu lat... - dodałem.

- To przecież nie jest dla nich żadna strata. - Wzruszył ramionami. - Założmy, że... Nie, po co ja o tym w ogóle myślę, dlaczego wciągacie mnie w takie rozmowy? Dajcie mi spokój, nawet człowiekowi wygrać nie wolno, bo zaraz wszystko popsują. Potwierdza się, że Polacy to zawistny naród. Pamiętajcie, trzymajcie łapy z daleka od mojej wody! W końcu dwie butelki dziennie to znowu nie tak dużo. A już na pewno niewystarczająco, żeby się dzielić ze szczuroeuropejczykami.

\*

W krajobraz naszego życia wpisywała się w pewien sposób również sąsiadka Brenda, czarnoskóra kobieta wychowująca samotnie czteroletnią córeczkę.

Od czasu do czasu przyjeżdżał do niej jakiś facet, również Murzyn. Wyglądali na bardzo zżytych - może rację miał nasz landlord, twierdząc, że to prawdopodobnie ojciec jej dziecka i wciąż partner, a ich różne miejsca zamieszkania miały znaczenie czysto instrumentalne - pozwalały skuteczniej doić pomoc społeczną (ta krowa była w Wielkiej Brytanii bardzo hojna, a przy tym bardzo cierpliwa).

Mówiąc delikatnie, Brenda nie lubiła nas, choć nie miała ku temu właściwie żadnych powodów. Dziwne napięcie, które się między nami wytworzyło, było od początku do końca jej winą - rzucając nam raz za razem nieprzychylnie spojrzenia, świadomie wydawała się dążyć do konfrontacji. A ta, znając prawa mojego świata, prędzej czy później nadejść musiała.

\*

do tomasz\_pl@ yahoo.co.uk od  
[anna.pierucka2@wp.pl](mailto:anna.pierucka2@wp.pl)

Tomku,

Z wszystkich historii, o których do tej pory wspominałeś w swojej korespondencji, wynika dla mnie jasno, że kłopoty to Twoja specjalność – ale, żeby być z Tobą szczerą, muszę powiedzieć, że nie jesteś bez winy! Owszem, okoliczności sprzyśęgają się najwyraźniej przeciwko Tobie, ale Ty zdajesz się tym okolicznościom sprzyjać i w jakiś sposób je kreować.

Postanów sobie, że nie będziesz się odzywał, kiedy nie będzie to absolutnie konieczne, a zobaczysz, że świat stanie się prostszy.

Z życzliwymi pozdrowieniami, Anka

## **Chłopiec bez nóżki**

Wyglądało na to, że zwalczyłem w znacznym stopniu natręctwo sprawdzania rozporoka. Właściwie było to raczej nowe podejście do sprawy, niż jakiś skoordynowany zespół działań zmierzających do pozbycia się tej obsesji. W końcu byłem w Londynie - miejscu, gdzie spotykało się ludzi w szortach i marynarce jednocześnie i nikt, oprócz Polaków rzecz jasna, nie śmiał tego oryginalnego zestawienia komentować.

No bo na przykład, dajmy na to, skoro wszędzie pełno było czarnych ze spodniami opuszczonymi tak nisko, że widać im było bokserki lub nawet rowki, to po jaką cholereę ja miałbym się martwić tym, że mój rozporek jest niedopięty (jeśli w ogóle miały się okazać niedopięty). Niestety, w przypadku ludzi, którzy cierpią na zespół natręctw, typowe jest to, że konsekwencją zwalczania jednego natręctwa jest nabycie albo natężenie innego - ja potwierdzałem, niestety, tę regułę.

Nie ukrywam, przesadzałem z drzwiami - mogłem wyginać klamkę w nieskończoność, upewniając się, że są zamknięte; mogłem cofnąć się nawet w tym celu do domu, po przejściu kilkunastu metrów, chociaż pamiętałem dobrze, że jeszcze przed chwilą znęcałem się nad ową nieszczęsną klamką.

Tego dnia, wychodząc do pracy, szczególnie intensywnie ciągnąłem za klamkę. Na moje nieszczęście Luis był świadkiem tej sceny, dyskretnie obserwując moje poczynania z kuchni.

- Co robisz? - zainteresował się.

- Sprawdzam, czy drzwi są zamknięte. Znasz inny powód pociągania za klamkę, kiedy właśnie przekręciło się klucze w drzwiach?

- Przecież robiłeś to jakieś pięć minut temu, zanim poszedłeś do toalety - przypomniał.

- Moje obsesje. - Nie miałem ani czasu, ani ochoty wdawać się w dyskusje. - Nie wnikaj.

- Boisz się, że cię okradną, czy co? - spytał nagle oskarżycielskim tonem. - Bierzesz mnie za jakiegoś Cygana, czy coś?

- Zwariowałeś? - Spojrzałem na niego zniesmaczony. - To był nieodpowiedni rasistowski komentarz!

Na szczęście zniknął za chwilę w swoim pokoju, a ja, lekko roztrzęsiony, skierowałem się ku wyjściu, uprzednio jednak raz jeszcze upewniając się, czy aby na pewno przekręciłem klucz w zamku.

\*

Pan Jakamoto musiał dziś wcześniej wyjść, ale zanim sobie poszedł, poinformował nas, że pod koniec dnia mamy się spodziewać wizyty jego brata z chrześniakiem. Prosił, żeby w jego imieniu odpowiednio ich przyjąć. Jednocześnie kazał przeprosić za swoją nieprzewidzianą absencję. Brat pana Jakamoto miał być z wyglądu mniej więcej jego kopia, tylko nieco starszy, ze skroźmi przyprószonymi dość znacznie siwizną. Sam chrześniak natomiast - syn brata pana Jakamoto, ośmiolatek, wymagał szczególnej opieki, gdyż, jak się dowiedzieliśmy, stracił w wypadku lewą nóżkę i wstawiono mu na to miejsce protezę, co oczywiście znacznie utrudniało mu koordynację ruchów.

Pan Jakamoto podkreślał, jak bardzo jest dumny ze swojego chrześniaka - mimo tragedii, jaka go dotknęła, dzieciak, otoczony miłością, opieką krewnych i wsparciem znajomych, potrafił demonstrować



niesłychana wręcz radość życia i niespożytą energię, udowadniając, że tak naprawdę nie sytuacja kształtuje człowieka, a człowiek kształtuje swoją sytuację. Piękne słowa. W sumie można było z tego zrobić amerykański film. Taki na dziesięć Oscarów.

Trochę się stresowałem, chcąc, żeby wszystko wypadło jak najlepiej, bo zdawałem sobie sprawę, że ten dzień może wystawić mi lepsze świadectwo niż wszystkie dotychczasowe tygodnie pracy razem wzięte. Pech chciał jednak, że tego dnia przysłała naprawdę spora ilość paczek do posegregowania i rozpakowania. Marcin ustawił kilka mniejszych kartonów na schodach prowadzących do magazynu, a ja najwyraźniej przeceniłem swój zmysł orientacji i targając jakieś badziewie na górę, potknąłem się i spektakularnie wylądowałem na podłodze.

- Kurwa - zakląłem, zwijając się z bólu.

Marcin podbiegł do mnie upewnić się, że nic mi się nie stało.

- W porządku - powiedziałem bez przekonania, próbując się podnieść.

Ale kiedy w końcu mi się to udało i przeszedłem kilka kroków wyraźnie kulejąc, z grymasem bólu na twarzy, stało się oczywiste, że wcale nie jest dobrze. Marcin usilnie chciał się dowiedzieć, czy nie potrzebuję jakiejś pomocy, ale powstrzymałem go przed zadawaniem dalszych pytań. Gdybym był gejem, poprosiłbym, żeby swoimi wypielęgnowanymi dłońmi rozmasował mi mięśnie nogi, ale skoro nim nie byłem, to na co innego mógł się właściwie przydać?

- Nie ma co się rozczulać, do roboty - stwierdziłem beznamiętnym tonem.

Ledwo zabrałem się z powrotem za te nieszczęsne kartony, pojawili się goście. Rozpoznaliśmy ich od razu - nieczęsto się zdarza widzieć chińskiego chłopaczka poruszającego się z manierą Herr Flicka z „'Allo, 'Allo”.

- Witamy. - Ukłoniłem się nisko, kiedy tylko przekroczyli próg.

- Dzień dobry. - Brat pana Jakamoto uśmiechnął się przyjaźnie.

- Bardzo nam przykro, ale pan Jakamoto musiał dzisiaj wcześniej wyjść, zapowiedział jednak wasze przyjście i kazał się wami należyście zająć - powiedziałem niezwykle uprzejmym tonem.

- Cieszę się. Jestem Lien Jakamoto, a to Lim, mój synek - dopełnił formalności.

Wówczas uświadomiłem sobie, że scena ta przybrała groteskowy wymiar - gadałem jak jakiś popaprany lokaj z czasów wiktoriańskiej

Anglii. Postanowiłem rozładować w pewnym sensie napiętą, bo nadzbyt sformalizowaną atmosferę.

- Pan Jakamoto powiedział, że jego brat wygląda tak jak on i wiele się nie pomylił!

- Tak mówią, chociaż kobiety twierdzą, że ja jestem ten przystojniejszy. - Zaśmiał się głośno.

No nie, próbuje być dowcipny! Regułą było, że bracia stanowili swoje przeciwieństwa. Kto wie, może na tle mojego wiecznie zestresowanego szefa, jego brat miał się okazać człowiekiem wyluzowanym i niepozabawionym poczucia humoru.

- Tyle tylko, że szczerze mówiąc, jakby w tym sklepie pojawiło się jeszcze dziesięciu Chińczyków w przedziale wiekowym: trzydzieści - pięćdziesiąt, to ja bym się pogubił. Nie dostrzegłbym różnicy...

Tym razem popatrzył na mnie w dziwny sposób - taki, że niemal natychmiast pożałowałem swojej uwagi. Czuję, że muszę się jakoś usprawiedliwić, odkręcić ten komentarz.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale... Taka głupia uwaga generalna. Przecież, dajmy na to, taki Lim, on da się odróżnić od innych. No, znaczy...

Gafa za gafą. Urwałem znowu, czerwieniąc się, a tymczasem Marcin bezradnie schował twarz w dłoniach.

- Dobrze.... - Westchnął ciężko Jakamoto, dyplomatycznie zmierzając do ucięcia mojego chaotycznego monologu.

- Taki ładny chłopak! - Tę uwagę rzuciłem dość desperacko, bo na dobrą sprawę wyglądało to tak, jakbym najpierw cisnął w kogoś kamieniem, a potem poczęstował tę samą osobę zakalcem w ramach przeprosin.

Mimo całej tej niezręcznej sytuacji, rosła we mnie potrzeba dowiedzenia się, w jakich to dokładnie okolicznościach chłopak stracił nogę. Biorąc jednak pod uwagę niewłaściwy odbiór moich wcześniejszych uwag, tym razem postanowiłem być ostrożniejszy.

- Czegoś szukamy konkretnie? - spytał przytomnie Marcin, przezywając kłopotliwe milczenie.

- Jesteśmy otwarci na sugestie - odpowiedział Lien Jakamoto.

- Może gry planszowe? - wtrąciłem. - Chińczyk? Warcaby?

- To, że Lim ma ograniczenia ruchowe, nie znaczy wcale, że jedyne, co może robić, to siedzieć na kanapie i przesuwac pionki. - Jakamoto patrzył na mnie z coraz większą irytacją.

- Przepraszam. - Uderzyłem się w pierś. - Słusznie, słusznie! Trzeba uprawiać sporty! Może piłkę do nogi?

Pomyślałem o swojej nodze. Wciąż bolała - wiedziałem, że tak szybko nie przejdzie. A co, jeśli będę potrzebował porady lekarza? W końcu chcąc oszczędzić sobie administracyjnych przepychanek w przychodni, nie zadałem sobie trudu rejestracji i nie miałem swojego GP, czyli angielskiego lekarza pierwszego kontaktu, specjalisty od zapisywania w niemal każdym przypadku ogólnie dostępnego paracetamolu.

- Już mam, nie gram jednak zbyt często - odezwał się mały Lim.

Trudno się dziwić - pomyślałem. Swoją drogą byłby z tego świetny scenariusz: chiński piłkarz ze sztuczną nogą robi karierę w lidze angielskiej, pokonując bariery nietolerancji i niezrozumienia. Oscarów by nie było, bo Amerykanie nie lubią piłki nożnej, ale z pewnością „Guardiany” i inne „Wyborcze” miałyby o czym pisać.

- Dobrze, a co lubisz jeszcze robić? - spytałem. - Mamy fajne materace w kształcie krokodyli do pływania, ale nie sądzę, żebyś był zainteresowany...

- Ja lubię pływać - stwierdził ochoczo dzieciak.

- Tak? - Nie kryłem zdziwienia.

Przez głowę przechodziły mi różne chore myśli. Nie, nie mogłem się pohamować...

- A tak z ciekawości, ta twoja sztuczna noga, ona, jak sądzę, ma jakiś mechanizm elektroniczny, prawda? To co, zdejmujesz ją do pływania, czy jest to mechanizm wodoszczelny?

- Nie rozumiem. - Lim patrzył na mnie mocno zdezorientowany.

- Nieważne. - Machnąłem ręką. - Takie tam... bzdury.

- Lim lubi też samochody, tory wyścigowe... Gdzie coś takiego znajdziemy? Sporo się tu zmieniło od czasu naszej ostatniej wizyty. - Lien Jakamoto najwyraźniej tracił cierpliwość.

- Świetnie, ja też to lubiłem, jak byłem w jego wieku. Chodźmy, pokażemy wam, co mamy w naszym dziale z samochodami.

Gestem dłoni udzieliłem małemu pierwszeństwa, zanim nie zorientowałem się, że to ja przecież mam być przewodnikiem. Poszedłem więc pierwszy, lekko kuśtykając, bo każdy krok przynosił mi nieprzyjemny ucisk w okolicy uda. - Miałem tylko nadzieję, że nic się podczas upadku nie połamało ani nie zwichnęło i w ciągu dnia, może kilku, wrócę do pełnej sprawności.

- Co robisz? Co robisz? - Usłyszałem nagle histeryczny krzyk Lieny Jakamoto.

O co mu mogło chodzić i do kogo się zwracał? Stałem niczym wbity w podłogę, obróciłem się na pięcie i spojrzałem na nich kolejno - lekko podekscytowany Lim, Marcin z twarzą ponownie ukrytą w dłoniach i wreszcie gniewne oblicze starego.

- O co panu chodzi? - spytałem, rozkładając ręce.

- Ty bezczelny psie, jak śmiesz parodiować mojego syna? Jak możesz nabijać się z dzielnego chłopca, przedrzeźniając jego sposób chodzenia? Myślisz, że jesteś zabawny? To żałosne! Powiem o wszystkim bratu! To skandal!

- Nie, nie! - machałem rękami gwałtownie zaprzeczając - to nie jest tak! Zanim przyszlście, spadłem ze schodów i nabawiłem się kontuzji. Naprawdę, proszę mi uwierzyć! Marcin, powiedz, że mówię prawdę!

- Lim, idziemy stąd - rozkazał Jakamoto, ciągnąc chłopca za rękę.

Ten nie śmiał się sprzeciwić, rozczarowany opuścił tylko wzrok.

- Mamy puzzle z bohaterami „Piratów z Karaibów” po obniżonej cenie... - rzuciłem desperacko.

- Idziemy stąd! - powtórzył Jakamoto.

Do końca próbowałem ich zatrzymać, wytłumaczyć całe to absurdalne nieporozumienie, ale kuśtykając za nimi, tylko jeszcze bardziej go rozeźliłem. Był tak wściekły, że gdyby miał w ręku pałeczki, z pewnością wbiłby mi je bezlitośnie w dziurki od nosa.

\*

- To niedopuszczalne, zupełny brak manier i bezczelność, której nigdy bym się po tobie nie spodziewał - beształ mnie następnego dnia pan Jakamoto. - Mój brat był zde gustowany twoją postawą, a mały Lim, który na szczęście niewiele z tej awantury zrozumiał, był bardzo smutny, że nie mógł wybrać sobie zabawki.

- To przez pańskiego brata. ja bym go oprowadził po sklepie. - Rozłożyłem bezradnie ręce. - Miałem dobre intencje. Naprawdę...

- Wyrażałeś je, przedrzeźniając go? - syknął.

- Panie Jakamoto, proszę spytać Marcina, wcześniej potknąłem się o kartony na schodach. Potłukłem się trochę i dlatego lekko kulałem - broniłem się. - Do dziś zresztą...

- Tyle razy mówiłem, żebyś nie stawiał kartonów na schodach do magazynu, bo któremuś coś się stanie i ja pójde do więzienia albo nie wypłacę się z odszkodowaniami! Przecież Marcin przeprowadził trening z procedur bezpieczeństwa w sklepie, kiedy przyszedłeś, prawda?

Co miałem zrobić - powiedzieć mu, że nie było żadnego treningu, a te kartony to Marcin sam tam postawił? Nie teraz. Może później, kiedy Marcina nie będzie w pobliżu.

- A więc wierzy mi pan, czy nie? - spytałem z nadzieją w głosie.

Zamiast odpowiedzieć, pochylił się nad kartką i zaczął coś zawzięcie pisać. Po kilku minutach wręczył mi tę kartkę i ogłosił chłodnym, przejeżdżanym tonem:

- To pisemne wypowiedzenie. Został ci tutaj tydzień czasu. Lepiej zacznij się jak najszybciej rozglądać za czymś nowym.

Nie ukrywam, że szok był ogromny, choć miałem w sumie nadzieję, że to tylko zagrywka. Może skończy się na ostrzeżeniu? Może za chwilę obróci wszystko w żart, chcąc tylko napędzić mi strachu?

- Jak sądzę, jest jakaś szansa, że w ciągu tygodnia zmieni pan zdanie i będziemy mogli podrzeć owo wypowiedzenie...?

- Posłuchaj, jako człowiek honoru nie zmieniam tak łatwo zdania. Poza tym, jako człowiek z zasadami nie mógłbym pozwolić, żeby pracował dla mnie ktoś, kto wyśmiewa się z osób niepełnosprawnych, szczególnie gdy te należą do mojej rodziny. - Jakamoto postawił kropkę nad „i”, pozbawiając mnie złudzeń.

- Jeszcze jedno... - Wstydliwie spuściłem wzrok. - Zgoda, odejdę...

- Nie masz specjalnie innego wyjścia. - Zaśmiał się nerwowo.

- Mogę pana poprosić o napisanie rekomendacji? Będę jej potrzebował, bez referencji ciężko w Londynie znaleźć dobrą pracę.

- Niech pomyślę...

Najwyraźniej był poruszony moim zuchwalstwem.

- Co bym tam mógł napisać? O rozdawaniu za darmo produktów przeznaczonych na sprzedaż? O naśmiewaniu się z mojego bratanka? O tym, że wspomniałeś panu Hasse, mojemu bogatemu niemieckiemu klientowi, o dziele jakiegoś wariata, który wybudował z klocków lego obóz koncentracyjny? O próbie sprzedaży pistoletu zabawki dziewczynce, która powiedziała, że nie lubi swoich rodziców? Mam dalej wymieniać?

\*

- Wyrzucili cię ze sklepu z zabawkami? - Alex zdawał się nie do wierzać. - Zdażyłeś chociaż zapytać o ten chiński specjał ziołowy dla mnie?

- Nie, zapomniałem o tym zupełnie. Poza tym wiesz, to byłoby niestosowne, pan Jakamoto jest człowiekiem przewrażliwionym, jak sam widzisz... O co jeszcze go niby miałem zapytać? Gdzie w Londynie

można zjeść dobre jedzenie bez obawy, że kurczak okaże się kotem?

- Ja chyba oszaleję z nerwów, poradź mi, co mam zrobić. Znowu nie odebrała telefonu! - zmienił nagle temat.

- Chwileczkę - przypomniałem ostrym tonem - skoro już mówimy o problemach, to ja chyba mam większy! Człowieku, ja nie mam pracy ani oszczędności! I to jest fakt, a wszystko, co dotyczy twojej narzeczonej jest zasaną spekulacją!

- Ja z tą dziewczyną jestem już tyle lat, a praca leży w Londynie na ulicy - odparł sucho. - Widzisz różnicę?

- Leżała, zanim nie zjechało się polactwo - odpowiedziałem polemicznie. - Poza tym tu masz dziewczyn od cholery, więc nie tnij się, że ją tracisz. Jezioro pełne jest ryb, wystarczy tylko zarzucić sieci.

- Tomek! - Złapał mnie za koszulę. - Myślisz, że ją tracę? Naprawdę tak myślisz?

Co mnie to wszystko obchodziło? Znowu byłem bezrobotny, a autokarów z Polski wciąż przybywało.

\*

Pierwszego dnia na bezrobociu, sfrustrowany włóczyłem się przez trzy godziny po West Endzie, bezproduktywnie rozmyślając o mojej sytuacji i grzebiąc wśród płyt, aby potem udać się z powrotem do domu. Kiedy już zamierzałem otworzyć drzwi wejściowe, usłyszałem cieniutki, jakby zabarwiony smutkiem głosik mówiący:

- Cześć.

Dostrzegłem uroczą córeczkę sąsiadki Brendy, trzymającą w dłoniach lalkę i wpatrującą się we mnie intensywnie.

- Cześć - odpowiedziałem, uśmiechając się do niej przyjaźnie.

- Judy jest niegrzeczna - skarżyła się najwyraźniej na lalkę.

- Jak to? - spytałem zdziwiony, zastanawiając się, czy mała nie ma przypadkiem jakichś omamów.

- Prosiłam, żeby czekała na mnie, jak pójde zrobić kupkę, a ona... ona się przede mną schowała - wyjaśniła.

Biedna dziewczynka, położyła pewnie lalkę w jakimś miejscu i nie mogąc jej znaleźć, wyobraziła sobie, że ta przemieściła się gdzieś sama. Zupełnie jak w tej serii o Chuckym... A może w ogródku Brendy rosły magie mushrooms i mała przez przypadek ich skosztowała, a teraz wygaduje brednie.

- Oj, to straszne - odparłem ze współczującą ironią. - Musisz ją więc solidnie ukarać.

- Co? - spytała lekko zaskoczona.

- Zbij ją - poleciłem poważnym tonem. - Daj jej klapsa, to następnym razem już tego nie zrobi.

Mała dzieliła lalkę w głowę. Ciekawe czemu akurat w głowę? Klaps w głowę - przecież to nie miało sensu. Zupełnie jak policzek w nogę. A może... Może znaczyło to, że sama jest bita w taki właśnie sposób i był to pierwotny patologiczny instykt? Trudno byłoby zobaczyć na jej czarnej głowie ślady pobicia, chyba, że jakieś guzy. Gdybym tylko nabrał chociaż połowicznej pewności, mógłbym zadzwonić na policję, oczywiście jako anonimowy informator, żeby przysporzyć Brendzie kłopotów.

- Bardzo dobrze - odezwałem się do małej. - Daj jej nauczkę. Co to jest, że ty poszłaś zrobić kupkę, a ona się chowa! Przyłóż jej jeszcze.

Chyba trochę przesadziłem z tym podjudzaniem, bo dziecko wzięło nagle lalkę za nogi i zaczęło walić nią o mur domu.

- Niedobra, niedobra - krzyczała z zawzięciem dziewczynka, dopóki jedno z uderzeń nie rozłupało głowy lalki.

W tym momencie nastąpiła chwila powrotu do rzeczywistości, i towarzyszący temu wybuch płaczu.

- Przepraszam, nie chciałam cię skrzywdzić. - Szlochała, litując się nad plastikiem, a z czasem płacz przeszedł w paniczny wrzask.

W mieszkaniu zapaliło się światło. O mój Boże, to Brenda! Zaraz wyjdzie na zewnątrz i zacznie się szukanie winnego. Czym prędzej musiałem schować się w domu. Trzęsącą się dłonią przekręciłem klucz w zamku i... z uczuciem ulgi wszedłem do środka. Niepokój jednak pozostał - coś mi mówiło, że to nie koniec tej historii.

## Lalka

Pracę w Super Quality Foods polecił mi Adrian, którego poznałem niedawno podczas wspólnego oglądania meczu reprezentacji Polski. Zachwycał się relatywnie wysoką stawką i rzekomo panującą tam znakomitą atmosferą, chełpiąc się przy tym, że niby „The Times” zakwalifikował koncern do dwustu najlepszych w Anglii pod względem traktowania pracowników. Nie wiem, czy naprawdę było mu tam

aż tak dobrze, czy też ktoś wyprał mu mózg i wyuczył tej gadki na pamięć, żeby powtarzał ją jak męczącą mantrę, stając się żywą reklamą swojego pracodawcy.

W końcu, nie mając nic do stracenia, a czując coraz większą desperację, wypełniłem ankietę. Poprosiłem Adriana o jej sprawdzenie i ewentualną korektę - skutecznie, bo zaprosili mnie na rozmowę. Podczas niej odegrałem perfekcyjnie swoją rolę, popisując się dużą wiedzą na temat Super Quality Foods. Podałem te informacje w polewie obrzydliwie przesłodzonych pochlebstw i na tle swojej kłamliwie rozbudowanej historii pracowniczej w Londynie. Przesłuchująca potakiwała mechanicznie głową, jakby gimnastykowała kark, a na jej twarzy gościł uśmiech zadowolenia - był on tak bardzo autentyczny, że aż przerażający. Wyglądała na PRL-owską nauczycielkę, która z satysfakcją wyciąga od ucznia pean na cześć socjalizmu, a każdy jego kolejny argument za jedynym właściwym systemem przybliżają do ekstazy, i gdyby nie to, że znajduje się w miejscu publicznym, mogłaby jeszcze stracić nad sobą kontrolę.

Zgodnie z przewidywaniami zostałem zapytany, dlaczego, mając wyższe wykształcenie, porzuciłem karierę we własnym kraju, i czy zamierzam do tego w przyszłości wrócić. Powiedziałem, że nie czuję, żeby siedzenie w biurze godzinami i przeglądanie papierów było czymś dla mnie. Jako człowiek czynu, który kocha ludzi i jest zarazem wielkim pasjonatem jedzenia, od zawsze skrycie marzyłem o pracy w takim miejscu jak Super Quality Foods. Tymi bzdurami przekonałem ją do siebie w sposób ostateczny.

Miałem zacząć od nadchodzącego poniedziałku, w City, w okolicach Royal Court of Justice. Wyobraziłem sobie, że gdyby pracował ze mną Dominik, byłaby to niezła ironia losu - polski prawnik pracuje jako cateringowa obsługa angielskich prawników! W sumie wielka szkoda, że nie było go tutaj ze mną. Wiem, dobrze wiem, że powinienem szanować cudze wybory, ale trudno mi było pogodzić się z czymś, co najzwyczajniej w świecie nie pasowało do mojego obrazu rzeczywistości. Widzieć siebie w Londynie bez Dominika, to jakby oglądać „Miami Vice” z samym Crockettem; jakby słyszeć Garfunkla bez Simona; jakby widzieć polską reprezentację siatkarek bez Glinki; czy też wyobrazić sobie tylko jednego brata Kaczyńskiego na politycznej scenie.

Co do samej pracy, od początku miałem przeświadczenie, że robię błąd, pakując się ponownie w coś związanego z jedzeniem - zupełnie



jakby pakistańska lekcja niczego mnie nie nauczyła. Jednak ze skurczonym do czterystu funtów budżetem nie miałem specjalnie innego wyjścia.

\*

W sobotę poszedłem z Alekssem na zakupy na Oxford Street - bardziej dla towarzystwa niż z faktycznej potrzeby. Kiedy przechodziliśmy obok agencji zajmującej się sprzedażą biletów - StarTicket - zauważyłem na szybie plakat z informacją o koncercie Stinga w Royal Albert Hall, który miał się odbyć za kilka miesięcy. Wszedłem do środka, żeby zapytać o szczegóły. Okazało się, że impreza kosztuje pięćdziesiąt funtów. - Nie da się ukryć, że był to naprawdę olbrzymi wydatek, z drugiej jednak strony taka okazja mogła się szybko nie powtórzyć (kto wie, czy Sting nie umrze wkrótce z wyczerpania podczas sesji tantrycznego seksu), więc nie wahałem się długo. Dostałem rachunek z potwierdzeniem wpłaty, bilety bowiem nie były jeszcze wydrukowane - można je było odebrać w ciągu kilku następnych tygodni.

- Pójdiesz ze mną? - zachęcałem Aleksa.

- Nie, aż tak za nim nie przepadam - wykręcał się. - Tomek, lepiej byś w ubrania zainwestował... Stary, musisz się zacząć lepiej ubierać, jesteś w Londynie, a nie w jakimś Pcimiu.

- Tak myślisz? - Zmarszczyłem brwi. - Naprawdę źle wyglądam?

- Stary, część twoich ubrań nadaje się tylko do Oxfam czy Scope. Albo wygląda, jakby stamtąd pochodziła. - Wymienił organizacje charytatywne, które sprzedawały ofiarowaną im używaną odzież.

Kiedy wychodziliśmy ze StarTicket, tuż przed drzwiami natknęliśmy się na jednego z muzyków Keane (wokalista, nie pamiętam nazwiska, ten koleś, który przypominał hobbita). Prawdziwy szok - ależ byłem podekscytowany! Mówiono mi niejednokrotnie, że tak zwane celebrity spotting przynosi w Londynie dużo frajdy, ale nie miałem wcześniej okazji się o tym przekonać osobiście.

Pogratulowałem mu wspaniałego debiutu, prosząc Aleksa, żeby zrobił nam pamiątkowe zdjęcie. Trochę mnie irytowało, że głupi chłystek oprócz zwyczajnej uprzejmości okazywał też jakieś dziwne rozbawienie, ale pomyślałem wówczas, że jest jeszcze nieprzyzwyczajony do bycia rozpoznawanym na ulicy i takie niespodziewane zamieszanie wokół jego osoby może go jeszcze głupio ekscytować.

\*

- Znowu jedzenie - dzieliłem się z Alekssem swoimi frustracjami. - Dlaczego droga do właściwej kariery w Londynie prowadzi najpierw przez puby, kawiarenki, bary, sklepy z zabawkami?

- Jeszcze będziesz się kiedyś z tego śmiał - odparł pokrzepiająco. - Trzeba się z czegoś utrzymywać, zanim złapie się wiatr w żagle.

- A jeśli tak zostanie? - Przestraszyłem się nagle. - A co jeśli ta poczekalnia okaże się sypialnią i living roomem jednocześnie? A co, jeśli jedynym wyjściem z niej będzie powrót do Polski?

- Panikujesz. Jesteś w Londynie dopiero kilka miesięcy, trudno wymagać, żebyś przez ten czas osiągnął coś znaczącego, daj sobie trochę czasu. Naprawdę...

- Słuchaj, stary, a może ta propaganda o otwartym rynku pracy, o nieograniczonych szansach to jedna wielka ścierna. Może wzięli nas dlatego, że potrzebowali taniej siły roboczej? Może rację miała moja koleżanka Natalia, mówiąc, że nie mamy interesu w wejściu do Unii?

- Przesadzasz. - Lekceważąco machnął ręką. - To kwestia determinacji. Jeden tkwi po uszy w gównie, drugi idzie do przodu, pozostawiając resztę w tyle. Jeśli za pół roku ciągle będziesz robił kanapki i sprzątał ze stołów, to możesz się zacząć martwić. Póki co jednak, musisz trochę wyluzować i uzbroić się w cierpliwość.

Spojrzałem na niego z wdzięcznością. Czasami, kiedy nie mówił na temat narzeczonej, wydawało się, że ma naprawdę głowę na karku.

\*

Dzwonek do drzwi. Kto to mógł być do cholery? - zastanawiałem się, pociągając za klamkę.

- Co ty kazałeś zrobić mojej córce? - Sąsiadka Brenda wyciągnęła w moim kierunku palec wskazujący w oskarżycielskim geście.

- Nie wiem, o co ci chodzi? Czy tylko ja mieszkam w tym domu? Jej wizyta stanowiła urzeczywistnienie moich wcześniejszych przy puszczeń.

- Rosalla powiedziała wyraźnie: „to ten wysoki pan w okularach”! Utkwiła we mnie spojrzenie z całą jego nienawistną intensywnością.

- Co ja takiego zrobiłem? O co ci chodzi? - Próbowałem się zasłaniać niewiedzą.

- Powiedziałeś jej, żeby ukarała lalkę. Nie życzę sobie, żeby obcy zaczepiali moją córeczkę i uczyli ją złych rzeczy, rozumiesz? To niedopuszczalne! - wrzeszczała histerycznie.

Jej tupet wyprowadził mnie z równowagi. Musiałem być bardziej stanowczy, pokazać jej, że nie ma prawa mnie tak nachodzić i bezkarnie atakować.

- Nie jestem obcy, jestem sąsiadem - wycedziłem przez zęby. - A poza tym powiedziałem, żeby dała jej klapsa, a córka poszła trochę w inną stronę. Skąd ona się tej przemocy nauczyła - na pewno nie ode mnie... Może z telewizji? A może z domu?

- Co ty mówisz? Nie bądź bezczelny! Rosalla nie może do siebie dojść po utracie lalki!

- To straszne - odrzekłem z sarkazmem, rozbawiony tym wyolbrzymieniem problemu. - Trzeba było pozbierać resztki i je posklejać, albo kupić nową lalkę i dokonać przeszczepu głowy.

- Wiesz co, to jest myśl, kupisz jej nową lalkę i jesteśmy kwita. Co powiesz na to?

- Zwariowałaś kobieto! - Złapałem się za głowę. - To ja oszczędzam na jedzeniu, kupując zupki w proszku w Lidlu, a mam szastać pieniędzmi na jakieś głupie zabawki, i to zupełnie bez powodu?

- Nie bez powodu, to w końcu przez ciebie jest nieszczęśliwa. Zrobisz wszystko, żeby naprawić swój błąd albo będziesz miał ze mną do czynienia, rozumiesz?

- Oj, strasznie się boję. - Parsknąłem śmiechem. - Co zrobisz? Zjesz mnie?

- Nie igraj ze mną, śmierdzielu! - wrzasnęła. - Masz kilka dni na załatwienie tej sprawy. I nie mam zamiaru się powtarzać.

Po tych słowach odwróciła się i odeszła w kierunku furtki, a ja demonstracyjnie trzasnąłem drzwiami. Wiedziałem jednak, że tak łatwo się jej nie pozbędę.

## Grecka Helena

Moje scenopisarskie ambicje nie były nigdy zagrożone tak zwaną śmiercią naturalną. Kolejne rodzące się spontanicznie koncepcje nie

dawały mi spokoju, ukryte autorskie zapędy domagały się jakiegoś konkretnego działania. W końcu zmęczony swego rodzaju wyrzutami sumienia, postanowiłem zrobić coś w tym kierunku i zamieściłem ogłoszenie w internecie, w którym poinformowałem, że poszukuję *native speaker* do współ pisania scenariusza serialu komediowego.

Odpowiedzi przyszło kilka, między innymi od jakiegoś kolesia z Wrocławia, jak się opisał - fanatycznego amatora kina oraz Turczynki, która pytała, czy nie mógłbym w e-mailu załączyć jpg-ów z moją osobą. Jedyną sensowną propozycją, ale raczej w związku z tym, że „na bezrybiu i rak ryba” niż dlatego, żeby była szczególnie przekonująca, wydawała się odpowiedź Heleny, Greczynki, która od trzydziestu lat mieszkała w Londynie. Od trzydziestu lat w Londynie. Dlaczego nie napisała po prostu „od urodzenia”? Chyba nie ma czterdziestu czy pięćdziesięciu lat, do cholery? Ale chyba nie, skoro napisała, że studiuje film, nie mogła być tak stara. Z drugiej strony, teraz przecież była moda na studiowanie, każdy garnął się do studiowania, a w takim mieście było to niejako koniecznością. Z dyplomem z macierzystego kraju nie znaczyło się nic, mimo że przecież ten dyplom z Gdańska czy Krakowa uzyskany był nieraz kosztem wielkiego trudu i poświęcenia, podczas gdy tutaj, gdzie płaciło się gigantyczne stawki za edukację, kwestia odhaczania kolejnych egzaminów wydawała się marginalna. Każdy musiał zdać, skoro płacił - jedna z tych rzeczy, która przyszła z Zachodu do Polski, a była niekoniecznie dobra. Oczywiście antyglobaliści obowiązkowo dorzuciliby do tej listy Coca Colę i McDonalda, przerzucając jednocześnie na swoich odtwarzaczach mp3 kolejne utwory Rage Against The Machine...

Na temat studiów w Londynie słyszałem opowieści tego rodzaju: przychodzi jakiś pan edukator, wszyscy się przedstawiają, a potem on wyjaśnia na przykład przez następne dziesięć godzin, dlaczego prawo jest związane z biznesem. I żeby było jasne - nie, on nie tłumaczy, na czym polegają te związki dokładnie, on leje wodę, co piętnaście minut upewniając się, że wszyscy, nawet ci, którzy mają problem z przedstawieniem się w języku angielskim, w miarę go rozumieją. Najgłębszą myślą tych dziesięciu godzin rozważań staje się więc refleksja, że prawo reguluje umowy, które są podstawową formą stosunków biznesowych.

Ale wracając do Heleny, umówiliśmy się w którąś z niedziel. Na dwie godziny przed spotkaniem zadzwoniła do mnie, informując, że nie przyjedzie, bo strasznie boli ją głowa. Nie, na tym nie poprzestała

- normalnie, jak człowieka boli głowa, to jest bardzo lapidarny, ale ona zupełnie odwrotnie - w trzy minuty przedstawiła mi historię swoich chorób i podejrzeń, jakie wiązały się z jej obecnym stanem. Nie wiedziałem, czy stara się przesadnie uwiarygodnić przyczynę odwołania spotkania, czy też, co byłoby jeszcze gorsze, trafiłem na kopię swojej ciotki, która nawet w momencie kiedy jej mąż leżał na łożu śmierci, nie przestawała uskarżać się na swoje bóle w krzyżu i suchość w gardle.

Kilka dni później jednak się zobaczyliśmy. Umówiliśmy się w McDonalddie. Okazało się, że ma nieco ponad czterdziestkę na karku i silny grecki akcent. Trudno było zdecydować, który z tych przymiotów był bardziej irytujący. Po przedstawieniu się, złapała się nagle za czoło i zmrużyła oczy.

- Coś jest nie tak z moją głową, czuję to. Zapisałam się na prześwietlenie, ale teraz trzeba czekać tak długo. Te nieznośne, powracające bóle... Myślisz, że to jest... Nie, nie mówmy o tym. Przejdźmy do tematu naszego spotkania. Zobaczyłam twoje ogłoszenie i pomyślałam: to jest to! Pasjonat, człowiek, który chce coś osiągnąć. Jesteś publikowany? Wiesz, mój szwagier miał kiedyś podejrzenie guza mózgu...

Nie chciałem się na tym etapie przyznawać, że jedyne, co opublikowałem, to erotyczna powieść w odcinkach na jakimś płatnym portalu internetowym przeznaczonym dla cudzoziemców spragnionych kawałka polskiej dupy.

- Kilka propozycji jest obecnie rozpatrywanych w Polsce - odrzekłem. - Mam za sobą artykuły w polskiej prasie biznesowej, fachowe tematy...

Czułem, że się czerwienię, że zaraz zacznę bełkotać i pogubię się w swoich kłamstwach, ale ona z łatwością kupiła moje bajeczki.

- Świetnie, ja tak samo - odezwała się z entuzjazmem. - Jestem biologiem morskim i jak na razie jedyne, co opublikowałam, to artykuły na temat fauny i flory w greckich i międzynarodowych periodykach. Ale teraz pracuję nad dokumentem dla telewizji STV jako zbieracz materiałów. Wiesz, nawiązałam ostatnio przy tej okazji parę wartościowych znajomości, gdyby nam się udało stworzyć dobry scenariusz, kto wie, może znalazłby się ktoś, kto mógłby nam pomóc.

- Mam rozumieć, że trzymasz nogę w drzwiach branży... To chcesz powiedzieć?

Biolog morski, cholera jasna. Jak mam pisać komedię z kimś, kto zajmuje się ikłą łososia i kondycją fok na obrzeżach Antarktyki. Już na wstępie poczułem się rozczarowany jej osobą. Nie wierzyłem, żeby tego rodzaju postać miała w sobie jakikolwiek potencjał do rozbawienia kogokolwiek. I po co komuś takiemu drugi fakultet - filmowy, chyba tylko po to, żeby tworzyć nudne dokumenty na temat wędrówek ławic?

- Nogę w drzwiach? Za dużo powiedziane, ale robię co mogę, żeby poznawać wartościowych ludzi.

Powtarzała się. Nie należy ufać ludziom, którzy się powtarzają - znaczy to, że albo nie mają nic do powiedzenia, albo chcą nami manipulować.

- Świetnie... - bąknąłem nieprzekonująco.

- Tylko to zdrowie... Słuchaj - ożywiła się nagle - dlaczego właściwie siedzimy w McDonalddie? Myślałam, że tu się umawiamy, bo łatwo to miejsce odnaleźć, ale sądziłam, że potem pójdziemy do jakiejś normalnej restauracji lub kawiarni. Niedobrze się tu czuję.

- Masz coś przeciwko spotykaniu się w McDonalddie? - Westchnąłem ciężko. - Miejsce jak każde inne...

- Chodźmy stąd - nalegała.

- No dobrze, niech ci będzie. - Podniosłem się zrezygnowany. - Poczekaj, tylko skorzystam z toalety.

Skierowałem się w stronę ubikacji. Przed drzwiami stał żółty znak: Caution, wet floor, a kilka kroków dalej jakaś Chinka zawzięcie mopowała podłogę.

- Proszę teraz nie wchodzić! - Zerwała się, wyciągając przed siebie rękę i próbując mnie powstrzymać.

- A kiedy mam wejść? Kiedy mi się odechce? - Spojrzałem na nią surowo. - Czy myślisz, że mogę kontrolować mocz do woli, a pęcherz to jest piłka gąbczasta?

- Proszę się nie denerwować, zaraz skończę.

- A ja zaraz zacznę, a wtedy zapewniam cię, że będziesz miała więcej pracy!

- Tak właściwie, to mimo że latam z góry na dół od godziny, nie widziałam, żeby pan coś tutaj jadł. Przypominam, że toalety są tylko dla klientów... - powiedziała niespodziewanie.

- No nie, tyle lat chodzę do McDonalddów, a pierwszy raz coś takiego słyszę. Może w twoim ojczystym kraju McDonalddy, jeśli w ogóle tam są, mają tabliczkę Only for customers, oczywiście nie dokładnie taką, tylko odpowiednik w tych waszych dziwnych znakach, ale w Europie i Stanach przyjęło się, że używanie toalety nie podlega

restrykcji, rozumiesz? - ripostowałem ostro. - Długo jesteś w Europie?

- Nie musisz mnie zaraz obrażać. - Ona również podniosła głos. - Toalety są dla klientów i tego nie trzeba pisać, to wydaje się oczywiste, przynajmniej dla tych, którzy na Zachodzie się urodzili, jak ja na przykład.

- Pijesz do mojego akcentu, co? - Zaskoczyła mnie jej zuchwałość. - Dobrze, teraz, skoro już jesteśmy kwita, wpuść mnie i zapomnijmy o całej sprawie.

- Tylko dla klientów. - Była nieprzejednana.

- A co muszę zrobić, żeby stać się klientem? Zaraz, zaraz... Przecież tak naprawdę klientem staję się przez sam fakt wejścia na teren restauracji. Faktycznym, jeśli coś kupuję, potencjalnym, jeśli zamierzam. A jeśli zamierzam, to muszę być najpierw pusty, żeby czuć się swobodnie, zanim coś zamówię, nieprawdaż?

- Proszę się nie poniżać - odpowiedziała oschle.

Machnąłem tylko ręką, po czym odwróciłem się zrezygnowany i wróciłem do Heleny. Opowiedziałem jej w kilku słowach o tym, co się stało.

- Pokłóciłeś się z personelem McDonalda? - Spojrzała na mnie z dezaprobatą. - Niech zgadnę, posprzeczaliście się o to, czy podatek liniowy byłby zbawienny dla brytyjskiej ekonomii?

- Możesz sobie wyobrazić, że ona mnie nie chce wpuścić do toalety? Mówi, że toalety są tylko dla klientów... - Nie byłem w stanie ochłonać.

- To chyba oczywiste. - Wzruszyła ramionami Helena - Przynajmniej dla kogoś, kto urodził się na Zachodzie. Tak jak nie spożywa się obcego jedzenia na terenie danej restauracji, tak samo nie zostawia się odchodów, będących przecież formą tego, co zostało zjedzone wcześniej gdzie indziej.

Spojrzałem na Helenę z błyskiem w oku. Może jednak nie była taka beznadziejna? Przez chwilę poczułem magię naszych dawnych rozmów z Dominikiem.

- Dobrze, już dobrze - zdecydowałem się ustąpić. - Pójdę coś kupić.

Westchnęła ciężko, najwyraźniej zniecierpliwiona, tak jakby moje problemy były marginalne w porównaniu z jej hipochondrycznym, jak mniemałem, biadoleniem. Skierowaliśmy się w stronę kas - postanowiłem zamówić colę. Prawie funt za colę z maszyny to trochę dużo,

ale nic innego nie przychodziło mi do głowy.

- Colę bez lodu - poprosiłem.

Sprzedawca skinął głową, skasował mnie i odwrócił się, żeby napełnić kubek napojem. Bałem się, że niejako machinalnie wsypie tam lód i zaleje colą, a wówczas ja, nie zważając na perspektywę bycia upierdliwym, będę musiał prosić go o ponowne przygotowanie, tym razem dokładnie tego, co zamówiłem. Szczęśliwie jednak nie popełnił błędu - zadowolony przejąłem kubek, podziękowałem i zapłaciłem.

- Co do tego naszego przyszłego projektu, to masz już jakąś szczególną wizję? - spytała nagle Helena.

- Nasza komedia - mówiłem, obdzierając słomkę z papierowego opakowania - mogłaby mieć bohatera nieudacznika i dziać się oczywiście w Londynie. Miałaby też odrobinę gorzki posmak.

- Chcesz to wzorować na swoim życiu? - Sprawiała wrażenie zaintrygowanej.

- No nie, bez lodu to jest, ale wypełnić mógł do końca! - Zdenierwowałem się, wkładając słomkę do kubka. - Poczekaj!

Podszedłem do chłopaka, który mnie uprzednio obsłużył, żeby zgłosić swoje zastrzeżenia.

- Przepraszam, że zawracam głowę - siliłem się na uprzejmość, choć wewnątrz targały mną niezdrowe emocje - ale wydaje mi się, że nie wypełniłeś do końca kubka.

- Prosiłeś bez lodu. - Przypomniał sobie trafnie.

- Tak, rzeczywiście - ale nie o to chodzi. Prosiłem bez lodu, ale nie mniej!- Szaleńczo gestykułowałem rękami.

- Te kilka centymetrów przeznaczonych jest na lód - wyjaśnił cierpliwie. - Skoro prosiłeś bez lodu, chyba oczywiste jest, że nie wypełnię kubka po brzeg, bo dostałbyś więcej niż inni. Ja postępuję tylko wedle standardów.

- Stosując twoją logikę postępowania, należałoby obniżyć cenę, bo jest to produkt niekompletny, pozbawiony lodu - naciskałem.

- Następny proszę! - krzyknął nagle, ignorując mnie.

- Jeszcze z tobą nie skończyłem! - warknąłem wściekle.

Ale on przyjmował już zamówienie od jakiejś grubej baby z gromadką krzykliwych dzieci. Nie było więc sensu dalej się dopominać o swoje prawa - wycofałem się zrezygnowany. Obiecałem sobie w duchu, że jeszcze wrócę do tego McDonalda i narozlewam w łazience na podłogę, żeby sprowadzić takich jak on na ziemię, uświadamiając im,



kim tak naprawdę tutaj są i ile znaczą. Chciałem opowiedzieć o wszystkim Helenie, ale ona patrzyła na mnie z taką dezaprobatą, że trudno mi było w ogóle zacząć.

- Nerwowo jakiś jesteś - odezwała się pierwsza. - Widziałam, jak...

- Ach, szkoda słów - Machnąłem ręką, przerywając jej.

Pociągnąłem łyk coli. Wtedy zauważyłem, że przygląda się nam Chinka, która wciąż jeszcze mopowała podłogę. Celowo podniosłem kubek coli i wzniosłem fałszywy toast, uśmiechając się do niej pogardliwie.

- Zobacz, teraz jestem waszym klientem!

Podąłem Helenie kubek do potrzymania i skierowałem się pewnym krokiem w stronę toalety. Chinka tym razem nie protestowała, tylko poirytowana kręciła głową, najwyraźniej zdumiona moim uporem. Idąc, zauważyłem nieoczekiwanie przy jednym ze stolików pana Jakamoto z żoną (pan Jakamoto wydawał się w moim życiu powracającym motywem, zupełnie jak Krzysztof Ibisz na Polsacie, Ilona Łepkowska w TVP albo bracia Gallagher w angielskich magazynach muzycznych). Pili kawę i jedli muffiny, rozmawiając o czymś głośno i z przejęciem. Miałem ochotę cofnąć się i zniknąć czym prędzej, zanim zostanę przez niego zauważony, ale zdawałem sobie sprawę, że rejterada byłaby wymarzoną prezentem dla Chinki - przekonałaby ją, że w końcu wyszło po jej myśli. Szybko więc wślizgnąłem się do środka, mając nadzieję, że dawny szef nie zwrócił na mnie uwagi.

Pisuary były wolne, ale kabina zajęta - typowe. Nigdy nie korzystam z pisuarów, po prostu mnie krępują. Pisuar jest niedyskretny i nieestetyczny, wręcz prymitywny w swojej wulgarnej konstrukcji. Wolałem zawsze poczekać, aż kabina się zwolni i będę panem sytuacji. Druga sprawa, że to oczekiwanie trwało nieraz naprawdę długie minuty - co chwila trafiał się jakiś namiętny masturbator, popieprzony narkoman, albo jeszcze gorzej, ktoś z biegunką, kto po prostu musiał swoje odsiedzieć.

Po wszystkim wyszedłem na zewnątrz, dyskretnie lustrując teren wokół. Niestety oni wciąż tam byli - zarówno Jakamoto z żoną, jak i chińska pracownica, zawzięcie mopująca podłogę. Ile można myć podłogę - czyżby tę dziewczynę męczyły natręctwa? Gdzie, do licha, podziała się Helena? Pewnie czekała na zewnątrz. Kiedy już miało być po wszystkim, kiedy miałem przemknąć niezauważony, jak na złość zostawiłem brudne ślady butów na podłodze.

Chinka spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakby była jakimś rzeźbiarzem, któremu właśnie świętokradczo zniszczyłem prawie ukończone arcydzieło, przekreślając tym samym pięć lat ciężkiej pracy.

- Bardzo przepraszam...

- No nie... - Wydawała się bliska płaczu.

Wówczas przypomniała mi się prośba Aleksa.

- Słuchaj, dam ci funta, jeśli poradzisz mi, gdzie mógłbym znaleźć chińskie zioła na nerwostany - zwróciłem się do niej.

Podaliśmy jej kartkę z nazwą, ale ona nawet na nią nie spojrzała.

- Poradź mi, proszę, sprawdzałem na Shaftsbury Avenue, w chińskiej dzielnicy, ale nikt o niczym takim nie słyszał. Gdzie jeszcze znajdę sklepy z tradycyjnymi chińskimi ziołami? Cenię waszą medycynę, jest w końcu oparta na wielowiekowej tradycji!

Odpowiedziała coś, najwyraźniej po chińsku, i choć nie zrozumiałem ani słowa, jej ostry ton kazał mi przypuszczać, że zakłęła. Pan Jakamoto, słysząc ojczysty język, obrócił się i utkwiał przesywające spojrzenie najpierw w niej, a potem przeniósł je na mnie. Dziewczyna rozpląkała się nieoczekiwanie, a potem, szlochając, wygłosiła po chińsku jakąś tyradę. Pan Jakamoto i jego żona byli jej słowami wyraźnie poruszeni, a ja stałem osłupiały i skonfundowany. Przystałem nadążać za rozwojem wydarzeń...

- Pan Jakamoto z małżonką! Witam. Jak się państwo miewacie? - W jednej chwili zdecydowałem się być teatralnie rozpromieniony.

Ukloniłem się, ale oczywiście w moim wykonaniu wyglądało to bardziej jak szydercza parodia niż zamierzony wyraz szacunku.

- Mogą państwo przetłumaczyć? Nie bardzo wiem, co w tą dziewczynę wstąpiło...

- Przyjechała tutaj studiować i prowadzić lepsze życie, a co chwila ktoś traktuje ją jak szmatę, którą można pomiatać - tłumaczył pan Jakamoto, nie spuszczać ze mnie surowego, karcącego wzroku. - Zastanawia się, po co ją pytasz o sklepy z chińskimi ziołami, i czy myślisz, że jej życie ogranicza się do chińskiej dzielnicy i zamkniętych społeczności. I po co ta funtowa oferta? Czy to, że zarabia tutaj około płacy minimalnej, znaczy, że za każdego dodatkowego funta gotowa jest zamienić się w **yellow pages**? To właśnie miała do przekazania, rozumiesz?

Suka, więc wcale się tutaj nie urodziła; wiedziałem, że ma coś do ukrycia przed Home Office. Wyrzuciłem z siebie wymuszone „przepraszam”, choć tak naprawdę nie czułem się wcale winny, a następnie,

wiedząc, że nic tu już nie zdziałam, co najwyżej tylko jeszcze bardziej się pograżę, oddaliłem się w stronę wyjścia. Tam czekała już zniecierpliwiona Helena, która mruczała coś pod nosem po grecku.

- Wybacz - uprzedziłem jej pytanie. - Jakiś palant zainstalował się w kabinie i musiałem trochę poczekać.

Zwróciła mi mój kubek - zauważyłem, że ubyłó trochę coli. Mimo-wolnie skrzywiłem się, co oczywiście nie uszło jej uwadze, bo lekko speszona powiedziała:

- Napiłam się, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

- Ależ skąd. - Mrugnąłem dobrotliwie okiem.

Kto pije z cudzego kubka, i to nie dość, że bez pozwolenia, to jeszcze przez tę samą słomkę? Mogła chociaż zadać sobie trud i wziąć dodatkową - tym bardziej że jest niby taka chorowita. Do tej pory brałem jej narzekania w zbawczy nawias hipochondni, ale w tej sytuacji moje fobie nakazywały znajdować w nich jakąś realną podstawę.

- Możesz wypić całość - zachęcałem ją. - Mnie przeszła już właściwie ochota.

- Jak to? - Spojrzała na mnie nieco podejrzliwie. - Jeszcze chwilę temu wyklócałeś się z obsługą o dwa centymetry coli, a teraz jesteś w stanie dać komuś wypełniony w połowie kubek?

- To dokąd idziemy? - zmieniłem gwałtownie temat. - Mam ci tyle do powiedzenia. Normalnie mam tyle pomysłów, że nie nadażam ich spisywać!

- Głowa mnie trochę boli. - Przez jej twarz przebiegł grymas bólu.

- Musimy znaleźć jakieś miejsce z wygodnymi fotelami.

- Możemy na chwilę wyskoczyć do centrum handlowego? Muszę kupić lalkę. - Przypomniało mi się, że miałem wciąż na głowie tę nie-szczęsną sprawę.

- Właściwie to ja powinnam już jechać - stwierdziła nieoczekiwa-nie. - Ty idź się rozglądać za zabawkami, a ja pojedę do domu i trochę wypocznę. Wiem, że Soho jest blisko, ale ja naprawdę muszę iść... Udanych zakupów.

Zaśmiała się na koniec szyderczo - dobrze wiedziałem, co też cho-dziło jej po głowie.

- Szkoda, bo chciałem iść z tobą potem do Pret A Manger. Mają tam dobrą kanapkę z tuńczykiem. Z tuńczykiem, który jest przyjazny delfinowi...

## Ojciec chrzestny

Wybraliśmy się z Alekssem do kafejki internetowej, chcąc zebrać informacje o sieci sklepów Music Box, do których wcześniej wysłałem podanie, zabezpieczając się w ten sposób na wypadek rozmowy kwalifikacyjnej. Alex tymczasem już od ponad tygodnia mówił coś o jakimś e-mailu od narzeczonej, którego wyczekiwał z drżeniem serca, bo miał on „wiele wyjaśnić” - miałem nadzieję, że wyjaśni tyle, że nie będę musiał słuchać dłużej biadolenia na jej temat, które stopniowo doprowadzało mnie do apopleksji.

Dziwne, ale wydawało mi się czasem, że osiemdziesiąt procent kafejek internetowych w Londynie prowadzone jest przez muzułmanów. Właściwie to niewiele się te kafejki od siebie różniły - tak wyglądem, jak klimatem. Ta znajdująca się w pobliżu naszego mieszkania nie była na tym tle żadnym wyjątkiem - obskurna, pełno tandetnego, naprędce zbitego drewna, poplątanych kabli i starych komputerów. Z reguły prowadzący miał włączone małe radyjko, które transmitowało islamskie modlitwy. Niestety, traf chciał, że tego dnia nie tylko radio było włączone, ale też prowadzący kafejkę medytował na rozłożonym koło swojego stanowiska dywaniku, zupełnie lekceważąc moją osobę i mój czas.

- I co teraz? - Szturchnąłem Aleksa łokciem. - Przecież on musi nas zalogować, a nam się nie chce czekać...

- Poczekajmy jeszcze trochę, może nas zauważy. - Mój przyjaciel był cierpliwy.

Staliśmy tak kolejne kilka minut, ale on wydawał się być w innym wymiarze. Chrząknąłem znacząco, ale nie nastąpiła żadna, nawet najdrobniejsza reakcja.

- Jak mu przerwę, to się obrazi, co? - Wciąż się wahałem.

- Albo cię przejedzie maczetą - odpowiedział śmiertelnie poważnym tonem Alex.

- Co mam zrobić? Przecież to jest absurd.

- Chodźmy na zewnątrz, poczekamy jeszcze trochę. Kurczę, boję się zajrzeć do skrzynki, normalnie ręce mi się trzęsą.

- Długie te ich modlitwy? - Skrzywiłem się.

- Skąd mogę wiedzieć? Pięć razy dziennie, więc nie sądzę, żeby były szczególnie długie. Kto potrafiłby się modlić pięć razy dziennie bardzo długo? Sądzę, że wówczas zamiast przybywać wiary, właściwie by jej ubywało... - skonstatował.

- Co ty tam wiesz, przecież nie jesteś religijny - wypomniałem mu. - Nie można cię ściągnąć z łóżka do kościoła nawet w niedzielne popołudnie. Ale dlaczego on to robi teraz, narażając biznes na straty?

- Tomek, dzisiaj będziemy wiedzieli już więcej...

Oczywiście miał na myśli swoją narzeczoną. „Będziemy” - najwyraźniej wbrew swojej woli stałem się uczestnikiem ich wzajemnej rozgrywki. Nie, nie mogłem tego dłużej wytrzymać - zebrałem w sobie odwagę i podszedłem do administratora kafejki.

- Przepraszam, nie chciałem przeszkadzać, ale mój czas jest ograniczony. Poproszę pół godziny.

- Nie widzisz, że się modlę? - W jego oczach błysnęły iskry gniewu.

- To co, mam czekać, jak rozumiem? Ile ci jeszcze zostało? - Byłem zażenowany jego tupetem.

- Właściwie to niedługo kończę - zaznaczył. - Nie musisz być zaraz taki chamski. Chyba wiesz, jak ważna jest dla muzułmanina modlitwa. Przynajmniej powinieneś wiedzieć...

- Nie tylko dla muzułmanina, dla każdego wierzącego człowieka - podkreśliłem. - Ale na modlitwę jest czas - albo praca, albo modlitwa, rozumiesz?

- Nie będziesz mnie pouczał - odrzekł zdenerwowany. - Idź do swojej synagogi i zostaw mnie w spokoju.

- Do synagogi? - powtórzyłem zdziwiony. - O co ci chodzi?

- Dobrze wiesz, o czym mówię - syknął. - Serce cię boli za każdego muzułmanina, któremu udało się rozkręcić biznes w Londynie. Myślisz zapewne, że to wy macie monopol na kręcenie biznesu.

- Słuchaj, nie jestem Żydem, ale nie w smak mi ta antysemitka tyrada, daj mi ten pierdolony numer i pozwól, że wesprę twój biznes jako regularny klient tej kafejki. Pół godziny, proszę.

Krzywiąc się, wręczył mi numer. Alex również kupił pół godziny. Siedliśmy do komputerów po dwóch stronach sali, żeby się wzajemnie nie rozpraszać rozmową. Niestety, mnie nie udało się załogować, bo za każdym razem kiedy wstukiwiałem kod, na ekranie wyświetlał się błąd. A więc to tak - administrator, mszcząc się, wręczył mi zapewne wadliwy kod! Wstałem i poszedłem do niego z pretensjami.

- Przecież zapłaciłem, nie musisz zaraz się odgrywać!
- Spojrzał na mnie lekko zaskoczony, a potem spytał chłodnym tonem:
- Który to komputer?
  - Trójka. - Wskazałem na niego.
  - Na samej górze monitora jest karteczka: „nie działa”. Mógłbyś użyć innego komputera? - mówił powoli, z wyraźną satysfakcją starając się mnie ośmieszyć.
- Wycofałem się i spróbowałem zalogować gdzie indziej, skutecznie niestety.

Miałem jeszcze coś do załatwienia, postanowiłem tego dzisiaj dopilnować i zakończyć całą tę sprawę.

Dziwne, ale pomyślałem o tej małej Rosalli, czy jak jej tam było, i zrobiło mi się ciepło na sercu, że sprawię dziecku trochę radości. Oczywiście nienawidziłem jej matki i sposobu, w jaki wywierała na mnie presję - ale z samą Brendą postanowiłem rozliczyć się nieco później, za pomocą laleczki wudu. Przycisnąłem dzwonek do drzwi. Wyszła stara. Na początku rzuciła mi pełne wrogości spojrzenie, ale widząc w moim ręku siatkę z wielkim pudłem, nieco opanowała swoje negatywne emocje, choć wciąż daleko było jej do wdzięczności. Traktowała mnie raczej jak posłańca, który przyniósł jej to, czego i tak się spodziewała, co się jej po prostu należało.

- Mam coś dla córki - zakomunikowałem, uśmiechając się nieznanie.

- A jednak. Ustąpiłeś... - powiedziała nie bez satysfakcji.

- Robię to dla niej, nie dla ciebie, żeby było jasne... Poszedłem i kupiłem tę lalkę, bo żal mi się zrobiło dzieciaka, ale twoje chamskie zachowanie nie ma żadnego usprawiedliwienia i nie odbieraj tego w żadnym wypadku jako swojego triumfu - odrzekłem ostro. - Nie pochlebiaj sobie.

- Nie obchodzą mnie twoje motywy. Daj mi tę przeklętą lalkę i obiecaj, że nie zbliżysz się już nigdy do mojej córki! Słyszysz?

- A czy ja się kiedykolwiek zbliżałem? - Rozłożyłem ręce.

W związku z tego rodzaju ostrzeżeniem, pomyślałem, że być może, paradoksalnie powinienem czuć się zadowolony, że jej oskarżenia nie poszły jeszcze dalej, przybierając najbardziej ohydny z możliwych kształtów. W tym momencie zauważyłem, że mała wygląda zaciiekawiona przez okno, więc pomachałem do niej przyjaźnie. Potem wyciągnąłem pudełko z lalką i wręczyłem Brendzie. Obejrzała je z

wierzchu, a potem otworzyła w tempie, w jakim w krajach Trzeciego Świata rzucają się na paczki z pomocą humanitarną. Wyjęła lalkę, ale próżno było wypatrywać u niej jakiegokolwiek entuzjazmu.

- Co to jest? Co to jest?!

- Co to jest? Jak to, co to jest? Lalka! - Nie wiedziałem, o co może jej tym razem chodzić.

- Rosa nie będzie się bawić białą lalką! To było oczywiste, że lalka ma być czarna, tak jak poprzednia! - odparła z furją.

- Chyba sobie żartujesz... - Nie dowierzałem temu, co słyszę, chociaż po Brendzie mogłem się spodziewać absolutnie wszystkiego.

- Nie ma mowy, zabieraj to. - Wcisnęła mi pudło z lalką z powrotem do ręki.

- Ależ to będzie takie politycznie poprawne. Czarna dziewczynka bawi się białą lalką!

- Wynoś się. Skąd się tacy podli ludzie biorą? Skąd ty tu przyjechałeś - z Polski, co? Po co otwieraliśmy te granice na Europę Wschodnią, po to żeby nas zalało niekulturalne gówno? - piekliła się.

- I kto to mówi! - Poczułem, jak z nerwów pulsują mi skronie. - Przynajmniej jestem na swoim kontynencie, w przeciwieństwie do ciebie!

Wiedziałem, że posunąłem się za daleko, ale nie potrafiłem w żaden sposób podarować jej zniewagi pod adresem narodu polskiego. Natalia byłaby ze mnie dumna.

\*

Jakby tego wszystkiego było mało, zupełnie niespodziewanie, najwyraźniej, żeby mnie dobić, moja matka przysłała mi SMS-a o treści: **To pilne, zadzwoń, proszę.** Nie, nie przeszkadzało mi te kilka funtów, które miało pójść za chwilę w błoto, denerwował mnie jej tupet. O co mogło właściwie chodzić - musiałem zatelefonować, żeby zaspokoić swoją ciekawość, chociaż dobrze wiedziałem, że nie będzie to nic dobrego.

- Mamo? Co się „znowu stało?

- Wujek Staszek...

- Jaki wujek Staszek? - Nie byłem w stanie sobie uzmysłowić, o kogo mogło jej chodzić.

- No, twój chrzestny, mój brat, nie wygłupiaj się.

- No dobrze, co z nim? - spytałem zniecierpliwiony.

- Właśnie nie jest dobrze. Źle z nim... Wątroba mu wysiada. Może nie dożyć następnego tygodnia. Chce z tobą rozmawiać... - Łkała przez telefon.

- Teraz? - spytałem skonfundowany.

- No zwariowałeś chyba. Przecież jest w szpitalu. Zamów bilet jak najszybciej! - Wydawała się w ogóle nie dopuszczać myśli o jakiejkolwiek polemice.

- Nie, nie wierzę własnym uszom! Chcesz mi wmówić, że umierający wujek nie ma innych zmartwień na głowie, niż chęć zamienienia kilku słów z chrześniakiem, którego widział może ze trzy razy w ciągu ostatnich dziesięciu lat? O co mu może chodzić? Bo chyba nie o testament, skoro nie ma nic do zostawienia oprócz roczników „Polityki”!

- On chce się z tobą zobaczyć, trzeba uszanować wolę umierającego. Chociaż to możesz zrobić, chyba tyle serca to masz, co? Może w tym Londynie do końca jednak nie schamiałeś?

- Powiedz prawdę - zwróciłem się do niej kpiąco - wspomniał mnie tylko dlatego, że... kto wie, wybacz... Może coś tam bredził w gorączce, a ty powiedziałaś: „Chcesz zobaczyć Tomka, Stasiu? Sprowadzę ci go. Nie ma problemu”. On oczywiście stanowczo by się temu pomysłowi sprzeciwił, gdyby był w pełni sił umysłowych, ale zapewne tylko coś odmruknął. Ty jednak wiesz lepiej - sprowadźmy Tomka, nie ma innego wyjścia!

- On umiera, rozumiesz? Być może to ostatnia szansa, żeby go zobaczyć, a ty masz jeszcze wątpliwości? - dramatyzowała.

- Nie, nie mam wątpliwości. Po prostu nie przyjeżdżam. Co to da, że przyjadę i zamienię z nim kilka słów? „Wujku, jak się czujesz, czy czegoś ci potrzeba?” Po co pleść banały, które i tak nie odwrócą biegu wydarzeń? Gdyby jeszcze miał jakiś majątek, to rozumiem... Ale dobrze wiem, o co ci tak naprawdę chodzi, chcesz mnie ściągnąć za wszelką cenę z Londynu - na tym ci zależy, nawet nie próbuj zaprzeczać.

- Ty nie masz serca - stwierdziła zrezygnowana. - Co ta Anglia z tobą zrobiła, mój Boże...

\*

do [ania.perucka2@wp.pl](mailto:ania.perucka2@wp.pl) od  
[tomasz\\_pl@yahoo.co.uk](mailto:tomasz_pl@yahoo.co.uk)

Aniu,

Zupełnie nie wiem, po co miałbym jechać i oglądać umierającego wujka, skoro już nic nie mogę dla niego zrobić, a sobie samemu tylko



zaszkodzę? Jeśli ja miałbym umierać w taki sam sposób jak on, to wolalbym, żeby zdrowi ludzie nie oglądali mnie w takim stanie. Po co mieliby tam być – chyba tylko po to, żeby chępcić się, czy też pocieszać swoją dobrą kondycją, zestawioną z moją wegetacją.

Nie, jeśli ma dojść do momentu, że nie będę już w stanie sam oddać moczu, to wolę już nie żyć.

Pozdrawiam ciepło,

Tomasz

## Orzełek w klapie emigranta

- Pojedziesz ze mną do kościoła? - spytałem zaspanego Aleksa. - No dalej, rusz dupę, już dziesiąta.

- Nie chcę - jęknął. - Po prostu nie mogę... Widzę potem te polskie pary i zaraz myślę o tej mojej.

- No nie. - Rozłożyłem beznadziejnie ręce. - Nie słyszałem jeszcze równie beznadziejnego wykrętu.

- Dobra, powiem wprost: nie przepadam za chodzeniem do kościoła - przyznał nagle. - Wydaje mi się, że Bóg słyszy moją modlitwę wszędzie, niezależnie od tego, gdzie się modlę. Nie potrzebuję robić tego ze wszystkimi i przy wszystkich, rozumiesz?

- Tu nie ma nic do wydawania się. Jezus zbudował Kościół jako instytucję, ustanowił kapłaństwo, więc nie ma co się buntować - odpowiedziałem ostrym tonem. - Tylko nie wyjeżdżaj mi zaraz z inkwizycją czy czarnymi kartami w historii Kościoła, to gadka pryszczatych licealistów. Same wypaczenia nie przekreślają istoty tego, o czym mówię, rozumiesz, Alex?

- Nie zamierzam z tobą dyskutować, ale do kościoła jedziesz sam - odrzekł obojętnie. - Poproś Kasię...

- Kasię? - Roześmiałem się głośno. - Czyżbyś zapomniał, że dla niej modlitwa zamyka się w aromacie świeczek i myślach o rozplynięciu się?

Jak zwykle nie miałem na niego co liczyć. Przekręciłem klucz w zamku i pociągnąłem nerwowo za klamkę, szykując się do wyjścia.

- Przecież przed chwilą zamknąłeś - przypomniał Alex.

- A ty nie sprawdzasz? No co w tym dziwnego? - zirytowało mnie, że wtrąca się nieproszony. - Lepiej się ubieraj i chodź ze mną do kościoła. No błagam cię, przestań pierdolić i chodź do kościoła.

- Nie jadłem jeszcze śniadanka... - Zastosował kolejny wybieg, przeciągając się przy tym wymownie.

- Co to, kurwa, jest z tymi zdrobnieniami? Śniadanko! To tak jakbyś traktował śniadanie, jak kobietę albo dziecko, czcił, celebrował, nosił na rękach... „Nie żarłem jeszcze”, „nie wrzuciłem sobie niczego w jelita”, to brzmi bardziej adekwatnie, a nie rozczulone: „nie jadłem śniadanka”.

Ostatnie stwierdzenie sparodiowałem.

- Niezdrowo rozpoczynać dzień bez jedzenia... Czasami mam wrażenie, że czepianie się jest twoim ulubionym zajęciem. Nie, nie mówię tu wcale o klamkach.

- Dobrze, już dobrze, skoro tak prosisz, to pomodłę się za ciebie. - Zrezygnowałem z dalszej perswazji.

Wyszedłem, machnąwszy na pożegnanie ręką w geście dezaprobaty. Każdy sam pracuje na swoje piekło.

\*

Po drodze sprawdziłem portfel. Dziesiątka, piątka, dwadzieścia pi, złotówka. Przecież nie dam piątki, bo za dużo, z kolei dwadzieścia pi za mało, złotówka na polskie warunki wystarczyłaby, ale tutaj była niestosowna, nie tylko jako środek płatniczy, ale także pod względem wartości nominalnej. Dam złotówkę. Albo nie... Muszę rozmiąć. Tylko gdzie rozmięję, w niedzielę o ósmej wszystkie sklepy pozamykane, nikogo znajomego pod ręką - że też tak późno sprawdziłem - cholera, jak będzie zbierał ksiądz, a nie ministrant, to najem się wstydu.

- Masz jakąś resztę? - Usłyszałem nagle głos dobiegający spod bankomatu.

Leżał tam jakiś zapijaczony parch z butelką taniego wina w ręku, przykryty olbrzymim śpiworem.

- Niespecjalnie. - Skrzywiłem się. - A ty... Słuchaj, masz może rozmiąć pięć funtów?

- Pięć funtów. Byłoby cudownie! - wykrzyknął rozentuzjasmowany.

- Nie, źle mnie zrozumiałeś, pytałem, czy masz rozmiąć. - Szybko sprowadziłem go na ziemię.

- Chcesz rozmienić? A ile ja mam sobie z tego zostawić? - Nie odpuszczał.

- Właściwie to myślałem, że wyraziłem się jasno... Spytałem, czy masz rozmienić, a nie wydać. Dam ci innym razem, okej? - Szukałem kompromisu.

- A co ja z tego będę miał teraz? - spytał oburzony. - Żarty sobie stroisz?

- Zrobisz dobry uczynek. Dziś w końcu niedziela. Tak jak ludzie robią dobre uczynki względem ciebie codziennie... Ty natomiast, wystarczy, że zrobisz w niedzielę.

- Coś za coś - oznajmił nieprzejednanym tonem.

- I kto to mówi? Dostajesz zarabiane przez kogoś pieniądze za nic, a śmiesz samemu żądać nagrody za pomoc, jakiej sam masz sposobność udzielić! Co za tupet!

- A ty co, nie masz u kogo innego rozmieniać pieniędzy? Spierdalaj.

- Zawsze mogłeś po prostu powiedzieć, że nie masz, że nie zdołałeś tyle wyżebrać. Po co to „spierdalaj”? Maniery obowiązują wszystkich, co nie?

- Spierdalaj - powtórzył.

- Spierdalaj? Sam spierdalaj. W końcu leżysz przy bankomacie, który jest własnością publiczną. - Wściekłem się jeszcze bardziej.

- To jest własność Royal Bank of Scotland i jeśli oni mnie stąd nie wyproszą, to ty możesz mnie pocałować w dupę.

Najwyraźniej ten śmierzdel rzucał mi rękawicę.

- Pierdol się, pijaku. - Postanowiłem ją podjąć.

- Spierdalaj. - Jego repertuar nie był szczególnie zróżnicowany.

- Obejdzie się bez twojej pomocy, zresztą i tak brzydziłbym się wziąć od ciebie pieniądze. Buuue, masz strupy na rękach... - Demonstracyjnie okazałem drgawki.

Zawahał się. Wyglądało na to, że rozważał, czy się podnieść, dopaść mnie i, co gorsze, skontaminować. W tej sytuacji nie pozostawiało mi nic innego, jak tylko ulotnić się pospiesznie.

\*

Niedzielną msza w polskim kościele na Islingtonie toczyła się swoim normalnym rytmem - całości przewodził anemiczny proboszcz wraz z jakimś bliżej mi nieznanym podstarzałym koncelebrantem. Niemrawy początek ożywiło kazanie księdza Waldemara, jak zwykle w jego przypadku świetnie dopracowane, dobrze poprowadzone i z

rewelacyjną puentą. Tym razem mówił o niemożności postawy kompromisowej w przypadku bycia chrześcijaninem i o zgubnej konsekwencji dostosowywania się do otaczającego świata.

Msza zaczęła się dłużyć niemiłosiernie pod koniec, kiedy to proboszcz przedstawił nieznanego mi starego księdza jako jednego z założycieli tej parafii, długo rozwodząc się nad jego zasługami dla polskiego Kościoła na terenie Anglii i Walii oraz dla polskiej emigracji w Londynie.

Dawny gospodarz, teraz gość, wcale nie zadał sobie trudu, żeby swoje osiągnięcia grzesznościowo umniejszać, a rewanżując się, poparł dramatycznym apelem prośby proboszcza o przestawianie się parafian ze zwykłych ofiar na tacę na tak zwany „gift aid”, z którego parafia mogła uzyskać jeszcze dwadzieścia kilka procent z tytułu zwrotu podatkowego. Nadmienił też, że tak jak obowiązkiem londyńskich imigrantów wojennych było wznieść ten kawałek polskości na obcej ziemi, tak obowiązkiem współczesnych pokoleń jest jego utrzymanie.

Niby to wszystko racja, ale strasznie ociekało patosem, szczególnie że na koniec było o niewysłowionym bólu starego polskiego imigranta, który z londyńskiej perspektywy musiał przyglądać się temu, co na przestrzeni dekad działo się z jego ukochaną Polską. Jakby tego wszystkiego było mało, ostatnią pieśnią, jaką zaintonował na wyjście, było *Boże coś Polskę*.

Po mszy widziałem, jak ów ksiądz wyszedł zza zakrystii, żeby trochę dumnym, trochę refleksyjnym spojrzeniem objąć wnętrze kościoła. Z czasem zgromadziło się wokół niego kilka starszych osób, które, sądząc po ich wyglądzie, pamiętać mogły nie tylko czasy wojennej imigracji, ale również i zabory.

Nie wiem, co mnie wówczas podkusiło, ale postanowiłem podejść, najpierw niby to przypadkiem, i podsłuchać, czego dotyczy ich rozmowa - choć oczywiście można się było tego łatwo domyślić.

- Tak, mnie też serce krwawiło, kiedy Stalin zrobił z kochanej ojczyzny sowieckie poletko - powiedział ksiądz, zwracając się do jakiejś starowinki.

- Proszę księdza - wtrąciłem się niespodziewanie, skupiając na sobie ich spojrzenia - to oczywiście było bolesne, ale mnie się wydaje, że znacznie gorsze wspomnienia mają ci, którzy w tej Polsce pozostali...

- Nie mierzmy bólu wspomnień! - W geście protestu pomachał dłonią, a ton jego głosu wskazywał na lekką irytację. - Dla ludzi takich jak ty, czerpiących z wolności, to wszystko jest tylko abstrakcją.

Ty nie możesz wiedzieć, co myśmy przeżywali.

Teraz to ja poczułem się dotknięty jego ripostą.

- Ja też mam swoją wrażliwość i wyobraźnię, nawet jeśli księdzu wydaje się, że cierpieć mogło tylko pokolenie wojenne... W końcu wychowywałem się w komunizmie.

- Wcale nie twierdzę, że cierpiało tylko nasze pokolenie - zaprzeczył. - Niemniej jednak, młody człowieku, nie wyobrażasz sobie, jak to jest być poza krajem, widzieć, jak ten kraj jest maltretowany i nie móc zrobić prawie nic...

Powtarzał się, wracał do punktu wyjścia, jakby koniecznie chciał mi rzucić tę samą cuchnącą rękawicę. Tymczasem inni przytakiwali mu pokornie, wpatrując się we mnie z lekceważeniem, tak jakbym ośmieszał się, w ogóle zabierając głos.

- Wiem, że ci ludzie zawsze myśleli i czuli po polsku. Może dlatego, że ciężko wam nauczyć się angielskiego. W zeszłym tygodniu widziałem nawet, jak ksiądz Waldemar powiedział do jakiejś staruszki Good morning, a ona na to „Na wieki wieków amen”. Ale w sumie, nie ma co ukrywać, nie było wam tu najgorzej, bo państwo angielskie otaczało was opieką. Churchill i jego następcy nie zapomnieli o zasługach polskich dywizjonów w bitwie o Anglię, a beneficjentami zostali wszyscy, którzy się tutaj schronili, twierdząc, że nie mają możliwości powrotu do Polski. - Zebrałem w sobie odwagę do wypowiedzenia swojego poglądu na sprawę.

- Mój brat zginął w bitwie o Anglię - oburzył się staruszek ze śmiesznie przystrzyżoną białą brodą, podpierający się laską, z małym orzełkiem i biało-czerwoną flagą wpiętymi w klapę marynarki. - Chcesz powiedzieć, że bogaciłem się na jego krwi? Ty wstrętny, podły szczeniaku! Na grób mojego brata, niech cię...

Ksiądz podniósł rękę, powstrzymując go przed rzuceniem przekleństwa.

- Widzisz, do czego doprowadziłeś? - Spojrzał na mnie surowym wzrokiem, a następnie przeciągnął na stronę. - Po co te głupie komentarze! Psujesz nam retrospekcję.

- Po co ta cała martyrologia? - Rozłożyłem ręce. - Trzeba było wrócić do kraju, skoro serce bolało za ojczyznę, a jak się nie miało odwagi, to po co teraz rozdzierać szaty i pleść androny o swojej niemocy?

- Ty nic nie rozumiesz, ty jesteś ignorant. - Ksiądz puknął się palcem w czoło. - Nie było do czego wracać, rozumiesz? Polski już nie było... Myślisz, że nam łatwo tu było żyć z tą świadomością?

- Jedno księdzu powiem: do programu „Wzruszyła mnie twoja historia” to się nie nadaje.

- A ty skąd się w ogóle wzięłeś? Wcześniej cię w naszym kościele nie widziałem. - Odezwał się znowu brat rzekomo poległego w bitwie o Anglię. - Masz jakieś takie semickie rysy twarzy...

- Panie Wacławie, proszę się powstrzymać... - upomniał go przytomnie ksiądz.

- Nie, nie, niech mi ksiądz nie przerywa, ja księdzu nie przerywałem! - obruszył się dziarski staruszek. - Zbuczyszczono właśnie pamięć mojego brata i skalano mój honor! Dla mojego pokolenia te trzy przenajświętsze rzeczy: Bóg, honor, ojczyzna, one nigdy nie mogły być... podważone!

- To ostatnie hasło realizuje pan na obczyźnie - rzuciłem zgryźliwie.

- Milcz! - warknął. - Zejdź mi z oczu, smarkaczu. Gdyby nie tacy jak ja, dzisiaj by cię tu nie było albo w najlepszym wypadku kryłbyś się w jakichś ruderach przed urzędnikami imigracyjnymi i zarabiał nędzne funty w tureckich knajpkach.

Zaśmiałem się, lista zasług seniorów zdawała się z każdą chwilą powiększać - proporcjonalnie do stopnia wrogości, jaką okazywali mi w spojrzeniach. Uświadomiłem sobie, że nie powinienem właściwie wdawać się w tę rozmowę, prowokować, wygłaszać swoich wątpliwości. Ile im zostało lat tej radości i dumy - czyż było fair z mojej strony przewracać ich świat do góry nogami, rewidować wszystko, w co tak głęboko wierzyli? Czy warto było to robić wyłącznie dla chwili satysfakcji? Oddaliłem się czym prędzej. Oczywiście bez pożegnania.

Może dla zrównoważenia powinienem zrobić jakiś dobry uczynek, tym bardziej że była przecież niedziela? Przypomniały mi się słowa Aleksa, który zachęcał mnie, żebym pozbył się części ubrań, zostawiając je w jakimś sklepie charytatywnym - jednym z takich, w których oprócz niekompletnych puzzli i porysowanych, niezdatnych do użytku płyt CD, można było właśnie ofiarować albo zakupić używaną odzież. Pomyślałem sobie, że właściwie nic by się nie stało, a wręcz wyszłoby mi na dobre, gdybym dokonał krytycznego przeglądu swojej garderoby.

\*

Tak się podпалиłem tą myślą, że jeszcze tego samego dnia przywiozłem do Oxfamu wypchaną reklamówkę z częścią swoich ubrań. Była

tam między innymi ortalionowa kurtka, która towarzyszyła mi ostatnie dziesięć lat mojego życia.

- Cudownie, mój drogi, bardzo dziękuję za ten podarunek, mam nadzieję, że będziemy w stanie sprzedać twoje ubrania. Jestem pewna, że jacyś biedni ludzie się nimi zainteresują.

Starsza pani rzuciła mi pełne wdzięczności spojrzenie. Dlaczego biedni - dlaczego to właśnie podkreśliła? Starsze panie są nieodłączną częścią tych sklepów, ze swoim ciepłym *dear* obowiązkowo w każdym zdaniu.

- Czy jest jeszcze coś? - Uśmiechała się do mnie przyjaźnie.

Westchnąłem, zbierając w sobie odwagę, a potem kaszlnąłem znacząco, dając pokaz tak zwanego kulturalnego zażenowania.

- Pragnę podkreślić, że jest dla mnie zaszczytem móc pomagać tym, którzy tej pomocy naprawdę potrzebują, a może, mówiąc dokładniej, przyczynić się do pomocy, która jest możliwa dzięki takim organizacjom jak Oxfam między innymi... - wydobyłem z siebie bezwstydną, bełkotliwą i nieszczerą patos.

- W czym mogę ci pomóc, młody człowieku? - zapytała skonfundowana.

- Tak sobie pomyślałem, proszę mi wybaczyć śmiałość, widziałem tu promo Stinga, *Stolen Car*... Tak się składa, że produkty promocyjne oznaczane są karteczkami, wedle których nie można ich sprzedawać, a tu mamy za półtora funta... Tak, wiem, wszyscy to robią, i nikt tego właściwie nie przestrzega, doskonale zdaję sobie z tego sprawę! Ale tak się zastanawiam... Gdybym, oczywiście, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, za ten dar ubrań, wartych miejmy nadzieję dobrych kilka funtów, wziął sobie jako tę przysłowiową ziemską nagrodę, ten singiel, to byłoby mi niezmiernie miło.

\*

Singla co prawda nie dostałem, ale nagroda spotkała mnie, jak mi się wydawało, dość szybko, bo wracając do domu, znalazłem portfel - leżał tuż przed naszą furką, na chodniku. Przejrzałem jego zawartość i znalazłem w środku trzydzieści kilka funtów! Niestety, zaraz potem zostałem brutalnie sprowadzony na ziemię. Odkryłem, że z jednej z przegródek wystaje zdjęcie jakiejś kobiety, którą po chwili wahania zidentyfikowałem jako Brendę. A może było to zrzącenie losu? Może wręcz jawiła się przede mną znakomita okazja, aby naprawić stosunki z nieszczęsną sąsiadką. A może po prostu podrzucił jej ten

portfel? Choć lepiej nie, bo znając moje szczęście, zauważy, jak to robię i potem jeszcze będzie mi stawiać jakieś absurdalne zarzuty.

Dzwonek do drzwi - wyszła. Najpierw rzuciła mi tradycyjnie niechętnie spojrzenie, a potem zapytała:

- Czego?

- Dzień dobry. Wracałem właśnie do domu i zauważyłem coś na chodniku. Tak się składa, że w środku było twoje zdjęcie. Zakładam więc, że zgubiłaś portfel. Ostatnio wiele złych rzeczy padło z naszych ust, ale chcę, żebyś wiedziała, że nie mam nic przeciwko tobie i jako na sąsiada, możesz na mnie zawsze liczyć.

- Tak się bałam, że straciłam go gdzieś na mieście. - Niemal wywrwała mi portfel z ręki. - Musiał mi wypaść, jak szukałam kluczy do domu.

Ciekawe, czy mi da znaleźć - zastanawiałem się. Czekać, czy ukłonić się i odejść w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku? Chrząknąłem tylko znacząco, licząc na właściwy tego odbiór. Ona tymczasem zaczęła sprawdzać zawartość portfela i im dłużej to robiła, tym większe niezadowolenie jawiło się na jej twarzy.

- Dziwne... Przysięgłabym, że miałam tutaj około pięćdziesięciu. Jeszcze pamiętam, jak brałam z bankomatu sześćdziesiąt, wydałam w Safewayu niecałe siedem, osiem... - kalkulowała głośno.

- Nie wiem, daję ci to, co znalazłem. - Wzruszyłem ramionami. - Muszę już iść.

- Na pewno nic ci nie wypadło? Nic...? Nie potraciłeś sobie znaleźć? - Spojrzała na mnie podejrzliwie.

W jej oczach pojawiło się znowu to „coś”, czego, przyznam, tak panicznie się bałam i czego zarazem tak nienawidziłem.

- Ależ skąd, prawdę mówiąc, liczyłem na to, że sama... no wiesz... - odpowiedziałem lekko zmieszany.

- Słuchaj, nie podoba mi się to wszystko i jakoś ci nie wierzę. Dlaczego akurat ty miałbyś znaleźć mój portfel? Kiedy wcześniej u was w domu mieszkała czarna rodzina, to jakoś nic mi nie ginęło. Teraz nie czuję się już tak bezpiecznie...

Siła prowokacji była ogromna. Poczulem, jakby najpierw spoliczkowano mnie, potem opluto, a na koniec jeszcze wysmarowano włosy gównem.

- To dość rasistowski komentarz - stwierdziłem ostro. - Nie życzę sobie tego typu uwag pod swoim adresem, rozumiesz?



- To ty jesteś rasistą! - wykrzyknęła nagle, prostacko odbijając piłeczkę. - Nie dość, że przywłaszczasz sobie pieniądze z portfela należącego do czarnej osoby, to potem jeszcze przychodzisz z tym portfelem prosić o znaleźne! Idź do diabła, skurwysynu!

- Myślę, że właśnie u niego jestem. Do widzenia - rzuciłem na odchodne. - Nie wyświadczę ci już żadnej przysługi, bo wszystko i tak zawsze obraca się przeciwko mnie. Nawet gdyby ci się dom palił, nie zadzwonię po straż pożarną, po prostu nie kiwnę palcem! Jeszcze doleję benzyny!

- Grozisz mi? Grozisz mi podpaleniem domu? O mój Boże... Dzwonię na policję!

I zadzwoniła, na szczęście funkcjonariusz po wysłuchaniu stron uznał ją za piniacza, a mnie pouczył tylko, żebym przywiązywał większą wagę do wypowiedzianych słów.

## Bezguście

W Londynie fajną sprawą są olbrzymie księgarnie, takie w amerykańskim stylu - z kilkoma piętrami wypełnionymi książkami, prasą, okazjonalnymi kartkami, płytami, nie wspominając już o znajdujących się tam kawiarniach, stanowiących integralną część całego kompleksu. Czytasz gazetę od deski do deski i nikt nie rzuci ci takiego spojrzenia, jakiego możesz oczekiwać, przewracając dwie strony dziennika w jakimś sklepie z gazetami należącym do imigrantów z Azji. Niekoniecznie zresztą z Azji, żeby było jasne...

Tutaj mógłbym być starcem z trzęsącymi się dłońmi i pić kawę nad niezakupioną jeszcze książką za dwadzieścia funtów, i nawet wówczas nikt nie podszedłby do mnie, żeby uczynić nawet delikatną uwagę. Po prostu to była Anglia z prawdziwego zdarzenia, nienaruszona jeszcze złymi obyczajami siły napływowej, część londyńskiego blichtru.

Poszedłem do ubikacji. Niestety, nie mieli sekcji dla niepełnosprawnych, a jedyna wolna kabina była zajęta i mimo upływu kolejnych minut, wcale się nie zwalniała. Kiedy wreszcie wyszedł z niej jakiś gładko ogolony koleś, rzuciłem mu pełne niechęci spojrzenie, mając jednocześnie ochotę przypomnieć na głos, że prawo zwyczajowe

nakazuje streszczanie się w toaletach znajdujących się w placówkach handlowych. Na dodatek wychodząc, w swojej nonszalancji trącił mnie łokciem.

- Prze... Sorry - powiedział bardziej instynktownie niż z poczucia przyzwoitości.

Więc Polak! W tej sytuacji nawet instynktowne przeprosiny musiały cieszyć. Nic jednak nie odpowiedziałem - wszedłem pośpiesznie do kabiny, zamykając się w środku. Poluzowałem pasek w spodniach i w tym samym momencie zauważyłem na podłodze „Seksowne Wampy”. W tego rodzaju prestiżowych księgarniach nie sprzedawali takich świństw, tym bardziej tych sprowadzanych z Polski, co najwyżej magazyny, w których kobiety nie pokazywały więcej niż cycki i kawałek dupy. Uznałem, że muszę skonfiskować to pisemko i wyrzucić je gdzieś na ulicy, kiedy wyjdę już z księgarni - w trosce o to chociażby, żeby nie natrafił na nie jakiś przypadkowy nastolatek, który wejdzie po mnie do toalety.

Gówno prawda. Naszła mnie ochota na pornosa, bo to, co przyniósł Alex, z tymi dojrzałymi paniami, uznałem za niesmaczne - a tu miałem polskie zdrowe ciała i to zupełnie za darmo, bez potrzeby wstydliwego aktu zakupu, sytuacja więc sama się prosiła, żeby ją wykorzystać.

Wyszedszy z toalety, skierowałem się w stronę wyjścia. Po drodze natknąłem się na łysego Polaczka i coś mnie podkuśiło, żeby rzucić w jego kierunku aluzją.

- Przepraszam, nie zapomniałeś przypadkiem czegoś zabrać z toalety? - Chciałem go zawstydzić.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi... - Zmrużył oczy.

- Nie zapomniałeś czegoś zabrać z toalety? - powtórzyłem z naciskiem. - Może jakiejs książki, czy kolorowej gazety, którą tam wcześniej zabrałeś?

Patrzył na mnie osłupiałym wzrokiem.

- Podpowiem ci. - Odpiąłem lekko kurtkę i zbliżyłem się do niego, ukazując mu zwinięte w rulon pisemko.

- Czego chcesz? Odwal się, pajacu!

- Tylko nie pajacu! Koleś, na drugi raz, jak będziesz się trzepał, rób to w swoim mieszkaniu albo, jak już podnieca cię obcy teren, to chociaż nie zostawiaj po sobie śmieci, żeby potem porządni obywatele jak ja nie musieli po tobie sprzątać.

- Spierdalaj, psycholu - syknął.

Chciałem odpowiedzieć jakimś wyszukany wulgaryzmem, ale w tym momencie zobaczyłem, że zbliża się do mnie ochroniarz, w dodatku pakistańskiego pochodzenia.

- Przepraszam, mógłbyś pokazać, co tam masz pod kurtką? - spytał z dystygowaną manierą.

Poczerwieniałem na twarzy, a tymczasem, wykorzystując chwilę zamieszania, siła sprawcza całej sytuacji ulotniła się z księgarni.

- To... przyniosłem z... domu - odrzekłem. - Nie twoja sprawa.

- Możemy pójść na stronę? - Bardziej rozkazał niż spytał.

- Posłuchaj, przejdę przez bramkę i jak zapiszczy, to się zatrzymam i pokażę, co mam, dobrze? A jak nie, to dasz mi spokój, okej? - zaproponowałem.

- Niektóre pisma nie są zakodowane - wyjaśnił. - Proszę nie robić mi problemów, a sobie wstydu...

- To polskie pismo - odpowiedziałem. - Wy nie sprzedajecie polskich magazynów.

- Pozwól, że sam to ocenię! - Mimo rutynowych odzywek, w jego zachowaniu dawało się zaobserwować wyraźne zniecierpliwienie i narastającą agresję.

- Słuchaj, nie sprzedajecie tu twardego porno. - Zdobyłem się na szczerość.

- Masz tam magazyn pornograficzny? - Przez jego twarz przebiegł dziwny uśmiezek.

- Tak, ale to nie mój, tylko... faceta, z którym przed chwilą rozmawiałem, a który wyszedł, kiedy zaczęłeś się do nas zbliżać. Znalazłem to w toalecie, rozumiesz? - Bełkotałem, jak uczeń przyłapany na kłamstwie.

- Skąd więc ta gazeta, z toalety czy od tego faceta? - Ochroniarz wydawał się nie nadążać.

- Słuchaj, marnujesz się tutaj, powinieneś się zapisać do Metropolitan Police - odparłem z sarkazmem.

- Jeśli znalazłeś coś na terenie księgarni, to powinieneś oddać to do punktu informacji, a oni przekażą do Lost and Found. W przeciwnym razie, choć nie dopuszczasz się kradzieży bezpośrednio, dopuszczasz jednak istnienie takiej możliwości. - Jego słowa naznaczone były przewrotną logiką.

- Studiujesz zaocznie prawo czy filozofię? - Nie przestawałem rzucać ciętych uwag.

- Idź to oddać do punktu informacji - polecił rozkazującym tonem. Instynktownie spojrziałem w stronę punktu informacji, dostrzegając tam szacowną starszą panią, która najpewniej wcale by mi nie podziękowała za przekazanie kompromitującego magazynu, a wręcz uznała za jakiegoś gorszydziela lub prowokatora.

- Z jakiej racji mam go oddawać? - W tej sytuacji nie mogłem za nic w świecie ustąpić.

Miałem nadzieję, że mój upór zostanie wreszcie nagrodzony, że ochroniarz da w końcu za wygraną, ale on zupełnie stracił nad sobą panowanie i rzucił się na mnie, próbując rozpiąć mi kurtkę i dobrać się do pisemka.

- Zabierz swoje łapy, pakistański perwersie! - krzyknąłem i niemal w tej samej sekundzie poczułem, że jego pięść łąduje na mojej twarzy. Z rozciętej wargi trysnęła krew.

\*

Spotkałem Luisa w kuchni, i choć mógłbym przysiąc, że na mnie nie spojrzął ani razu, zajęty swoją sałatką, od razu nawiązał do mojej rozciętej wargi.

- Co ci się stało?

- Nic, otwierałem jogurt ustami i zaciąłem się - wymyśliłem na poczekaniu.

- Kto otwiera jogurt ustami? - zastanawiał się głośno.

- Nigdy nie otwierałeś niczego ustami?

- Nie. A to takie dziwne, że nie? - Łaskawie zwrócił w moją stronę twarz.

- Czy ja wiem? - Wzruszyłem ramionami. - A ludzie bez rąk? Czy im zadałbyś to samo pytanie? Wyobraź sobie, że jestem jednym z nich.

- Po co mam sobie wyobrażać coś, co nie istnieje? Jaki jest sens w kreowaniu stanów rzeczy niezgodnych z rzeczywistością? Jaki z tego pożytek? Za mało mamy problemów, żeby tworzyć jeszcze sztuczne? Masz ręce, więc ich używaj, a skoro używasz zębów, to nie usprawiedliwiaj swojej głupoty hipotetycznymi stanami - perorował.

Ależ się produkował, nawet nie wiedziałem, że potrafi być z niego taki dyskutant.

- Wolałbyś nie mieć rąk czy nóg? - rzuciłem pytanie.

- Mam i jedno, i drugie, na szczęście nikt nie postawi mnie nigdy przed takim wyborem. - Wydawał się zirytowany samą perspektywą rozważenia takiej alternatywy.

- Ale wyobraź sobie, że nadchodzi na przykład Czwarta Rzesza i hitlerowcy stawiają cię przed wyborem - albo cię zastrzelimy, albo amputujemy parę kończyn. Ty oczywiście wybierasz amputację, bo przecież na tym świat się nie kończy. Ale to nie koniec wyborów! Nogi więc, czy ręce?

- Wszystko z tobą w porządku, Tomasz? Odechciewa mi się jeść...

- No to co: nogi czy ręce, odpowiedz! Lepiej chodzić i chwycić wszystko ustami, czy jeździć i mieć czym się masturbować? - rozważałem na głos.

- Jesteś niesmaczny. Możemy zmienić temat na bardziej praktyczny?

- Może być o twojej pracy? - zaproponowałem.

- Może - odrzekł jakby dla świętego spokoju.

- Wiesz, zastanawiam się nad traffic wardenami - zacząłem - jak wy się do tego odnosicie... No bo, jak tak chodzę sobie ulicami, to w co drugim samochodzie widzę za szybą znaczek z niepełnosprawnym, jak sędzę zamiast biletu parkingowego!

- Nie możemy tego zbyt dobrze weryfikować, przecież to nie my decydujemy o tym statusie. - Bezradnie rozłożył ręce. - Wiem jednak, o co ci chodzi.

- Ale gdyby opierać na tym statystykę, można by dojść do przekonania, że połowa londyńczyków to kaleki - stwierdziłem nieco rozbażony.

- Masz na myśli „niepełnosprawni”? - Rzucił mi badawcze spojrzenie.

- Jak zwał, tak zwał, nazewnictwo nie poprawi ich samopoczucia ani wyglądu - odrzekłem bezceremonialnie.

Luis pokręcił głową, najwyraźniej nie spodobało mu się to, że nie wpisywałem się w politycznie poprawny bełkot Londynu.

- No bo co - kontynuowałem - nie uważasz, że to cyniczne? Kto się podciąga pod niepełnosprawnych? Jąkały, krótkowidze, astygmatycy, jednonerkowcy? Przecież każdy z nas jest w jakiś sposób ułomny.

- Tomasz, widziałem na zewnątrz przed drzwiami jakiś list. Czy to nie był przypadkiem do ciebie? - zmienił temat nieoczekiwanie.

- Widziałeś i nie podniosłeś? - spytałem z oburzeniem.

- Nie byłem pewien, czy to coś ważnego, idź sprawdź...

Jak się okazało, był to list od Dominika. Przeczytałem kilka linijek i wyrzuciłem do kosza - mój przyjaciel dziadział w polskiej rzeczywistości, a jego dydaktyzm stawał się wręcz nieznośny.

## Chodź, pomaluj mój świat

W sklepie, do którego trafiłem, kadra przedstawiała się dość intrygująco. Generalnym menedżerem był Anthony, Australijczyk - wysoki, chudy, w okularach, trudno było w jego przypadku o tak zwane pierwsze wrażenie. Nienawidziłem ludzi, którzy nie prowokowali pierwszego wrażenia, z doświadczenia wiedziałem, że prędzej czy później były z nimi kłopoty.

- Najważniejsze w tym sklepie jest, żebyśmy się szanowali, niezależnie skąd pochodzimy. - Postanowił wypowiedzieć na wstępie swoje credo. - Tworzymy zespół, a jego siła tkwi w jego jedności.

Równie dobrze mógłby pisać mowy trzeciologowym politykom.

- Co ci się stało w wargę? - spytał nagle, rzucając mi bystre spojrzenie.

- Długo by opowiadać. - Machnąłem lekceważąco ręką.

Ale jego intensywne spojrzenie domagało się wyjaśnień.

- Zgrzytam w nocy zębami, to się nazywa fachowo burksizm, czy coś takiego. Mój przypadek jest szczególnie patologiczny, bo czasem zęby tną wargę. Byłem zmęczony, zapomniałem włożyć sobie ochraniacz zrobiony przez protetyka i po prostu przeciąłem sobie wargę podczas snu. Ot, cała historia - wyjaśniłem rzeczowo.

- Zaznaczyłeś to w swojej ankiecie, w sekcji dotyczącej zdrowia? - zapytał.

Myślałem, że żartuje, ale on wyglądał śmiertelnie poważnie.

- A niby po co? - Nie rozumiałem jego intencji.

- To chyba oczywiste. Przecież jak ci się coś stanie, nie będziemy brać za to żadnej odpowiedzialności. Musisz napisać oświadczenie, że miałeś to jeszcze, zanim zacząłeś pracę tutaj, rozumiemy się?

Jego asekuranctwo było groteskowe.

\*

Prawą ręką Anthony'ego był Ahmed, Turek, który od razu wydał mi się podstępny i przebiegły - przeszywające spojrzenie błękitnych oczu i łatwo wyczuwalny dystans nie pozostawiały złudzeń, z kim będę miał do czynienia w jego przypadku.

Kuchnią kierowała Hiszpanka Sonia. Zgrabna figura, bardzo urodziwa, choć zarazem podejrzanie zmęczona twarz. Pewnie coś brała.

Pracował tu też Jamajczyk Markus, który wydawał się być w nieco innym wymiarze. Ciekawe, czy ta dwójka kombinuje coś razem...

Monika - od razu było widać i słyszać, że to Polka. Mogła mieć na czapce Estefania, Patricia, Alyson, a i tak bym się zorientował, że wywodzi się z rodu Piastów. Spojrzała na mnie nieco spode łba, jakbym zaraz miał jej wydrzeć miejsce albo ukraść coś z szafki. Ta podejrzliwość to przecież rutyna w kontaktach między Polakami na obczyźnie.

Mariano, Chorwat, pracował tutaj podobno już szósty rok i ciągle zarzekał się, że to jego ostatnie miesiące w tym miejscu. Gdyby nie obrączka na jego palcu, mógłbym dać sobie nie wiem co uciąć, że jest gejem. Poruszał się i mówił jak panienka. Co trudno było uznać za styl, a raczej podchodziło to pod jego naturalne zachowanie.

Robert, Słowak, olbrzym o łagodnym usposobieniu, dał się polubić już po krótkiej wymianie zdań.

Była jeszcze pochodząca z Etiopii Octavia, dziewczyna bardzo za dbana, choć zarazem nieco wyniosła. Już na pierwszy rzut oka dało się zauważyć, że między Robertem a Octavią działała jakaś chemia - nie dało się jednoznacznie stwierdzić, czy byli już parą, ale jeśli nie, to należało przypuszczać, że to tylko kwestia czasu.

\*

Dziwne uczucie - z jednej strony fajna międzynarodowa mieszanka, więc będzie można poczynić wiele interesujących obserwacji, wejść w ciekawe interakcje, ale z drugiej strony, jedną z podstawowych zalet wynikających z przebywania i pracy w Anglii miała być możliwość podszkolenia angielskiego, a w takich warunkach nie tylko nie mogło być o tym mowy, ale zachodziło wręcz ryzyko językowej degradacji.

Ale czego ja właściwie oczekiwałem - powinienem był przecież pamiętać, że w takich miejscach nie spotykało się na ogół Anglików. Wyspiarze po prostu nie pracowali w tego rodzaju zawodach - dla nich były przecież biura. Jeśli już przyszło im zatrzymać się na jakiś czas w tego typu miejscach, to najwyżej na stanowiskach kierowniczych, po to tylko, żeby wypełniając papierki, odbierając telefony i rzucając dookoła rozkazy, pracować sobie na początek CV (podczas gdy mrówki biegały po kuchni albo znosiły humory chamskich klientów w sklepie i były opierdalane za każde drobne uchybienie czy sekundę beczynności).

Może Dominik miał jednak rację, może rozminiałem się na drobne, a byłoby lepiej siedzieć w Polsce na jakimś sensownym stanowisku za niecałą połowę stawki, jaką otrzymywałem tutaj za taplanie się w błocie? A zresztą, te z pozoru przyzwoite zarobki - przecież one i tak szły w większości na utrzymanie w jednym z najdroższych miejsc świata (trudno to było uzmysłwić sobie komuś, kto nie miał do czynienia z tutejszą rzeczywistością, dlatego wyobrażenie o oszczędnościach, jakie można było poczynić w Londynie, z perspektywy Polski było nieraz absurdalnie optymistyczne).

Wyobraziłem sobie matkę, która wyciąga w moim kierunku palec i stwierdza: „A nie mówiłam? Od początku wiedziałam, że nie będziesz tam szczęśliwy i sobie nie poradzisz. Twoje miejsce jest w Polsce, jeszcze nie jest za późno, żebyś znalazł sobie jakąś rozsądną żonę, dobrą pracę i zaczął żyć jak człowiek.”

Pierdolę to, spróbuję. W końcu, paradoksalnie, nie mam nic do stracenia. Choć z drugiej strony też pewnie niewiele do zyskania.

\*

- Ahmed. - Uśmiechnąłem się przewrotnie. - Nie masz do mnie i Moniki żalu za Wiedeń, co?

- Za co? - Spojrzał na mnie zdziwiony, najwyraźniej nie rozumiejąc mojego błyskotliwego żartu.

- Jest rok 1683, Turcy podbili spore połacie Europy. Dochodzi do decydującej bitwy pod Wiedniem, Polacy pod wodzą Sobieskiego rozbijają waszą armię - przypominałem. - Wspaniały wyczyn polskiej husarii... Powinien ktoś o tym zrobić film. Można nawet obsadzić Gibsona w roli Sobieskiego.

- Idź pozamiatać przed sklepem - powiedział tonem nie znośnym sprzeciwu. - Potem wyszoruj podłogę w pomieszczeniu pracowniczym.

\*

- Więc jesteś z Jamajki... - zagadnąłem Markusa.

- Tak.

- Wiesz, czytałem kiedyś w „Men's Health”, że Jamajka ma najmniejszy współczynnik samobójstw na świecie. Wiedziałeś o tym?



Zapraǳnęłam błysnąć wiedzą, ale jego twarz wyrażała obojętność i nawet nie drgnęła.

- A dlaczego tak? Chyba dlatego, że problemy idą z dymem ziel-ska, co? - wysunąłem swoją tezę.

Prawdopodobnie wypowiedziałem tę kwestię w nazbyt nonszalancki sposób, bo przez jego twarz przebiegł tym razem wyraz lekkiego rozdrażnienia. W końcu odezwał się lapidarnie, jakby na odczepnego:

- Może.

Nie pogadam sobie z nim, założę się, że sam sporo pali. Kwestią otwartą pozostawało, czy przychodził najarany do pracy?

\*

Mariano miał śmieszny zwyczaj nazywania wszystkich „kochanie”.

- Tak, jestem tu już szósty rok, o sześć lat za długo... Ale to już koniec, w przyszłym miesiącu odchodzę - opowiadał mi o sobie.

- Co roku tak mówi - powiedziała do mnie na stronie Sonia. - Wie, że bez tego miejsca nie mógłby żyć. Już dochodzi do tego, że stali klienci przychodzą i pytają: „Jeszcze tu jesteś? Przecież rok temu daliśmy ci prezenty pożegnalne”. Wiesz, Tomasz, szybko przekonasz się, że łatwiej jest tu dostać pracę, niż stąd odejść i wtedy zrozumiesz Mariano.

Nie rozumiałem ani Mariano, ani tym bardziej przesłania Soni. Zasi-dzenie kojarzyło mi się tylko z bzdurną instytucją prawa cywilnego, nad którą użalał się kiedyś Dominik.

- Słuchaj, czy... - zwróciłem się do Soni nieco speszony. - Czy Mariano... wiesz...

- Co? - Widać było, że przez głowę przechodzą jej różne myśli, ale nie jest do końca pewna, o co może mi właściwie chodzić.

- Czy on jest... - Znowu nie byłem w stanie dokończyć.

- To chyba oczywiste! - Zaśmiała się szyderczo, łapiąc w końcu, co mam na myśli. - To widać w każdym jego geście i ruchu, nie?

- Ale on ma obrączkę!

- A co? Myślisz, że... aaach... zapomniałam, że jesteś z Polski. - Nie przestawała się śmiać, co zaczynało mnie autentycznie drażnić.

- Myślisz, że u nas nie ma gejów? Zgoda - przyznałem - może nie eksponują się specjalnie, ale przecież... oni są wszędzie. Nawet ukryci gdzieś w irańskich czy syryjskich piwnicach. Ale obrączki... Przyznam, że z tym się jeszcze nie spotkałem.

- A co, myślisz, że geje nie potrafią sobie ślubować miłości, że nie są w stanie przetrwać w stałym związku? O to ci chodzi?

Trudno było mi zrozumieć jej tendencję do obracania wszystkiego przeciwko mnie.

- Dlaczego zarzucasz mi homofobię? Chciałem się tylko czegoś dowiedzieć - podkreśliłem. - Powiedzmy, że...

- Jeśli myślisz, że możesz wdawać się ze mną w pogawędki zamiast pracować, to się grubo mylisz! - syknęła nagle. - Zobacz, nawet podłogi porządnie nie zamiotłeś, wszędzie kawałki pomidorów.

Nie dość, że chamsko mi przerwała, to nagle w jednej chwili stała się beczelnie niesprawiedliwa.

- Pamiętaj, jeszcze raz coś takiego zrobisz, to ci każę obciąć przerwę! - zagroziła.

Co za suka! Jedyne, co chciałem teraz zrobić, to zejść jej z oczu albo je po prostu wyłupać.

\*

do [tomasz\\_pl@yahoo.co.uk](mailto:tomasz_pl@yahoo.co.uk)

od [ania.perucka2@wp.pl](mailto:ania.perucka2@wp.pl)

Tomku,

Widzę, że masz dużo obaw co do różnorodności pracowników, z jaką przyjdzie Ci się, jak to określiłeś — zmierzyć — w nowej pracy. Ja nie traktowałabym tego bynajmniej jako pola do konfrontacji, ale jako okazję do zetknięcia się z wieloma kulturami, wzbogacenia swoich doświadczeń – w końcu, jak sądzę, pobyt w takich metropoliach, jak Londyn, temu właśnie w dużej mierze powinien służyć.

Pozdrawiam,  
Anka

\*

Brzmiała jak podręcznik politycznej poprawności. Swoją drogą ciekawe, kiedy zaczną pisać takie podręczniki, wprowadzając jednocześnie obowiązkowy przedmiot z tego zakresu w szkole.

Gdyby Orwell żył w naszych czasach, moglibyśmy spodziewać się genialnej powieści.

## Chiński bufet

Szedłem z Alekssem boczną uliczką - jedną z tych wychodzących od Oxford Street, a prowadzących do Soho - gdy naszym oczom ukazał się bufet w stylu „zapłać raz, usiądź i jedz do woli”.

- Ty, a jakby bliźniaki syjamskie tutaj weszły, to zapłaciłyby jak za jedną osobę, czy za dwie? - zastanawiałem się głośno. - W końcu, w zależności od interpretacji, to jedna osoba, ale dwie buzie do wykarmienia.

- To zależy, czy ich żołądki są złączone - odpowiedział po chwili zastanowienia Alex. - A jak to jest właściwie w przypadku bliźniaków syjamskich? Mają złączone żołądki, czy mają jeden wspólny żołądek?

- Skąd mam to wiedzieć? - Wzruszyłem ramionami. - Na szczęście historia mojej rodziny nie zna takich przypadków.

- Wejdziemy tam? - Alex wpatrywał się łakomo w selekcję dań, jaką widać było przez szybę.

- Po co? - Byłem niechętny temu pomysłowi. - Większość zatruc w Londynie pochodzi z egzotycznych restauracji i bufetów, nie wspominając już o kebabach.

- Jesteś cholernie uprzedzony - odparł. - Kuchnie świata naprawdę mają wiele do zaoferowania. Jak sam nie chcesz, to przynajmniej daj mi kilka minut.

- Kuchnie świata - powtórzyłem z przekąsem. - No dobra, niech ci będzie...

Machnąłem ręką, ustępując ostatecznie. Weszliśmy do środka. W progu powitała nas skośnooka dziewczyna ubrana w zabawny orientalny strój.

- Na miejscu, czy na wynos? - zapytała.

- Na wynos? - Zaśmiałem się sarkastycznie. - Mam chodzić z wypchanym po brzegi kartonem z jedzeniem po centrum Londynu?

- Nie musisz go wypychać po brzegi - odpowiedziała sprytnie. - Możesz wypełnić w połowie.

- Dobra, dobra, tylko bez mądrzenia się. Będę potrzebował mądrości, to sobie otworzę fortune cookie. Na miejscu poprosimy. Stolik dla dwóch.

W moim spojrzeniu kryła się niechęć. Nie spodobała mi się jej sarkastyczna uwaga - obsługa restauracji nie była uprawniona do złośliwości, tym bardziej, jeśli wywodziła się z chińskich bufetów i miała niejasny status emigracyjny.

- Stolik numer pięć. Niestety, większego nie mamy. - Wręczyła mi karteczkę. - Zapłacicie przy kasie.

- Z taką to lepiej nie zadzierać - odezwałem się cicho do Aleksa. - Na pewno zna którąś z **martial arts**. Jak ją zdenerwujesz, to jednym ciosem zdemoluje ci klatkę piersiową. Myślisz, że takie triki, jak te z „Przyczajonego smoka, ukrytego tygrysa” to tylko filmowa fikcja, czy oni naprawdę są w stanie tak perfekcyjnie opanować te akrobacje?

- „Przyczajony tygrys, ukryty smok” - poprawił mnie. - Swoją drogą, jak smok się może ukryć? Bezsensowny tytuł.

- Nie bardziej bezsensowny niż kwiatki polskich dystrybutorów jak „Wirujący seks”, czy „Orbitowanie bez cukru” - wspomniałem, podejmując wątek.

Posuwając się w stronę kas, wydałem z siebie dźwięk, jaki wydają karatecy w tandetnych, choć zarazem kultowych filmach wytwarzanych niegdyś w Hongkongu (produkowanych w tempie i obfitości telenowel), które trafiały do Polski na kasetach wideo na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, i były sprzedawane przez wąsatych panów z bagażników polonezów. Po prostu naszła mnie taka głupawka. Nie bez sentymentów przypomniały mi się czasy, kiedy kupowało się te niesławne VHS-y domowej roboty z marnymi kopiami filmów z Bruce'em Lee i Chuckiem Norrisem, czy tak legendarnymi dla mojego pokolenia obrazami, jak „Waleczni mnisi z klasztoru Shaolin”, a potem siadało z kumplami i oglądało, wyobrażając sobie nieraz, że uczestniczy się niemal w mistycznym widowisku.

- Wszystko w porządku? - zagadnęła mnie chińska kasjerka.

- Tak, tak - odpowiedziałem, czując jednocześnie, że purpura wstydu oblewa mi twarz.

Alex zaśmiał się. Podając karteczkę kasjerce, rzuciłem mu karcące spojrzenie.

- Z napojem, czy bez? - zapytała nieoczekiwanie.

- A ile kosztuje napój? - Skrzywiłem się.

- Zależy czy cola, czy woda - odparła, wskazując jednocześnie zamasztyłym ruchem tablicę z cenami.

Do cholery, nie byłem w stanie rozszyfrować tego drobnego druczku, nawet przybliżywszy się znacznie do kontuaru. Alex zamiast mi pomóc stał anemicznie, rozmyślając o czymś lub o kimś - zapewne o swojej narzeczonej. W akcie desperacji zrobiłem to, co niegdyś w czasach liceum, gdy ukrywałem przed wszystkimi wadę wzroku (będąc wówczas głupio przekonany, że okulary strasznie mnie oszpeca), mianowicie zawęziłem palcami pole widzenia, rozciągając sobie skórę przy oczach, a tym samym poprawiając lekko ostrość widzenia. W tym momencie usłyszałem czyjeś znaczące chrząknięcie. Odwróciłem się i dostrzegłem za sobą... pana Jakamoto z rodziną. Tego było już za wiele, rachunek prawdopodobieństwa działał przeciwko mnie w wyjątkowo perfidny sposób.

- Pan Jakamoto! - Uśmiechnąłem się promiennie, kłaniając przesadnie nisko, lecz jego twarz wykrzywił grymas jakiejś szczególnej dezaprobaty, której źródła nie byłem w stanie odgadnąć.

- I pomyśleć, że kiedyś miałem cię za człowieka z klasą - syknął w moim kierunku.

- Ludzie czekają w kolejce. - Kasjerka upomniała nas obu. - Możecie porozmawiać ze sobą przy stole...

Pan Jakamoto wykrzyknął coś gniewnie w jej kierunku w ich ojczystym języku. Ton jego głosu nakazywał mi przypuszczać, że było to raczej „zamknij się, głupia krowo” niż „przepraszam, zaraz kończymy”.

- Widząc, jak wykrzywisz sobie oczy, chcąc obrazić moją rasę, zastanawiam się, skąd w tobie tyle zła, tyle nienawiści... - Powrócił do angielskiego i do mojej osoby.

- Panie Jakamoto - zacząłem wyjaśniać, uderzając się spektakularnie w pierś - ja chciałem sobie tylko poprawić ostrość wzroku, bo od czasu, kiedy jeszcze w Polsce chłopak zaświecił mi czymś w oczy w pociągu, wzrok zaczął mi się ponownie pogarszać...

- Proszę złożyć zamówienie albo opuścić kolejkę! - upomniała nas kasjerka.

Jej zachowanie zaczęło przypominać mi coś, co pamiętałem jeszcze z czasów, kiedy jako dziecku przychodziło mi konfrontować się z nieznośnie grubiańskimi pracownikami Społem (obowiązkowo ubranymi w obłeśne fartuchy).

- No dobrze, na miejscu, cola dwa razy. - Uznałem, że lepiej będzie, jeśli zamiast przekonywać Jakamoto, po prostu złożę zamówienie i oddalę się od niego na bezpieczną odległość.

- Nie mówiłam do ciebie, rasistów nie obsługujemy. - Jej odpowiedź wprawiła mnie w osłupienie.

- Co to ma znaczyć? Co ty sobie wyobrażasz? Myślisz, że możesz mnie zignorować, bo ubzdurało ci się, że jestem rasistą? - wykrzyknąłem, nie kryjąc oburzenia.

Zrobiło się z tego niezłe widowisko, ludzie wpatrywali się w nas z mieszanymi uczuciami, wśród których przeważało zażenowanie pomieszane z chorym zainteresowaniem.

- Zresztą, co mnie obchodzi ten niedogotowany ryż, a może nawet, kto wie, psina robiąca za wołowinę bez kości? Obejdę się bez tego, w końcu McDonaldów jest w okolicy sporo. Chodźmy stąd Alex! - Zdecydowałem, że w rewanżu stanę się dla nich żywą antyrekłama.

- McDonald, to akurat świetnie by ci pasowało - podsumował mnie pan Jakamoto. - Nie zdziwię się, jeśli któregoś dnia zobaczę cię tam po drugiej stronie lady w czapeczce...

- Alex, powiedziałem, idziemy stąd! - Ponagliłem przyjaciela, ale ten, zdążywszy nakarmić oczy tym, co miał do zaoferowania bufet, wcale nie zamierzał się wycofywać.

- Nie musi pan obrażać pracowników gastronomii. - Tym razem kasjerka poczuła się urażona wypowiedzią pana Jakamoto. - Ja sama kiedyś pracowałam w McDonaldzie.

- Bardzo przepraszam, nie chciałem pani urazić. - Teraz to mój dawny szef musiał się tłumaczyć.

Cała ta tragikomedія zaczęła być dla mnie absurdalnie męcząca - należało się stąd ewakuować, choćby w pojedynkę. Odwrót. Wycho-dząc, zauważyłem koszyczek z chińskimi ciasteczkami szczęścia (fortune cookies). Wyciągnąłem rękę, żeby wylosować jedno z nich, ciekawo przepowiedni, jaka się w nim dla mnie kryła.

- Ciasteczka są dla tych, którzy skończyli posiłek! Zostaw! - zbesztła mnie nieoczekiwanie kasjerka.

Ale i tak zrobiłem po swojemu, przywłaszczając sobie jedno z ciasteczek, kiedy na chwilę odwróciła wzrok. Przecisnąwszy się przez stłoczonych w kolejce wielbicieli azjatyckiej kuchni, wyszedłem na zewnątrz i przedostałem się szybko na Oxford Street. Akurat przejeżdżał autobus - zaciągnąłem się jego spalinami i poczułem, że moje płuca odzyskują tak potrzebną równowagę, która została poważnie zaburzona przez opary chińszczyzny.

\*

do [ania.perucka2@wp.pl](mailto:ania.perucka2@wp.pl)

od [tomasz\\_j?l@yahoo.co.uk](mailto:tomasz_j?l@yahoo.co.uk)

Aniu,

.Zabawne, posłuchaj, co mówi fortunę cookie: Twoje szczęście śpi, ale żaden sen nie trwa wiecznie.

To jakieś połączenie banału i pseudofilozofii, w stylu Kwai Chang Caine'a z „Legend Kung Fu” czy jakkolwiek on się tam nazywał — który powiedział kiedyś do swojego ucznia między innymi mądrość w stylu: „Kiedy przeciwnicy są silniejsi, przegrywasz”.

Ja nie mam przeciwników, a mimo to wciąż przegrywam. Tym bardziej dziękuję za wsparcie płynące z twoich e-maili (bo wsparcie płynące z fortune cookie, wiesz gdzie mam, tam się nie zagląda).

Miłego dnia i lepszego jutra — tak sobie, jak i Tobie.

Tomasz

## Rozkład

Wybraliśmy się z Alekssem do Camden Town, uważanego za jedno z najbardziej „coolistych” miejsc w Londynie, oczywiście głównie ze względu na tętniącą życiem High Street i zatłoczone okoliczne rynki.

Ukryte w śmierdzących piwnicach studia tatuażu, obdrapane mury starych domów, ulice pełne ubranych na czarno ludzi z twarzami tak poprzekłuwanymi rozmaitym żelastwem, że gdyby postawić obok nich gigantyczną bryłę magnezu, to przyciągnęłaby ich z wielką siłą i poroztrzaskiwaliby się jeden na drugim - zaiste, było się czym podniecać... Gdyby mój brat zdawał sobie tylko sprawę z istnienia takiego miejsca na świecie, z pewnością rzuciłby niedawno założoną rodzinę i dołączył do rozbitków siedzących nad okolicznym kanałem, nakreślając tym samym w swoim życiu „nowy początek”.

A może to dobra myśl? Może powinienem go oświecić, sprowokować do wyjazdu i w ten sposób rozbić jego małżeństwo, skoro nie udało mi się wcześniej mu zapobiec?

\*

Niewiarygodne, ale to właśnie w Camden znaleźliśmy obskurną aptekę, gdzie mieli te przekłete pigułki ziołowe na uspokojenie (tudzież otępienie), na których tak bardzo zależało Aleksowi. W momencie, kiedy ten sięgnął do portfela, żeby je kupić, aptekarka o chcińskim wyglądzie i takimże akcencie, spojrzała na niego wymownie.

- Babcia wie, z jaką częstotliwością zażywać? - spytała.

- Babcia? - Zaśmiał się Alex. - Nie bardzo rozumiem...

- To są środki otępiające z magnezem, wzmacniające pamięć, ale jak ze wszystkim, nie można przesadzać. Długo babcia leczy sklerozę? - wyjaśniała cierpliwie.

- Sklerozę? - Alex zdębiał w jednej chwili. - To dla mnie! Ja nie mam sklerozy, tylko nerwicę! Zabiję, zabiję gnojka...

\*

- Patrz, koleś z sierpem i młotem na koszulce. - Trąciłem Aleksa w ramię.

- No, widzę - przytaknął obojętnie. - Ten gnojek polecił mi tabletki na sklerozę. Zrobiłem z siebie kompletnego głupka. Jak ja teraz pozbędę się tego stanu? Tomek, bez tabletek nie dam rady. Sama świadomość, że one mi pomogą, sprawiała, że czułem się lepiej.

- Jak to jest, że możesz oglądać ludzi z sierpem i młotem na koszulce i nikomu to nie przeszkadza, a wręcz znajdzie się od czasu do czasu jakiś idiota, który uzna, że jest to trendy, a gdybyś tylko założył koszulkę ze swastyką, to chybaś nie przeszedł trzech metrów, bo zaraz poleciałyby butelki i posypały się ciosy? Wytlumacz mi to, Alex! Tak samo: dlaczego możesz tu kupić koszulki z Che Guevarą, a nie możesz kupić z Göringiem czy Himmlerem. Przecież to postacie jednej miary, nie? - perorowałem zawzięcie.

- Nie zapominaj o związkach Marksa z Londynem - powiedział Alex.

Liczyłem, że podejmie ten wątek w jakiś bardziej sensowny sposób, ale on otrzymał właśnie SMS-a i wcale nie zamierzał ciągnąć rozpoczętego przeze mnie tematu. Wydawał się tą wiadomością tekstową zaabsorbowany bez reszty.



- Zobacz, co mi napisała. - Jego głos trząsł się ze wzruszenia. „Kocham cię, wszystko się ułoży, zobaczysz”. To chyba dobry znak, co? Jeszcze możemy wszystko uratować!

- No pewnie - westchnąłem ciężko, zatrzymując się przed Music and Video Exchange. - Poszperamy w płytach?

- To wiesz co, ty wejdź do środka, a ja poczekam na zewnątrz - zaproponowałem.

- Zwariowałeś? - zdenerwowałem się. - Szperanie w płytach ma mi sprawić przyjemność. Nie chodzi o to, żebym próbował coś wymacać w pośpiechu, mając świadomość, że ktoś zniecierpliwiony czeka na zewnątrz.

- Idź, rozejrzyj się spokojnie, nie spiesz się - odrzekł. - Ja naprawdę nie mam nic przeciwko czekaniu.

Tak też w końcu zrobiłem. Nie minęło jednak nawet dwadzieścia minut, od czasu kiedy oddałem się jednemu ze swoich ulubionych zajęć, znajdując do tej pory tylko jedną ciekawostkę w postaci singla Pato Bantona ze Stingiem *Spirits in the Material World*, kiedy do sklepu wszedł Alex z miną cierpiętnika.

- Długo jeszcze? Pomóc ci? - odezwał się z nieznośną manierą.

Trudno powiedzieć, które z tych pytań należało uznać za bardziej irytujące.

\*

- Może tatuaż albo piercing - powiedział ktoś po polsku i jakaś ręka z ulotką zagroziła mi drogę.

Był to przygarbiony blondyn w skórzanej kurtce, który stał na środku chodnika, nieznośnie wymachując papierkami.

- Nie chcę - odpowiedziałem poirytowany. - Nie jestem wcale zainteresowany. Nawet gdybym był, to nie zrobiłbym czegoś takiego w Camden, rozumiesz? Nie chcę się zarazić żółtaczką zakaźną lub czymś jeszcze gorszym.

- Rozumiem cię, ale weź ulotkę - nalegał nieznamy.

- Ale po co, skoro nie jestem zainteresowany? - Spojrzałem na niego krytycznym wzrokiem.

- Może jednak zmienisz zdanie... - bąknął, nie przestając wyciągać w moim kierunku ręki.

- Ja tak łatwo zdania nie zmieniam, a poza tym, jeśli nawet zmienię zdanie, to nie będę potrzebował twojej ulotki, żeby znaleźć w Camden studio tatuażu i piercingu, skoro natykam się na nie tutaj co dwa

kroki - odrzekłem bardzo oschle.

- Weź tę pierdoloną ulotkę, no co ci, kurwa, zależy! Co za palant! No ja pierdołę!

Chłystek robił się coraz bardziej agresywny, ale ja wcale nie zamierzałem ustępować.

- Nie chcę, na chuja mi ona? - Zniżyłem się do jego poziomu.

Wtedy do akcji wkroczył Alex, który dla świętego spokoju wziął z jego dłoni ulotkę.

- No widzisz, to wcale nie takie trudne. Wiele zachodu nie ma! - Nieznajomy zdawał się triumfować przez głupią ustępliwość mojego przyjaciela.

- Ale on to wziął z grzeczności, a nie z potrzeby. - Nie poddawałem się.

- A co mnie, kurwa, obchodzi, z jakiego powodu? Chodzi o to, żeby ludzie brali, ja jestem rozliczany z rozdanych ulotek, a nie z liczby przekłutych języków czy wytatuowanych tydek - wyjaśnił. - Więc po co robisz z tego taki wielki problem?

- No dobrze, wkurwiłeś mnie, ale nawet cię rozumiem. Choć z kolei sam spróbuj mnie zrozumieć. - Postanowiłem kontynuować rozmowę, Alex przechodził już do przodu, oglądając się za mną ponaglająco. - Po jaką cholere mam nosić ze sobą śmieci? Po to mam wolne, żeby kolekcjonować papierki? Mało się w pracy nabieram gówna po klientach?

- No weź, kurwa, wyrzucisz do kosza za zakrętem. Musisz być taki uparty? - Sytuacja zaczęła się na nowo zaogniać.

- Nie wezmę, bo jak ludzie będą brać, to przez takich ulotkowiczów jak ty nie będzie można wkrótce przejść spokojnie ulicą. Las wyciągniętych rąk ograniczy ruch na każdym kroku. Jak wszyscy was zaczną ignorować, nie będzie potrzeby was zatrudniać, proste, nie? - Puknąłem się w czoło.

- Pierdol się, kutasie - wykrzyknął mi w twarz, z trudem trzymając ręce przy sobie.

- Idź sobie przekłuj mózg! - Postanowiłem być nieco bardziej wysublimowany. - A jak ci już zaropieje i wda się infekcja, to pomyśl sobie na pocieszenie, że świat niewiele straci.

\*

- Patrz, wszędzie sprzedają te pieprzone magiczne grzyby. - Zauważyłem rozciągające się po obu stronach Camden High Street liczne stoiska. - Nie dość, że masz co kilka metrów dilerów, to jeszcze

tutaj na oczach wszystkich halucynogeny. Słyszałem, że oni wykorzystują z tymi grzybami jakąś lukę w prawie. Że niby tylko suche albo mokre można sprzedawać. Chuj wie...

- Nie bądź wulgarny - temperował mnie Alex. - Co cię nagle naszło?

- Najwyższy czas, żeby się za to wzięli. Tutaj, w Camden, przydałyby się jeden grzyb, taki jak w Hiroszynie.

- Przestań, ma to swój urok. - Najwyraźniej Alex nie podzielała mojego radykalizmu. - Tak na dobrą sprawę, gdyby zalegalizować narkotyki, nie tylko poprawiłaby się ich jakość, ale spadłaby przestępczość z nimi związana. Tak chyba nawet twierdził Milton Friedman.

- Milton Friedman, nie sądzę. - Pokręciłem głową. - On takich głupot by nie opowiadał.

- Ale jak się przedrzesz przez czarny parawan swojego konserwatyzmu, to naprawdę, legalizacja, jakkolwiek szokujący pomysł, mogłaby się właściwie sprawdzić. Posłuchaj, normalnie w aptekach, dozwolane, a nie sprzedawane na ulicach przez jakichś śmieciarzy, którzy nie wiadomo co do nich dodali, nadażasz?

Normalnie bym się zdenerwował, słuchając tego rodzaju bzdur, ale czasami jakkolwiek polemika ze strony człowieka, który nie potrafił właściwie mówić o niczym innym, jak tylko o swojej (eks) narzeczonej, była mile widziana.

- W aptekach? Wiesz jak łatwo pomylić się w aptekach? - Zaśmiałem się ironicznie. - Widzę, że prądy liberalne cię poraziły. Co ty ostatnio czytasz? Świecką teologię życia? Lepiej pomyśl o swojej narzeczonej, jak realizuje wolność seksualną z jakimś koksem.

- Spierdalaj. - Wulgarnie zbył mój sarkazm.

- Nie bądź wulgarny... - przygadałem mu triumfalnie.

- Naprawdę myślisz, że mnie zdradza z jakimiś byczkami? To dziwne, mówi się, że facet myśli kutasem, ale wychodzi na to, że kobieta nie jest w tym zakresie wiele lepsza - odpowiedział smutnym głosem.

\*

Kiedy już w drodze powrotnej przechodziliśmy obok jednego z banków, naszą uwagę zwrócił hałaśliwy staruszek, który wrzeszczał coś przez megafon (szczerze mówiąc, nie byłem w stanie rozszyfrować tego bełkotu). Wokół niego zgromadziło się nawet kilkanaście żądnych taniego spektaklu osób.

- Ty, zobacz tego. - Zaśmiał się Alex, reagując jak zwykle z właściwym dla siebie opóźnieniem.

Przystanęliśmy na chwilę, a ja, skoncentrowawszy się, zacząłem wreszcie wyłapywać przekaz starego dziwaka, który notabene wyglądał na skrzyżowanie trampa z sekciarzem.

- Bóg mówił przez Jezusa: „wyrzeknij się wszystkiego i pójdz za mną”! Dlaczego nie idziemy za nim, tylko chodzimy swoimi drogami? Czym są nasze drogi? Błędzeniem! - perorował.

Po tych słowach wydał z siebie przeciągły krzyk, a potem zaczął tańczyć w dziwaczny sposób. Kiedy się uspokoił, stwierdził:

- Zastanawiacie się, co robię, a ja tymczasem zwracam wam uwagę na kluczowe sprawy. Bo w przesłaniu liczy się też forma przekazu!

- Słuchaj, dziadu, zachowujesz się jak obłąkany, a myślisz, że wyświadczasz Jezusowi przysługę, kreując się na jakiegoś kaznodzieję - zwróciłem się do niego, zebrawszy w sobie odwagę. - Ci szarlatani z amerykańskich telewizji są przynajmniej ubrani w eleganckie garnitury, a ty wyglądasz, jak jakiś zagubiony w czasoprzestrzeni pirat.

- Posłuchajcie, co powiedział! - Stary oskarżycielsko wyciągnął w moim kierunku palec. - Prześladowaj mnie, tak jak prześladowali Jego uczniów. Ale On widzi z góry i ocenia wszystko sprawiedliwie, nikt nie ujdzie jego karze!

- Kazania to słucham w kościele, a nie na ulicy od jakiegoś obłąkanego. Zobacz, co robisz, człowieku, antyreklamę, parodię. Ludzie śmieją się wokół, a ty wyobrażasz sobie, że wyświadczasz Chrystusowi przysługę. Czy to nie ironia? A może robisz to celowo? Może jesteś piątą kolumną? Może zaraz zaczniesz opowiadać, że Jezus umarł na palu?

Poczułem, że tracę nad sobą kontrolę.

- Bo umarł! Rzymianie nie znali przecież jeszcze krzyża! Krzyż dla wielu stał się symbolem, a jest przecież narzędziem zbrodni! - Dobrze znałem tego rodzaju bzdurną argumentację.

W jego głosie dała się odczuć niestychana pasja, a ja zdałem sobie sprawę, że nasza słowna szermierka wzbudziła ogólne zainteresowanie. Tymczasem Alex złapał się za głowę, jakby nie dowierzając temu, co działo się na jego oczach.

- Przyznaj się, kim jesteś, żadnym chrześcijaninem. Bądź szczery wobec ludzi, którzy cię słuchają. - Kontratakowałem.

- Ja tylko przekazuję Dobrą Nowinę. Sto czterdzieści cztery tysiące zbawionych! Jeszcze jest szansa, żebyś się załapał. Piekło albo niebo.

Pamiętaj - nie ma czyścica, nikt nie dostaje drugiej szansy! Opowiedzcie się po stronie zwycięzcy!

\*

Miałem już dosyć chorego świata Camden. Wydawało się, że jego kolorowa powłoka kryje w sobie jakąś zginiłą tajemnicę. Jednak przed powrotem do domu miałem jeszcze coś do załatwienia (o czym przypominał mi irytujący ciężar mojego plecaka). Sklep z zabawkami, do którego musiałem zajrzeć, znajdował się w okolicach Morning Crescent. Alex nie miał już dla mnie cierpliwości - odbił na wysokości metra.

- Chciałem zwrócić lalkę. - Położyłem na ladzie pudełko ze szkaradną zabawką. - Tu jest rachunek.

- Na jakiej podstawie? - Gruba, wyglądająca na zmęczoną życiem ekspedientka spojrzała na mnie z góry, już na wstępie odstawiając swój brak profesjonalizmu.

Poczułem się zupełnie, jakbym był w Polsce.

- Nie podobała się mojej... dziecku mojej przyjaciółki. Mogę prosić o zwrot pieniędzy?

- Niepodobanie się to niewystarczający powód do zwrotu pieniędzy - stwierdziła nieprzyjaznym tonem. - Jeśli towar nie jest wadliwy, nie podlega zwrotowi pieniędzy tylko wymianie.

- No dobrze, niech będzie więc wymiana, takie rozwiązanie też mnie urządza.

Bardzo zależało mi na tym, żeby załatwić sprawę lalki raz na zawsze. Byłem w stanie spełnić głupie zachcianki Brendy, żeby tylko uwolnić się od tego czarnego charakteru.

- Ale wymiana na co? Przecież towar nie jest wadliwy. - Obsługująca mnie kobieta stawiała się z każdą chwilą coraz bardziej uciążliwa.

- Chodzi o to... - chrząknąłem, zbierając w sobie odwagę - że kupiłem lalkę białą, to znaczy różową, a białą... w sensie rasowym... A mała nie chce białej. Rozumiesz?

- Pokręte te tłumaczenia. - Rzuciła mi pełne niechęci spojrzenie. - Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Zaraz poproszę menedżerkę.

- Poproś, może będzie bardziej kompetentna niż ty - powiedziałem pod nosem.

Zawołała z zaplecza jakąś dziewczynę, wyglądającą na Hinduskę. Ta podeszła i ukłoniła się miło, choć zarazem trochę mechanicznie.

Przedstawiłem jej pokrótce, na czym polega problem, a ona, przyjmując do wiadomości, to co powiedziałem, poszła sprawdzić coś na zapleczu. Nic dziwnego, że zrobili ją menedżerem, przynajmniej miała jakieś maniery). Wróciła za chwilę z nową lalką.

- Bardzo proszę. - Położyła pudełko na ladzie.

- Dziękuję, ale... ona mi wygląda na... Azjatkę, może mulatkę, a ja potrzebuję czarnej - rzekłem zmieszany.

- Co to za różnica, mówiłeś, żeby tylko była niebiała... - I ona zaczęła tracić cierpliwość.

- Nie wiedziałem, że jest taki szeroki wybór... - Rozłożyłem bezradnie ręce. - Skąd mogłem wiedzieć, że szaleństwo w tym kraju zatacza takie kręgi?

- Jakie szaleństwo? - Najwyraźniej nie rozumiała, o czym mówię.

- Masz jakiś problem z Asian Baby Doll?

- Nie mam z niczym problemu. To Anglia ma problem.

Zabrałem swoją nieszczęsną lalkę (tę białą) i rozgniewany wyszedłem ze sklepu.

## Filantropia

Czasami po zamknięciu sklepu zostawało nam mnóstwo jedzenia - pakowaliśmy je wtedy w olbrzymie czarne wory z przeznaczeniem na straty. Kiedyś podobno bawiliśmy się w *charity*, ale z uwagi na to, że żadnej organizacji charytatywnej nie chciało się tego jedzenia wieczorami ze sklepów zabierać, ostatecznie trafiało ono do pracowników albo było konsumowane przez szczury i gołębie na śmietniskach.

Któregoś dnia tknęło mnie, że skoro obdarowuję kanapkami i sałatkami Aleksa, Kasię i Luisa, którzy zarabiają przecież całkiem sensowne pieniądze, mógłbym zamiast tego zrobić dobry uczynek i wesprzeć jakichś żebraków, dla których taki gest znaczyłby naprawdę wiele. Oczywiście okazje ku temu przytrafiały się każdego dnia - tym razem, wracając z pracy, spotkałem bezdomnego przy bankomacie HSBC na Aldwych. Normalnie przeszedłbym na drugą stronę ulicy, ale tym razem zrobiłem coś zupełnie odwrotnego, przecież o to mi właśnie chodziło - żeby kogoś takiego spotkać.

- Masz jakieś drobne, kolego? - spytał z nadzieją, podchodząc do mnie.

- Nie, ale mogę cię poratować jedzeniem - zaproponowałem z promiennym uśmiechem na twarzy.

Bardziej byłbym zadowolony z pieniędzy... Powiedział to niby grzecznym tonem, ale przecież i tak była w tej sugestii niepojęta zuchwłość!

- Nie zrozum mnie źle, ale wydaje mi się, że nie masz właściwie wyboru - odrzekłem.

- Jak to? - Najwyraźniej udawał tępaka.

- Jeśli jesteś bezdomnym, zamieszkałym inaczej, żebrakiem, zarabiającym inaczej, czy jakkolwiek pragniesz, by cię nazywano, musisz chyba akceptować wszystko, co jest ci ofiarowywane - stwierdziłem z mentorską manierą w głosie.

- Niczego nie muszę. To jak, masz jakieś drobne?

Jego bezczelność wydawała się potęgować z każdą chwilą.

- Oczywiście, że nie musisz, ale powinieneś - zazaczyłem z uporem. - Dostrzegasz tę dystynkcję, czy przekracza to twoje intelektualne możliwości?

- Słuchaj koleś, nie marnuj mojego czasu, masz drobne, czy nie?

Miałem wyjątkowego pecha przy wyborze osoby, którą zamierzałem „uszcześliwić”.

- Przez chwilę miałem wielkie... serce. Ale przez takich jak ty znowu będę miał małe - rzuciłem w jego kierunku na odchodne, odbijając szybko w równoległą uliczkę.

\*

Nabrałem tyle jedzenia, że teraz stanąłem przed koniecznością pozbycia się go, nie tyle z dobroci serca, ile z praktycznych powodów - mój plecak pękał w szwach, a ludzie rzucali mi podejrzliwe spojrzenia, zupełnie jakbym niósł ze sobą jakiś ładunek wybuchowy domowej konstrukcji. Swoją drogą, strach pomyśleć, co by się stało, gdyby ktoś rzeczywiście wpadł na taki pomysł - przecież właściwie mogłem ten plecak wnieść do autobusu lub metra, i nikt, mimo że żyliśmy w epoce post jedenastego września, nie zwróciłyby mi uwagi. Z drugiej strony, trudno byłoby w praktyce zaostrzyć środki bezpieczeństwa w tym względzie, bo łatwo można byłoby popaść w paranoję.

Dlatego właśnie nie podróżowałem metrem, bojąc się, że jeśli kiedyś Londyn zostanie zaatakowany przez terrorystów, to stanie się to w tak prosty, a zarazem perfidny sposób. Jeśli bowiem założyć, że

zaatakują środki transportu, to na pewno na pierwszy ogień pójdzie metro. Trudno wszak było oczekiwać, żeby komuś przyszło do głowy robić z Anglii drugi Izrael i wysadzać się w autobusach.

Na Holbornie spotkałem jakiegoś łachmaniarza. Właściwie sam do niego podszedłem, postanawiając przejąć inicjatywę.

- Nie, nie, uprzedzam pytanie, nie mam pieniędzy, ale mogę ci dać coś do jedzenia!

- Chętnie - odpowiedział niespodziewanie.

- Proszę bardzo. - Otworzyłem plecak i sięgnąłem po kanapki. - Pracuję w Super Quality Foods. Sporo tego zostaje, po co miałbym wyrzucać, skoro mogę kogoś poratować, prawda?

- Słusznie, słusznie! - wykrzyknął, śliniąc się niemiłosiernie.

Niestety, wydawało mi się, że mimo iż trzymałem się od niego na dość bezpieczną odległość, opluł mnie. Przetarłem na wszelki wypadek twarz, choć zdawałem sobie sprawę, że jeśli był nosicielem czegoś, to i tak mogło być już za późno. Boże, a jeśli to prawda, że oni zawsze coś mają? Matka Teresa naprawdę zasługiwała na to, żeby wynieść ją na ołtarze... Nigdy nie zapomnę szoku, jaki przeżyłem, dowiedziawszy się, że była z pochodzenia Albanką.

- Kanapka z tuńczykiem. - Podałem mu ją w taki sposób, aby nasze dłonie nie zetknęły się przypadkiem.

- Z tuńczykiem? - Zaczął podejrzliwie przyglądać się zawiniątku.

- Z tuńczykiem - powtórzyłem. - Masz z tym jakiś problem? Z tuńczykiem przyjaznym delfinowi, dodam...

- Nie lubię tuńczyka - odparł, krzywiąc się niestosownie.

- Poczekaj. - Zajrzałem do plecaka. - Co tu jeszcze mamy? Nie, wybacz, kawioru z białugi akurat nie mam, śledzia marynowanego w sosie warzywnym też niestety brak. No cóż, chyba cię jednak nie zadowolę, tak mi przykro.

- Słuchaj, żarty sobie stroisz ze mnie? Nabijasz się z głodnego? - Oburzył się, a ja na wszelki wypadek odsunąłem się od niego na jeszcze bezpieczniejszą odległość.

- Gdybyś naprawdę był głodny, rzuciłbyś się na tego tuńczyka, jak lwy rzucały się na chrześcijan za czasów Nerona. Swoją drogą, gdyby wierzyć w reinkarnację, to można by uznać, że Neron i Hitler to jedna i ta sama osoba, która zamieniła tylko muzykę na obrazy, a chrześcijan na Żydów - stwierdziłem.



- Słuchaj, nie wiem, o czym ty w ogóle mówisz i o co ci chodzi. Masz coś innego? Nie chcę tuńczyka, bo mam na niego alergię, rozumiesz?

- Masz alergię? - spytałem z fałszywą troską w głosie. - Twój doktor ci to powiedział?

- Zawsze się źle czuję po tuńczyku, to jak to nazwiesz inaczej? Nie potrzeba mi na to orzeczenia lekarza, nie?

- A jak często jadasz tuńczyka, żeby miewać tego rodzaju spostrzeżenia? - pokpiwałem.

- Słuchaj, mam w dupie to twoje jedzenie i ciebie. Nie pierwszy raz pójde spać na głodnego i jakoś przetrwam do rana. Spierdalaj, palancie! - ryknął nagle wściekle.

- Powodzenia. - Machnąłem ręką zupełnie zrezygnowany.

Miałem już dość pomocy charytatywnej, tak na dzisiaj, jak prawdopodobnie na następne kilka lat. Tyle tylko, że na drodze stanął mi kolejny, tym razem czarny tramp, a ja naprawdę nie miałem ochoty ani się przekomarzać, ani tym bardziej znowu denerwować.

- Nie, nie mam reszty i przykro mi, trochę się spieszę - rzuciłem mechanicznie w jego kierunku, uprzedzając pytanie o jakieś drobne.

- A dla tamtego kolesia miałeś czas - odrzekł z wyrzutem, prezentując zarazem silny francuski akcent. - Bialemu Angolowi to byłeś w stanie coś dać, ale czarnemu już nie. Pieprzony rasista z ciebie.

- Posłuchaj, po pierwsze, to nic mu nie dałem, a po drugie rozumiem cię bardziej niż jego. On jest w tym kraju gospodarzem, a mimo to stoczył się na dno... To znaczy... nie powiodło mu się, wylądował na ulicy. Ale my, my jesteśmy imigranci, dla nas wszystko jest z założenia trudniejsze... Chciałbym, żebyś wiedział, że to wiem! - Próbo- wałem go uspokoić.

- Więc tym bardziej powinniśmy sobie pomagać! Masz jakieś drobne? - Wyciągnął w moim kierunku dłoń.

Tak naprawdę to skłamałem. Byłem w stanie prędzej pomóc Anglikowi, i to niezależnie od jego koloru skóry - w końcu to w jego kraju byłem gościem (mimo że tkwiłby w tego rodzaju akcie okrutny, podwójny paradoks) - niż komuś, komu nie byłem nic winien z perspektywy ekonomii wdzięczności, pomijając oczywiście sam wymiar moralny pomocy.

- Rozumiem, świetnie cię rozumiem. Ale nie mogę ci pomóc. - Rozłożyłem bezradnie ręce.

- Jeśli tak mnie rozumiesz, to czemu nie możesz mnie poratować pierdoloną pięćdziesięciopensówką? - Stawał się agresywny.

- Bo nie - odpowiedziałem poirytowany. - Wolę sobie kupić snickersa. Miłego wieczoru na świeżym powietrzu. To podobno dobrze robi na krążenie.

\*

do [tomasz\\_pl@yahoo.co.uk](mailto:tomasz_pl@yahoo.co.uk)

od [ania.perucka2@wp.pl](mailto:ania.perucka2@wp.pl)

Tomku,

Kiedy przeczytałam o tym, jak wzięłeś jedzenie po to tylko, żeby je rozdać ubogim, poczułam się szczerze wzruszona. Myślę, że masz naprawdę dobre serce i jesteś wartościowym człowiekiem, i że los wynagrodzi Ci to szybciej niż się spodziewasz.

Chciałam, żebyś wiedział, co o Tobie myślę. Jestem z Ciebie dumna, Tomaszu.

Anka

## Tango dla trojga

Zadzwonili do mnie z Music Box, sieci sklepów muzycznych, wyrażając zainteresowanie moją osobą. Bardzo cieszyłem się z takiego obrotu spraw, choć musiałem jeszcze znaleźć sposób na wzięcie wolnego z pracy, żebym w ogóle mógł się w Music Box pojawić - a było to o tyle trudne, że miałem to zrobić niemal z dnia na dzień, bez jakiegось sensownego wyprzedzenia.

- Anthony, nie czuję się dzisiaj najlepiej - Kłamałem przez telefon.  
- Co ci jest? - Bardziej sprawdzał, niż troszczył się o mnie - chłodny głos nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości co do intencji.

- Mam jakieś bóle z prawej strony, coś mnie kłuje. Nie wiem, czy to wyrostek, czy kolka nerkowa... - Jęczałem w teatralny sposób. - Chyba powinienem zostać w domu.

- Kolka nerkowa... - powtórzył beznamiętnie. - I tak mieliśmy kogoś wysłać do domu, bo mało ostatnio klientów, więc niech ci będzie.

\*

Rozmowa kwalifikacyjna w Music Box przebiegła bardzo pomyślnie - poprowadziła ją niejaka Kate, sympatyczna kobieta, mniej więcej w moim wieku. Wymieniłem z nią poglądy na temat tego, co wydarzyło się w muzyce w ciągu ostatnich dziesięciu lat i to w sumie wystarczyło, żebym mocno przypadł jej do gustu.

- Wydaje się, że trzymasz rękę na pulsie i będziesz pasował do naszego zespołu - podsumowała życzliwie. - Musisz jeszcze przejść dzień próbny, ale to czysta formalność.

Rzuciłem jej pełne wdzięczności spojrzenie. Jeśli na tak zwanym początku swojego pobytu w Londynie miałem pracować w czymś znacznie poniżej swoich możliwości i kwalifikacji, to chciałem przynajmniej, żeby było to zajęcie, które mogłoby mi potencjalnie sprawiać odrobinę frajdy - jak bycie asystentem w sklepie płytowym na przykład.

- Nie ma co zwlekać, staw się jutro na czwartą, przyjeżdża Late Night Tale na występ w naszym sklepie przy Oxford Street. Wiesz, trzeba nam dodatkowych ludzi, żeby się odpowiednio przygotować na ich minikoncert, a potem sesję autografów - oznajmiła Kate.

- Na czwartą... - Przypomniało mi się, że następnego dnia pracowałem do piątej.

- Mówiłeś, że nie masz żadnych zobowiązań... - Rzuciła mi badawcze spojrzenie. - W CV napisałeś, że jesteś obecnie bezrobotny.

- Bo nie mam, bo jestem! Czwarta, świetnie, będę na miejscu - odezwałem się entuzjastycznie, robiąc dobrą minę do złej gry.

- Do zobaczenia więc. - Wyciągnęła w moim kierunku dłoń, uznając rozmowę za zakończoną. - Do jutra.

- Jeszcze jedno. - Spojrzałem na nią pytająco, zbierając się do wyjścia. - Late Night Tale? Wybacz mi ignorancję, ale co to takiego? Nigdy nie słyszałem. Brzmi jak jakiś pretensjonalny pompatyczny twór...

- To nowy zespół, wydali na razie dwa single, cała płyta za miesiąc. Jeden ze specjalistycznych magazynów nazwał ich nową nadzieją na wskrzeszenie art rocka - poinformowała.

- O Boże. - Westchnąłem ciężko. - Nie znoszę art rocka. Przerost formy nad treścią. W latach siedemdziesiątych to miało jeszcze sens, ale dzisiaj? Trupa się nie reanimuje, wiesz o co chodzi? Te niekończące się solówki na tle podkładów klawiszowych, jakby wziętych ze

ścieżki dźwiękowej jakiejś gry komputerowej. Te teksty z głębią wyrzuć jakiegoś młodego człowieka, który zamiast koncentrować się na nauce w szkole średniej, prowadzi zapiski w swoim dzienniku i układa plany zbawienia świata oraz rozpamiętuje miłość z czasów, kiedy jeszcze nie miał pojęcia, na czym ona polega... Spójrz na Marillion z Fishem, kiedy to jeszcze miało sens, a na Marillion z Hogarthem - ten drugi męczy się tak niemiłosiernie, kiedy śpiewa, że aż przychodzi mi to na myśl potrąconego przez mojego sąsiada psa, którego dolna połowa była kupą zmiażdżonych kości i flaków, a górna jeszcze szczekała, a może skowyczała, prosząc, aby ktoś dobił go w swoim miłosierdziu.

- Dobrze, już dobrze. Do zobaczenia jutro. - Wydawała się mnie zbywać. - I pamiętaj - pozytywne nastawienie to coś, czego oczekuje my od naszych obecnych i przyszłych członków zespołu!

\*

Następnego dnia w pracy, około drugiej, złapałem się teatralnie za prawy bok i zacząłem zwijać z bólu.

- Co ci jest? - Anthony patrzył na mnie bardzo podejrzliwie.  
- Ten przeklęty bok... Znowu ten przeszywający ból... - odpowiedziałem, starając się być maksymalnie przekonujący.

- Usiądź na chwilę - polecił.  
- Chyba lepiej będzie, jeśli pójdę do domu - odparłem, siadając na schodach.

- Odwieźć cię? - zaoferował się.  
Popatrzyłem na niego z uznaniem - może jednak miał w sobie jakieś uczucia.

- Nie, poradzę sobie jakoś - odrzekłem, raz jeszcze wykrzywiając twarz w grymasie bólu. - Jak tylko dowlokę się do autobusu, to będzie dobrze...

Nie wyglądało na to, żeby mi wierzył, ale nie miało to już żadnego znaczenia. Musiałem się uwolnić od tego miejsca i tych ludzi.

\*

O trzeciej byłem już w sklepie muzycznym.

- Dobrze, że jesteś, Thomas. Jak się masz? - przywitała mnie Kate.  
- Znakomicie - odparłem. - Szczerze mówiąc, jestem dość podekscytowany.

- Cieszę się. Więc zacznijmy! Pomóż chłopakom organizować scenę, potem miejsce do podpisywania singla. Spodziewamy się przynajmniej stu fanów. Popatrz, co niektórzy kręcą się już w koszulkach.

- Kate wydawała się przejęta.

- W koszulkach? - spytałem z niedowierzaniem. - Za moich czasów, żeby dorobić się swojej nazwy na koszulce, trzeba było być kultowym, a teraz wystarczą dwa single, trochę marketingu i już gotowe!

- Tak, tak. Upewnij się, że koło stolika znajduje się wystarczająco dużo singli. Porozmawiamy później.

Wiedziałem, że to kolejny znak, żebym przestał nadawać. Posłusznie zabrałem się więc do pracy, uznając, że lepiej dać sobie na wstrzymanie z moimi niezbyt życzliwymi komentarzami pod adresem gości.

Kiedy już wszystko zostało przygotowane, dekoracja ustawiona, a scena oświetlona, grupa Late Night Tale - przy entuzjazmie, jak szacowałem, osiemdziesięciu osób - wyszła na scenę i bez specjalnego zaangażowania odegrała trzy krótkie jak na art rock kompozycje. Graли dokładnie tak, jak się tego można było spodziewać - nudno, na jedną modłę i wszystko tonało w pretensjonalnym patosie. Potem „młodzi gniewni” zajęli miejsca przy stole, gotowi składać swoje autografy na wydanych właśnie drugim singlu formacji. Ciekawe, czy utwór wejdzie do drugiej setki zestawienia?

Wraz z security i innymi pracownikami mieliśmy zorganizować i uporządkować proces rozdawania autografów tak, żeby przebiegł dość szybko, a przy tym, żeby uniknąć typowego dla wszelkich zgromadzeń chaosu.

- No gdzie się pchasz, jakbyś samego Davida Beckhama widziała - zrugałem jakąś ubraną na czarno grubą nastolatkę. - Za dwa miesiące o nich zapomnisz...

- Odczep się - odpowiedziała, wpatrując się we mnie z taką nienawiścią, jakbym zbezcześcił właśnie jakąś świętą ikonę jej czarnej religii.

Kiedy sesja autografów wreszcie minęła, było już grubo po szóstej. Nieszczęśliwie „artyści” byli nad wyraz rozmowni, zdając sobie zapewne sprawę, że taka okazja może się już szybko nie powtórzyć, szczególnie kiedy na światło dzienne wyjdą wyniki sprzedaży. Już w pomieszczeniu pracowniczym zagadnąłem jednego z członków Late Night Tale.

- Wybacz, że zapytam, ale czy naprawdę myślisz, że jesteście w sta nie wskrzesić art rocka? - Starłem się zachować pełną powagę, zadając to pytanie.

Spojrzał na mnie z góry, prawie tak, jakby miał status Boba Dylana albo Cliffa Richarda, a potem, po chwili namysłu, zdecydował się łaskawie odpowiedzieć:

- Nie tylko myślę, ale jestem wręcz pewien. Istnieje ku temu potrzeba. Zobacz, ci ludzie, którzy dzisiaj przyszli, oni najwyraźniej też w to wierzą... - odparł.

- Wybacz, ale ci ludzie przyszli tutaj posłuchać darmowej muzyki i zdobyć autograf kogoś, kogo nazwy - z całym szacunkiem - nie znają albo, w najlepszym wypadku, zapomną zaraz po wyjściu ze sklepu - odrzekłem polemicznie. - Chyba za wcześnie na plany podboju świata... Late Night Tale...

- Nie podoba ci się nasza nazwa? - spytał lekko obruszony drugi z członków zespołu.

- Nie miałem na myśli nazwy, ale skoro już o tym wspominasz... Late Night Tale - to byłoby dobre na tytuł płyty, ale niekoniecznie na nazwę zespołu. Dlaczego nie nazwaliście się jednym słowem? Jak Marillion na przykład? Albo dwoma, jak Dream Theatre.

- Thomas! - Kate szturchnęła mnie porozumiewawczo w ramię.

- Najważniejsze, że ludziom się podoba muzyka, że do nich trafia - zwrócił się do mnie muzyk formacji.

- No nie, brzmienie macie całkiem przyzwoite, coś jak tribute band Pendragonu, który zdecydował się grać trochę ciężiej niż ich pierwowzór. - Przybrałem manierę surowego recenzenta płytowego, jednego z takich oceniających płyty, których nigdy wcześniej i nigdy później nie słyszeli.

- Do ciężkiej cholery - zdenerwował się drugi z muzyków. - Nie przyjechaliśmy tutaj, żeby obrażał nas jakiś sprzedawca płyt...

- Bardzo przepraszam. Ja... Proszę się nie irytować... - Kate nie mogła znaleźć słów, żeby wybrnąć z tej niezręcznej dla niej sytuacji, która dla mnie jawiła się po prostu jako męska wymiana zdań. - Thomas, chodź na zewnątrz. A panowie, zechciejcie tutaj zostać, ochrona zaraz przyniesie napoje.

Wyszliśmy razem z Kate. Wiedziałem, że czeka mnie połajanka.

- Zupełnie nie wiem, co w ciebie wstąpiło - rzekła do mnie wzburzona. - Wiesz, ile czasu zajęło nam wynegocjowanie ich przyjazdu? Wiesz, jak ważne jest dla naszego managementu, żeby ściągać do sklepu znane twarze na minikoncerty, tak jak robią to Virgin albo HMV?

W momencie kiedy wypowiadała te słowa, z przerażeniem odnotowałem, że wśród grupy klientów stojących przy kasach, a więc w

sumie niedaleko miejsca, w którym się teraz znajdowaliśmy, stał Ahmed.

- Nie powinniśmy prowadzić tego rodzaju dyskusji na oczach klientów - szepnąłem do Kate. - Może wejdziemy z powrotem do środka?

Ale było już za późno...

- Tomasz? - Ahmed spojrział na mnie wzrokiem żądającym wyjaśnień. - Słyszałem, że się źle czujesz. Widzę, że szybko wydobrzałeś!

- Sorry, Ahmed. Musiałem użyć jakiegoś pretekstu, żeby zobaczyć Late Night Tale, nową gwiazdę artrockowej sceny. - Wstydliwie spuściłem wzrok.

- Late Night Tale? Kto nazywa tak głupio swój zespół? Jeśli ich muzyka brzmi równie pretensjonalnie jak nazwa, to naprawdę nie było powodu, żebyś stracił dwie godziny pracy i ryzykował dyscyplinarną akcją... - wycedził Ahmed.

- O czym on mówi? - spytała mnie całkiem skonfundowana Kate.

- A nic takiego... - Zaczerwieniłem się, nie wiedząc zupełnie, jak z tego wszystkiego teraz wybrnąć.

- Zapomnij o pracy dla nas - zdecydowała rozgniewana Kate. - Dostyć robienia ze mnie głupka! Oddawaj koszulkę, no już!

- Co robisz w koszulce Music Box? - dopytywał się z kolei Ahmed (w ten sposób znalazłem się między młotem a kowadłem). - Pracowałeś dla Music Box? Przecież podpisałeś zobowiązanie, że Super Quality Foods będzie twoim jedynym pracodawcą...

- I tak właśnie jest - Broniłem się. - Ahmed, wszystko ci wytłumaczę, tylko spokojnie...

Zdjąłem koszulkę i podałem ją Kate, która niemal wyrwała mi ją z ręki, a następnie obróciła się na pięcie i odeszła rozwścieczona.

- Gdybyś zmieniła zdanie, wiesz gdzie mnie szukać! - krzyknąłem w jej kierunku (tak na wszelki wypadek).

\*

Staliśmy na zewnątrz z Ahmedem i rozmawialiśmy szczerze o wszystkim - postanowiłem zostawić za sobą tanią farsę, w jakiej jeszcze przed chwilą uczestniczyłem. Równy chłopak, czułem, że mogę mu zaufać, chociaż obiektywnie rzecz biorąc, zupełna szczerość, na jaką się wobec niego zdobyłem, była błędem taktycznym.

- Niepotrzebnie się zniechęcasz do Super Quality Foods - stwierdził mentorskim tonem. - Wiem, co czujesz jako wykształcony człowiek, bo sam mam turecki dyplom z ekonomii. Ale pamiętaj, wykorzystaj ten

czas dobrze, nawet jeśli wydaje ci się, że to głupia i kompromitująca praca. Postaw sobie cele i zaciśnij zęby, udawaj, że jesteś częścią tego wszystkiego - dla rekomendacji, dla jakiegoś - dla ciebie być może nic nieznaczącego - ale ogólnie mogącego się przydać tytułu w CV. Stań się częścią systemu i walcz o awans, choć w głębi duszy żywisz do tego głęboką pogardę.

- Awans... Nie wiem, czy ktoś mnie tu doceni. Wątpię...

- Zrośnij się z ręką, która cię karmi - radził cynicznie.

Słuchałem go uważnie, ale w pewnym momencie zaczęła mnie intrygować postać karlicy w dużym kapeluszu, idącej w naszą stronę.

- Popatrz. - Trąciłem Ahmeda w łokieć, rzucając ostentacyjne spojrzenie w kierunku zjawiskowej osoby.

- Nie macie karłów w Polsce? - Wzruszył ramionami. - Nie wiem, skąd u ciebie tyle emocji na widok cudzego kalectwa?

- Mamy. - Zaśmiałem się. - Ale nie noszą bynajmniej dużych kapeluszy.

- Jeśli ludzie normalni... regularni mają swoje ekstrawagancje, to czemu nie mogą ich mieć karły? - zapytał retorycznie Ahmed.

- Ale czy ktoś, komu zależy, a przynajmniej powinno zależeć na tym, żeby nie przyciągać specjalnej uwagi, robi tego rodzaju rzeczy, żeby tę uwagę na siebie sprowadzić? - skwitowałem polemicznie.

- Może kapelusz zasłania jej twarz i w ten sposób unika spojrzeń - zasugerował Ahmed.

- Ona i tak unika spojrzeń, bo po prostu jest za niska, żeby widzieć wzrok innych - odrzekłem szyderczo. - Mnie bardziej chodzi o samą świadomość tych spojrzeń...

- Muszę już iść. - Ahmed popatrzył wymownie na zegarek. - Do zobaczenia w pracy. Miło było cię spotkać.

To ostatnie powiedział nie bez złośliwej satysfakcji.

## Sting me

Zbliżał się koncert Stinga, taki przedświąteczny deser, jedna z tych rzeczy, dla których mój pobyt w Londynie nabierał gwałtownie sensu.



Oczywiście moje szczęście było zezowate - z przerażeniem stwierdziłem, że nie mogę znaleźć rachunku, który upoważniał mnie do odbioru biletu. Przewróciłem swój pokój do góry nogami, znajdując przy okazji tysiące innych, zgubionych wcześniej rzeczy, ale tego, czego w tym momencie naprawdę potrzebowałem, za cholerę nie potrafiłem zlokalizować. Wyczuliłem na sprawę Aleksa i Kasię, ale oni tylko kolejno obojętnie wzruszyli ramionami, nie okazując mi wcale współczucia, czy nawet krzty zrozumienia.

Musiałem się koniecznie skoncentrować - pozbyć się paniki, jaka mnie ogarnęła. Nie, nie przypominałem sobie, żebym wkładał go w jakieś szczególne miejsce. Trzeba było dokonać rekonstrukcji wydarzenia: poszedłem do StarTicket z Alekssem, miałem na sobie tę ortalionową kurtkę, bo chyba wtedy padał deszcz. Ortalionową kurtkę... I wtedy do mnie dotarło w sposób nieuchronny - Oxfam! Rachunek musiał zostać w kieszeni kurtki, którą za namową Aleksa oddałem do sklepu charytatywnego. Nie miałem ani chwili do stracenia, musiałem działać, co prawda od tamtego czasu upłynęło już kilka tygodni, ale przecież, jakimś cudem, jeszcze mogło nie być za późno!

\*

Dokładnie przeszukiwałem sterty ciuchów w nieszczęsnym Oxfamie. Przeglądałem zawartość koszów, szalałem wśród wieszaków, nerwowo wodziłem dookoła wzrokiem. Musiałem tym na siebie zwrócić uwagę, bo nobliwa starsza pani opuściła swoje stanowisko przy kasie i rzuciwszy mi nadopiekuńcze spojrzenie, spytała mnie, czy może w czymś pomóc.

- Szukam kurtki ortalionowej, czegoś ciepłego, ale zarazem lekkiego... - bąknąłem nieśmiało.

- A, ktoś kupił coś takiego za dwa funty wczoraj - odrzekła po chwili zastanowienia.

- Naprawdę? - Serce zabiło mi mocniej. - Jakiego koloru?

- Ciemna chyba, jeśli dobrze pamiętam.

- Nie wie pani, kto to był? - Oddychałem ciężko.

- A skąd mogę wiedzieć, młody człowieku? Nie prowadzimy rejestracji naszych klientów. Tu przychodzą przecież setki osób dziennie.

- Kurwa - zakląłem cicho.

- Co, proszę?

- Nic takiego. Dziękuję za pomoc. A na zapleczu też trzymacie jakieś rzeczy? Jakbym coś ofiarował kilka tygodni temu, to kiedy trafiłoby do sklepu? - dopytywałem się.

- Nie wiem, do czego zmierzasz... - Jej uprzejmość ustępowała zniecierpliwieniu.

- Po prostu interesuje mnie, czy macie na składzie jeszcze jakieś kurtki ortalionowe.

- Nie sędzę, ale zawsze możesz przyjść i sprawdzić. Jak uznamy, że coś nadaje się na sprzedaż, to wystawimy. Taka odpowiedź cię zadowala?

- Dziękuję. - Ukłoniłem się mechanicznie. - Doceniam pani pomoc. Wiedziałem, że nic tutaj już nie wskóram. Ale nie wszystko było jeszcze stracone...

\*

- Nie, zdjęcie zrobione przed naszą agencją nie stanowi bynajmniej dowodu zakupu biletu, nawet w sposób pośredni - powiedziała do mnie tonem pełnym fałszywej powagi pracownica StarTicket.

- Ale ja ciebie dokładnie pamiętam. Byłaś tutaj tego dnia, a obsługiwała mnie taka czarna dziewczyna z dużymi wargami. - Wskazałem palcem na Murzynkę siedzącą w rogu pomieszczenia.

- Czarna dziewczyna z dużymi wargami? Nie musisz być bezczelny, Adema nie zasługuje na tego rodzaju określenia - ofuknęła mnie rozmówczyni, patrząc na mnie wzrokiem pełnym oburzenia.

- A widzisz. - Punktowałem palcem wskazującym - Więc jednak dobrze kojarzę!

- To niczego nie udowadnia - odrzekła obojętnie. - Dowodem zapłaty pozostaje niezmiennie rachunek.

- Zobacz, to zdjęcie z Keane. - Trzęsącą się dłonią wydobyłem z kieszeni fotografię. - Uwierz mi, miałem bilety w kurtce, którą za namową przyjaciela oddałem do Oxfamu, chcąc zrobić dobry uczynek po tym, jak uraziłem weterana wojennego w polskim kościele... Potem mi się przypomniało, ale ktoś tę kurtkę wykupił i... Nie każ mi płacić za dobre serce...

Poczułem się upokorzony - nie dość, że tłumaczyłem się jak uczeń, właściwie bezwstydnie skamlałem, to jeszcze zdawałem sobie sprawę, że jestem przy tym zupełnie niewiarygodny, a moje desperackie wyjaśnienia musiały brzmieć żałośnie. Ale czy w tej sytuacji miałem jakiegokolwiek inne wyjście?

- To nie jest nikt z Keane. - Parsknęła nagle śmiechem, dobijając mnie. - To ma być ktoś z Keane? Dobre...

- Chcesz powiedzieć, że on nie jest z Keane? - Zrobiłem wielkie oczy.

- Oczywiście, że nie. - Przejechała paznokciem po wiszącym na ścianie plakacie z datami koncertów zespołu. - Znajdź sto różnic pomiędzy obrazkami. Poza tym, nie oglądałaś nigdy „Władcy pierścieni”?

- Dobrze... Już nigdy nie dam się nabrać na pieprzonych sobowtów... Nieważne. Poproszę jeden bilet na Stinga. Płacę gotówką.

Wziąłem się w garść, godząc się ostatecznie ze swoją finansową stratą.

- Jeden? - spytała ze zdziwieniem w głosie.

- Tak, jeden - powtórzyłem z naciskiem. - Co w tym dziwnego?

- Tak tylko pytam, normalnie ludzie kupują dwa plus...

- Ale ja powiedziałem chyba dość wyraźnie, że jeden! - Poirytowany kręciłem głową.

- Ja tylko się upewniałam, okej? Chyba nie będziesz mnie uczył obsługi klienta, co?

- Ale po co się upewniałaś - tego nie rozumiem. Teraz będę się czuł jak jakaś ciota, która nie ma z kim iść na koncert! O to ci chodziło? To właśnie chciałaś mi dać do zrozumienia? - spytałem podniesionym tonem.

- Ja tu sprzedaję bilety, a nie przemycam myśli pomiędzy wierszami, a to, co ty odczytujesz w moich pytaniach, to już twój problem - ripostowała.

- Ale obowiązuje cię wrażliwość. Nie wiesz na przykład, czy moja dziewczyna ode mnie nie odeszła albo nie zginęła, wpadając pod dwupiętrowy autobus prowadzony przez niedoświadczonego Litwina. A może mój najlepszy przyjaciel podciął sobie żyły z powodu narzeczonej i nie może dotrzymać mi towarzystwa? Nieważne, daj mi po prostu ten bilet i już nie wnioskujmy, dlaczego idę na koncert sam, okej?

Rzuciła mi niechętnie spojrzenie i zaczęła przeszukiwać jakąś korpę.

- Nie ma, przykro mi, wygląda na to, że wczoraj rano sprzedaliśmy ostatnie dwa bilety. - Jej słowa miały precyzję chirurgicznego skalpela.

Rozłożyła bezradnie ręce, a ja miałem wrażenie, że - mimo iż jej wrogość przeszła w obojętność czy też, jak kto woli, chłodny profesjonalizm - ona po prostu cynicznie kłamała, chcąc się na mnie zemścić za wcześniejsze uwagi.

- Spróbuj szczęścia u koników - dodała po chwili z kamienną twarzą.

- Oczywiście, że też sam o tym nie pomyślałem - odpowiedziałem z ironią.

Pozostało mi już tylko jedno - obrócić się o sto osiemdziesiąt lub, jakby to określił były prezydent, o trzysta sześćdziesiąt stopni.

- Zabrałem ci dużo czasu, wiem, że ludzie czekają, przepraszam, ale pozwól mi mieć jedyną prośbę... - W jednej chwili stałem się uprzejmy i pokorny.

- Jaka? - spytała, rzucając mi badawcze spojrzenie.

Zapisałem na karteczce swój numer telefonu i podsunąłem jej.

- Jeśli przypadkiem zobaczyłabyś kogoś w ortalionowej kurtce, kto przychodzi wymienić rachunek na bilet, proszę, przekaz mu ten numer i poproś, żeby się ze mną pilnie skontaktował.

\*

- Kasiu, nie widziałaś przypadkiem mojego rachunkobiletu na Stinga. Może gdzieś rzucił ci się w oczy? - spytałem ugrzecznionym tonem współlokatorkę.

- Nie. - Obojętnie wzruszyła ramionami. - Jakies papiery leżały na podłodze, to wyrzuciłam, ale to nie było chyba nic ważnego...

- Chyba? Wyrzucasz papiery, nie upewniwszy się, że to nic ważnego? - Momentalnie wyprowadziła mnie z równowagi.

- W tym domu jest burdel, gdyby nie ja, zatonęlibyśmy w śmieciach - stwierdziła. - A ty masz jeszcze czelność kazać mi pytać cię o każdy papier, zanim go wyrzucę? Na drugi raz sam po sobie będziesz sprzątał...

- Nie matkuj mi. - Zdenerwowałem się. - Chodzi tylko o ten bilet.

- Nie, nie pamiętam, żeby to był bilet, chyba nie... Biletu bym raczej nie wyrzuciła...

- Chyba? Raczej? Spróbuj sobie przypomnieć, do ciężkiej cholery!

- Mam go wymyślić? - Puknęła się w czoło. - Jesteś... nie do zniesienia. To dlatego zamykasz się teraz na cztery spusty i sprawdzasz dziesiątki razy drzwi? Myślisz, że ktoś kradnie albo niszczy twoje rzeczy, innit?

~ Nie wygłupiaj się... I przestań mi zajeżdzać tym slangiem. Wkurwia mnie to jebane „innit”.

- Jesteś stuknięty, Tomek. Żal mi ciebie.

- A ty sobie co wyobrażasz? - Czuję, że muszę natychmiast przejść do kontrofensywy. - Sprowadzasz do domu kogo chcesz i żądasz ode mnie, żebym miał do tych twoich koleśi nieograniczone zaufanie? Jaka mam pewność, że tak jak penetrują ciebie, równie chętnie nie spenetrowaliby szuflad w moim pokoju?

- Ale z ciebie zero... Ja pierdołę... - Kręciła głową. - Aha, zanim pójdę, jeszcze jedno mam ci do powiedzenia - bądź pewien, że jak znajdę twój bilet, to podrę go na strzępy albo sprzedam jakimś konikom.

- Kasia, nie wygłupiaj się, wiesz jak mi zależy na tym koncercie...  
- Wystraszyłem się jej groźby.

- Idź sobie wypal trawę, zrób chill outa, zwał konia, bo naprawdę źle z tobą. Palant!

- W dupie mam chill outy - wyrwało mi się. - Wystarczy, że ty jesteś często zjarana i nie wiesz, co robisz na realu. Nie możesz sobie przypomnieć, co wyrzuciłaś? Takie to trudne? Rusz tą pustą głową, no błagam cię!

- Tak, a żebyś wiedział, że wyrzuciłam twój bilet. Pierdolony paranoik!

Wyszła z kuchni, trzaskając mi przed nosem drzwiami. Nie sądzę, żeby mówiła prawdę. Choć po niej wszystkiego można było się spodziewać.

## Lap-wtopa

Luis wbiegł do domu w uniformie traffic wardena, łapiąc oddech. Momentalnie przekręcił klucz w drzwiach, a zaraz potem pociągnął kilkakrotnie nerwowo za klamkę, upewniając się, że na pewno żaden intruz nie będzie w stanie wejść do środka. Dziwne, obsesyjne pociąganie za klamkę to raczej moja domena...

- Wszystko w porządku? - zapytałem.

Podparł się na mnie, z trudem zachowując równowagę.

- Gonili mnie. Skurwysyny...

- Za co? Za mandat, czy za wygląd? - dociekałem.

- Czasami mam tego dość - powiedział płaczliwym głosem. - Najpierw błagali, żebym ich nie karał mandatem, bo „tylko na chwilę”, a kiedy odparłem, że nie robię dla nikogo wyjątków, nawet dla ubogich czarnych z przedmieścia, najpierw mnie opluli, a potem rzucili się na mnie z pięściami. Zerwałem się do ucieczki, a oni za mną. Matko święta, to musieli być jacyś Jamajczycy, bo biegali nie gorzej niż Ben Johnson.

- To jakim cudem zdołałeś uciec? - zastanawiałem się. - Nikt z twoją wagą nie uciekłby Jamajczykom.

- Akurat przejeżdżał radiowóz, napastnicy zwolnili, bo bali się, że policja się nimi zainteresuje, a ja wykorzystałem okazję i odbiłem w boczną uliczkę - wyjaśnił.

- Powinieneś zawiadomić policję - poradziłem. - Nie możesz im tego darować. To zwyczajny bandytyzm. Jak im puścisz płazem, to znowu zaatakują, ciebie albo któregoś z twoich kolegów.

- Codziennie nas znieważają, opluwają, atakują - mówił załamany głosem. - Już mi się znudziło donosić na policję, i tak nic z tego nie wynika. W tym mieście uchodzą płazem okrutne morderstwa, a co dopiero prześladowanie traffic wardenów, których i tak wszyscy nienawidzą! Wiesz, że w niektórych restauracjach wywiesza się nawet kartki: **zakaz wstępu dla psów i traffic wardenów**? Pseudoartyści urządzają nawet happeningi - „wymierz sprawiedliwość traffic wardenowi”, w których kukły z naszymi podobiznami okłada się młotkiem! A jak pytają znanych ludzi w „Evening Standard”, co by zrobili, gdyby dane im było przez jeden dzień pełnić funkcję burmistrza Londynu, to mówią, że natychmiast zwolniliby wszystkich traffic wardenów albo kazali im nago chodzić po ulicach. A jak tu się litować, sam powiedz, skoro nasi zwierzchnicy rozliczają nas z ilości ukaranych?

W jego głosie zaczynała pobrzmiwać nutka hysterii. Jeszcze tego brakowało, żeby oprócz cierpień młodego Alextera, przypadło mi w udziale wysłuchiwanie bajdurzeń jakiegoś Hiszpana, który za swoje ryzyko był przecież całkiem nieźle opłacany. Był to dogodny moment, żeby go dobić.

- Słuchaj, a może to nie przypadek, może ta firma, u której wygrałeś dożywotnio wodę, postanowiła się ciebie pozbyć i zaaranżowała wszystko tak, żeby wyglądało na zemstę na traffic wardenie? - Wygłosiłem tę niepoważną hipotezę chłodnym tonem, żeby brzmieć maksymalnie wiarygodnie.

- Nie... To by wymagało sporego nakładu... Chyba sam w to nie wierzysz? - Rzucił mi badawcze spojrzenie.

- Posłuchaj, wynajęcie kilku chłystków jest znacznie tańsze niż kilkaset butelek wody rocznie pomnożone przez... no nie wiem... powiedzmy trzydzieści - kalkulowałem, z trudem zachowując kamienną twarz.

- Dlaczego trzydzieści? - Zmartwił się. - Sądziś, że dożyję tylko sześćdziesiątki? Dlaczego tak mówisz?

- Tak mi się tylko powiedziało. - Machnąłem ręką. - W końcu ichnia woda będzie oczyszczać ci nerki. Spokojnie możesz pociągnąć do osiemdziesiątki.

W ostatniej chwili stłumiłem w sobie wybuch śmiechu, postanawiając cynicznie kontynuować tę niecną grę.

- Ale z drugiej strony, z tym ciągłym stresem o twoje życie... No nie wiem, Luis. Naprawdę trudno mi szacować...

Wstyd się przyznać, ale czerpałem z jego panicznych reakcji sadystryczną przyjemność. Może jednak moja matka miała rację - może rzeczywiście był ze mnie kawał skurwysyna.

\*

Alex wrócił do domu kompletnie rozbity. Nigdy wcześniej nie widziałem go w tak fatalnym stanie. Wszystko wskazywało na to, że kolejny akt narzeczeńskiej tragedii wisiał w powietrzu.

- Alex...

Spojrzałem na niego wzrokiem tak współczującym, jak i domagającym się natychmiastowego przedstawienia sytuacji.

- Straciłem pięćset funtów... - powiedział wprost, bez stopniowania napięcia.

- Jak to? Wysłałeś jej w geście rozpaczy pierścionek zaręczynowy ze szmaragdami?

- Byłem na Holbornie... Podjechali do mnie... Luksusowy peugot, dwóch gości w garniturach... Powiedzieli, że mają fajnego laptopa na sprzedaż... Wzięli mnie do samochodu... Pokazali. Byłem pod wrażeniem... takie parametry! Za pięćset funtów... - bełkotał.

- Nie wydawało ci się to wówczas podejrzane? Kto jeździ samochodem, sprzedając laptopy? - Puknąłem się w czoło.

- Oni uprzedzili moje pytania, wyjaśniając, że to... no wiesz... że wypadło z transportu...

- Wypadło z transportu? A więc z pełną świadomością chciałeś zostać paserem? - Oskarżycielsko wyciągnąłem w jego kierunku palec.

- Dokonałiśmy transakcji, ja poszedłem wypłacić pieniądze... Niestety, w banku zgodzili się na przekroczenie limitu dziennej wypłaty... Dostałem laptopa z torbą, torba gratis... Zobacz, Tomek, zobacz...

Otworzył torbę, a z jej wnętrza wysypały się ziemniaki. Potem wybuchnął płaczem - szlochał niczym małe dziecko, które dowiedziało się, że jego ulubionego misia już nie da się zszyć, i że znalazł nowy domek w koszu na śmieci.

\*

do [ania.perucka2@wp.pl](mailto:ania.perucka2@wp.pl) od  
[tomasz\\_pl@yahoo.co.uk](mailto:tomasz_pl@yahoo.co.uk)

Aniu,

Uwielbiam „Hotel Zacisze”. Basil był zabawnym neurotykiem, z którym tak łatwo mi się utożsamić.

Kiedy przyjaciel poinformował mnie, że oszukano go na kilkaset funtów i w torbę zamiast laptopa wpakowano mu ziemniaki, zastanawiałem się, jak w takiej sytuacji zareagowałby Basil. I pomyślałem sobie, że zaproponowałby mojemu koledze wspólną grę na komputerze dla rozluźnienia i zaczął rzucać w jego kierunku tymiż kartoflami.

Tak też zrobiłem. Alex się do mnie nie odzywa. Jutro rozejrzę się za frytkownicą.

Pozdrawiam ciepłutko,  
Tomasz

## Niedzielną historia

Naszym landlordem, czyli wynajmującym, był niejaki Rudi, z pochodzenia, a także - jeśli tylko wierzyć Hitlerowi - z wyglądu Niemiec. Przychodził co niedziela po swoje pieniądze, dokładnie je przeliczał, nie wdając się przy tym w żadne rozmowy. Jak tylko któreś z nas wspomniało, że czegoś potrzebujemy albo mamy do niego pytanie, wówczas niemal wybiegał z domu, wymyślając jakieś absurdalne tłumaczenia w rodzaju: spieszy się na spotkanie z prawnikiem (który prawnik przyjmuje w niedzielę?) albo musi odebrać syna, który pojechał na mecz Tottenhamu (od kiedy to mecze Premiership kończą się o godzinie dwunastej?). Ale, ogólnie rzecz biorąc, jego obojętność bardzo sobie ceniliśmy, gdyż pozostawiała nam ona całkowitą niezależność - jak długo on dostawał swoje pieniądze, tak długo nie interesowało go, co dzieje się w jego mieszkaniu. Mogliśmy więc na przykład kogoś przenocować bez zbędnych konsultacji. Kasia robiła to zresztą niemal co noc, nie odmawiając swoim gościom dosłownie



niczego. Jedynym natrętnym zastrzeżeniem, jakie formułował Rudi, było to, żeby żadne z nas nie ważyło się trzymać w domu zwierzęcia.

Któręś niedzieli przedzwonił do nas, informując, że wyjątkowo nie będzie mógł stawić się po odbiór czynszu - zamiast niego pojawi się jego syn Jurgen. Podobno ojciec Rudiego zasnął wczoraj wieczorem podczas spektaklu na West Endzie i wylądował w szpitalu. Rudi pojechał go odwiedzić, dowiedziawszy się, że to podobno jakaś grubsza sprawa.

- I jak go rozpoznamy? - głowiłem się, starając sobie wyobrazić, jak może wyglądać Jurgen. - Przecież nie wręczymy pieniędzy pierwsze mu lepszemu nieznanemu, który na pytanie, czy jest Jurgenem, odpowie twierdząco...

Alex tymczasem był przebrany w strój butlera, gotowy do wyjścia do pracy.

- Moją działkę znajdziesz w koszyku w kuchni. Muszę iść - powiedział, zmiierzając w kierunku drzwi.

- Wejdziesz i przedstawi się, inni? - wtrąciła się Kasia.

- A jak się nie przedstawi? - panikowałem. - Może ty wręczysz mu pieniądze, co? Dlaczego wiesz ja mam załatwiać takie sprawy? A co, jeśli weźmie pieniądze, a ojcu powie, że nie wziął albo były niekompletne? Pytanie, komu uwierzy ojciec, komu uwierzycie wy?

- Oj, daj spokój. Take it easy, człowieku. Poradzisz sobie. Ja zaraz wychodzę do chłopaka, nie mogę się spóźnić - stwierdziła, patrząc na zegar. - Czy ty naprawdę ze wszystkiego musisz robić problemy?

- A Luis? - Przypomniało mi się. - Niech on to zrobi! Co ja jestem, kurwa, stójkowy?

- Luisa nie ma. - Westchnął Alex. - Poszedł w teren wlepić mandaty.

Spojrzałem z ukosa na Kasię.

- Mogłabyś zostać - odezwałem się do niej. - Uwiodłabyś go i namówiła, żeby przekonał ojca do opuszczenia czynszu. Opuszczenie za spuszczenie.

- Świetny plan - odpowiedziała z sarkazmem. - Ale ja nie znoszę Niemców, oni nie szanują Polek, uważają je za tani towar. Nie wiedziałeś o tym?

- Tylko Niemcy? A z kim się teraz spotykasz, bo już straciłem wątek?

- Z Eskimosem dla odmiany? - rzucił Alex, chwytając za kłamkę.

- Lepiej idź już na pociąg, głupi butlerze, bo jeszcze się spóźnisz, albo najlepiej połóż się na torach i czekaj, zrobisz nam wszystkim big favour - odszczekała Kasia.

- Chyba zwariowałaś! Chciałabyś, żebyśmy dzielili czynsz między trójkę zamiast czwórki? - Zdobyłem się na odrobinę czarnego humoru.

- Kasia, pilnuj swoich spraw, niedługo encyklopedia zmieści ci się między nogami, tak będziesz poluzowana - dodał na odchodne Alex, a zaraz potem wyszedł, trzaskając demonstracyjnie drzwiami.

- Palant! - syknęła, kierując się w stronę swojego pokoju. - Dłatego właśnie nie umawiam się z Polakami. Chuje i buracy.

\*

Zabrział dzwonek - natychmiast uruchomiłem w swoim odtwarzaczu MP3 funkcję nagrywania, schowałem go do kieszeni i zbiegłem po schodach, aby otworzyć drzwi. Ujrzałem wysokiego blondyna, na oko dwudziestolatka, o dość sympatycznej aparycji.

- Jurgen - przedstawił się.

Wyciągnął w moim kierunku wypięlegnowaną dłoń, którą lekko uściśnąłem.

- Wejdiesz, napisz się czegoś? - zaproponowałem z grzeczności.

- Tylko na chwilę, nie zabiorę dużo czasu - odpowiedział, wchodząc do środka.

- To może zacznijmy od formalności. Dwadzieścia, czterdzieści, sześćdziesiąt, osiemdziesiąt, sto, sto dwadzieścia, sto czterdzieści, sto sześćdziesiąt, sto osiemdziesiąt, dwieście, dwieście dwadzieścia, dwieście czterdzieści...

Przeliczyłem każdy banknot, upewniając się po raz n-ty, że nic nie zostało nadpłacone.

- Zgadza się, Jurgen? - zapytałem dla potwierdzenia. - Na pokrycie od pierwszego do siódmego września. Pierwszego września, cóż za przypadek, heh.

- Tak, oczywiście - odpowiedział, zupełnie ignorując moją rocznicową wzmiankę. - Zgadza się.

Przeprosiłem go wówczas na chwilę, po czym zniknąłem w kuchni, gdzie wyłączyłem dyskretnie sprzęt nagrywający.

- Jak się czuje dziadek? - spytałem z troską w głosie. - Słyszałem, że zasłabł podczas spektaklu na West Endzie? Na co poszedł, na „Ka baret”? Napisz się czegoś?

- Nie, nic nie rób. Czas na mnie. Mam spotkanie z przyjacielem...  
- Przyjaciel zapewne mógłby poczekać pięć minut - odparłem. - Mamy kilka próśb, ale twój tata jest zawsze zbyt zajęty, żeby nas wysłuchać. Może więc mógłbyś sporządzić listę rzeczy, które mamy do przekazania twojemu ojcu?

- Jednak pójdę, Max nie lubi za długo czekać. Staje się wówczas taki opryskliwy i niedelikatny... Ile można siedzieć w samochodzie i rozwiązywać sudoku, hehe... - Jurgen skierował się ku wyjściu.

- Ja nie rozwiązywałbym tego nawet na leżać - powiedziałem chłodno. - Jak można układać liczby? Po co je w pierwszej kolejności rozpraszać? To tak, jak gdzieś kiedyś czytałem, nie pamiętam dokładnie kto, ale chyba Wałęsa - kojarzysz Wałęsę - powiedział do węgierskich studentów: „podzielcie się, żeby się zjednoczyć”. Tak samo z tymi liczbami - po co tworzyć ich kombinację, a potem dekompletować, żeby potem znowu składać je w całość? I jak może być fascynujące zastanawianie się nad możliwościami, rozpatrywanie ich w rzędach, kolumnach, frustrowanie się?

- Słuchaj, naprawdę muszę iść. Do zobaczenia przy następnej okazji... Miło było cię poznać, ale Max jest naprawdę niecierpliwy...

\*

- Nie mam nic w lodówce - stwierdziłem rozczarowany, zaglądając do środka. - Dobrze, że chociaż Ibisz nie wyskoczył, jeszcze w Anglii by go brakowało.

- I co ty teraz zrobisz? - spytał z nutką fałszywej troski Alex. - Znowu będziesz jadł chleb z cukrem?

- Nie wiem, nie chce mi się wychodzić z domu, poza tym zawsze unikałem zakupów w supermarketach w niedzielę - odrzekłem. - Pamiętaj, żebyś dzień święty święcił...

- Przecież co niedzielę chodzisz przeglądać płyty, kupować gazety - jaką więc różnicę zrobi kupienie płatków, mleka i kilku bananów, czyli twojego zwykłego zestawu obiadowego?

- Chodzenie po sklepach a właściwe zakupy nie wychwytyjesz różnicy? - podjąłem wątek.

- Dla mnie to jedno i to samo, nawet jeśli akurat mnie to nie obchodzi. Zakaz to zakaz, nieprawdaż?

- Zakazane jest pracować i podejmować wysiłek, a nie czerpać przyjemność z chodzenia po sklepach. Nie chodzisz do kościoła w

niedzielę, a jesteś niby taki kurewsko dogmatyczny! - Zdenerwowałem się.

- Ja opieram się na swoim sumieniu, ty z kolei wiesz, że robisz coś nie tak, ale szukasz usprawiedliwień za wszelką cenę.

- Gówno prawda. Po prostu ty jesteś dogmatyczny, a ja jestem logiczny.

- Ty jesteś wybiórczy, a nie logiczny, to chyba jeszcze gorsze.

- Odpoczywam, chodząc po sklepach, rozumiesz? - Ciskałem się.

- Ale oni nie odpoczywają, pracując i będąc zmuszonymi wysłuchiwać twoich męczących pytań o japońskie edycje singli Stinga. Przez takich jak ty po prostu ktoś tam musi być i łamać zakaz pracy w niedzielę. Jesteś winny współudziału, nie umywaj więc teraz ręk, bo i tak śmierdzisz kupą.

Nie podobało mi się, z jaką łatwością przychodziło mu przełamywanie mojej obrony; nie podobało mi się, że nagle okazałem się w jakimś tam sensie winny, chciałem więc ciągnąć ten wątek, dopóki nie wyjdzie na moje, jednak Alex rozbudził w sobie na nowo Wertera i pogrążył się w rozmyślaniach. Nietrudno zgadnąć, kto był ich przedmiotem. Dumał zapewne nad tym, co mogła robić w to niedzielne popołudnie. A co mnie przychodziło do głowy? Wróciła pewnie z kościoła, poszła po zakupy do Tesco, umówiła się na kawę z jakimś dupkiem, ten zaprosił ją na film Zanussiego, który ściągnął z internetu, żeby zaimponować jej dobrym gustem, a potem, gdzieś w połowie, stwierdzili, że to właściwie straszliwa nuda i lepiej będzie, jak zamiast podziwiać talent aktorski Zapasiewiczza, przetestują nową sofę.

Tymczasem biedny, poczciwy Alex siedział w Londynie i bił się ze swoimi myślami i swoim koniem.

## Przełom

Od czasu do czasu przeglądałem oferty zatrudnienia w job centre, czyli angielskim urzędzie pracy. Co prawda niektórzy twierdzili, że żaden szanujący się pracodawca w dobie powszechnego internetu nie zamieszcza informacji o wakatach w bazach danych, na które rzucają się raczej zdesperowani bezrobotni niż wartościowa czy też wykwalifikowana

siła robocza, ale według mnie było to niebezpieczne uogólnienie. Zresztą, co by nie powiedzieć, fajne te ich urzędy pracy - naprawdę starają się pomóc i przynajmniej nikt tutaj nikomu nie wywiesi za pięć drugą karteczki, że przerwa od drugiej do kwadrans po drugiej, zatrzaśniętą jednocześnie okienko przed nosem, jak to bywa w Polsce.

Któręś dnia znalazłem ciekawą ofertę - praca biurowa, dość dobra pensja, biuro w samym City, gdzieś w okolicach Liverpool Street - szczęśliwie atrybuty personalne były dla nich ważniejsze niż samo doświadczenie. Skontaktowałem się z nimi za pośrednictwem job centre, faksując im swoje CV - niespodziewanie wyrazili zainteresowanie moją osobą i kazali mi przyjechać następnego dnia na rozmowę wstępną.

Miałem właściwie dwie opcje do rozważenia - złamać swoje zasady i pojechać metrem albo wstać naprawdę wcześniej i z dużym wyprzedzeniem czasowym tłuc się autobusami. Oczywiście wybrałem to drugie. Rano zadzwoniłem do pracy i poinformowałem Ahmeda, że nie przyjdę, bo w nocy rzygałem i czuję się bardzo niepewnie, cierpiąc prawdopodobnie z powodu zatrucia pokarmowego.

- Rzygałeś całą noc? - spytał nieoczekiwanie.

- Nie, kilka razy w ciągu nocy - odpowiedziałem z lekka poirytowany. - Żeby rzygać całą noc, musiałbym poprzedniego dnia nie robić nic oprócz jedzenia kebabów...

- Zadzwonił później, tak za godzinę, do Anthony'ego - polecił. - Nie mogę udawać, że ci wierzę. Procedury, Tomasz.

- Człowieku, ja leżę w łóżku, bojąc się, że mi znowu coś żółtego wyleci z ust, a ty mi każesz czuwać godzinę, jakbyś nie mógł przekazać Anthony'emu prostej informacji. - Nie kryłem swojego rozgoryczenia jego upierdliwością i przywiązaniem do regulaminu.

- Zasady obowiązują wszystkich, po prostu nie chcę, żebyś dostał ostrzeżenie. Wiesz, że zależy mi na twojej osobie...

- Dobra, skoro tak, trzymaj za mnie kciuki - wyrwało mi się.

- Kciuki? O czym ty mówisz? - spytał podejrzliwie.

- No, żebym wyzdrowiał oczywiście - bąknąłem pospiesznie.

\*

Ruszyłem z Holloway, gdzie mieszkałem - nawet nie musiałem czekać, bo akurat nadjeżdżał autobus numer 43, który kierował się na Angel Islington. Szczęśliwie Holloway Road było względnie odkorkowane, niestety jednak co przystanek jakaś pinda naciskała „stop” i

autobus zatrzymywał się raz po raz, dosłownie co kilkanaście metrów. Zastanawiałem się, dlaczego ten nieszczęsny 43 miał tyle przystanków po drodze. Przecież odległości pomiędzy nimi są naprawdę tak małe, że można je spokojnie pokonać na piechotę w pół minuty! Gdyby nikt nie wysiadał, istniałaby realna szansa, że kierowca zignoruje machających na niego ludzi oczekujących na przystanku i pojedzie dalej, żeby oszczędzić na czasie, a może wręcz znaleźć sadystyczną przyjemność w komplikowaniu cudzych planów (w końcu kierowcy autobusów nie byli wyjątkiem od reguły, że nawet płotki chełpią się swoją ograniczoną władzą nad innymi). Robili to zresztą dość często. Wiem, że z perspektywy kompletnie zignorowanego człowieka czekającego na autobus wygląda to na ohydny beczelność, ale z punktu widzenia tego, kto jest już na pokładzie i śpieszy się na ważne spotkanie, jest to oczywista oszczędność czasu.

341, następny w kolejności, to miała być szybka, krótka trasa, żeby dotrzeć na Fleet Street. Typowe - jak się człowiek spieszy, to przyjeżdża dokładnie to, na co on i e czeka. Taka londyńska specjalność. Kilka czwórek pod rząd, 476, 19, 38, znowu 19, tylko nie cholerny 341. W końcu przyjechał, tyle że oczywiście Out of service i wojna nerwów zaczęła się od początku. Spojrzenie na stację metra Angel, pokusa, żeby jednak z niego skorzystać i zakończyć całą tę nerwówkę z pierdolonymi autobusami (choć, być może kiedy w końcu bym tam nim dojechał, byłbym tak roztrzęsiony, że zapomniałbym, jak się nazywam i w jakim celu się pojawiłem).

Ostatecznie po prawie dwudziestu minutach czekania pojawił się. Miałem ochotę żądać wyjaśnień ze strony kierowcy, ale przecież i tak niczego bym w ten sposób nie osiągnął. Dziesiątki tysięcy skarg, które wpływały do zarządu transportu, nie robiły na nikim najmniejszego wrażenia. Taki był ten cudowny londyński transport, który przodował w różnych zestawieniach europejskich.

Teraz dla odmiany dopadły mnie korki na zwykle dość przejezdnej Rosebery Avenue. Spowodowane były jakimiś robotami drogowymi. Czasami miało się ochotę wybiec z autobusu (być może dlatego właśnie planowano likwidację routemasterów, żeby jacyś frustraci nie wybiegali w korkach - w sposób absolutnie nieodpowiedzialny na zewnątrz - ryzykując życie, a tym samym narażając przewoźnika na procesy sądowe) i po prostu przebyć resztę trasy piechotą, wierząc, że tak będzie dużo szybciej. Na dodatek w autobusie panował straszliwy tłok, taki, że dosłownie było czuć pot współpasażerów i dotyk

wszehobecných ludzkich kończyn. Jednak kilka następnych przystanków i autobus dość znacznie się opróżnił. Wtedy to właśnie, osobiście mając komfort miejsca siedzącego, dostrzegłem niedaleko mnie znajomą twarz - dziadek ze śmiesznie przystrzyżoną brodą, z widocznym orzełkiem i biało-czerwona flagą wpiętymi w klapę marynarki. Stał, podpierając się laską. Zignorować go? W końcu wcześniej mnie obraził... Ale przecież to ja wtedy zacząłem i nawet jeśli jego reakcja była histeryczna, to właściwie mogłem sobie wówczas darować nie stosowne do okoliczności uwagi, które, będąc zacznym polemiki, stały się czymś więcej - narzędziem zadającym ból, bezlitośnie desakralizującym i demitologizującym życie kogoś, kto paradoksalnie czerpał ze swojej martyrologii siłę.

- Może pan usiądzie? - zaproponowałem po polsku.

Najpierw spojrział na mnie zdumiony, a potem wpakował się błyskawicznie na moje miejsce, tak jakby bał się, że jeszcze mogę zmienić zdanie.

- Jak żadna czarnucha nie podniesie tyłka, żeby ustąpić miejsca staremu człowiekowi, to Bóg mu zsyła rodaka. Dziękuję. Tyłu was tu teraz przyjechało, aż się wierzyć nie chce. Ale to z drugiej strony dobrze, że udało się nam, staremu pokoleniu, to dla was wywalczyć. Nie zapominaj, że gdyby nie tacy bohaterowie jak mój brat, który zginął w bitwie o Anglię, gdyby nie zabiegi emigracji - to myśmy przecież fundowali pierwsze polskie kościoły na tej ziemi - wówczas nie wszystko byłoby wam tak podane na tacy... - perorował zawzięcie.

Z trudem wstrzymałem śmiech. Uważnie mi się przypatrywał - nie wiem, może się zdradziłem, a może coś instynktownie wyczuł. Co też mogło mu teraz chodzić po głowie? Zastanawiał się pewnie, czy już mnie gdzieś przypadkiem nie widział, a może po prostu zwęszył semickie rysy?

- Mam wrażenie, że cię kiedyś widziałem - powiedział mrużąc oczy.

- Być może w kościele...

- Nie mogę sobie dokładnie przypomnieć... - Wyteżał pamięć. - Nieważne, teraz wysiadam.

- Co za zbieg okoliczności, ja też wysiadam - odrzekłem, naciskając przycisk stopu.

Jakież było moje zdziwienie, kiedy po zatrzymaniu autobusu usłyszałem irytujące pikanie, które sygnalizowało rozwijanie podjazdu dla niepełnosprawnych. Wtedy doszło do mnie, że wcisnąłem ten specjalny niebieski przycisk przeznaczony dla inwalidów. Mimowolnie zaśmiałem się ze swojej pomyłki. Dziadek weteran kuśtykał wolno w

kierunku drzwi, jednocześnie patrząc na mnie wzrokiem żądającym wyjaśnień, zupełnie tak, jakby dopatrywał się w tym wszystkim jakiegoś chamskiego podtekstu. Kiedy podjazd rozwinął się wreszcie, zniecierpliwiony kierowca krzyknął do skonfundowanego staruszka:

- To dla ciebie? Po co wciskałeś ten przycisk, przecież trudniej ci będzie teraz wyjść z łaską!

- Co on mówi? Nie rozumiem go - powiedział się do siebie dziadek. - No co za idiota, jak ja niby mam teraz wysiąść?

Zaśmiałem się głośno, nie mogąc się dłużej powstrzymać. Stary wyciągnął w moim kierunku łaskę.

- To ty to wcisnąłeś! - Zaczął mi wymachiwać łaską przed oczyma. - Nabijasz się z mojego niedołęstwa! Ty bezczelny... Zaraz, zaraz... Już sobie przypominam, skąd cię znam... Wtedy w kościele, to ty... To ty zszargałeś pamięć mojego brata...

- Zszargałem pamięć pańskiego brata? To jakiś obłąd, ale nie zamierzam z panem dyskutować, tym bardziej że spieszę się na rozmowę kwalifikacyjną, a wszyscy czekają, aż opuści pan autobus.

- To jak: wychodzisz, czy mam związać podjazd? - odezwał się kierowca, jakby chcąc potwierdzić moje słowa.

- Poniesiesz porażkę, cokolwiek masz w planach. Zaklinam cię - syknął złowieszczo stary, nie przestając wymachiwać łaską.

\*

Rozmowę kwalifikacyjną przeprowadzał ze mną jakiś zmanierowany Szkot. Kręcił się w swoim fotelu, to wyglądając przez okno, to dokarmiając rybki w akwarium, to rzucając mi jakieś dziwne, niezrozumiałe spojrzenia. Zadawał mi pytania, ale trudno było stwierdzić, czy przysłuchiwał się samym odpowiedziom. Szło o moje doświadczenie, wykształcenie, zalety - słowem: rutyna. Odpowiadałem zdecydowanie, tam gdzie było trzeba, odpowiednio koloryzując. Poinformował mnie, że na razie potrzebują kogoś na zastępstwo, ale jeśli się sprawdzę, będę mógł objąć tę pozycję na stałe albo przenieść się do ich biura na Croydonie. Wyglądało więc na to, że jednak dostanę tę pracę. Nie posiadałem się z radości, ale hamowałem w sobie okazywanie przedwczesnego entuzjazmu.

Szkot wyciągnął w moim kierunku dłoń, najwyraźniej chcąc przypieczętować mój sukces. Już miałem ją uściśnąć, kiedy dostrzegłem, że część jego paznokci ma dziwnie brunatny kolor. Nie, nie mogłem



się mylić, zbyt dobrze znałem ten widok - to musiała być grzybica. Delikatnie odsunąłem rękę i podniosłem się z miejsca.

- Z gratulacjami poczekajmy. - Uśmiechnąłem się fałszywie. - Jak się sprawdzę i zostanę zaakceptowany, to wtedy zasłużę na uścisk dłoni

Myślałem, że w ten elegancki sposób wybrnę z niezręcznej sytuacji, ale oczywiście myliłem się, bo on trwał tak z wyciągniętą dłonią i wpatrując się we mnie wyczekująco, nie pozostawiał mi specjalnie wyboru.

- No dalej. Na początek dobrej współpracy...

- Wybacz, ale jestem przesądny. - Broniłem się zawzięcie.

- Do ciężkiej cholery, ściskasz tę dłoń, czy mam poprosić następną osobę na rozmowę?

\*

Nie, nie! Wolałem żyć ze świadomością zmarnowanej życiowej szansy, niż przechodzić ponownie grzybicę, prosić matkę, żeby wysłała mi w paczkach wszystkie te obrzydliwe maści, lakiery; palić skarpetki i ulubione buty. Tego bym już po raz drugi nie zniósł.

\*

Stałem koło Aldwych, oczekując na 341, kiedy poczułem, że ktoś klepnął mnie w ramię. Odwróciłem się - była to Sonia. Jeszcze tylko jej mi do szczęścia brakowało...

- Słyszałam, że źle się czujesz dzisiaj i dlatego nie przyjechałeś do pracy... - W jej głosie dała się wyczuć oczywista ironia.

- Tak, istotnie, rzygałem całą noc - odpowiedziałem.

- Całą noc? - Przyglądała mi się uważnie.

- No kilka razy w ciągu nocy, wiadomo... Postanowiłem się teraz trochę przewietrzyć, kupić sobie jakieś leki, no wiesz... - bełkotałem.

- Daleko cię zagnało. To na Holloway nie ma aptek? Dobrze wyglądasz w tym garniturze... Postanowiłeś przy okazji oświadczyć się córce aptekarza?

- Mój autobus. - Odetchnąłem z ulgą, wpatrując się w nadjeżdżający 341.

- Do jutra, Tomasz. Powodzenia na rozmowie kwalifikacyjnej. Zasługujesz na coś lepszego niż Super Quality Foods.

\*

Kiedy byłem już w autobusie, zadzwonił telefon. Podekscytowany Alex poinformował mnie, że jest teraz na Holbornie i zauważył zielonego

peugeot - był święcie przekonany, że jest to dokładnie ten sam samochód, z którego sprzedano mu ziemniaczanego laptopa.

- Co mam zrobić? Powiedz, co mam zrobić? - domagał się ode mnie rady.

- Słuchaj, przecież nie podejdziesz do nich i nie złożysz reklamacji - stwierdziłem z ironią. - „Przepraszam, ale chyba nastąpiła jakaś pomyłka, daliście mi kartofle zamiast laptopa”! Z kolei jak wezwiesz policję, to się wszystkiego wyprą i jak im cokolwiek udowodnisz? Nie powiesz przecież „Sorry, zgubiłem rachunek, ale twarze pasują”. A jeszcze potem, nie daj Boże, dostaniesz po mordzie... Wiesz co - mam inny pomysł - weź klucz od domu i porysuj im karoserię samochodu. Sprawiedliwości stanie się zadość... Możesz nawet napisać: „Pierdolę was skurwysyny”. Jestem pewien, że oszukali już tylu ludzi, że nie będą nawet starali się odgadnąć, kto za tym stoi...

## **Miniepilog**

Alex został aresztowany za niszczenie cudzej własności. Okazało się, że samochód należał do jakiegoś starszego hinduskiego małżeństwa i dlatego policjanci badali w pierwszej kolejności, czy jego czyn ma bardziej znamiona wandalizmu, czy też może wybryku rasistowskiego.

Mój przyjaciel został ukarany grzywną, a oprócz tego obiecał starszkom pokryć koszty odnowy samochodu. Do utraconych pięciuset funtów dopisał więc kolejne kilkanaście setek.

## **Halloween**

Podczas gdy my w Polsce w pierwsze dni listopada (niektórzy jeszcze wcześniej) odwiedzamy cmentarze, myślimy o bliskich i znajomych, którzy odeszli stąd do wieczności, Amerykanie, a teraz także co bardziej postępowi Europejczycy, wolą poświęcać czas na wydrążanie dziur w dyniach albo oglądanie po raz osiemdziesiąty trzeci

carpenterowskich horrorów. Wielką uciechę mają też dzieciaki - biegając jak dzicz, poprzebierane za jakieś maskarony, diabły czy też wampiry, zaczepiają nieznanym, krzyżąc *treat or trick* i dopraszają się o słodycze lub jakiś grosik. Infantylnie to, że aż głowa boli, ale skoro współczesny świat woli nie myśleć o śmierci, a zamiast tego imprezować i płać się w głupocie, to nie ma co się dziwić, że tak dobrze się to halloweenowe szaleństwo przyjmuje.

W takim Camden Town obchodzono Halloween niemal codziennie - ulice pełne dziwnie wyglądających mężczyzn oraz kobiet, poprzebieranych i umalowanych w taki sposób, że wydawało się, iż gdzieś tu odbywa się jakiś rytualny sabat.

Tak się złożyło, że cała nasza polska trójka (ja, Alex i Kasia) miała w ostatni dzień października i pierwszego listopada wolne. Kasia postanowiła wziąć się za sprzątanie, ale średnio jej to wychodziło - już po dziesięciu minutach złamała miotłę, a chwilę później strąciła z kuchennego parapetu ulubiony doniczkowy kwiat Aleksa.

- Kurwa! - krzyknął Alex, widząc jak z jego okazałej roślinki powstała kombinacja potłuczonej doniczki, połamanych liści i rozsypanej ziemi.

- To tylko głupi kwiat, innit? *Take it easy!*

- Ty głupia pindo! - zdenerwował się mój przyjaciel. - Nic nie umiesz, tylko nogi rozkładać...

- Się znalazł... Jak tam twoje poroże? Postaw se na parapecie zamiast kwiatka. - Zaśmiała się szyderczo.

- Ty jesteś sama jak kwiatek, który wszyscy zapyłają - wtrąciłem się, broniąc Aleksa przed zniewagami.

- Odezwał się ten, co potrafi zapylić jedynie ściek prysznic - odpyskowała.

- Idź lepiej do one pound shopu odkupić miotłę - poleciłem. - Tylko na niej nie odleć! Mamy co prawda Halloween, ale ty nie musisz się zaraz ujawniać...

- Dobra, dobra, pieprzyć roślinkę. - Alex wyciągnął ręce w pojedynczym geście. - Przecież nie spędzimy tego wieczoru, kłócąc się. Może byśmy gdzieś wyszli, na przykład do kina?

- Kto wychodzi w Halloween do kina? - zastanawiałem się głośno.

- Przecież na naszych oczach dzieje się cyrk...

Weszliśmy do Poundlandu.

- Mieliśmy się rozerwać, a nie robić zakupy w one pound shopie. - Alex okazywał zniecierpliwienie. - Jak Kasia kupi miotłę, to co? Będziemy tak łązić z tą miotłą po całej okolicy?

- A kto mówi, że kupię miotłę? - obruszyła się Kasia. - Przyszłam tu po kosmetyki.

Zaśmiałem się mimowolnie.

- Zawsze miała styl - powiedziałem szeptem do Aleksa. - Jakie kosmetyki, tacy amanci.

W czasie kiedy Kasia przebierała wśród produktów sekcji drogeryjnej, ja wraz z Alekssem zabijaliśmy czas, komentując wszystko, co zwróciło w sposób szczególny naszą uwagę.

- Patrz, kondomy o smaku czekolady. - Zauważyłem śmiesznie opakowane prezerwatywy.

- Jeden funt za paczkę, czy za sztukę? - Zainteresował się Alex.

- Daj spokój, nie można ryzykować aż tak, kupując kondomy nieznannej firmy w jednofuntowym sklepie. To jak kupowanie biletu do Falludży - nigdy nie wiesz, co z tego wyjdzie...

Przeszliśmy dalej, do sektora majsterkowiczów, gdzie Alex odnalazł mnóstwo interesujących go akcesoriów.

- Cały komplet śrubokrętów tylko za funta! Biorę go! Patrz, jaka fajna piłka do metalu! Przyda się! - Ekscytował się bez najmniejszego zażenowania.

- Na cholerę ci to? Zwariowałaś, czy co? Co będziesz z tym robił? Przecież ty nawet nie potrafisz złożyć deski do prasowania!

Puknąłem się w czoło z dezaprobatą, a on, jakby zawstydzony, odłożył towar z powrotem na półkę. Ale później było tak samo - gdziekolwiek się ruszyliśmy, Alex znajdował wyborne okazje, głośno dając temu wyraz, a ja musiałem hamować jego entuzjazm, jednocześnie rozglądając się, czy przypadkiem nikt znajomy nie jest świadkiem tych zawstydzających scen.

- Gdzie jest Kasia? - zapytałem, bezskutecznie wypatrując wśród lokatorki.

Wyszliśmy sprawdzić przed sklepem.

- Tam jest! - Alex trącił mnie łokciem. - Widzisz? Koło przystanku, rozmawia z jakimś Bangladeszem... Koleś ma pewne stukanko. No to zostało nas dwóch. Idziemy do kina?

- Nie chce mi się - powiedziałem sennym głosem. - Wracam do domu.

- To idę sam. - Obruszył się Alex. - Na razie.

- Kto chodzi sam do kina? Nie rób sobie wstydu. - Pokręciłem głowę w geście dezaprobaty.

Ostatecznie więc każdy z nas skierował się w swoją stronę. Wspólne wyjście okazało się kompletną porażką, a jakby tego było mało, to kilkanaście metrów dalej oblaży mnie jeszcze jakieś murzyńskie dzieciaki, które krzyczały *trick or treat*, wymachując mi przed oczyma plastikowymi szablami. W pobliżu stała gruba matrona, również czarnoskóra, prawdopodobnie ich matka. Zamiast opieprzyć je za zaczepianie nieznanym, jak uczyniłaby każda rozsądna matka, wydawała się z satysfakcją przyglądać całemu zajściu, najprawdopodobniej czekając aż ustąpię i dam im jakiś pieniążek. A może to ona nakłoniła je do tego wszystkiego i dorabia sobie w ten niecny sposób do pomocy społecznej?

- Proszę je ode mnie zabrać - odezwałem się w końcu, zebrawszy w sobie odwagę.

Jej reakcja była zdumiewająca - słysząc moją uwagę, sama odpowiedziała oburzeniem:

- Dałby dzieciakom po funciaku, to nic by się nie stało.

- Po funciaku? - powtórzyłem rozsierdzony. - Wiesz, co mogę za dwa funty kupić w pobliskim sklepie? Sensowny zestaw śrubokrętów i piłkę do metalu albo dezodorant i dwie paczki kondomów! Daj mi spokój, kobieto, i zabierz swoje bachory.

- Pieprzony rasista - syknęła z obrzydzeniem. - Gdyby były białe, to byś nie żałował, co?

- Bzdura! - Jej bezczelność była bezprecedensowa. - Mogłyby być zielone, a i tak bym nic nie dał. Choć zielonym się nie odmawia, bo jak cię wciągną do swojego obiektu siłą, to nigdy nie masz pewności, że wrócisz w jednym kawałku.

- O czym ty mówisz? Nie dość, że skąpy i rasista, to jeszcze wariat! - Moja odpowiedź wydawała się ją przerastać.

- Sama jesteś wariatką! - odkrzyknąłem. - Stań sobie z dziećmi koło bankomatu i krzycz: *Spare change*, jak to robią żebracy, a nie udajesz, że celebrujesz święto Halloween.

- Spierdalaj - rzuciła z nienawiścią w moją stronę, przy czym jej wulgarność wzbudziła dziki entuzjazm dzieciaków.

\*

Czekoladowe kondomy; czasami targała mną obsesyjna ciekawość, nieugięta wola, żeby badać, przekonywać się, sprawdzać. Sta-  
nałem i zastanawiałem się, czy nie zawrócić.

\*

Znowu zaatakowała mnie chmara bachorów, tym razem tuż przy domu. Wrzeszczały niemiłosiernie: trick or treat - jakiś chłopaczek, nie-intencjonalnie blady jak trup, z plastikową kosą w ręku, dziewczynka z maską wampirzycy, na przemian to chichocząca, to wydająca z siebie żałosne pomruki oraz trzecie dziecko, o trudnej do zdefiniowania płci, przebrane za wilkołaka.

- Nic nie mam - odpowiedziałem dyplomatycznie, starając się za chować spokój. - Nie uwierzycie, ale tak się składa, że przed chwilą wydałem ostatniego funta w monecie, a teraz mam tylko dwudziestkę. No co, przecież wam nie dam dwudziestki, nie patrzcie tak na mnie! Nie mam też żadnych słodyczy przy sobie, tylko trochę w domu. Więc wybaczcie...

Niestety, nie odstępowały mnie ani na krok. W końcu skapitulowałem i wpuściłem hołotę do środka, korzystając z tego, że nikogo nie było w tym momencie w domu.

- No dobrze, poczekajcie tu w przedpokoju, a ja przyniosę wam trochę słodyczy - poleciłem podekscytowanej gromadce.

Napchałem kieszenie słodyczami zebranych ze wszystkich możliwych zakamarków między innymi spod zakurzonego łóżka i spomiędzy rzeczy przeznaczonych do prania. Wiedziałem, że dzieciaki czekały na mnie z niecierpliwością, ale kiedy wszedłem do siebie do pokoju, naszła mnie natrętna potrzeba symetrycznego ustawienia laczków i książek. Nagle usłyszałem dzwonek do drzwi. Cholera, czyżby kolejni amatorzy słodyczy i pieniędzy - kto wie, może ustanawiając precedens i biorąc kilkoro z nich do środka, strzeliłem sobie samobójczą bramkę i naraziłem się na nieustającą inwazję idiotycznie przebranych małych żebraków?

Zdenerwowany, gotowy użyć szorstkich słów, wybiegłem z pokoju sprawdzić, kto tak natrętnie naciska dzwonek (podczas gdy same dzieciaki dalej czekały cierpliwie na swoją nagrodę). Jakież było moje zaskoczenie, kiedy na zewnątrz ujrzałem dorosłych - dość krótko

ostrzyżonego mężczyznę około czterdziestki i jakąś dobrze ubraną kobietę. Ledwo uchyliłem drzwi, nieznajomy wtargnął gwałtownie do środka, nawet nie pytając mnie o pozwolenie i o mało mnie nie przewracając.

- Tyle razy wam mówiłem, żeby nie wchodzić do cudzych domów - skarcił dzieciaki. - Wszędzie teraz tylu zboczeńców.

- Wypraszam sobie - obruszyłem się. - Co to w ogóle ma znaczyć? Oskarżać mnie w moim własnym domu?

- Dobrze, dobrze! - Kobieta rzuciła mi krytyczne spojrzenie. - Już się nie broń, jakbyś miał czyste sumienie, to byś ich tu nie przyprowadzał.

Biedne były te dzieci - stały w bezruchu, sparaliżowane całą tą zastydającą sytuacją. Wydawało mi się nawet przez chwilę, że chciały mnie wesprzeć, wziąć w obronę, ale sterroryzowane przez rodziców wołały zachować milczenie.

- Wypraszam sobie - powtórzyłem bełkotliwie. - Co to za wtargnięcie? To wasza wina, że dzieci pałają się po ulicach, narażając się na niebezpieczeństwo ze strony nieznajomych. Trzeba było z nimi siedzieć w domu, a nie pozwalać im na jakieś błazenady!

- Ty nie będziesz nam mówił, jak dzieci wychowywać! Trzymaj się od nich z daleka, bo na drugi raz sprowadzimy policję! - Usłyszałem w odpowiedzi histeryczny krzyk nieznajomego.

Mężczyzna nieoczekiwanie złapał mnie za koszulę, ale ja szybko wyszarpnąłem się z jego uścisku. To autentycznie jakiś psychopata - pomyślałem, postanawiając czym prędzej ujawnić swoje najlepsze intencje i spławić nieproszonych gości.

- Tylko trochę słodczy chciałem im dać, nie ma w tym chyba nic złego - stwierdziłem pojednawczo, opróżniając kieszenie.

Wysypałem wszystko, co miałem, na stolik w przedpokoju. I wtedy nieznajomy ryknął w taki sposób, że aż przeszły mnie ciarki. Nie wiedziałem, o co też mogło mu chodzić, dopóki spośród sterty kolorowych słodczy nie wygrzebał paczki prezerwatyw.

- O mój Boże! - Kobieta złapała się za głowę, a następnie, jakby wiedzona instynktem, chwyciła dzieci za ręce i wyprowadziła na zewnątrz, pozostawiając mnie sam na sam ze swoim agresywnym mężem. Facet złapał mnie za ramię w taki sposób, że tym razem nie byłem się w stanie uwolnić.

- Ty gnojku, nie wiem, co chciałeś zrobić moim dzieciom, ale pilnuj się, bo jak zobaczę cię w promieniu mniejszym niż kilkaset mil od

nich, to osobiście zrobię ci z twarzy taką miazgę, że nawet operacja plastyczna ci już nie pomoże - groził.

Wiedziałem, że nie ma sensu się usprawiedliwiać, bo kiedy ma się do czynienia z furiatem, racjonalne tłumaczenia nie zdadzą się na nic. Czekałem tylko, aż skończy i po prostu sobie pójdzie.

- Zrozumiałeś? - spytał jeszcze dla pewności, nie przestając mną potrząsać.

- Tak, proszę pana. - Skinąłem posłusznie głową.

\*

do [ania.perucka2@wp.pl](mailto:ania.perucka2@wp.pl)

od [tomasz\\_pl@yahoo.co.uk](mailto:tomasz_pl@yahoo.co.uk)

Aniu,

Pamiętam, jak w Polsce denerwował mnie kult cmentarzy, z tym całym czyszczeniem pomników, grabieniem liści, prześciganiami się w pomysłach na wiązanki i znicze.

Dzisiaj gdybym był w Polsce, spędziłbym godzinę nad grobem praprababki. Ten cały kicz z Halloween jest naprawdę nie do zniesienia - nie jest ani śmieszno, ani straszno.

I coś jeszcze: te wszystkie kremacje to chory pomysł — spalimy, wyrzucimy nad Tamizą lub koło wieży Eiffla, a potem nie ma nawet czego odwiedzać. Zresztą wydaje się, że w tym mieście i tak nie ma cmentarzy. One po prostu nie pasują do tempa życia, jakie tutaj obowiązuje.

Zachodnia cywilizacja jest przeraźliwą pustynią skremowanych umysłów.

Ukłony,  
Tomasz.

## Cierpiętnicy

Kilka dni później, po przebojach z przeklętym Halloween, czekały mnie kolejne „atrakcje”. Chciałem nadrobić zaległości w zakresie



scenariusza, ale nie mogłem się skupić, gdyż powietrzem wstrząsały co chwila eksplozje fajerwerków, rakiet i innej jarmarcznej tandety.

- Mamy nowy rok? - zapytałem Aleksa - Powiedz mi, że przespałem większość listopada i grudnia!

- Wiem, że to głupie - odparł - ale oni obchodzą jakąś rocznicę zamachu na parlament, czy coś takiego. Jakiś irlandzki spisak, nie pamiętam dokładnie, o co chodziło. Guy jakiś tam.

- I to świętują tak hucznie? - Puknąłem się w czoło. - Czy my wypuszczamy kolorowe fajerwerki na Westerplatte każdego pierwszego września? Albo czy Amerykanie robią pokazy sztucznych ogni jedynastego września?

- Mnie nie pytaj. Poza tym, z tradycją się nie dyskutuje. - Obojętnie wzruszył ramionami. - Sam wiesz, że Anglicy są specyficzni.

- Czasami, nie myśl o mnie źle, ale mam taką nienawistną myśl, że jakby takiemu jednemu z drugim skurwielowi petarda odstrzeliła paluchy, to by przestał się podniecać tym całym badziewiem. Swoją drogą, jak myślisz, robią kiedykolwiek wybuchy sztucznych ogni w krajach takich jak Irak czy Afganistan? Tak jak zachodnia cywilizacja kocha hałas, tak zapewne tam ludzie, odwrotnie, czerpią radość z cichy...

- Co mnie obchodzi Irak czy Afganistan, jestem tu i teraz, i zastanawiam się, w co gra moja narzeczona - zmienił nagle temat Alex. - O co może jej tak naprawdę chodzić?

- Tak sobie myślę... - zadumałem się.

- Tak? Masz jakąś teorię na jej temat?

- Posłuchaj, w Arabii Saudyjskiej obcinają podobno tę rękę, którą ktoś dokonał kradzieży. To teraz postaw się w sytuacji takiego człowieka przed aktem kradzieży, czyli zanim stanie się złodziejem...

- Co? O czym ty mówisz? - Zmarszczył brwi.

- No bo popatrz - perorowałem - założmy, że jesteś praworęczny, zaraz coś ukradniesz i znasz konsekwencje w razie wpadki, bo w końcu, żyjesz, gdzie żyjesz. Co wybierzesz - kradzież prawą ręką, zdając sobie sprawę, że w ten sposób masz większe szanse na sukces, ale jednocześnie ryzykujesz więcej w przypadku bycia złapanym, czy też kradzież lewą ręką, gdzie ryzykujesz mniej w razie wpadki, ale też zmniejszasz potencjalnie szanse udanej kradzieży? Rozumiesz? Nadąszasz za tym, co mówię?

- Tomek, ja myślę o tej swojej... A nie o ręce - odrzekł obojętnie.

Spojrzałem na jego posępne oblicze i nie miałem wątpliwości, że myślami był rzeczywiście w Polsce.

- Ja bym to traktował jako przegraną sprawę - zupełnie jakby ci ucięli prawą rękę, chociaż byłeś naprawdę bardzo blisko. Co prawda nic już nie będzie takie samo, ale przecież wciąż możesz spróbować lewą... Spójrzmy prawdzie w oczy, ona zachowuje się bardzo podejrzanie i musi być ku temu jakiś powód. Jeśli jest z tobą nieszczerza, to nie zasługuje na twój szacunek i zaufanie, to wszystko. Proste.

- Może to tylko zbieg okoliczności? A nawet jeśli nie, przecież jeszcze wszystko jest do uratowania...

- Co będziemy gdybać, pojedziesz na święta, to się sam przekonasz - puentowałem.

- Słuchaj, a może ona mnie nie chce, bo ktoś jej nagadał, że jak ja mam lekko zajęczką wargę, to potem nasze dzieci na pewno to odziedziczą? A to przecież nieprawda, ja mam zajęczką wargę, bo moja mama paliła, jak była w ciąży. Mój ojciec i dziadek mieli normalne wargi. Nie mieli zajęczych warg...

Spojrzałem na niego litościwie.

- Prawie nic nie widać, nie wiem, czym się w ogóle przejmujesz. Mówiłeś, że ona miała krzywe zęby, zanim zaczęła nosić aparat. Kłopoty z zębami się dziedziczy dla odmiany, jakbyś chciał wiedzieć, zawsze możesz tego użyć jako argumentu przeciwko niej - odpowiedziałem.

- Nie chcę być przeciwko niej, chcę, żeby było tak jak kiedyś, kiedy dzwoniliśmy do siebie i szeptaliśmy sobie czułe słówka, czy... uprawialiśmy seks przez telefon, rozumiesz?

- Oj, Alex, czasami wydaje mi się, że za bardzo się nad sobą rozczulasz. Jesteś trochę jak Mariah Carey, którą trzeba przenieść po schodach albo trzymać jej napój ze słomką przy ustach, bo ona sama jest na to zbyt przemęczona intelektualnie - odparowałem. - Zbierz się do kupy, wyjaśnij sprawę, przestań biadolić. Zajmij się czymś, znajdź sobie rozrywkę, hobby albo chociaż inne zmartwienie.

- Jak mam się czymś zająć? Jak nie myślę o niej, to myślę o pieniądzach, które straciłem przez twoje porady... Wiesz, gdyby nie ona, gdyby nie ta złość i nienawiść, które we mnie zasiała, nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego...

- Pograj sobie na komputerze, zamiast wszystkich obwiniać. - Zacząłem rzucać w jego kierunku ziemniakami.

- Powtarzasz się, musisz urozmaicić repertuar. Już nie jesteś mistrzem ciętej riposty - stwierdził chłodno, zbierając się do wyjścia.

\*

- Słuchaj - opowiadał przejęty Luis - stałem dzisiaj na stacji metra, czekałem na pociąg i nagle poczułem, że ktoś mnie popchnął, w ostatniej chwili odzyskałem równowagę, pociąg już nadjeżdżał, mało brakowało... Rozejrzałem się, ale na wszystkich twarzach rysowała się zwykła obojętność... Może masz rację... Może rzeczywiście ci producenci wody postanowili się mnie pozbyć...

Oczywiście w trosce o jego zdrowie psychiczne powinienem był go wyprowadzić z błędu, ale pomyślałem, że właściwie to sympatyczniej będzie bawić się dalej jego kosztem i obserwować, do jakich jeszcze domysłów może doprowadzić go narastająca paranoja.

- Wiesz - udawałem, że się zastanawiam - za dużo byłoby w tym wszystkim zbiegów okoliczności, żeby można było przejść nad tym do porządku dziennego... No cóż, proszę cię, uważaj na siebie, Luis. Tyle tylko mogę ci doradzić.

- Myślisz, że powinienem pójść na policję? - spytał dramatycznym tonem.

- Może jeszcze nie, ale koniecznie miej oczy szeroko otwarte. Musisz zachować czujność dwadzieścia cztery godziny na dobę, rozumiesz? Informuj mnie na bieżąco, spróbuję ci pomóc - odpowiedziałem z kamienną twarzą.

- Dziękuję. - Wydawał się lekko wzruszony. - To dla mnie wiele znaczy, że mogę na ciebie liczyć...

## **Zdemaskowani**

W przedpokoju przeciekał sufit. Szybko znudziło się nam podstawianie misek, garnków, ich opróżnianie i ciągła rotacja. Rudi nie odbierał telefonu, więc w końcu, zniecierpliwiony, postanowiłem w drodze powrotnej z pracy złożyć mu osobiście wizytę i poprosić o załatwienie tej niecierpiącej zwłoki sprawy.

Drzwi otworzył Jurgen - wydawało mi się przez chwilę, że jego spodnie są podejrzenie nabrzmiałe.

- Taty nie ma? - spytałem, nie przestając wpatrywać się w niedwuznaczne wzniesienie na wysokości krocza.

- Nie, wyjechał do Lipska na kilka dni - odparł.

- Poznajesz mnie, ja wynajmuję pokój... - bąknąłem. - Mamy kłopot z przeciekającym dachem...

- Oczywiście, że cię poznaję - przerwał, uśmiechając się przyjaźnie. - Wejdiesz? Jestem sam w domu.

Ruszyłem za nim do środka, od zawsze ciekawiło mnie, jak mieszkają. W sposobie urządzenia wnętrza widać było klasowy minimalizm.

- Oglądałem właśnie Giro d'Italia - bąknął nieco speszony.

- Właśnie widzę. Nie chciałem przeszkadzać... Zaraz, zaraz, Giro d'Italia w listopadzie?

- Nie przeszkadzasz. Zawsze mogę zatrzymać wideo.

- Nagrałeś Giro d'Italia? Z całym szacunkiem, ale kto nagrywa Giro d'Italia? Jesteś aż tak wielkim fanem kolarstwa? - dziwiłem się.

- Nie, szczerze mówiąc, uwielbiam raczej oglądać kolarzy...

Jego szczerłość omal nie zwała mnie z nóg. Przełknąłem ślinę, doznając nagłego przyływu świadomości.

- Napijesz się czegoś? - zaproponował. - Możemy pooglądać razem albo porobić coś innego...

- Porobić coś innego... Chyba mylnie zakładasz, że jesteśmy w jednym zespole. Poza tym, jak sądzę, twój przyjaciel miałby ci za złe, gdybyś grał na wyjeździe.

- Rozstałem się z nim. Zachowywał się jak duży dzieciak, miałem tego dość - wyznał. - To jak, napijesz się czegoś?

- Poproszę kawy, ale bez śmietanki.

Zniknął na chwilę w kuchni.

- Ten sufit to nas trochę zaskoczył - odezwałem się głośno, chcąc być pewny, że będzie mnie dobrze słyszał. - Któregoś dnia Kasia, wiesz, nasza współlokatorka, mówi - „Patrzcie, woda w przedpokoju! Ktoś zapomniął zakręcić kran, czy co?”

Jurgen wrócił, trzymając w ręku tost i nóż z masłem.

- O czym mówiłeś? Zjesz może tosta do kawy?

- Nie, dziękuję. Trzymaj to masło na toście, proszę...

\*

- Jurgen jest gejem? - powtórzył Alex. - Nie wierzę! Ciekawe co na to stary!

- Stary chyba wie. Tak podejrzewam... Jurgen jest już dużym chłopcem, sam dokonuje wyborów i decyduje za siebie. Nie jesteśmy w końcu w Iranie. To, że woli brać udział w teatrze brązowe oczko zamiast ślinić się na widok miss mokrego podkoszulka, nie oznacza wcale, że jest kimś gorszym. - Tak oto stałem się rzecznikiem środowisk homoseksualnych.

- Czasami zastanawia mnie, skąd u ciebie tyle zrozumienia? - Alex nie szczędził uszczypliwości.

- A powiem ci skąd - pospieszyłem z wyjaśnieniem - miałem w Polsce taką koleżankę, która ubzdurała sobie, że jestem gejem. Alex, jeśli jedna homofobka może zgotować niewinnemu takie piekło, to co całe społeczeństwo może zgotować winnemu? Nabrałem świadomości, rozumiesz?

- „Homofobka”? Czy jest takie słowo w języku polskim? Nie wiedziałem, że to ma rodzaj żeński...

- Wszystko ma teraz rodzaj żeński. - zaśmiałem się sarkastycznie. - Choć czasami mam wrażenie, że feministki chciałyby nadawać rodzaj żeński w sposób wybiórczy. Słyszysz o menedżerke, dyrektorke, sędzi, adwokatce, ale nie słyszysz już o homofobce, przestępczyni, górnicze...

- Zabawne, słuchając ciebie przypominałem sobie o „Ojczyźnie polszczyźnie” - odpowiedział rozbawiony Alex.

Dobrze, że jeszcze coś jest w stanie ci się przypominać oprócz tej nieszczęsnej narzeczonej - pomyślałem w duchu.

- Zawsze to oglądałem z narzeczoną - rzekł nagle. - Wiesz, ona studiowała polonistykę, dla niej to była pozycja obowiązkowa. Na początku mnie to męczyło, ale z czasem przywykłem, w końcu Miodek mówi dość żywym językiem.

- Jak wyście się znaleźli? Informatyk i polonistka? To po prostu nie może się dobrze skończyć - podsumowałem beczelnie. - Metoda zerojedynkowa i wolność interpretacji. - Przecież to nie trzyma się kupy...

W tym momencie otworzyły się drzwi i do środka weszła Kasia.

- Cześć, pajace - powiedziała na nasz widok.

Rzuciłem Aleksowi porozumiewawcze spojrzenie.

- Dzisiaj sama? Gdzie twoja ostatnia zdobycz, ten Jamajczyk z mózgiem oplecionym dredami? - wycodziłem przez zęby. - Zjarał się i zasnął w twoim pokoju na amen, czy też pobiegł na tysiąc metrów, kiedy dowiedział się, że jesteś w ciąży?

- Postanowiłam się trochę wyciszyć - odparła niespodziewanie, ignorując moje zaczepki. - Trochę pomedytować.

- Dobrze - zwróciłem się do Aleksa. - Może wreszcie przejdzie w stan nirwany.

- Tomasz, lodówka j e s t zamknięta, innit? Może łatwiej ci będzie ją po prostu otworzyć i zamknąć z powrotem?

Uświadomiłem sobie, że rzeczywiście zachowuję się nieracjonalnie, bo dociskam lodówkę, jednocześnie sprawdzając, czy jest ona domknięta.

- To wszystko przez moją matkę - powiedziałem zrezygnowany. - Zawsze mnie opieprzała, że trzymam lodówkę długo otwartą. Pytała, czego tam szukam, potem się darła, żebym szybko zamykał, bo się jeszcze rozmrozi, i ona będzie miała kupę roboty.

- Ale ty jesteś popierdolony - odrzekła niedyplomatycznie Kasia, a potem udała się do swojego pokoju.

\*

Musiałem iść do przedświątecznej spowiedzi - w po rekolekcyjnym czasie wybrałem się więc do polskiego kościoła na Islingtonie. Niestety, ku mojemu przerażeniu ludzi oczekujących rozgrzeszenia było sporo. Dlaczego wszyscy musieli się spowiadać na ostatnią chwilę, jakby wcześniej zupełnie nie mieli na to czasu?

Ciężki wybór: albo konfesjonał odkryty, w zatłoczonym kościele, z względnie znanym księdzem, albo konfesjonał zamykany, z wielką niewiadomą w środku... Stałem cierpliwie w jednej z kolejek, ale na moich oczach zaczęła się formować następna.

- Z dwóch stron, co? Skracamy kolejkę i nie obchodzą nas inni, co? - rzuciłem w kierunku jednej z kobiet w nowo utworzonej kolejce.

Spojrzała na mnie zaskoczona, a ja poczułem nagle, że ktoś ciągnie mnie za rękaw. Była to mniej więcej sześćdziesięcioletnia kobieta, która stała obok mnie.

- Co pani robi? - Spojrzałem na nią oburzony. - Ręce przy sobie.

- Niech się pan uspokoi. Tam jest kolejka do drugiego konfesjonału, ksiądz tam też jest - szepnęła.

- Nie musi mnie pani szarpać za ubranie, żeby mi to oznajmić. - Wzdrygnąłem się.

Pokręciła głową i zamilkła. Spojrzałem na zegarek. Nie wyjdę stąd przed siódmą trzydzieści, bez szans. Rozejrzałem się dokoła z niesmakiem. Dlaczego kobiety mogą mieć w kościele czapki, a mężczyźni nie? Kobiety tak samo powinny być pozbawione tego przywileju. Czyżby w odniesieniu do różnych płci obowiązywały różne miary szacunku do świętych miejsc?

Rachunek sumienia. Niewiele się uzbierało, moje życie było przewidywalne i nudne jak flaki z olejem.

\*

- Widziałem magazyn... - bąknąłem zakłopotany.

- Jaki magazyn? - dopytywał się ksiądz.

O co mu chodziło - o znaczenie słowa „magazyn”, czy też może o sam tytuł?

- Z brzydkimi rzeczami. - Użyłem terminologii dziecięcej.

- Pan Bóg nie stworzył brzydkich rzeczy - odezwał się polemicznie ksiądz.

- Gdyby ksiądz miał okazję zobaczyć te stare kobiety, które stoją na zewnątrz w kolejce, zmieniłby ksiądz zdanie... Nie mówię, że to wina Boga, w końcu starzenie się... ehmm.. i śmierć wpisane są w naszą egzystencję - odpowiedziałem filozoficznie.

- Chcesz powiedzieć, że kupiłeś magazyn pornograficzny ze starymi kobietami? - powiedział nieoczekiwanie.

- Niezupełnie... - jęknąłem.

- Więc...

- Po pierwsze, one nie były stare, tylko dojrzałe... Po drugie, to nie mój magazyn, ja tylko go przejrzałem, a nie kupowałem.

- Przejrzałeś, jak sam zauważasz. Sam się nie przeglądnał - ripostował duchowny.

- Proszę księdza, ale czy ja w ogóle powinienem to wspominać? W końcu nie patrzyłem na te kobiety pożądliwie, tylko z czystej, chorej ciekawości.

- Tutaj granica jest płynna - uznał.

- Zależy dla kogo... Proszę księdza, to dopiero początek mojej listy. Na zewnątrz czeka jeszcze sporo ludzi. Mogę kontynuować?

- Przyszedłeś się tutaj ścigać czy spowiadać? - spytał złośliwie. - Ludzie wspominają zawsze na początku rzeczy wstydlive, myśląc, że spowiednik skoncentruje się na tych późniejszych. Dobrze znamy ten trik. Nie wiedzą, że lepiej by zrobili, wkładając je w środek. Co będzie teraz? Masturbacja?

\*

Ale mnie ten młody ksiądz zdenerwował. Po co się tak o wszystko wypytywał? Co chciał przez to osiągnąć? „Wylewanie spermy do

zlewu jest grzechem, sperma jest życiodajna, musi być szanowana” - powiedział mi. W takim razie kobiety, nie mając spermy i masturbując się, nie popełniały grzechu? Szkoda słów.

Robiło się ciemno, musiałem wracać do domu. Autobus przyjechał dość szybko, oszczędzając mi marznięcia na przystanku. Jutro miałem kupić bilet tygodniowy, a jeszcze dzisiaj machnąłem kierowcy przed oczyma starym, nieaktualnym biletem, przechodząc pewnym siebie krokiem do środka autobusu. W takich przypadkach grunt to pewność siebie. Trudno powiedzieć, czy oni byli tacy tępi, czy też po prostu ich to w ogóle nie obchodziło - prawdopodobnie odbębniali swoje, wiedząc, że przecież wszyscy oszukują. Bo przecież transport był taki drogi!

## Starzy znajomi

Na święta postanowiłem pojechać do Polski - bynajmniej nie dlatego, że za kimś szczególnie tęskniłem, raczej w związku z tym, że nie miałem żadnego sensownego pomysłu na spędzenie świąt nad Tamiżą. Sprowadzanie idei świąt do wskaźników wzrastającego zysku w zapelnionych sklepach; kartki z misiami i reniferami, a nawet, o zgrozo, kurczaczkami - zamiast Jezusa i Maryi; Father Christmas zamiast Santa Claus, a Happy Holidays zamiast Happy Christmas; usuwanie żłóbków z kościołów i miejsc publicznych, żeby przypadkiem nie zaszkodziły one idei „tolerancji” i „mieszania się kultur”. Na cholere mi takie nowoczesne święta z tym całym balastem głupoty?

Alex miał zaplanowany wyjazd już na tydzień przed Wigilią (w tym czasie miał się między innymi zobaczyć z narzeczoną i odbyć z nią rozstrzygającą rozmowę).

Luisowi, który wracał na kilka tygodni do Hiszpanii, życzyłem zdrowych, spokojnych świąt, a kiedy tylko okazał coś w rodzaju wzruszenia, natychmiast dodałem, żeby przeżył te święta jak najlepiej i jak najpełniej, tak jakby to miały być jego ostatnie święta w życiu. Szybko podchwycił aluzję, i po nazwaniu mnie „polskim śmieciem” zamknął się w swojej twierdzy, czyli dusznym, śmierdzącym pokoju.

Z kolei Kasia postanowiła zostać w Londynie. Stwierdziła, że woli zostać tutaj, niż „cudować z kościołem, karpim, Mikołajem i innymi



bdzurami”. Mimo tak stanowczego odcinania się od tradycji zdecydowała się na postawienie w salonie małej choinki. Wyobrażałem sobie złośliwie, że położy się pod tą choinką jako prezent, który każdy będzie mógł mieć - oczywiście pod warunkiem, że nie jest białym Europejczykiem.

Chciałem wysłać kilka kartek, ale nie było to wcale takie proste. Wszystkie sieci sklepów miały w ofercie niezliczoną ilość kolorowego łąjna, które nie nadawało się nawet do tego, żeby wysłać je mojej znienawidzonej bratowej. Owszem, był jeszcze polski kościół, do którego przecież regularnie chodziłem. Rozprowadzał kartki, ale te z kolei, choć z motywami religijnymi, wyglądały jakby przygotowali je uczniowie pierwszej klasy technikum plastycznego. W końcu znalazłem coś w miarę sensownego w lokalnym one pound shopie prowadzonym przez Pakistańczyków.

Cóż za paradoks, że muzułmanie wydawali się mieć mniej obiekcji do chrześcijańskich świąt niż angielscy prawowici obywatele tego kraju?

\*

Pakowałem się, kiedy zadzwoniła do mnie Monika, koleżanka z pracy.

- Słuchaj, przypomniało mi się, że jedziesz do Polski i... Wiem, że mieszkasz w Gdyni, ja mieszkam tuż za Wejherowem. Pomyślałam...

- Co znowu? - przerwałem, spodziewając się najgorszego. - Dziewczyno, muszę się pakować, nie mam czasu na pogaduchy. Wiesz, ile zajmuje selekcja, a potem upchanie rzeczy w tak limitowanym wagowo bagażu, na jaki pozwalają te tanie linie lotnicze?

- Słuchaj, kupiłam mamie bluzkę, a bratu telefon komórkowy, zabrałbyś? - spytała nieśmiało.

- Wiesz, gdybym jechał autobusem, to nie byłoby problemu, wówczas bagaż jest praktycznie Nielimitowany... Ale samolot to jest ciężka sprawa, sorry, Monika.

- To tylko bluzka i telefon, prawie nic nie ważą, a miejsca też wcale nie zajmują...

- Ale musiałbym poświęcić coś swojego, rozumiesz? - powiedziałem z naciskiem.

- Zapłacę ci - nalegała.

- Nie chcę ani twoich pieniędzy, ani tym bardziej rzeczy! - Zaczynała mnie doprowadzać do szału.

- To tylko telefon i bluzka, już im obiecałam. Tak się ucieszyli... - Zmieniła taktykę, teraz najwyraźniej próbowała mnie brać na litość.

- To nadaj pocztą kurierską. Co im obiecałaś - że kolega przywiezie? Jak można coś obiecać, nie skonsultowawszy się wcześniej z tym, kto ma wyświadczyć przysługę? Taktyka faktów dokonanych to coś, co szczególnie wyprowadza mnie z równowagi - mówiłem ostrym tonem.

- Tomek, proszę cię... W końcu to święta...

- Słuchaj, o to chodzi, że albo będę musiał poświęcić część swoich rzeczy, które normalnie bym wziął, albo będę ryzykował nadbagaż! Wcale mi się to nie uśmiecha, rozumiesz? Nic przeciwko tobie nie mam, postaw się tylko w mojej sytuacji, dlaczego miałbym się poświęcać?

- Spadaj, wieśniaku - wycedziła. - Życzę ci, żeby terroryści opanowali twój samolot.

Typowe małomiasteczkowe prostactwo - pomyślałem, rzucając słuchawką.

\*

Z kolei ja sam, przed odlotem, w geście dobrej woli postanowiłem zadzwonić do pana Jakamoto.

- Różnie się między nami układało... - zacząłem. - Wiem, jestem chodzącym nieszczęściem. W sumie wszystko, czego dotknę, zamienia się w ruinę, ale proszę mi wierzyć, tak w głębi serca dobry ze mnie człowiek. Tylko ten pech, to coś, czego się nie wybiera... Idą święta, jutro wylatuję do Polski, nie chciałbym, żeby ktoś o mnie w czasie świąt źle myślał... Panie Jakamoto, proszę mi wybaczyć, jeśli zawiodłem pana oczekiwania, było dla mnie przywilejem dla pana pracować...

- Dziękuję ci - odpowiedział lekko poruszony. - Może jednak powinniśmy byli się lepiej poznać? Naszą znajomość zdefiniowały jedynie głupie incydenty... Przeprasiny przyjęte. W świątecznym duchu...

- Życzę wesołych świąt i szczęśliwego nowego roku - rzekłem na zakończenie.

- Dziękuję ci, wzajemnie, pozdrów rodzinę.

- Niech pan też pozdrowi, zwłaszcza Lima. Dzielny z niego chłopiec...

- Bardzo dzielny - przytaknął, wzdychając ciężko. - Że też coś takiego jego właśnie musiało spotkać...

- Panie Jakamoto, co to był za wypadek? Tak z ciekawości... - Nie byłem w stanie powstrzymać się przed zadaniem tego pytania.

Zamilkł, najwyraźniej poirytowany tym, że ciągnąłem ten bolesny wątek.

- Biały rekin? Drzewo go przygniotło? Gruźlica kości? - Zgadywałem, licząc, że w końcu zaspokoi moją ciekawość.

Ciągły sygnał po drugiej stronie. Odłożył słuchawkę.

\*

Samolot wylądował na płycie lotniska w Gdańsku Rębiechowie. Po kilkunastu minutach zjechała moja walizka, a ja szybko przedostałem się na terminal, gdzie czekali już na mnie rodzice.

- Tomek, jak ty źle wyglądasz! - Matka rzuciła mi się na szyję z płaczem. - Ty tam musisz dzieciaku głodować... Nikt ci tam nie gotuje...

- Oj przestań, nie rób mu wstydu! - Ojciec przytomnie trącił ją łokciem, dostrzegłszy najpewniej kilku moich współpasażerów narzuśających się z całej tej sytuacji.

Kiedy już cały ten żałosny ceremoniał powitania się dokonał, ruszyliśmy w stronę parkingu.

- Kamil nie mógł przyjechać. Faustynka się rozchorowała - rzekła matka.

- Szkoda. - Wzruszyłem obojętnie ramionami. - Rozumiem, musi być teraz z Marysią na posterunku...

- Z Krysią - poprawił ojciec. - Wnusia od urodzenia ma niestabilne zdrówko, niestety...

- Jak tatuś w domu puszcza heavy metal, to trudno się dziwić - stwierdziłem chłodno.

- Nie mogę ci wybaczyć, że nie zgodziłeś się być ojcem chrzestnym - powiedziała niezwykle ostrym tonem matka. - Najpierw Kamil cię nie chciał, a potem, jak go przekonałam, to ty się nie zgodziłeś... Co ja się z tobą mam, jeden Bóg tylko wie.

Westchnąłem ciężko, wołając nie reagować. Zapanowała chwila ciszy, jakby nagle skończyły nam się tematy, choć przecież nie widzieliśmy się ponad pół roku.

- Pani Sadraczyńska zmarła.... - odezwała się wreszcie matka.

- Kto? - Zmarszczyłem brwi, bezskutecznie usiłując sobie przypomnieć, o kogo może jej chodzić.

- No, żona tego kolegi ojca, co tak często przychodzi do nas w odwiedziny. Pamiętasz, ten, co z nim zawsze na grzyby jeździliśmy - pospieszyła z wyjaśnieniami. - Ten, co palec stracił, jak go UB przesłuchiwało.

- Ach, ten! Smutne. - Udałem, że przypomniało mi się, o kogo chodzi, żeby tylko uniknąć jej dalszych, irytująco detalicznych opisów i przerwać ten znajomy wątek.

Na próżno.

- Z panią Wiedecką też jest niedobrze, lekarze mówią, że nie przeżyje wiosny - biadoliła.

- To niedobrze. - Pokręciłem głową, nie mając znowu zielonego pojęcia, o kim ona mówi.

- Oj, dajże mu spokój, zmęczony chłopak, a ty mu o cudzych tragediach opowiadasz - wtrącił się przytomnie ojciec.

Spojrzałem na niego z wdzięcznością i uznaniem.

- Jak tam, poznałeś kogoś, nic nie wspominasz? - Tylko czekałem na ten cios poniżej pasa.

- Tak, owszem - odburknąłem niechętnie. - Murzynkę z dwójką dzieci. Ma na imię Kate i jest ode mnie dziesięć lat starsza, lecz bardzo ją kocham.

Moja matka wyglądała tak, jakby ją piorun strzelił. Przez resztę drogi do domu, jaką spędziliśmy jadąc trójmiejską obwodnicą, musiałem odwoływać ten niewinny żart.

\*

- Chodź, pokażę ci ogród. Mam kilka nowych roślin, znalazłem tanio w Tesco i wsadziłem jeszcze na jesieni...

- Tato, przyjechałem z Londynu, tam Tesco straszy na każdym rogu, nie przypominaj mi nawet. Poza tym, kto pokazuje komuś ogród zimą?

Ojciec niemal siłą wypchnął mnie na zewnątrz, a przecież do środka przeszliśmy zaledwie jakieś dwadzieścia minut temu.

- Poczekaj, rozpakuję się, wezmę prysznic, przebiore, wtedy może my obejrzyć.

Od momentu przylotu minęły niecałe dwie godziny, a ja już poczułem, że żałuję swojego przyjazdu do Polski.

- No tylko rzucisz okiem, pięć minut cię nie zbawi... - nalegał.

- Przecież i tak nic tam nie widać. Głęboko w ziemi i przyprószone śniegiem. Dlaczego teraz? Daj mi chwilę odsapnąć. Przecież nie wyjeżdżam za pięć minut - dopiero przyjechałem. A poza tym, jakie to rośliny mogłeś kupić w Tesco? Jakbyś zamówił coś z jakiegoś egzotycznego kraju i bał się, że zaraz to wszystko z powodu klimatu szlag

trafi, wtedy rozumiałbym twój pośpiech, ale Tesco? No wybacz! Daj sobie trochę na wstrzymanie, tato, naprawdę...

- Nie poświęcisz mi pięciu minut?! - piekłił się. - Nic dla ciebie nie znaczę.

- Poświęcę ci piętnaście, tylko daj mi się przebrać i umyć - powtórzyłem z naciskiem.

- Ale ogród jest na wyciągnięcie ręki. - Posiniał ze złości na twarzy.

- I dlatego nie ucieknie... - odrzekłem złośliwie.

- Idź do cholery! Po coś w ogóle przyjeżdżał. - Machnął ręką i odszedł urażony.

\*

Dominik. Zdawałem sobie sprawę, że będzie to szalenie trudna rozmowa, ale nie mogłem zwlekać. Przyszedłem do niego bez zapowiedzi.

- Nie przyjechałeś na ślub - powiedział z wyrzutem, jakby nie wiedział, że „stary, brakowało mi ciebie bardzo” byłoby znacznie bardziej na miejscu.

- Byłem zajęty - odparłem banalnie. - Właśnie zmieniałem pracę i tak od razu nie mogłem dostać urlopu.

- Nie zabukowałeś biletu, chociaż znasz datę. Gdybyś miał zabukowany bilet, dostałbyś urlop bez problemu. Mógłbyś chociaż być ze mną szczerzy.

- Co ty tam możesz wiedzieć o dostawaniu urlopów w Anglii. Lepiej powiedz, co u ciebie? Dawno nie pisałeś...

- Czekałem na odpowiedź... Jest dobrze. Świetna praca w kancelarii, żona, dziecko w drodze... Żyć, nie umierać! - Klasnął w dłoń, pełen taniej pychy, zupełnie jakby czekał tylko na tego rodzaju pytanie, żeby móc się pochwalić swoją przewagą nad moją osobą. Uznałem to za zbyteczny triumfalizm.

- Gratuluję - odpowiedziałem głosem tak pozbawionym entuzjazmu, że aż zabrzmiało to niestosownie szorstko.

- Dziękuję... - Również jego wdzięczność wydawała się zimna, wykalkulowana. - Co u ciebie? Gdzie pracujesz? Spotykasz się z kimś?

Oba pytania były niczym dwa precyzyjne cięcia brzytwy.

- Pracuję w sklepie - przyznałem. - Przejściowo. Wiesz, piszemy scenariusz z przyjaciółką, ona pracuje w telewizji, ma kontakty. Wiele sobie obiecujemy po tym projekcie...

- Tak, scenariusz... Marzenia ściętej głowy - podsumował mnie brutalnie.

- Nie musisz od razu podcinać mi skrzydeł. - Zdenerwowałem się.  
- Jeszcze kiedyś będziesz ze mnie dumny. Albo przyjdiesz prosić o epizodyczną rolę...

- Zrozumiałem, że szczęście buduje się tu i teraz, a jego składniki są zadziwiająco proste. Kiedyś myślałem tak jak ty, szukałem drogą okrężną... - powiedział nagle irytująco mentorskim tonem.

- Tak zwane drugie dno wychodzi na plan pierwszy. Zaczynasz się upodabniać do mojej matki, nie powinienem był was ze sobą poznać - rzuciłem z sarkazmem. - Widzę, że postanowiłeś być tak oczywisty i przewidywalny, jak kolejne odcinki „Klanu”. Rysiejesz, Dominik, a ta twoja Kasia to - założę się - wykapaną Grażynką. Brakuje ci jeszcze tylko dziecka, ale ono jest przecież w drodze... Jak je nazwiesz, Maciuś?

Mój słowny kontratak zadziałał - jego twarz zmieniła wyraz, pojawiła się na niej wściekłość, a on sam najwyraźniej stracił pewność siebie.

- Jesteś bezczelny, wciąż taki sam, przykry dla wszystkich, nawet dla tych, którzy dla ciebie tak wiele znaczą... Albo przynajmniej znaczyli...

- Tracimy siebie, Dominik. - Spuściłem wzrok, nabierając powagi.  
- Nie potrafimy zaakceptować tego, że obraliśmy różne drogi...

Zapanowało kłopotliwe milczenie. Najwyraźniej zgadzał się z moją gorzką konkluzją.

- Wpadniesz do mnie do Londynu? - Desperackim gestem próbowałem ratować jeszcze to, co było do uratowania.

- Nie mogę zostawić Kasi. - Przypieczętował tym samym los naszej przyjaźni.

- To nie jest dziecko, na litość boską, poradzi sobie, od czego macie rodziców? Wiesz, będzie tak jak dawniej, ty i ja kontra reszta świata... Chociaż przez parę dni, Dominik...

Podeksycytowałem się, ale jego zimne spojrzenie szybko uprzytomniło mi, że mój entuzjazm jest jednostronny i niezaraźliwy.

- Ja myślę, że ty próbujesz zatrzymać bieg czasu - mówił. - Nie chcesz pogodzić się z jego upływem. Tak jak autor, który utknął w trzecim rozdziale, jest z niego niezadowolony, ale zamiast kontynuować pracę, stoi tylko w miejscu, nie zauważając, że w międzyczasie inni ukończyli swoje powieści i odnieśli sukces.

- Bardzo opisowe porównanie. - Podniosłem się z miejsca. - Ale ja wolę popracować jeszcze nad tym trzecim rozdziałem. Przenieść

akcję w inne miejsce, stworzyć nowych bohaterów, skoro starzy się już w znacznej mierze zużyli...

\*

Święta, święta i po świętach... Na Nowy Rok wracałem do Londynu i, szczerze powiedziawszy, odczuwałem w związku z tym sporą ulgę.

- Zanim pojedziesz, powinieneś kupić sobie zapas szczoteczek, szamponu, maszynek do golenia, no i krem, bo masz jakąś taką suchą skórę, i jeszcze... - radziła moja matka.

- Mamo, ulice pełne są Bootsów, Superdrugów i innych tego typu drogerii - przerwałem jej z irytacją. - To jest Londyn, a nie Sybir, pamiętaj! Po co przeciążać bagaż, jak można wszystko kupić na miejscu!

- Jak tam chcesz - spasowała niespodziewanie. - Dwa dni zostały... Potem żebyś sobie na ostatni dzień nic nie przypomniał.

- Tak, tak - odpowiedziałem machinalnie.

Za chwilę w oczach mojej matki pojawiły się wyczekiwane przeze mnie od dłuższego czasu łzy.

- Po co tam będziesz jechał? Żle ci tutaj? Tylko tego brakuje, żeby w twoim domu pomieszkiwali lokatorzy zamiast ciebie.

- Mamo, z wynajmu są pieniądze - podkreśliłem. - Jak będzie trzeba, to się ich wyrzuci.

- Nie jest tak łatwo, będziesz musiał wtedy pomieszkać jakiś czas z nami, zanim upłynie termin wypowiedzenia. - Jak zwykle szukała dziury w całym.

- Z wami? - Serce podeszło mi do gardła na samą myśl. - Nie będzie takiej potrzeby, w razie czego Dominik coś wymyśli albo... Nie, on w sumie gównu umie, w końcu jest nieudacznikiem. Zapłacę jakiemuś radcy prawnemu i pomoże mi się ich pozbyć. Ale... ale o czym my w ogóle mówimy? Dlaczego bierzesz mój powrót za pewnik? Po co mam się nad tym teraz zastanawiać? Daj spokój, nie kracz.

- Pojedziesz zobaczyć swoją bratanicę i obejrzeć, jak się Kamil z Krysią urządzili? - To było tak zwane pytanie sugestywne.

- Nie, nie... - Kręciłem głową. - Mam jeszcze dużo do załatwienia, wiecie... Poza tym przecież pokazywaliście mi już zdjęcia Faustynki. Nie sądzę, żeby od tego czasu bardzo się zmieniła.

- Co może być ważniejsze od rodziny? - wtrącił się ojciec. - Nikt nie każe ci tam siedzieć cały dzień, jedź, przywitaj się, daj małej prezent i to wszystko. Takie to trudne?

- Jaki prezent? - Spojrzałem na ojca pytająco.  
- No chyba coś jej kupiłeś? - Matka wlepiła we mnie swój przenikliwy wzrok.

- No, niezupełnie, nie miałem specjalnie pomysłu. Co można kupić około rocznemu dziecku? Przecież jest za głupie, żeby mogło cokolwiek użyć. Jeszcze połknęłoby część zabawki i po sprawie. A potem powiedzielibyście wszyscy, że dałem jej to celowo, że niby nie mogłem przeboleć ich szczęścia i posunąłem się do najgorszego. Czy w ogóle ktoś robi zabawki dla takich maluchów? Nie, to jakiś absurd. Jak pracowałem w sklepie z... Jak byłem w takim sklepie, to niczego nie mogłem znaleźć, chyba nawet nie mieli tam takiej kategorii wiekowej.

- Nie przesadzaj, jak zwykle szukasz dziury w całym - podsumowała mnie matka.

- Tak mówisz, ale z tobą też zawsze miałem kłopot. Zawsze mawiałaś: „Nic nie kupuj, nic nie kupuj”. I jak w końcu nic nie kupiłem, choć sama przecież tak mówiłaś, to nagle było źle: „Tak się mówi, że nic nie kupuj, ale na jakiś drobiazg liczyłam”. A jak dla odmiany kupiłem, to zaraz: „Po co kupowałeś, przecież pełno tego w domu, do niczego się nie przyda”, albo: „Ile zapłaciłeś? Aż tyle? Za takie pieniądze, to ja bym na rynku dziesięć razy lepsze dostała!”.

- Jedź do nich. - Ojciec nie ustępował.

- Dobrze, już dobrze. - W końcu, dla świętego spokoju, nie zaś w rzeczywistej potrzeby, zgodziłem się. - Pojadę tam po południu. Ale wiedzcie, że wasza presja jest czymś maksymalnie wkur.. rzającym.

\*

- Witaj. - Kamil uścisnął mi dłoń i zaprosił do środka.

Na szczęście obyło się bez teatralnych gestów i taniego spektaklu.

- Cześć - odpowiedziałem sucho, przekraczając próg mieszkania.

- Napijesz się czegoś? - spytał na wstępie dość formalnym tonem.

- Decaff soya latte, extra hot, no froth. - Postanowiłem nieco rozluźnić atmosferę.

- Usiłujesz być zabawny? - Spojrzał na mnie surowo. - A propos, słyszałem, że zamiast przeglądać papiery w biurze, robisz kawę ludziom z biura? Ach, jak to życie się czasami układa, co? Paradoks goni paradoks.

- „Paradoks”, nie wiedziałem, że znasz już to słowo. - Pokręciłem głową. - Jak tam Faustynka, nie przeszkadza jej, że tatuś powiesił nad jej łóżeczkiem plakat Vadera i baranią głowę z trzema szóstkami?



- Jedyna barania głowa, jaką kiedykolwiek zobaczy nad swoim łó-  
żeczkiem, należy do ciebie. Chcesz ją teraz zobaczyć? Śpi, ale wej-  
dziemy cicho...

- Nie, dziękuję. - Skrzywiłem się.

- Nie chcesz? No nie wygłupiaj się. - Spojrzał na mnie urażony.

- Nie, nie chcę jej obudzić, potem będzie płakać i nie będziemy  
mogli porozmawiać...

- I tak nie mamy specjalnie o czym - odparł Kamil. - To może le-  
piej popatrzymy na nią w milczeniu?

- Milczenie jest czymś, co naszym stosunkom zdecydowanie słu-  
ży.

- No dobra, zostawmy kłótnie na boku, wiem, że chcesz ją zoba-  
czyć, tylko się ze mną drażnisz...

- Nie chcę - powtórzyłem zawzięcie. - Przecież wszystkie dzieci w  
jej wieku wyglądają tak samo. Co, mam tam pójść, rzucić na nią  
okiem, wyrazić zachwyty, a potem, następnego dnia zapomnieć, jak  
wygląda? Jaki to ma sens, no powiedz sam?

- A idź w cholerę. - Kamil zniknął w kuchni.

Poszedł ochłonać, w końcu puściły mu nerwy. Myślałem, że może  
przy okazji przygotuje kawę, ale okazało się, że on najzwyczajniej w  
świecie zmywał naczynia.

- Zostawiłeś mnie samego... - zauważyłem.

- Tomasz, nie mam ochoty z tobą gadać. Zaraz przyjdzie Krysia,  
to sobie porozmawiacie - odpowiedział, nawet nie patrząc w moim  
kierunku.

- Ciekawe o czym? - Puknąłem się w czoło. - Może wspomnę jej o  
moim projekcie scenariusza? Albo lepiej nie, bo jeszcze ukradnie mi  
tytuł...

- To idź, opatentuj go, szybko, zanim ktoś wpadnie na ten sam po-  
mysł - drwił ze mnie. - Wtedy pozostanie ci już tylko miotanie oskar-  
żeń!

- A żebyś wiedział, że to zrobię. - Skierowałem się ku wyjściu. -  
Dziękuję za kawę, Kamil. Do następnego razu.

- Trzymaj się i sprawdź, czy kanapki, które robisz tam w Londy-  
nie, są równo pokrojone. Wiem, że to nie to, co siedzenie w biurze,  
ale pamiętaj, w każdej pracy trzeba być dokładnym. Pozdrów swoją  
dziewczynę. Oj, wybacz, zapomniałem, że jesteś notorycznym samot-  
nikiem onanistą...

Na dużo sobie względem mnie pozwalał - jedynym sensownym  
wyjściem był szybki kontratak.

- Patrząc na twoją Marysię, dochodzę do przekonania, że samot-  
ność bywa czasami optymalnym rozwiązaniem - odparłem triumfal-  
nie, zadowolony ze swojej riposty. - Do zobaczenia. Za miesiąc, rok, a

może dziesięć lat. Jestem pewien, że jak przyjadę następnym razem, Faustynka zacznie nabierać cech indywidualnych, a wtedy może zechce ją zobaczyć.

- Wynoś się. - Spojrzał na drzwi.  
Wygrałem.

\*

- Mamo, mam wrażenie, że zapomniałem o czymś ważnym... - Nie mogłem się opędzić od tej natrętnej myśli.

- A ja mam wrażenie, że umknęło ci bardzo wiele - odezwała się napuszonym tonem.

- Wujek Staszek! - przypomniało mi się nagle. - Jakoś nie nalegałaś, żebym go odwiedził, mimo że teraz jestem na miejscu. A jak byłem w Anglii, to nie dawałaś mi spokoju!

- Nie wspominałam ci, że poczuł się lepiej i wypisali go ze szpitala? - Wyraźnie zmieszana odwróciła wzrok.

- Nie, nie wspominałaś - syknąłem wściekle. - Poza tym ktoś, kto ma poważnie chorą wątrobę, nie zdrowieje tak nagle. Pamiętaj więc: jak znowu wyląduje w szpitalu, nie wysyłaj do mnie żadnych dramatycznych SMS-ów, okej? Zanim pojedę, przedzwonię do niego i zamienię kilka słów, to powinno wystarczyć na ewentualną resztę...

- Jaką resztę?

- Resztę... świąt... resztę... mojego pobytu w Polsce, no wiesz... - zacząłem się płatać.

- Jesteś bezczelnym egoistą... Potrzebujesz kobiety, która sprowadzi cię na dobrą drogę, zatroszczy się o ciebie, skoro ja już nie jestem żadnym autorytetem. Ale gdzie taką znajdziesz - na pewno nie w zepsutym Londynie! Tomek, modlę się za ciebie gorąco, ale nie wiem, czy to Bóg nie słucha, czy też to ty jesteś taki zatwardziały, że na Boga się zamykasz!

To było zdecydowanie coś w rodzaju „Greatest Hits of My Mother”.

- A może Bóg ma inne plany względem mnie niż ty sama? - odpowiedziałem z furią. - Dlaczego ty zawsze musisz być moralną wyrocznią i układać innym życie? Powiem ci coś: w Londynie czuję, że oddycham swobodnie, że wreszcie sam mogę o sobie w pełni decydować. Rozumiesz? Może gdybyś ciągle nie próbowała wpływać na moje życie, ta ucieczka nie byłaby konieczna.

- Chcesz powiedzieć, że to wszystko moja wina?

Wiedziałem, że hektolitry łez płynące z jej oczu to kwestia dwóch, może trzech minut.

- Mamo, daj mi spokój, muszę się spakować, zostało niewiele czasu. Zostawmy rozrachunki księgowym i poetom.

## **Nowy rok, nowe nadzieje, nowe złudzenia**

W drodze powrotnej, znajdując się w samolocie jednej z tanich linii lotniczych, zasnąłem niedługo po starcie, zmęczony nadawaniem pary rencistów, którzy ekscytowali się tym, że lecą po raz pierwszy zobaczyć Anglię i odwiedzić córkę, menedżerkę w jakiejś tam tureckiej knajpie na obrzeżach Londynu (rzekomo świetnie się jej tam prowadziło - tak jakby nie wiedzieli, że Turek zapewne dupczy ją kilka razy dziennie i płaci poniżej pensji minimalnej).

Ocknąłem się, czując, jak ktoś delikatnie trąca mnie w ramię. Była to stewardesa - uśmiechając się do mnie z wyuczoną serdecznością, zapytała, czy nie chcę wody, czy też czegoś tam innego do picia.

- Skoro już mnie obudziłaś - odrzekłem z przekąsem - to napiję się wody.

Szczerze mówiąc, byłem mocno spragniony, toteż zawartość małej butelki wypilem niemal w mgnieniu oka.

- Możesz zapłacić w funtach, euro lub złotówkach - powiedziała stewardesa, nie spuszczać ze mnie wzroku - gotówką lub kartą.

- Za co? - Zrobiłem wielkie oczy, o mało nie zachłystując się wodą.

- Za wodę.

- Za wodę? - powtórzyłem ze zdumieniem. - Przecież to chyba jest wliczone w bilet. Podalibyście jeszcze posiłek, a przynajmniej przekąskę, gdybyście mieli trochę klasy. Tanie linie lotnicze nie znaczy przecież „beznadziejne linie lotnicze”! Jeszcze mam płacić za wodę! No nie wierzę!

Niespodziewanie dla mnie rozległy się nieśmiałe oklaski - współpasażerowie najwyraźniej postanowili wynagrodzić mnie za wystąpienie - w końcu, chcą nie chcąc, przemawiałem w imieniu ich wszystkich, stałem się ich rzecznikiem! Czyżbym stał się dla kogoś przekonujący? Czyżbym wreszcie dostał swoje pięć minut - nie w Polsce, nie w Anglii, ale w bliżej niezidentyfikowanej terytorialnie przestrzeni powietrznej?

- Jak ogłaszałam możliwość zakupu przekąsek, to pan spał zamiast słuchać - powiedziała z wyrzutem.

- Miałaś tego świadomość, a potem obudziłaś mnie i wykorzystałaś podstępem moją niewiedzę! W dodatku, jak w ogóle można budzić śpiącego pasażera? Jeśli skrzydło się nie obrywa ani samolot przymusowo nie woduje, to moim zdaniem nie ma powodu, żeby wyrywać kogoś ze snu! - krzyknąłem z pasją w głosie.

- Nie musi pan być niegrzeczny. - Broniała się. - Ja tylko wykonuję swoją pracę. A poza tym, jakby skrzydło się obrywało, to chyba wołałby pan umrzeć we śnie, prawda?

\*

- Alex, nigdzie cię nie widzę! - Zadzwoń na telefon komórkowy mojego przyjaciela.

Miał na mnie czekać na lotnisku Stansted.

- No przecież stoję i czekam, gorzej, że nie widzę na tablicy przylotów żadnych samolotów z Polski. Miałaś po drodze przesiadkę? - dziwił się.

- Chyba żartujesz - zacząłem się irytować. - Samolot przyleciał o czasie, wchodzę właśnie do terminalu numer trzy. Nie wiem, w jakiej rzeczywistości ty się obracasz. Chyba ci to zamiłowanie do RPG na dobre nie wyszło...

- Słuchaj, jestem na Luton, tak jak mi kazałeś. Nie czepiaj się, bo stoję tu już od ponad godziny i różne myśli przychodzą mi do głowy - powiedział otepiałym głosem.

- Na Luton! - wydałem z siebie stłumiony okrzyk. - Przecież miałaś być na Stansted. Kurwa, mówiłem wyraźnie Stansted, jak zwykle mnie nie słuchałeś! Ale jak mogłeś mnie słuchać, skoro zawsze kiedy mam ci coś ważnego do powiedzenia, wracasz do tematu tej pizdy?

- A propos. Wiele się wyjaśniło podczas mojego pobytu w Polsce...

- Nie mogę się doczekać najświeższej porcji wiadomości - plułem sarkazmem. - Zanim jednak poruszysz ten temat, nie zapomnij, że mam telefon na kartę i sporo mi przyjdzie zapłacić za kolejną dawkę twoich zwierzeń. A teraz do rzeczy! Powiedz, że żartujesz z tym Luton.

- Tomek, jestem na Luton, bo tak cię zrozumiałem...

- Jak zwykle można na ciebie liczyć! Wielkie dzięki, Alex, do zobaczenia w domu. Rewelacyjnie się ten rok kończy, nie ma co.

\*

Należałem do tych osób, które w czasie sylwestra wyciszają się na chwilę i podejmują noworoczne postanowienia, zamiast zalewać się

w trupa i spać następnego dnia do trzeciej po południu. W sumie jednak lista postanowień powtarzała się w moim przypadku rokrocznie: zdobędę wreszcie pracę na miarę swoich możliwości; znajdę sobie kobietę, której wszyscy będą mi zazdrościć, i z którą ja będę się jednocześnie dobrze czuł (choć z logicznego punktu widzenia było to przecież niemożliwością); przebiję się do telewizji albo świata literatury.

Najfajniejsze w nowym roku było zaczynanie wszystkiego od początku. *Carte blanche*. Nie chodziło bynajmniej o grubą kreskę w stylu Mazowieckiego - nie ma co odcinać się od przeszłości, nie rozliczając jej, lepiej zrobić to dokładnie, żeby móc z większą świadomością i jeszcze większym zaangażowaniem zacząć coś na nowo.

Tak czy inaczej sylwestra przyszło mi i Aleksowi spędzić w Londynie. Kasia zaprosiła nas na swoje, jak się wyraziła: *super party*. Ku naszemu zaskoczeniu, dowiedzieliśmy się, że impreza odbyć się miała u nas w domu. Nasza rozkoszna współlokatorka sądziła, że na sylwestra zostaniemy w Polsce, więc założyła sobie, że nie będziemy mieli nic przeciwko temu, że zaprosi kilku znajomych.

- Może wyjdziemy gdzieś, na przykład na Trafalgar Square, będziemy celebrować w tłumie, a w międzyczasie opowiem ci, jak stoją sprawy z Ja... moją narzeczoną. Tyle jest do opowiadania... - zaproponował Alex.

- Może jednak przyłączymy się do Kasi... - W wyborze między dżumą a cholerą zdecydowanie stawiałem na dżumę.

- Wiesz, że to nie towarzystwo dla nas, będziemy się nudzić - zaproponował.

- Daj spokój, trzeba się otworzyć. Poza tym lepiej mieć ich pod kontrolą.

- Skoro nalegasz... - Dość łatwo się poddał. - Ale coś mi mówi, że jeszcze będziesz tego żałował.

do [ania.perucka2@wp.pl](mailto:ania.perucka2@wp.pl)

od [tomasz\\_pl@yahoo.co.uk](mailto:tomasz_pl@yahoo.co.uk)

Aniu,

Sylwestrowa impreza mojej współlokatorki była jedną wielką katastrofą. Większość jej gości przyszła naćpana lub najebana, do mojego pokoju wtoczył się taki wielki Murzyn i na wejście puścił pawia. Nie

wiesz może, czym najlepiej usuwa się takie plamy z dywanu, bo nie chce mi się pytać mamy? Mój przyjaciel Alex miał jeszcze gorzej – para Latynosów postanowiła podotykać się kutaskami i chłopcy skutecznie zabarykadowali się w jego pokoju. Na nic zdały się jego prośby, że musi wejść, żeby odnaleźć swój paszport, bo zapomniał, kiedy dokument traci ważność i to nie daje mu spokojnie wejść w nowy rok. Alex spędził ostatecznie noc u mnie, pytając co chwila, czy pozostawiona przez chłopaków sperma nie rozprzestrzeni w jego pokoju AIDS albo HIV. Taki z niego ignorant i homofob. Kasia poszła w tany z Marokańczykiem, z którym wcześniej się pokłóciłem o ocenę polityki Busha na Bliskim Wschodzie. Nie przeszkadzałoby mi, gdyby Kaśka zaczęła chodzić nagle w burce, przynajmniej z jej ust zniknąłby ten kurewsko głupi grymas.

Szczęśliwego nowego roku.

Tomek

## Powrót na dno

Pierwsze dni w pracy po przerwie świąteczno-noworocznej powinny być spokojne, istnieje przecież tego rodzaju niepisana reguła. Wszyscy są wypoczęci, naładowani nową, pozytywną energią, niemniej jednak każdemu zależy na miękkim lądowaniu i w miarę spokojnym przejściu ze stanu lenistwa do codziennych obowiązków.

Sonia była inna, także pod tym względem. Dla niej to, że było świeżo po świętach, stanowiło wręcz motywację do wytężonej pracy, bicia kolejnych rekordów w szybkości ukończenia przydzielonego zakresu zadań. Układając butelki z wodą mineralną w nieco zwolnionym tempie, zwróciłem się do niej:

- Nie chcesz kupić papierosów z Polski? Przywiozłem parę kartonów - rzuciłem niby od niechcenia.

- Przecież wiesz, że rzucam palenie, a przynajmniej próbuję - odpowiedziała z wyrzutem. - Musisz mnie kusić?

Spojrzałem na nią z nieskrywanym niesmakiem. Jeśli miałem rację, podejrzewając ją o branie narkotyków, to jaki sens miało rzucanie

przez nią palenia? To tak, jakby ktoś zdecydował się wjechać samochodem w przepaść i do końca martwił się o karoserię.

- Musisz teraz rzucić? - Skrzywiłem się. - Nie możesz przeczekać te dwa kartony...

- Tomek, daj mi spokój z papierosami, weź się do pracy. - Machnęła ręką, rzucając mi jednocześnie karcące spojrzenie. - Masz dzisiaj dokładnie wyczyścić piec i wymyć kosze na śmieci, jak tylko zamkniemy sklep.

\*

- Jak tam święta? - spytałem Marka, jednego ze stałych klientów, wysokiego prawnika z kruczoczarnymi włosami i w przydużych okularach.

- A, miło było odpocząć od pracy - stwierdził bez emocji.

- Choinka, spowiedź, kościół, prezenty, standard, co? - zastanawiałem się głośno, usiłując przedłużyć wymianę zdań.

- Niekoniecznie - odpowiedział lekko zakłopotany, a może wręcz zniecierpliwiony moimi pytaniami.

- Ja nie mógłbym spędzić tutaj świąt. Święta to dla mnie nie tylko chwila wytchnienia, mają też wymiar religijny... W końcu nadszedł dla nas, chrześcijan, Zbawiciel...

- Jestem Żydem.

Byłem lekko zakłopotany, ale on wcale nie wyglądał na zagniewanego.

- Cool.

- No cóż, my też mamy swoje święta. - Wzruszył ramionami. - Nie robimy z tego celebry na cały kraj. Ale w końcu to państwo chrześcijańskie, więc trzeba się dostosować.

- Dostosować? - powtórzyłem, nieco ośmielony tym stwierdzeniem. - To znaczy mieć wolne na czas, który jest ci w zasadzie obojętny... Założę się, że bierzesz też wolne w czasie świąt żydowskich.

- A owszem - przytaknął. - W sumie więcej dostaję, niż biorę.

- Wybacz, ale nie jest to dziwne, obchodzić tyle świąt? To mi przypomina sytuację w Polsce z drugim maja wolnym od pracy tylko dlatego, że jest pomiędzy dwoma świętami. Może niezupełnie trafne porównanie, ale wiadomo, o co chodzi, chodzi o namnożenie wolnego. W święta muzułmańskie też masz wolne? - perorowałem zawzięcie.

- Posłuchaj, to, że zamieniamy ze sobą codziennie kilka słów, nie znaczy wcale, że możesz sobie na tyle pozwalać. - Zrobił się nagle czerwony na twarzy.

Zdałem sobie sprawę, że posunąłem się za daleko.

- Przepraszam. - Przełknąłem ślinę.

Nagle poczułem trącenie w biodro.

- I w dodatku masz olbrzymią kolejkę, nie wspominając o tym, że już trzy osoby wołały wyjść ze sklepu, bo nie chciało im się tu stać godzinami - powiedziała ostrym tonem Sonia.

- Chciałem tylko zabawić klienta rozmową - odparłem zrezygnowany. - Przecież tego również się ode mnie oczekuje.

- Pragnę tylko odnotować, że mnie szczególnie nie rozbawiłeś. - Mark zabrał swoje rzeczy z lady i bez pożegnania skierował się ku wyjściu.

- Jesteś gorszy niż te stare baby z kas supermarketu, które potrafią godzinami gadać o niczym, kiedy tymczasem kolejka sięga już drzwi.

- Do nagonki na moją osobę przyłączył się Anthony.

Zesztywniałem posłusznie niczym młody oficer wermachtu meldujący się na rozkazy przełożonemu.

- Następny proszę - wyrzuciłem w zdyscyplinowanej tonacji „heil Hitler”.

\*

Jeszcze tego samego dnia miało miejsce dość nietypowe wydarzenie. W sumie tyle się teraz mówi o niepełnosprawnych klientach, wydaje się nawet specjalne broszury na ich temat, a jedyne, co się nam w sklepie do tej pory trafiało, to od czasu do czasu facet o lasce - nawet nie na wózku, tylko o lasce, czyli najczęściej z nietrwałym kalectwem; naprawdę, nie było się czym ekscytować. Ale dzisiaj przyszedł, i to niewidomy z białą laską! Badał nią ostrożnie podłogę, ale tak naprawdę wyglądało to, jakby dawał wszystkim do zrozumienia: „Jestem tutaj, przepuście mnie, muszę być pierwszy, nie powiodło mi się w życiu, to teraz muszę być uprzywilejowany”! I na to jego postukiwanie laską pozostali klienci rozstąpili się bez słowa protestu.

- Czym mogę służyć? - zapytałem go, jednocześnie patrząc na lampę, której blask wydawał mi się dziwnie przyćmiony. Założę się, że żarówka padnie na dniach.

- Chciałbym zjeść kanapkę z kurczakiem i awokado, słyszałem od znajomego, że jest znakomita - powiedział.

Nawet wspaniale wygląda - przeszła mi przez głowę głupia myśl - szkoda, że nie przekonasz się o tym na własne oczy.



- Zaraz podam - zaferowałem się i w mgnieniu oka odszukałem pożądaną przez niego kanapkę. - Ładna dzisiaj pogoda - usiłowałem zagać rozmowę.

- Rzeczywiście - przytaknął. - I ludzie jacyś wyjątkowo mili. Jeden z takich dni, że aż chce się żyć.

Skierował się ku wyjściu, ponownie torując sobie drogę laską.

- Do widzenia - krzyknąłem jeszcze, zanim uświadomiłem sobie swoją gafę.

- Do mojego gabinetu - polecił wściekły Anthony.

\*

Byliśmy z Alekssem na kawie w Coście na Wood Greenie, w tym wielkim handlowym molochu, który był nie wiedzieć czemu chlubą dzielnicy.

- Zacząłeś rok od ostrzeżenia w pracy? - Na twarzy Aleksa pojawiło się rozbawienie.

- To czysty przypadek, tym razem - mówię szczerze - wcale nie miałem złych intencji. Anthony chciał mnie tylko nastraszyć, ale dziadek zadzwonił do head office ze skargą i na nastraszaniu nie mogło się skończyć, sprawy zaszły za daleko... Rozumiesz? Że też nie pomyliły mu się cyfry, kiedy wybierał numer... Cholera...

- Patrz! - Alex szturchnął mnie nagle w rękę, tak, że pianka od mojego cappuccino, które właśnie zbliżałem do ust, wylała się na talerz.

- No nie. - Westchnąłem ciężko. - Zrobiłeś mi z cappuccino latte.

- Widzisz tę dziewczynę w rogu? Prawdopodobnie Turczynka...

- Jak dwadzieścia procent Londynu. Dopiero przyjechałeś? - odpowiedziałem sarkastycznie, patrząc we wskazanym przez niego kierunku. - Ta z dzieckiem? O tą ci chodzi?

Właśnie o to chodzi, że to nie jest dziecko - odparł podekscytowany.

- Jak to, a co, może atrapa? - Puknąłem się w czoło.

- Nie słyszałeś o tym programie planowania rodziny? - spytał z przejęciem. - Żeby uświadomić małolatom, ile obowiązków wynika z posiadania dziecka, każą im nosić ze sobą lalki i cały czas się nimi opiekować. To badziewie ma zaprogramowany płacz i takie tam jeszcze inne funkcje.

- To jak w jakimś durnym reality show - podsumowałem z politowaniem. - No, ale to już nie ta sama Anglia, co kiedyś... Daleka od

swojego wiktoriańskiego stylu, czy nawet swingującego Londynu. Gdzie te czasy? Teraz do głosu dochodzą debile, albo przynajmniej z debilami trzeba się wszędzie liczyć... Mówię ci, Alex, tu nie ma przyzwołości, nic dobrego z tego nie będzie.

- Mam nadzieję, że zacznie karmić go piersią - zażartował mój przyjaciel. - Małolata, ale duże już ma. Zresztą, teraz im szybko rosną. To musi być to tanie chemiczne żarcie albo za wcześnie pobudzone hormony. Przejechałbym jej pomiędzy...

- A tobie co, wali już na głowę z tej samotności? - zbeształem go. - Najpierw starzejące się kobiety, a teraz pornografia dziecięca?

Nagle dziewczyna spojrzała w naszym kierunku - trudno ocenić, czy był to czysty przypadek, czy też domyśliła się, że o niej mówimy.

- Ciszej - szepnął Alex.

- To ty zacząłeś, więc teraz mnie nie uciszaj. Swoją drogą pomyśl, co by się stało, gdyby nakrył was razem jej ojciec. Ciekawe, kto by polecał z balkonu pierwszy. Wiesz, zaciekawiliś mnie tą lalką. Zrozumiałbym, jeśli byłaby to kara za jakieś antyspołeczne zachowania, ale element wychowawczy? Przecież przez coś takiego ludzie mogą ją wziąć za wariatkę. Ba, nawet powinni! Pamiętasz, w ilu filmach kobiety chore na umyśle opiekują się lalkami, sądząc, że to ich dzieci? Teraz wybacz, pójdę do toalety.

\*

- Wyobrażasz sobie coś takiego? Byłeś kiedyś w tej toalecie na górnym piętrze? Odkręcasz wodę, ale jak tylko puścisz kurek, to woda przestaje lecieć... - Byłem poruszony bezsensownością takiego rozwiązania.

- O co ci chodzi? - Alex wydawał się nie rozumieć.

- Innymi słowy, jeśli jedną ręką trzymasz kurek, to nie masz czym umyć drugiej. Kto to wymyślił? Komu zlecili ten projekt? Może *mentally challenged* dostali zlecenie w ramach wyrównywania szans w zakresie dostępu do przetargów? - ironizowałem.

- Skąd mogę wiedzieć. Kawa ci stygnie. - Wskazał na moją filiżankę.

Ot, jeszcze jedno bezproduktywne popołudnie z Alekssem. Wydawał się absorbować mój humor obserwacyjny w takim stopniu, w jakim ja przykładam wagę do jego rozpadającego się narzeczeństwa. Gdyby tu dziś na jego miejscu siedział Dominik, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej.

## Zakazane rewiry

Po szczególnie męczącym tygodniu pracy nadszedł wreszcie tak wyczekiwany weekend. Chodziłem z Alekssem po Soho - ja kuszony perspektywą dokładnej penetracji sklepów z płytami, w które obfitowała ulica Brewick, on, jak przyznał, rozochociony myślą o odwiedzeniu jednego ze znajdujących się tam domów schadzek i penetracji tamtejszego personelu.

- Idź do tego burdelu, a ja poszperam w płytach. - Starłem się go zbyć. - Potem ja ci powiem, o co powiększyła się moja kolekcja, a ty z kolei za kilka miesięcy dasz mi znać, co podłapałeś...

- Ale śmieszne, po co to całe straszenie, przecież użyję kondoma!

Zirytował się, zupełnie jakbym popsuł mu dobrze zapowiadającą się zabawę.

- Tomek, ja potrzebuję seksu, ja się nie mogę pozbierać - dodał po chwili.

- Nie patrz tak na mnie. - Skrzywiłem się. - Ja ci go nie dam, choćbyś miał mi nawet dobrze zapłacić.

- Mam opory, czuję, że ją w ten sposób zdradzę... - Tego wątku w tym momencie akurat się nie spodziewałem.

- Ona już nie jest twoja, im szybciej to zrozumiesz, tym lepiej dla ciebie - odpowiedziałem chłodno. - Zapomnij o niej, koniec, kropka, the show must go on, rozumiesz?

- Ale jak do siebie wrócimy, to będzie mi ta zdrada ciężać...

- Póki co, to nie jest zdrada - podkreśliłem stanowczym tonem. - Na twoim miejscu nie zastanawiałbym się nad tym, jak ustosunkowałyby się do tego twoja puszczalska eksnarzeczona, ale raczej nad moralnym dylematem „iść, czy nie iść” oraz ewentualnymi konsekwencjami zdrowotnymi... Nie mam tu na myśli tylko zdrowia fizycznego.

- Tomek, daj spokój, każdy facet przynajmniej raz był w burdelu, nie oszukujmy się.

- Moja matka zawsze podkreśla, że ja żyję w burdelu. Ale tak naprawdę nigdy jeszcze nie korzystałem z usług agencji. Zastanawia mnie, że w tych czasach agencje w ogóle jeszcze istnieją. No bo przecież, jeśli nawet całkiem sensowne panienki uznają za swoją powinność od czasu do czasu puścić się na lewo i prawo, to jakież jest sens

płacenia za seks? Trzeba być totalnym zerem, żeby korzystać z usług prostytutek, czyż nie? Innymi słowy, jeśli dookoła tyle lasek się kurwi, to po co iść do kurwy, która cię skasuje? - perorowałem wulgarnie.

- Może chodzi o to - odrzekł po chwili zastanowienia Alex - że nie musisz pieprzyć się z tymi całymi podchodami, bulić jak za zboże w cholernie drogich hinduskich restauracjach albo wyrzucać kilkudziesięciu funtów na dwa bilety do kina na Leicester Square. Chodź ze mną. Czuję się skrępowany, idąc tam w pojedynkę.

- Nie mogę... - bąknąłem niepewnie.

Teraz to ja musiałem walczyć ze sobą, poczułem, że na samą myśl o odwiedzeniu burdelu, usztywniłem się.

- No chodź... Widać, że też ci to chodzi po głowie. Nie zaprzeczaj... - kuśił mnie w szatański sposób.

Po tych słowach zupełnie nieoczekiwanie wcisnął mi w dłoń coś, co okazało się kondomem. Najwyraźniej wyczuł, że mięknę (albo też zauważył, że twardnieję), bo jego perswazja stała się jeszcze bardziej śmiała i gwałtowna. W końcu zwyciężył, a ja, przeświadczony, że wpakuję się raczej w kłopoty, niż zaznam cielesnych uciech, bezwolnie podążyłem za nim. Zatrzymaliśmy się przed otwartymi drzwiami, na których widniały kartki z napisem *stunning beauties*. Alex spojrzął na mnie jeszcze raz w porozumiewawczy sposób, potem skierował się schodami w górę, a ja posłusznie - jak jakieś głupie cielę - zaraz za nim. Pokonawszy schody, spotkaliśmy jakąś podstarzałą kobietę. Na nasz widok uśmiechnęła się przyjaźnie i zatoczyła dłonią groteskowy półokrąg w zapraszającym geście.

- Mam nadzieję, że ona nie jest jedną z tych *stunning beauties* - powiedziałem szeptem do Aleksa.

- Mamy Amber, Polish beauty i brazylijską gorącą niespodziankę. Shemale... - poinformowała. - Do wyboru...

- Nie chcę mieć nic do czynienia z Polkami - powiedział Alex.

- To dobrze się składa, bo mi łatwiej będzie wypytać Polkę o historię chorób wenerycznych... - odparłem.

- Nie rób wiochy. - Alex złapał się za czoło. - Masz przecież gumkę. Sheylme, dziwne imię... Takie trochę nietatynoskie...

Przez głowę przeszło mi pewne dość oczywiste podejrzenie, którego jednak wolałem nie dzielić z Alekssem, nie chcąc wyprzedzać faktów. W końcu, zgodnie z podziałem, ja trafiłem do pokoju Polki, a Alex miał stuknąć Brazylijkę.

\*

- O kurwa! Zabłocka? - Nie dowierzałem własnym oczom. Ona najwyraźniej też.

- Płachta? Co ty tu robisz?

- Nie, co ty tu robisz? - odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

- Wiesz, funt stoi lepiej niż euro. - Uśmiechnęła się cynicznie. - No więc, co ty tutaj robisz?

- Kolega mnie namówił... Nigdy jeszcze nie byłem, tak pomyślałem, że... - Urwałem.

- Jasne. Tomek, masz wszystko, czego potrzeba mężczyźnie, po co ci płacić za seks? - zwróciła się do mnie z politowaniem.

- Masz na myśli, że nie muszę ci zapłacić?

- Nie, nie o to mi chodzi. - Pokręciła przecząco głową. - Za darmo to mogę ci najwyżej handjoba zrobić. Albo oral, spuszczyć o połowę...

- Co zrobisz? Spuścisz o połowę? - Patrzyłem na nią, udając wystraszonego.

- Za pół ceny. - Zaśmiała się, rozbawiona tą grą słów.

Nie, naprawdę nie potrafiłem skonsumować tego spotkania! Mając przed oczyma wyobraźni pełną wdzięczności panią Zabłocką, jej matkę, straciłem ochotę na seks.

- Może lepiej chwilkę porozmawiamy, korzystając niejako z okazji, a potem ja sobie pójdę i oboje będziemy udawać, że się nigdy nie spotkaliśmy... - zaproponowałem.

- O czym chcesz rozmawiać? Oni mnie potem rozliczą i jak spędzimy za dużo czasu, a ja nie będę miała żadnych pieniędzy, to potem mi się dostanie. Umówmy się lepiej na kawę w następnym tygodniu, a teraz... Wiesz, zawsze miałam na ciebie ochotę... - Rozpłaszczyła mi rękę na klatce piersiowej i delikatnie zaczęła ją masować.

- Biją cię? - zapytałem, odsuwając się od niej na bezpieczną odległość i usiłując w ten sposób przerwać przejmowanie przez nią inicjatywy.

- Nie, głuptasie, ale nikt się nie cacka, po prostu konkurencja jest za duża. Wiesz, ile wsiunek przyjeżdża do Londynu z Europy Wschodniej i kończy na ulicy? Ja nie narzekam, dobrze mnie traktują, mam gdzie mieszkać, więc po co kusić los... - tłumaczyła w niezbyt przekonujący sposób.

- Ty dziwko - powiedziałem nagle, wzburzony spokojem, z jakim to wszystko mówiła. - Nie wstyd ci - twoja matka myśli, że masz

normalną pracę, a ty nawet teraz, kiedy można legalnie pracować w jakimś przyzwoitym sektorze, zarabiasz na utrzymanie dupą?

- A co mam, kurwa, robić? - spytała poirytowana. - Składać kanapki i ścierać kurze z półek za pięć funtów za godzinę?

- Zaraz, zaraz... Co powiedziałaś? Skąd wiesz? Do mnie pijesz? - Zdenerwowałem się jeszcze bardziej.

- Dlaczego miałabym? Nie chcesz chyba powiedzieć, że... Powiedz, że pracujesz w białej koszuli i spodniach w kancik w którymś z biurów na Liverpool Street. Nie, nie robisz tutaj kanapek, błagam cię, nie potwierdzaj! - Patrzyła na mnie w taki sposób, jakbym to ja powinien się tłumaczyć z tego, co robię.

Zaczęła się jeszcze wulgarnie śmiać.

- To wciąż lepsze, niż być posuwaną przez śmierdzących potem i gorzałą podstarzałych facetów z zagrzybionym kutasem - odszczeknąłem.

- Za taką stawkę zmieniłbyś zdanie. Zresztą wszystko jest lepsze od robienia kanapek i pierdolenia się przy garach w zabójczym tempie! - zrewanżowała się równie niestosowną uwagą. - Zobaczysz, odłożę, otworzę biznes w Polsce i będę panią, nikt się nigdy nie dowie, jak zgromadziłam kapitał początkowy. A ty w tym czasie nie odłożysz nawet na rozgruchotany samochód!

- Nikt się nie dowie... - powtórzyłem wymownie. - Jesteś pewna?

- Daj spokój, chyba nie sądzisz, że uszłoby ci na sucho, gdybyś wspomniał o mnie mojej lub swojej matce? Kto mnie wpierdolił do Włoch - już zapomniałeś? Gdyby nie ty, byłabym jakąś wzorową sprzedawczynią, a nie dziwką. Powiedz, szybko, no idź się poskarż, już, jazda! Wiesz co ja wtedy zrobię? Powiem, że ciągle przychodziłeś do mnie zamawiać złoty deszcz... Zobaczmy, jak twoja matka to znieśie! Zaraz cię wydziedziczy!

Suka, doskonale zdawała sobie sprawę z faktu, że wzajemnie się szachujemy. Moją analizę tej skomplikowanej sytuacji przerwał nagle jakiś krzyk. O mój Boże, czyżby coś się stało Aleksowi? Wybiegliśmy na zewnątrz. Na korytarzu zobaczyliśmy ubierającego się w pośpiechu Aleksa, a w półmroku przyciemnionego pokoju, na który mieliśmy widok dzięki uchylonym drzwiom, stała dziwna hybryda: twarz miała kobiety, dość kształtne piersi i ładną figurę, ale jednego niepokojącego szczegółu nie dało się nie zauważyć - penisa w stanie erekcji.

- Spierdalamy stąd - powiedział do mnie mój przyjaciel. - Co to, kurwa, jest? No nie, ja chyba jestem w jakimś koszmarze!

- Vicenza jest shemale'em, nigdy nie słyszałeś o shemale'ach? - odezwała się Zabłocka.

- Nie, w jego uporządkowanym świecie komputerowych danych wszystko jest zerem albo jedynką, nie ma wartości względnych - odrzekłem filozoficznie.

- Co ty znowu pierdolisz? - Zabłocka podsumowała mój wywód w brutalny sposób.

Następnie odwróciła się w kierunku Aleksa i wyciągnąwszy w jego kierunku oskarżycielsko palec, zapytała:

- Coś ty jej zrobił? Chyba jej nie uderzyłeś, gnojku?

- Nic jej nie zrobiłem, przysięgam - zaklinał się Alex. - Lizaliśmy się, ona mnie pieściła... ale w pewnym momencie zobaczyłem, że jej... mu jakoś tak majtki dziwnie nabrzmiały...

- To żenada, chodźmy stąd - zwróciłem się do niego, postanawiając zakończyć ten żałosny cyrk.

Niemal dokładnie w tym samym momencie usłyszałem kroki na schodach - były to co najmniej dwie osoby. Wkrótce wyłoniły się sylwetki podstarzałej kobiety, z którą zetknęliśmy się już wcześniej oraz jakiegoś barczystego mężczyzny, mięśniaka niemal pozbawionego szyi, z twarzą pokiereszowaną kilkoma bliznami. Przełknąłem ślinę, zdając sobie sprawę, że stara wezwała ochroniarza i nic dobrego z tego zapewne nie wyniknie.

- Nie wiem, co tu się dzieje - mówiła do niego dość cicho. - Może nie chcą zapłacić, czy się pobili...

- Panowie użyli, panowie zapłacili? - powiedział łamanym angielskim, z wyraźnym rosyjskim akcentem.

Spojrzałem na Zabłocką, licząc na to, że powie prawdę, wyjaśni, że do niczego nie doszło, ale ona, najwyraźniej sama sparaliżowana strachem, spuściła wzrok i trwała w milczeniu. Tymczasem goryl zatarasował przejście i ani myślał zejść nam z drogi.

- Razem sto plus dobrowolny napiwek, czyli w sumie sto pięćdziesiąt - oznajmił kategorycznym tonem, a stara skinęła potakująco głową.

Spojrzałem porozumiewawczo na Aleksa, a on, wiedząc, że mamy sporo do stracenia, pojął w lot moją sugestię. Silnie pchnąłem starą na ochroniarza. Krzyknęła, a potem straciła równowagę i za chwilę oboje potoczyli się po schodach, torując nam drogę ucieczki.

- Dawaj! - krzyknąłem do Aleksa. - W nogi!

Pędem zbiegliśmy po schodach i choć osiłek zdołał złapać mnie za nogę, zdołałem jakoś zachować balans i wyszarpnąłem się z jego uścisku.

- W dłuęą! - poleciłem Aleksowi, kiedy wybiegliśmy z budynku.  
- Musimy schronić się w jakimś sklepie! - odkrzyknął zasapany, skręcając w kierunku sex shopu.

Uznałem tę sugestię za trafną, toteż już za chwilę znaleźliśmy się w środku sklepu, który z zewnątrz był szczelnie osłonięty różowymi firankami, co oczywiście działało na naszą korzyść.

- Myślisz, że za nami biegnę? - spytał spanikowanym głosem.

- Nie mam pojęcia, na wszelki wypadek wtop się w tłum - poleciłem mu.

- Sami faceci - stwierdziłem, rozglądając się dookoła. - Będzie łatwiej.

- Sporo tu literatury gejowskiej - dodał Alex.

- Literatury... - powtórzyłem, śmiejąc się. - Literatury obrazkowej.

- I gadżetów gejowskich - uzupełnił, przetykając ślinę.

Spojrzeliliśmy na siebie, pojmując wreszcie, w jakim sklepie się znaleźliśmy. Zanim zdołałem oswoić się z tą myślą, poczułem, że ktoś ociera się o mnie i trudno było to uznać za przypadek. Był to jakiś wysoki, gładko wygolony mężczyzna, ubrany jedynie w żółty fosforujący podkoszulek i kolarki.

- Hello - powiedział do mnie z uśmiechem, w charakterystyczny miękki sposób.

- Przykro mi, nie jestem zainteresowany, jestem z partnerem - wskazałem na Aleksa.

Alex zaśmiał się pod nosem, rozbawiony moim zręcznym wybiegiem - na tyle skutecznym, że „kolarz” dał mi spokój i odszedł w stronę sekcji z wymyślnymi prezerwatywami.

- Dobra, chodźmy stąd, chyba, że coś kupujesz... - zwróciłem się do Aleksa. - Niebezpieczeństwo zażegnane.

- Nie możemy jeszcze iść, ten mięśniak może się wciąż kręcić w pobliżu - odparł nieco bojaźliwie.

- Patrz, jaki arsenał sztucznych penisów. - Wskazałem na ścianę koło kasy. - Aż strach pomyśleć, że niektóre z nich w ogóle są w stanie zmieścić się w pupształu... Ja nie mogę, tam, tam... Zobacz!

Zauważyłem, że kolejna znajoma twarz pojawiła się w tych niezbyt interesujących okolicznościach.

- Co jest? - Alex spojrzał na mnie pytająco.

- Jurgen, syn landlorda. Ten wysoki blondyn w czapeczce NY - odrzekłem podekscytowany. - Ciekawe, czy Rudi wie? To mnie nie



przestaje nurtować. Albo wie, albo się przynajmniej domyśla. Cholera, on nie może nas tu zobaczyć...

- Wielu gejów ukrywa swoją prawdziwą tożsamość. Dla rodziców to wielki cios... - Alex rzucił banałem.

- Zabierajmy się stąd.... - Czułem się coraz bardziej zakłopotany całą tą sytuacją.

- Nie możemy jeszcze iść. Poczekamy z dziesięć minut, a potem przejdziemy na Piccadilly, gdzie powinniśmy być już bezpieczni.

- Dobra. Niech będzie.

Nie spuszczałem z oczu Jurgena. Niemiec przyglądał się właśnie jakimś obcistym bokserkom z wycięciem na pośladkach, a ja perwersyjnie wyobraziłem sobie to i tamto. Zaraz też naszła mnie przerażająca myśl: a może ja staję się wbrew swojej woli biseksualny? Kinsey twierdził, że nikt nie jest stuprocentowym hetero albo homo. Mam nadzieję, że się mylił.

## Natalia w Londynie

- Kurwa! - zakląła Kasia. - Nie chce mi się dzwonić do babci.

- A co cię dzisiaj naszło z babcią? - spytałem zaskoczony, nie odrywając wzroku od gazety.

„The Sun” dostarczał jak zawsze śmieciowatych historii - trudno było się od tej lektury czasem oderwać, szczególnie kiedy ze szpalt lała się krew albo błyszczały naoliwione ciała.

- Dzień Babci, innit? - przypomniła.

- Ah, zupełnie zapomniałem - odrzekłem. - Nie po raz pierwszy zresztą. Będę musiał zadzwonić do mamy i poprosić, żeby zawiozła babci coś ode mnie. Zresztą, znając ją, nawet nie muszę dzwonić, sama to robi... A tak przy okazji, co ciebie naszło?

- O co ci chodzi? Jak to naszło? - Zmrużyła oczy.

- No daj spokój, przecież ty byś wysłała własnego brata na szafot, a przejmujesz się Dniem Babci? Chcesz mi powiedzieć, że to zupełnie normalne? Swoją drogą, założę się, że gdyby twoja babcia wiedziała, z kim się spotykasz, natychmiast wylądowałaby na cmentarzu albo co najmniej na intensywnej terapii - powiedziałem z sarkazmem.

- Moja babcia jest bardziej tolerancyjna niż ty, chociaż dzieli was pięćdziesiąt lat - wycodziła przez zęby.

- Więc wychodzi na to, że ta postępowość jest dziedziczna. No dalej, wyznaj mi, po co tak naprawdę chcesz dzwonić do babci? Leży na łożu śmierci i warto się przypomnieć, żeby wyrwać kawałek spadku?

- Spierdalaj - wulgarnie ucięła dyskusję. - Idź bić pianę, bo znowu stajesz się nadpobudliwy...

- Grzeczniej proszę, bo podeślę babci zdjęcia i założę się, że wcale nie jest taka postępową i nie pokaże ich koleżankom z kościoła... A wtedy możesz zapomnieć o spadku, jakimkolwiek. Wszystkie mniejszości ćwiczą na dupie wnusi w Londynie - to jest dopiero powód do wstydu.

Nie do końca żartowałem, tego rodzaju plan od jakiegoś czasu chodził mi po głowie, oczywiście w odniesieniu do rodziców Kasi.

- Tomek, jest coś, co chciałam ci zawsze powiedzieć. - Zmieniła nagle ton głosu, mówiąc tym razem z dystynkcją i spokojem.

- Co takiego? - Rzuciłem jej badawcze spojrzenie.

- Mam nadzieję, że przypadkowo poderzniesz sobie gardło krajalnicą w pracy.

Po tych słowach podniosła się i za chwilę zniknęła za drzwiami swojego pokoju.

\*

Nie otrząsnąłem się jeszcze z szoku po spotkaniu Zabłockiej w burdelu na Soho, kiedy to polska przeszłość przypomniła o sobie kolejną znajomą. Wałęsając się po wypełnionej eleganckimi sklepami Regent Street, zauważyłem nagle Natalię - koleżankę ze studiów, tę samą, która miała antysemityczne obsesje, i której randka z Dominikiem doprowadziła niegdyś do wielkiej katastrofy.

- Natalia! - wykrzyknąłem entuzjastycznie. - Jaki ten świat i Londyn mały!

- Tomek! No nie wierzę! - Jej twarz rozpromienił śliczny uśmiech, ten sam, który sprawiał kiedyś, że się w niej podkochiwałem.

Rzuciliśmy się sobie w ramiona, jak para przyjaciół, których dawno temu rozdzieliła wojna, a teraz spotykali się przypadkowo po latach tułaczki.

- Nie sądziłem, że osoby o tak silnym poczuciu przynależności narodowej również obierają kierunek na Londyn - powiedziałem z przyjacielskim przekąsem.

- Wiesz, miałam już dość tej pracy za tysiąc dwieście złotych brutto. Stwierdziłam, że zarobię tutaj trochę pieniędzy, wrócę do Polski i otworzę biznes - odparła. - Przywożąc kapitał do Polski, w ostatecznym rozrachunku wyświadczam narodowi przysługę, prawda?

- Rozumiem i popieram - odezwałem się z aprobatą. - Dawno przyjechałaś?

- Za tydzień będą prawie dwa miesiące.

Cóż za precyzyjne stwierdzenie!

- Gdzie pracujesz? - Poczulem się jak natrętny przesłuchujący, ale ciekawość brała nade mną górę.

- W biurze - odrzekła spokojnie

- No, no, no - poczułem wszechogarniającą zazdrość - dwa miesiące i już w biurze, a ja - niedługo będzie rok i ciągle w żarcie robię...

- Sprzątam w biurze, żeby było jasne - uzupełniła nieśmiało. - Czy myślisz, że wpuścili nas po to, żebyśmy zajmowali wysokie stanowiska? Tylko tym jesteśmy dla Unii - tanią siłą roboczą. Od początku wiedziałam, że tak będzie i dlatego głosowałam na „nie” w referendum.

- Ach, sprzątasz! - Odetchnąłem z ulgą.

- Ale też składam podania do zwykłej pracy biurowej. Wiesz... tak dla czystego sumienia.

- Ja też - przyznałem. - Na razie nic z tego nie wynika, nawet na głupie interview mnie nie zaproszą. Nie wiem, co ze mną nie tak, że nikt się mną nie interesuje.

- Nie wiesz co? Jesteś dla nich tylko Polaczkiem. Traktują nas tu jak śmieci, jak gorszy sort. Byle Bangladesz albo Nigeryjczyk ma tu więcej do powiedzenia niż Polak. Nie wiem sama, co ja tutaj robię, naprawdę... Gdyby nie idea tego biznesu, to by mnie tu nie było. Co to za miasto? Wyobrażasz sobie wyjść na spacer po molo i w ciągu dziesięciu minut zobaczyć Żyda, Araba, dwie lesbijki trzymające się za ręce i bandę rozwrzeszczanych czarnych bachorów?

Nie ma co - Natalia była w swoim żywiole, a Londyn był wodą na młyn jej uprzedzeń, swego rodzaju soczewką, w której skupiało się wszystko to, czego ona - w zależności od nastroju - albo panicznie się bała, albo psychopatycznie nienawidziła.

- Napijemy się kawy? - zaproponowałem, zmęczony atmosferą ulicy.

- Trochę się spieszę - oznajmiła, patrząc na zegarek. - Ale zaraz dam ci swój telefon, musimy się koniecznie zobaczyć w weekend. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię spotkałam.
- A dokąd tak się spieszysz? - zainteresowałam się.
- Poznałam kilku fajnych ludzi z BNP - wyjaśniła. - Mamy się zobaczyć i podyskutować przy piwie.

\*

Czasami zdarzało mi się zabijać czas w kawiarence internetowej - siedziałem tam tylko po to, żeby spędzić kilka godzin na onetowskich czatach. Zupełnie nie wiem, po co mi to było, czy to z potrzeby drażnienia się z ludźmi online, czy też z chęci zmanifestowania swoich poglądów, a może po prostu dowartościowania się kosztem przebywających tam degeneratów. Degeneratów, jakich uosabiały setki zakompleksionych nastolatków szukających podobnych im przyjaciół-nieudaczników; histerycznych trzynastolatków, którzy rzekomo ocielali się o śmierć, mając za sobą próby samobójcze; gejów udających panienki i masturbujących się podczas rozmów z chłopakami, i im podobnych społecznych straceńców.

Albo inne żałosne kategorie: administratorzy i moderatorzy, którzy mogąc usuwać z czata niepożądane osoby, perwersyjnie zachłystywali się swoimi kompetencjami, zupełnie jakby skupiali w swoich rękach władzę nad MON, MSW i MSZ jednocześnie; szesnastoletni domorośli „psychologowie” zakładający pokoje z poradami dla osób, którym wydaje się, że nie mają już po co żyć; „teologowie” ze szkół średnich, którzy sądzą, że mają Biblię w małym paluszku i nie dopuszczają nawet rzeczowej polemiki (oczywiście sporą część z nich stanowili jehowi, którzy zarzucali swoje sieci w internecie i bardziej niż właściwą Biblię cytowali jej szemrane przekłady albo „Strażnicę”).

Co ja tutaj właściwie robiłem - uciekałem w wirtualny świat, podczas gdy ten prawdziwy tak bardzo wymknął mi się spod kontroli. I jeszcze ci nieszczęśni Somalijczycy z obsługi kawiarenki, gadający ze sobą tak głośno i tak głupio, oczywiście w ich bełkotliwym języku, gdzieżby tam mieli się, nie daj Boże, asymilować!

Muszę wreszcie zacząć pracę nad własną socjalizacją, obiecałem sobie w duchu. Nawet jeśli przyszyłoby mi spędzać czas ze słoniem i żyrafą, byłoby to o wiele lepsze niż siedzenie w kawiarenkach internetowych i dyskusje z tymi dziwakami. W końcu nie ma nic bardziej

żałosnego, niż wirtualni przyjaciele kradnący cenny czas w mieście miliona okazji.

Natalia - byłem przekonany, że z tej znajomości może wyniknąć jeszcze wiele dobrego! Ileż to razy stare przyjaciółki okazywały się wspaniałym materiałem na żony i kochanki.

\*

do [ania.perucka2Swp.pl](mailto:ania.perucka2Swp.pl)  
od [tomasz\\_pl@yahoo.co.uk](mailto:tomasz_pl@yahoo.co.uk)

Droga Aniu,  
Może będę pisał teraz trochę rzadziej, ale zapewniam o swojej pamięci. Postanowiłem otworzyć się na prawdziwych ludzi. Pozdrawiam,  
Tomasz

## Sesja grubych ludzi

Ewę spotkałem w Coście, w centrum handlowym na Wood Greenie. Czytałem sobie „Daily Telegraph”, popijając latte, które bardziej przypominało cappuccino bez czekolady (sam takie robiłem w Super Quality Foods, żeby zniechęcić klientów), kiedy podeszła do mnie dość otyła dziewczyna i spytała, czy mogłaby się przysiąść. Na początku zdenerwowała mnie tego rodzaju bezpośredniość z jej strony, ale kiedy stwierdziłem, że wszystkie miejsca dookoła są zajęte i tylko ja siedzę przy niemal pustym stoliku, pytanie to nagle stało się zasadne.

Miałem nadzieję, że zamknie się w swoim puszystym świecie i nie będzie się do mnie odzywała, ale stało się inaczej. Najpierw rzuciła uwagę na temat artykułu na pierwszej stronie czytanej przeze mnie gazety, a potem, nie bacząc na moje oschłe odpowiedzi, po prostu zagaiła rozmowę na tematy ogólne.

Okazało się, że studiowała tutaj scenopisarstwo. Oczywiście, biorąc pod uwagę moje zainteresowania, natychmiast zapomniałem o fałdach tłuszczu wylewających się spod jej luźnych ubrań i zaangażowałem się w dość interesującą rozmowę na temat brytyjskich komedii.

Z racji wyglądu nigdy nie zaproponowałbym jej współpracy, ale warto było dowiedzieć się od niej kilku rzeczy. Rozejrzałem się dookoła, upewniając się, czy aby na pewno nie było nikogo znajomego w pobliżu (przykro mi to mówić, ale stałoby się niedobrze, gdyby widzieli nas razem), a następnie wymieniliśmy się telefonami (to na wypadek, gdybym potrzebował od niej jakichś dalszych informacji). Nie kryła entuzjazmu. A ja? No cóż, przecież od czasu do czasu musiałem przeprowadzać jakieś akcje charytatywne - szczególnie, kiedy węszyłem w tym jakiś interes.

\*

Ewa zadzwoniła do mnie kilka dni później, informując, że idzie na spotkanie klubu puszystych, który nazywał się „Walka z tłuszczem”, czy coś w tym stylu, tłumacząc dosłownie. Dziwił mnie ten nieskrępowany sposób, w jaki mówiła o swojej nadwadze - spokój, z jakim do tego podchodziła, miał w sobie coś irytująco autoafirmatywnego. Mogłem się jednak domyślać, że jest to element pewnego rodzaju samooswajania, akceptacji samego siebie, której się od nich wymagało, i którą się im wmawiało na tego rodzaju zajęciach. W ten sposób stawiali czoło społeczeństwu, które czasami miało tendencję do skazywania osoby otyłej na życie w rzeczywistości pełnej kompleksów i samokrytycznego szaleństwa.

- Wybacz Ewa, ale ze mną wszystko w porządku... To znaczy, ja jestem chudy, więc chyba nie jestem najwłaściwszą osobą, żeby ci... żeby tam iść. - Próbowałem się wykręcić, ale skończyło się na niefortunnym bełkocie.

- Tomek, daj spokój, tam może przyjść każdy - powiedziała zachęcająco. - Jesteśmy dla siebie grupą przyjaciół, nie tylko walczymy ze zbędnymi kilogramami, ale także dzielimy się swoimi smutkami i radościami, sukcesami i miłościami.

Wydawało mi się, że zaakcentowała to ostatnie słowo i ciarki mi przeszły po plecach. Ona naprawdę wyobrażała sobie tak wiele, czy tylko usiłowała wy badać moje reakcje?

- Ależ nie sądzę, żebym tam pasował - powtórzyłem z zacięciem. - Naprawdę będę się czuł nieswojo.

- Jesteśmy z tej samej gliny ulepieni, tylko że jedni mają jej więcej, inni mniej - odrzekła żartobliwie. - Pójdiesz tam jako mój gość, nic się nie stanie.

- No dobrze, już dobrze...

Poddałem się ostatecznie, nie mogąc wykryć się pracą, tym bardziej że powiedziałem jej wcześniej, że soboty mam wolne. Ale to nie wszystko, co mną powodowało. Może była w tym jeszcze odrobina perwersyjnej ciekawości, może potrzeba zrobienia dobrego uczynku, żeby odkryć w sobie ponownie altruistę. Nieważne, byle tylko nikt nie widział nas po drodze razem...

\*

- Nazywam się Samantha i poprowadzę jak zawsze zajęcia dla naszej grupy - przedstawiła się Angielka, już dobrze po czterdziestce, przy kości. - Witam wszystkich zebranych, a szczególnie naszych gości...

Rzuciła mi przyjazne spojrzenie. W tym momencie stało się coś przerażającego - Ewa nagle zaczęła przesuwając swoją rękę w kierunku moich dłoni. Zareagowałem natychmiast, niemal instynktownie - moje pozorowane kichnięcie z zaangażowaniem dłoni zapobiegło próbie przekroczenia przez nią kolejnej bariery. Nie wiem, czy domyśliła się, że był to zręczny wybieg, ale wyglądała na bardzo zażenowaną.

Zacząłem lustrować uważnie twarze zebranych. Nie ma co, same grubasy i to całkiem porządne - przy części z nich nawet Ewa prezentowała się wcale nie najgorzej. Wiedziałem jednak, że nie można ich w żaden sposób mierzyć jedną miarą, dla części z nich otyłość była zmaganiem się z chorobą, z genami, dla innych kwestią bardziej przyziemną - codziennych potyczek z własnym obżarstwem. Nie każde zwyrodnienie jest wszakże czymś w pełni zawinionym.

Na polecenie Samantha wszyscy zaczęli się przedstawiać, jednak w związku z tym, że znali się jak łyse konie, robili to w sposób dość oględny (mogłem iść o zakład, że cała ta prezentacja była czymś nadprogramowym, swego rodzaju ukłonem w moją stronę). Kiedy przyszła moja kolej, uśmiechnąłem się nieznacznie, lekko zmieszany.

- Cześć. Nazywam się Tomek i jestem... Nie, nie jestem, jak sami możecie zauważyć. Ale miałem ciotkę, która była tak otyła, że wysiadła jej trzustka i biedaczce się zmarło. Ale do rzeczy, przyprowadziła mnie tutaj Ewa, moja przyjaciółka, mówiąc mi, że to będzie dla mnie ciekawe... przeżycie. Jestem Polakiem, w Londynie prawie rok, i powiem wam coś - jedzenie angielskie to syf, gdybyście byli w Polsce, to dzisiaj zajmowałibyśmy znacznie mniej metrów kwadratowych powierzchni niż w tej chwili.

Miałem nadzieję, że tym żartem jeszcze bardziej rozluźnię atmosferę spotkania, ale okazała się to chybiona próba, bo zamiast śmiechu

odpowiedziała mi martwa cisza, a zdegustowane i zaszokowane twarze zgromadzonych wyrażały jednoznacznie krytyczną reakcję na moje słowa.

- Tak... - Odkaslnąłem, zbierając w sobie odwagę i słowa do wyprostowania wszystkiego. - Otyłość to problem powszechny, każdy z nas jest na nią narażony i myślę, że tutaj wiele zależy od pracy nad sobą i współpracy z lekarzem specjalistą...

Te banały z kolei zostały przyjęte dość życzliwie, a może po prostu doceniono fakt, iż spoważniałem - w każdym razie Samantha ochoczo przytaknęła moim słowom.

- Tak, masz rację, ale nie można zapominać o czynniku, jakim jest społeczeństwo, i na tym właśnie chcielibyśmy się dzisiaj skupić - wy dobyła z siebie słowa z powagą akademickiego lektora. - Społeczeństwo jako motywator, społeczeństwo jako czynnik utrudniający asymilację - na tych dwóch zagadnieniach najbardziej mi zależy.

- Generalnie społeczeństwo jest bardziej otwarte niż jeszcze dziesięć lat temu. Nie wiadomo, czy dlatego, że problem staje się coraz bardziej powszechny, czy też zmienia się sposób myślenia, w sensie postrzegania rzeczywistości - wygłosił w pompatyczny sposób niejaki Alan, wyglądający na studenta, który spędza wszystkie okienka w KFC.

- Ale wciąż niektórzy zamknęliby nas najchętniej w gettach - odezwała się Ewa. - Stale jesteśmy obiektem ataków ze strony komików i ogólnie, telewizji...

- Tak, społeczeństwo musi się nauczyć tolerancji... - dorzucił jeszcze ktoś inny.

Nic tu po mnie - uznałem. Postanowiłem dodać jeszcze kilka banałów, a potem spojrzeć wymownie na zegarek i oznajmić, że muszę już iść, wymyślając naprędce jakiś pretekst.

- No cóż - póki co kontynuowałem - czasem przychodzi mi oglądać filmy dokumentalne o tych otyłych ludziach, którzy przybierają horrendalne wręcz rozmiary i nie mieszczą się w całości w kadrze kamery. No wiecie, ci, którzy wyglądają trochę jak Jabba z „Gwiezdných Wojen”. Oglądaliście „Gwiezdne wojny”? I co z nimi zrobić - z tymi jabbopodobnymi? Bo w niektórych ludziach widzę dosłownie taką nienawiść do tych nieszczęśników, że najpewniej nie wahałoby się wbić miecz w ich ciało, tak jak stało się to w przypadku wspomnianego Jabby... A tymczasem...

Przerwałem nagle, bo wszyscy wpatrywali się we mnie znowu w jakiś dziwny, zarazem jednoznacznie nieżyczliwy sposób. Biedna



Ewa, najwyraźniej spalała się ze wstydu z mojego powodu, przeklinając chwilę, w której zdecydowała się zabrać mnie ze sobą. Ale o co im właściwie mogło chodzić - przecież stałem po ich stronie i moje dobre intencje wydawały się aż nazbyt oczywiste. Dlaczego nie chcieli albo nie potrafili tego docenić? Poza tym, dlaczego nie wolno mi było użyć porównań i odwołań, które z jakiegoś względu mi podpasowały? Czy naprawdę wszędzie i wszystko musiało być delikatne, subtelne i wyważone - tak bardzo, że aż robiło się od tego niedobrze, a dyskusja stawała się nieznośnie miałka? Z taką postawą, to oni mogli co najwyżej krzewić polityczną poprawność, a nie walczyć z nadwagą.

- Może teraz głos zabierze ktoś inny - zareagowała przytomnie Samantha, po raz kolejny potwierdzając, że nieprzypadkowo jest liderką formacji. „Liderka” - to słowo, niestety, przyjęło się w naszym języku wbrew swojej sztuczności i pretensjonalności, stając się kolejną nieuprawnioną zdobyczą feministycznego ruchu.

- Jeśli kogoś skrzywdziłem tymi porównaniami, to przepraszam. - Postanowiłem załagodzić całą sytuację. - Niech nie wypaczy to jednak sensu tego, co mówię... Mojego przesłania.

Przesłanie! Ale ze mnie komediant. Przyszedłem tutaj zabawić się cudzym kosztem, a jeszcze miałem czelność silić się na przesłanie!

- Musisz zwracać uwagę na słowa - wtrąciła irytująco mentorskim tonem niejaka Tatiana. - Jesteś tutaj osobą towarzyszącą, ciebie problem dotyczy tylko w sposób pośredni, masz otyłą dziewczynę...

- Niezupełnie... To nie jest tak...

Zaciąłem się. Purpura oblała mi twarz, skronie zaczęły gwałtownie pulsować - ten głupi komentarz postawił mnie w podwójnie niekomfortowej sytuacji.

- Nie zaprzeczaj - przerwała mi nagle Samantha. - Pamiętaj, że my też mamy swoją wrażliwość.

- Ale nadwrażliwość prowadzi często do autoadoracji! W Polsce używa się terminu puszysty, który jest dla mnie nieporozumieniem. Gruby, otyły, z nadwagą - to ma sens! - Obudziła się we mnie dusza polemisty, chciałem szybko zmienić temat, przesunąć akcent, nadając przy tym całemu spotkaniu jakiś nerw, który zostałby powszechnie zaakceptowany. - Puszysty! Sklepy dla puszystych, bielizna dla puszystych, magazyny dla puszystych - przesłanie jest proste: tyście, twórcie swoją subkulturę, a my wyjdziemy wam naprzeciw, zaakceptujemy was takimi, jakimi jesteście. Po co więc walczyć z nadwagą, zadać sobie trud diety i ćwiczeń, skoro można żyć po swojemu,

wybierając wygodną, ale wciąż, autodestrukcję? - perorowałem za-  
wzięcie, w jakimś oratorskim szale nie do powstrzymania.

- To co proponujesz? - Skrzywiła się Samantha. - Żebyśmy nazy-  
wali się grubasami i słoniami, wystawiali na pośmiewisko i kryli po  
kątach, zupełnie jakbyśmy byli gorszą częścią społeczeństwa? Co,  
mamy budować getta dla puszystych, zamiast sklepów dla puszyst-  
ych?

- Trzeba się przed sobą przyznać, że coś jest nie tak. Nikt nie każe  
wam się chować po domach, to by nie miało oczywiście sensu! Ale  
musicie brać przykład z alkoholików, którzy mówią: „nazywam się  
Wojciech i jestem alkoholikiem”, a nie na przykład: „nazywam się  
Wojciech i lubię czasami wypić ponad przeciętną” - puentowałem.

- To chore porównanie. - Wzruszył ramionami Alan.

- Dlaczego? Jedzenie też może być nałogiem - wytknąłem.

- Dobrze, dobrze, dobrze - odezwała się bardzo głośno Samantha.  
-Trochę dryfujemy nie w tę stronę, co trzeba. Naszym dzisiejszym  
tematem nie jest nazewnictwo, ale problem postawy społeczeństwa  
wobec nas. Skoro mamy tutaj Tomasza, to zapytajmy go - jak to się  
stało, że poznałeś Ewę?

- W kawiarni, zwykła rozmowa, podeszła do mnie i zagadnęła -  
wyjaśniłem, zaniepokojony tym pytaniem.

- Długo już jesteście razem? - zapytała Tatiana.

Oczywiście aż mną zatrzęsło z gniewu, chciałem natychmiast pro-  
stować, ale słowa jakby uwięzły mi w gardle, straciłem nie tylko ini-  
cjatywę, ale również jakiegokolwiek możliwości defensywy - w efekcie  
czego Ewa uprzedziła mnie, wykorzystując sytuację by pokierować w  
stronę korzystnej dla niej interpretacji.

- Zaledwie od kilku dni...

Poczułem, jak jej ręka dotyka mojej. Sparaliżowany, zwabiony i  
schwytany w kolektywną pułapkę bandy grubasów, traciłem grunt pod  
nogami. Że też wcześniej o tym nie pomyślałem - przecież to wszyst-  
ko od początku do końca mogło być przez nią zaaranżowane, opraco-  
wane wręcz w najdrobniejszych szczegółach! W co ona właściwie ze  
mną grała? Czy była tak głupia bądź zdesperowana, żeby wyobrazić  
sobie sytuację, której po prostu nie było i nie będzie, czy też może, co  
gorsze, z premedytacją chciała mnie postawić przed faktem dokon-  
anym? I co ja właściwie w tej sytuacji miałem zrobić - boleśnie i jed-  
noznacznie wyprowadzić ją z błędu teraz, ryzykując skompromitowa-  
nie jej na oczach wszystkich, czy też poczekać z tym do naszej pry-  
watnej rozmowy, już po odbyciu sesji, narażając ją z kolei na jeszcze

większe rozczarowanie? Cholera, ciągle wybory, i to jeszcze w wyniku zupełnie niezawinionej przeze mnie sytuacji. Dlaczego właśnie mnie musiały się ciągle przytrafiać tego rodzaju rzeczy?

- Powiedz, Tomasz, czy przeszła ci przez głowę taka myśl: Ewa jest gruba, odrzucę ją, choć wydaje się interesująca. No bo jeśli ją zaakceptuję, to narażę się na nieprzychylny odbiór, wiesz, co mam na myśli... - zamęczała mnie Tatiana.

- Ja otaczam się różnymi przyjaciółmi - odpowiedziałem wymownie, kładąc nacisk na to ostatnie słowo.

- A więc powiedziałaś, gdyby cię zapytano o Ewę, że to tylko twoja przyjaciółka, wybrałbyś kłamstwo, kompromis. - Tatiana wykazywała ubecką dociekliwość. Na pewno któryś z jej krewnych figurował na liście Wildsteina.

- Nie kłamstwo - zaprzeczyłem pospiesznie. Nie miałem w sobie jednak na tyle odwagi, aby powiedzieć całą prawdę o nieporozumieniu, które tutaj zaszło. - Ewa jest piękna... w środku...

- Przemilczenie też jest kłamstwem - ciągnęła temat. - Więc de facto, mimo że twoje podejście jest teoretycznie normalne, stajesz się zakładnikiem społeczeństwa.

Złapałem się za głowę. Zakładnik społeczeństwa! A może oni spytali się tutaj, mając tak naprawdę socjologiczne aspiracje; może rozmowy o fałdach tłuszczu wydawały im się już nie na miarę ich wybujałych ambicji i możliwości?

- Tomaszu, dobrze się czujesz, kochanie? - zapytała nagle z teatralną troską Ewa, dobijając mnie już zupełnie.

Co ja tutaj właściwie robiłem - przecież to musiało mieć jakiś ukryty sens! Ta myśl męczyła mnie coraz bardziej natrętnie, do tego stopnia, że postanowiłem w końcu wypowiedzieć ją na głos.

- Ściągnęliście mnie tutaj celowo, teraz już wiem po co! - wykrzyknąłem. - Chcicie mnie wepchnąć za wszelką cenę w ramiona Ewy - od samego początku o to właśnie wam chodziło. Wszystko sprytnie zaaranżowaliście, dopracowaliście w najdrobniejszych szczegółach!

- O czym ty mówisz, Tomek, błagam cię, opamiętaj się. - Ewa próbowała powstrzymać mnie przed demaskacją i dyskredytacją.

Ale dla mnie ten cyrk się skończył. Wstałem z miejsca i skierowałem ku drzwiom, czując się jak aktor, który rezygnuje z powierzonej mu i zaakceptowanej roli, dowiedziawszy się nagle o istnieniu fragmentów, o których wcześniej nie miał pojęcia (albo o scenie erotycznej,

w której nigdy nie zgodziłby się zagrać).

W sumie szkoda mi było Ewy. Wyobraziłem sobie, jak po takim porzuceniu zaczniesz szukać pocieszenia w jedzeniu, oglądać jakieś tanie romantyczne komedie przy stole zastawionym popcornem, czekoladą, pączkami i kawą (oczywiście z chudym mlekiem, jakby to coś w ogóle zmieniało w ostatecznym rozrachunku).

## Śmierć Papieża

Umarł Papież. Nawet nie ma potrzeby wspominać, jak wielka jest to strata, bo to aż nazbyt oczywiste, wyrażane przez miliony kazań, felietonów i komentarzy. Tak naprawdę wszyscy podświadomie oczekiwali, że on się jeszcze podniesie i z tego wygrzebie, bo jest niemal nieśmiertelny, nawet w tym ziemskim wymiarze. Ale on umarł, tak jak umiera zwykły człowiek. To się po prostu stało, a wraz z jego odejściem rozpoczęła się jakby nowa epoka. Kolejny banał wypowiedziany przez wiejskiego proboszcza do spłakanych parafianek. Ale tak właśnie było.

Strach mnie obleciał - kogo wybiorą. Słyszysz się o prądach nowoczesnych w Kościele katolickim i aż włos się jeży na głowie, że niedługo staniemy się takim pośmiewiskiem, jak niektóre Kościoły protestanckie - pobłogosławimy homoseksualistów, wyświęcimy kobiety, może na mszach, oprócz gazetki niedzielnej, rozdawane będą w imię postępu kondomy, z dołączonym do nich przesłaniem nowego, otwartego na zmiany papieża, z którego dowiemy się, że tylko gumki, oprócz Boba Geldofa i Bono oczywiście, są w stanie uratować Afrykę przed zgubą. O mój Boże, żeby tylko wygrał Ratzinger, prawa ręka Jana Pawła II, a nie jakiś popapraniec, w imię wyjścia naprzeciw oczekiwaniom środowisk postępu i jakimś lewicowym dziennikom, które, jak uczyło życie, „troszczyły” się o los Kościoła bardziej niż sami wierni.

\*

Kasia krzątała się nerwowo po domu, co chwila patrząc na zegarek. - Nie miałaś być dzisiaj w pracy? - przypomniałem.

- Miałam, ale odwołałam - odpowiedziała. - Czekam teraz na przyjaciela.

- Odwołałaś? - Zmarszczyłem brwi. - Wspominałaś kiedyś, że tam nieobecności są bardzo tępione.

- No tak, zadzwoniłam i powiedziałam, że jako Polka i katoliczka jestem w szoku po śmierci papieża i nie czuję się na siłach, żeby dzisiaj pracować. - Na jej twarzy zagościł ponownie głupi wyraz.

- Uwierzyli ci? - Przez głowę przeszła mi pewna myśl.

- Of course, a dlaczego nie mieliby wierzyć? Przecież jestem Polką, a kto sprawdzi, czy katoliczką czy buddystką, innit? - Zaśmiała się cynicznie.

- Ale z ciebie jest ziółko. - Pokręciłem głową. - Jeszcze gorszego gatunku, niż to, co palisz.

Prawdopodobnie odpowiedziałyby coś niewybrednego, ale w momencie kiedy pracowała usilnie nad ciętą ripostą, zadzwonił dzwonek do drzwi, a ona zerwawszy się na równe nogi, pobiegła otworzyć - zapewne był to jej nowy absztyfikant. Nie myliłem się. Do środka wgramolił się jakiś gangsta, obwieszony srebrnymi łańcuchami, w przekrzywionej czapeczce, z lizakiem w ustach. W ogóle się nie przedstawił ani nawet nie przywitał, tak jakby był zwolniony z dobrych manier albo, co gorsza, lekceważące zachowanie było częścią jego stylu.

Chciałem popracować nad scenariuszem zamiast smarować kanapki majonezem. Rozmowa z Kasią zainspirowała mnie do tego, żeby zadzwonić do pracy i powiedzieć, że dzisiaj się nie pojawię. Nawet nie musiałem się specjalnie wysilać, Anthony sam wyprzedził moje usprawiedliwienie.

- Rozumiem, papież i te sprawy - powiedział wyrozumiałym tonem.

Najwyraźniej w sklepie nie było ruchu i cieszył się, że przez moją nieobecność zaoszczędzi kilkadziesiąt funtów na kosztach pracy. Cały on. Kiedyś puścił nam film o ochronie środowiska i globalnym ociepleniu, każąc zredukować liczbę rozdawanych serwetek i toreb. Oczywiście bardziej od Amazonii i plastiku rozkładającego się ponad sto lat interesowały go oszczędności rzędu kilku funtów dziennie.

Zadzwoniłem do Heleny, żeby umówić się z nią na popołudnie.

\*

- Napiszmy scenariusz o mnie: wykształcony emigrant przyjeżdża z Polski do Londynu, od początku mu się nie powodzi, nikt go nie

docenia, a on sam nie potrafi się przystosować... Mimo wszystko jednak bardzo chce zostać i coś tu osiągnąć... Walczy, nie poddaje się, płynie pod prąd okoliczności! - W mojej głowie układała się coraz bardziej spójna i przejrzysta historia.

- Ja wiem, czy to takie ciekawe? - Skrzywiła się niewybrednie, a potem popatrzyła w sufit, zastanawiając się nad czymś.

- A o czym chcesz pisać? Masz jakieś kontrpropozycje, czy stać cię tylko na krytykę? - Nie kryłem rozgoryczenia brakiem entuzjazmu z jej strony.

- Myślałam o czymś takim: dawna gwiazda telewizji marzy o powrocie na mały ekran, ale nie może sobie poradzić, bo wszyscy kojarzą ją tylko z jedną rolą... - odpowiedziała.

- Dobre, ale to już było chyba na HBO, a poza tym byłoby to wążkowanie we wszystkie strony jednego żartu. Ile razy mielibyśmy scenę, w której ktoś wspomina jej przeszłość - za pierwszym i drugim razem może byłoby to nawet zabawne, ale powtórzone trzeci i czwarty raz stałoby się natrętne i nudne... - odparłem z nadęciem jakiegoś krytyka bufona.

- Historia emigranta? - Rzuciła mi bystre spojrzenie swoich błękitnych oczu. - No może coś w tym jest... O mój Boże, mój krzyż! - Położyła rękę na prawej łopatce, a jej twarz wykrzywił nieznośny grymas bólu.

- Nic ci nie jest? - spytałem pro forma.

Przeniosła się pospiesznie na fotel.

- Te bóle głowy powracają... - Jęczała jak zmęczona życiem osiemdziesięciolatka.

Wydawało się, że znowu ją traciłem, była z powrotem w świecie swoich chorób, chociaż jeszcze chwilę temu prowadziliśmy wreszcie konstruktywną dyskusję.

- Może z głodu, weź sobie zrób krwistego steka i ci przejdzie - zasugerowałem zobojętniałym tonem.

- Nie jem mięsa - zaznaczyła z namaszczeniem. - Nie wspominałam ci, że jestem wegetarianką?

- Nie. - Pokręciłem głową. - To może po prostu brak ci żelaza albo innych składników, jak to się często zdarza w przypadku wegetarian...

- A co ty wiesz o wegetarianach? - obruszyła się. - Przecież jem specjalnie dobraną zieleninę, wszystko mam w normie, konsultowałam się wielokrotnie w tej sprawie z moim lekarzem. Zastanów się zresztą, jak biolog morski mógłby jeść zwierzęta? Nauczyłam się wrażliwości, Tomasz. Gdybyś pracował ze zwierzętami, z całą pewnością zmieniłbyś swoje podejście! Wiesz, że w Kanadzie rocznie

zabija się ponad trzysta tysięcy fok?

Ukryłem twarz w dłoniach. Może powinienem dać jeszcze jedno ogłoszenie o współpracę albo po prostu zająć się tym w pojedynkę? Przecież ja się z tą kobietą nigdy nie dogadam, nie wspominając już o podbijaniu BBC...

\*

Następnego dnia w pracy rozmowa zesłała oczywiście na Papieża.

- No, o zmarłych nie mówi się źle - zaczęła prowokacyjnie Sonia.  
- Ale niezły miał wkład w rozprzestrzenianie się AIDS i HIV w Afryce przez swój upór w sprawie antykoncepcji.

- Co za głupoty opowiadasz! - Urażony tym komentarzem, puknąłem się w czoło. - Gdyby wszystko odbywało się w małżeństwach, tak jak głosi Kościół, a nie pierdolenie na prawo i lewo, to przecież nie byłoby tylu zakażonych...

- A zgwałcone kobiety? - punktowała.

- Który z gwałcicieli myśli o założeniu kondoma - oszalałaś? Już to widzę: „Zaraz cię wykorzystam seksualnie wbrew twojej woli, ale jako dżentelmen i istota myśląca nałożę gumkę, żeby cię przypadkiem nie zarazić”. Sama sobie zaprzeczasz. Kościół katolicki nie może iść na kompromisy, bo stałby się pośmiewiskiem, tak jak stała się nim większość Kościołów protestanckich.

- Ja tam nie wierzę w Boga. - Sonia machnęła ręką, dążąc do uciecia tematu. - Więc na dobrą sprawę nie obchodzi mnie, co w danym momencie myśli Kościół...

- To po co w ogóle zabierasz głos na temat Papieża? Czy ja się wypowiadam, kiedy umiera jakiś wasz ateistyczny autorytet? Zresztą w ogóle ich nie znam... Też mi autorytety - jak w ogóle ktoś może twierdzić, że świat powstał z atomu i wszystko samo się tak uformowało po Wielkim Wybuchu? - Kpiłem, ale moje emocje jednoznacznie wskazywały na graniczne rozdrażnienie.

- To skąd się niby wziął Bóg? - zapytała nagle.

- Bóg zawsze istniał, to on stworzył pojęcie czasu, więc nam trudno jest to pojąć - wyjaśniłem.

- Jasne. Wiesz co, lepiej będzie, jak zabierzesz się za zmywanie tac, bo chcę, żebyś potem umył zlew i wymopował podłogę... Tylko zrób to dość dokładnie, bo spodziewamy się wkrótce wizyty kontrolnej.

I tak w kółko. Pieprzenie o standardach, czystości, kontrolach, jakości finalnego produktu, i ja, z wykształcenia menedżer, z zawodu mrówka, mający zawsze tyle do powiedzenia na wszystkie możliwe tematy, zmuszony jestem do słuchania poleceń kogoś, kto wierzy w Wielki Wybuch i w to, że Papież rozprowdził zarazę wśród mieszkańców Afryki...

Boże, dokąd ja właściwie zmierzam i co ja tutaj w ogóle robię? I dlaczego jak patrzę na Sonię, to moje serce bije jakby mocniej?

\*

Zorganizowano przemarsz Polaków w Londynie w celu uczczenia pamięci Papieża. Zgromadziliśmy się na Trafalgar Square, aby stamtąd udać się do Katedry Westminsterskiej. Liczba uczestników marszu przerosła najśmielsze wyobrażenia organizatorów - zamiast planowanych kilkuset osób, dzięki poczcie pantoflowej tłum urósł do kilkunastu tysięcy, wzbogacony zresztą o Irlandczyków i przedstawicieli innych nacji, gdzieś tam anonimowo wtopionych w tłum (chyba że nie byli biali, wówczas anonimowość stawała się iluzją).

- Uzmysławia ci to, ilu Polaków jest w Londynie - powiedziałem do Aleksa.

Mój przyjaciel miał tymczasem markotną minę, choć z całą pewnością nie był zdruzgotany odejściem Ojca Świętego.

- Napisałem do narzeczonej, że rozdziera mnie ból po śmierci Papieża, a ona nie odpisała - odrzekł, natychmiast potwierdzając moje przypuszczenia.

- Z którego powodu cierpisz bardziej? - spytałem z sarkazmem.

- Wiesz, normalnie czekałbym godzinę, nawet dwie, jeśli nie odpisywałyby od razu. A teraz? Słuchaj, a może nie doszło? To się przecież dość często zdarza. Pieprzona telefonia! Może powinienem wysłać raz jeszcze, tak na wszelki wypadek? Co myślisz? - wyrzucił z siebie upierdliwą tyradę.

- Nic nie rób. Zwariowałeś? Zaniknij się, proszę cię.

Szliśmy w milczeniu ze spuszczoneymi głowami. Choć, z kronikarskiego obowiązku odnotować należy, nie wszyscy milczeli - zachowanie dalekie od racjonalnego prezentowała na przykład grupa krzykliwej młodzieży, która próbowała przejąć za wszelką cenę inicjatywę, intonując raz za razem **Abba Ojciec**, tak jakby była to jedyna piosenka w ich całym repertuarze. Oaza - przeszło mi przez głowę i natychmiast postanowiłem oddalić się na bezpieczną odległość, żeby przypadkowo nie zostać wzięty za jednego z nich (choć właściwie mi to nie groziło, nie miałem ani sukienki do ziemi, ani przetłuszczonych



włosów, ani obscurnego kosmatego swetra w kolorze brązowym lub zielonym).

\*

Spotkałem w kuchni Luisa. Chciałem porozmawiać o Papieżu, ale on machnął tylko lekceważąco ręką.

- Mówi się tyle o Papieżu, a lekceważy kataklizm, który nadejdzie w ciągu najbliższych lat i zmiecie z powierzchni ziemi miliony ludzi - powiedział złowieszczym tonem.

- O co ci chodzi? Chyba nie masz na myśli trzech dni ciemności czy podobnej bzdury? - ironizowałem.

Bardziej niż Luisem byłem zaabsorbowany specjalną wkładką o Papieżu, jaką przygotował jeden z brytyjskich dzienników.

- Chodzi mi o ptasią grypę. Jeszcze się o tym nie mówi, ale za jakiś czas spadnie na ludzkość zaraza, która zbierze żniwo podobne do grypy hiszpanki - z pasją snuł czarne wizje.

- To straszne... - Bardzo ostrożnie podchodziłem do tych rewelacji, a moje przytaknięcie miało czysto szyderczy wymiar.

- Na szczęście ja się zawczasu przygotowuję, codziennie biorę kilka tabletek z witaminą C. Wiesz, witamina C to cudowna sprawa. Wczoraj miałem zapalenie uszu i się jej natykałem, a już dzisiaj mi przeszło. Witamina C zabija także wolne rodniki, więc korzyść z niej podwójna. Wracając do ptasiej grypy... Ludzie nawet nie zdają sobie sprawy, jakie to zagrożenie. Naukowcy nie chcą zapewne siać paniki, ale już za rok wszyscy usłyszymy o tym więcej. A za dwa lata zmierzymy się z kataklizmem i wtedy ci, którzy zawczasu się nie przygotowali, będą żałować pogardliwego potraktowania tematu - gadał zawiście.

- Sorry, Luis, muszę już iść. Ale... Weź pomyśl, witaminy witaminami, ale jak ustrzec się przed śmiercią w wypadku, który mógłby ci się na przykład przydarzyć? - Byłem przekonany, że moja zatruta strzała dosięgnie celu.

- Odwołaj te słowa, to przynosi pecha - domagał się śmiertelnie poważnym tonem.

- Nie bądź dzieckiem.

- Powiedziałeś to w trybie oznajmującym, nie przypuszczającym. Odwołaj to - nalegał.

Im bardziej na mnie naciskał, tym większą miałem ochotę się z nim drażnić.

- Słuchaj, o co ci chodzi? Każdy kiedyś umrze. - Wiedziałem, na jakich nutach zagrać, żeby go ostatecznie wyprowadzić z równowagi. Były to te same nuty, które z łatwością rozstroiłyby moje nerwy i zburzyły wszelki spokój na następne kilka lat.

- Odwołaj to, co powiedziałeś!

- Muszę iść. Uważaj na siebie. Pij dużo wody, bo ci kiedyś zakręca darmowy kurek i studnia życia wyschnie - rzuciłem, żeby go dobić.

\*

Zadzwonił mój telefon komórkowy. Numer jakby znajomy, ale nie byłem go w stanie rozpoznać. Okazało się, że to Ewa (którą wcześniej wykasowałem z pamięci). Po co dzwoniła? O co mogło jej chodzić - czyż nasz wspólny rozdział nie był ostatecznie zamknięty?

- Cześć, to ja - zaczęła lekko onieśmielona. - Wybacz, że dzwonię...

Przyznam, trochę mnie to ujęło - kochana dziewczyna, po tym, co jej zrobiłem, jeszcze rozmawiała ze mną w taki sposób!

- No cóż, dawno nie rozmawialiśmy, jakoś tak nam się kontakt urwał - bąknąłem.

- Widziałam cię na marszu za Papieża... Pomyślałam, że ty masz jednak dobre serce... - rzuciła nieśmiało.

- A ja cię nie zauważyłem, no popatrz, to dziwne...

- Tomasz, proszę cię, nie zaczynaj znowu... Musisz zawsze wszystko psuć? Wiesz co, tak właściwie to muszę kończyć. Chciałam w sprawie biletów, ale nie ma chyba sensu... Na razie...

Uświadomiłem sobie swoją gafę, ale było już za późno, żeby naprawić sytuację. Odłożyła słuchawkę. Nurtowało mnie, o jakie bilety mogło jej chodzić? Może uzyskała dostęp do jakichś interesujących wejściówek i w związku z tym, że nie miała z kim pójść na koncert, przypomniała sobie o mnie, jak o ostatniej desce ratunku! Do cholery, czemu musiałem popełnić taką gafę? Teraz nigdy się nie dowiem, co przez to straciłem!

## Zabawa po żydowsku

Alex już od dłuższego czasu proponował, że wkręci mnie w dobrze płatną butlerkę, którą sam się sukcesywnie parał. Z początku trudno

mi było okazać szczególny entuzjazm - nie dość, że miałem duże wewnętrzne opory, sądząc, że nie sprostam wymogom, jakie stawia się butlerom na ekskluzywnych przyjęciach, to jeszcze czułem się nazbyt wyeksploatowany pracą w Super Quality Foods, żeby myśleć o czymś innym. Ostatecznie jednak, chcąc podreperować nadszarpnięty budżet, uznałem, że nie zaszkodzi przynajmniej spróbować.

Wreszcie nadeszła sądna niedziela, kiedy to miałem trafić na tak zwaną funkcję, czyli imprezę, w czasie której miałem jako butler obsługiwać bogatym ludziom. Tak się składa, że agencja, która wysyłała Aleksa na zlecenia, a której i ja miałem podlegać (dzięki jego pośrednictwu i rekomendacji oraz kilku kłamstwom udało mi się szybko przejść procedurę rejestracyjną), obsługiwała od strony cateringowej wyłącznie przyjęcia organizowane przez żydowską elitę.

Umówiliśmy się w pobliżu stacji Waterloo z niejakim Jakiem, który miał nas podwieźć do miejsca docelowego, ale to dopiero około godziny drugiej, więc pomyślałem, że wczesnym popołudniem mógłbym wypić gdzieś na Islingtonie szybką kawę z Natalią. Zadzwoiłem do niej z propozycją spotkania.

- Natalia, cześć, co porabiasz? Mam kilka godzin zanim pojedę na funkcję, zastanawiałem się, czy nie moglibyśmy się zobaczyć i chwilę pogadać...

- Funkcję? - powtórzyła.

- Butlerka - wyjaśniłem pospiesznie. - Nalewanie wina, robienie kawy, asystowanie gościom, takie tam. Nieźle zarobki. Trochę się denerwuję, bo jadę w sumie pierwszy raz na coś takiego, a to, było nie było, ekskluzywne przyjęcia.

- W jakim sensie ekskluzywne? - Jej dociekliwość stawiała się irytująca.

- Wesela, urodziny, zamknięte spotkania biznesowe. Wiesz, Żydzi znajdują zawsze tysiące powodów, żeby świętować.

- Skąd mogę wiedzieć? To nie moja kultura - odpowiedziała agresywnym tonem.

Westchnąłem ciężko, zyskując smutną świadomość, że paradoksalnie, mimo moich najlepszych intencji, otworzyłem niechcący puszkę Pandory. Tymczasem ona zamierzała dalej ciągnąć ten wątek.

- To żydowskie przyjęcie? Mogłeś sobie je odpuścić albo wziąć coś innego - rzekła nieprzychylnym, lodowatym tonem.

- Ta firma obsługuje tylko żydowskie przyjęcia. Co ja na to mogę poradzić? - odparłem. - Poza tym, co za różnica, to tylko praca, nie?

Wolę usługiwać Żydowi przy stole, niż Angielce podcierać dupę.

- Tak ci się wydaje, a ci Żydzi tylko czekają na to, żeby im Polacy służyli, żeby nas upokorzyć, zemścić się na nas! - odpowiedziała niewiedzionym bełkotem.

Przerażał mnie jej ton. Zastanawiałem się, jak nasza przyjaźń mogła wytrzymać tyle lat. Najwidoczniej mimo że żaden ze mnie dyplomata, akurat w jej przypadku radziłem sobie do tej pory całkiem przyzwoicie. Do tej pory...

- Dziewczyno, czy myślisz, że ich obchodzi, kto ich obsługuje? Oni mają swoje sprawy, spotykają się, żeby dyskutować o swoich rodzinach i interesach, a nie narodowości butlerów! Mam już dość tych twoich endeckich obsesji.

- A skąd ty tyle o nich niby wiesz? Mówiłeś, że to dla ciebie pierwsze przyjęcie tego typu - kontynuowała swoją tyradę. - Gdyby ci się tak dokładnie przyjrzeć...

- Wiesz co, nie rozumiem po co tyle pytań i wątpliwości. Czy wiesz, ile kosztuje mnie minuta za rozmowę z komórką innej sieci *W pay as you go*? To jak, spotykamy się, czy jesteś zajęta? - W tym momencie wolałem, żeby była zajęta.

- Nie mam nic do roboty, ale też nie mam specjalnie ochoty ruszać się z domu. Może innym razem... Właściwie to lepiej będzie, jeśli wykorzystasz ten czas na zgłębianie Tory i obyczajowości semickiej, żeby zaprezentować się jak najkorzystniej przed swoimi nowymi mowcami...

Rozłączyłem się, przysięgając sobie w duchu, że był to ostatni raz, kiedy rozmawiałem z Natalią, i nieważne, czy miałem tu na myśli nadchodzące miesiące, czy też całe życie. Zresztą jeśli jakaś banda islamskich psychopatów zrobi londyński September 11, to na jedno wyjdzie.

\*

Impreza miała miejsce niecałe dwie godziny drogi od Londynu, w jakimś malowniczo położonym dworku. Obecność Aleksa dodawała mi naturalnie otuchy, a jego wynikający z rutyny spokój łagodził typowe dla debiutanta emocje (szczególnie, że ów debiutant został przedstawiony zwierzchnikom jako ceniony w Nowym Jorku profesjonalista).

Najpierw przystąpiliśmy do nakrywania stołów i wszystkiego, co się z tym wiązało: rozkładania talerzy i sztućców, szklanek oraz butelek wody i wina, nie wspominając o kartach menu, tekstach modlitwy

żydowskiej i tandentnych aparacikach fotograficznych, na wypadek, gdyby ktoś zapomniał zabrać swój sprzęt albo skapił na profesjonalnego fotografa (oczywiście też Żyda). Potem udekorowaliśmy krzesła, nakładając na nie białe płachty i obwiązując dodatkowo jakimiś zabawnie poskręcanyymi błękitnymi kokardami (zupełnie tak, jakby każdy z gości miał rangę królowej Elżbiety, albo co najmniej Ariela Szarona).

Po jakichś dwóch godzinach dostaliśmy chwilę przerwy - przyniesiono nam nawet kanapki z łososiem. Niestety, tak się złożyło, że nie dla wszystkich starczyło, a w grupie pokrzywdzonych znalazł się między innymi Alex, który, zajęty rozmową z ponętą recepcjonistką, przegapił swoją szansę. Nie obyło się bez monodramatu w jednym akcie - w końcu zrobiło mi się go żal, że się tak ośmiesza i zaferowałem mu kanapkę z Super Quality Foods, którą na wszelki wypadek zabrałem ze sobą z domu i trzymałem na czarnej godzinę w plecaku. Co prawda, jak na czarną godzinę było trochę za wcześnie, ale nie mogłem odmówić kanapki przyjacielowi, tym bardziej że to jemu właśnie zawdzięczałem swoją obecność tutaj.

Ale stało się coś nieoczekiwanego. Kiedy Alex zajadał się moją kanapką, niespodziewanie pojawił się szef kuchni w jarmułce i zmierzył go surowym, by nie powiedzieć pełnym nienawiści wzrokiem.

- To nie z kuchni, to moje - pospieszył z wyjaśnieniami zakłopotany Alex, zakładając, że szef kuchni ma zamiar oskarżyć go o podkradanie jedzenia.

- To sam wiem, bez twojej podpowiedzi - odrzekł Żyd. - Tyle razy mówiłem, żeby nie przynosić tutaj niekoszernego jedzenia! Zawsze to powtarzam! Jesteś tu nowy?

- Nie. - Alex poczerwieniał na twarzy, wpatrując się we mnie tak, jakby oczekiwał, że zaraz wezmę na siebie całą winę.

- Jeszcze raz zobaczę cię z niekoszernym jedzeniem, to powiem, żeby cię wyproszono. Proszę to natychmiast wyrzucić do kosza! Natychmiast!

- Mogę dokończyć? - Nie czekając na odpowiedź, Alex wepchnął sobie do ust resztę kanapki.

Szef kuchni machnął tylko ręką, mówiąc coś do siebie pod nosem po hebrajsku, po czym odszedł kontynuować swoje właściwe zajęcia. Oddaliłem się i ja, w takich chwilach nie warto było się do Aleksa przyznawać.

\*

- Jaki dzisiaj mamy dzień? - spytał mnie nieoczekiwanie na stronie Alex.

- Jak to jaki? Niedziela, straciłeś poczucie czasu w tym przepychu? - Rzuciłem mu badawcze spojrzenie.

- To chyba ty straciłeś - odpowiedział zagadkowo.

Przez jego twarz przebiegł triumfalny uśmiezek.

- O co ci chodzi?

- Pan dogmatyk pracuje w niedzielę! - odezwał się z ironią i stało się dla mnie jasne, że chodziło mu o to, żeby mi dogryźć.

- Daj spokój - poczułem się dotknięty tym prztyczkiem. - To... to przecież nie jest właściwie praca - w pewnym sensie jesteśmy uczestnikami tego przyjęcia. Owszem, mamy tutaj swoją rolę do spełnienia, ale przecież pracujemy tylko w sensie formalnym, tak naprawdę opieraliśmy się, że aż miło. Wiesz, gdybyśmy zapieprzali w kuchni jak tamci Polacy, to zrozumiałbym twój punkt widzenia... ale... dlaczego się śmiesz? Chcesz powiedzieć, że mnie podpuszczasz?

\*

Kiedy podawałem sushi z łososia jakiejś starszej pani, spojrzała na mnie bardzo przyjaznym wzrokiem.

- Skąd jesteś, młody człowieku? - spytała łagodnym tonem.

- Z Polski - odrzekłem, zastanawiając się jednocześnie nad przyczyną tego pytania.

Musiał nią być ten przeklęty wschodnioeuropejski akcent, którego nie byłem w stanie się pozbyć.

- Ożeniłbyś się z jakąś Żydówką. Myślę, że byłoby wam dobrze...

- Zasugerowała to tak nieoczekiwanie, jak bezceremonialnie, a jej spojrzenie nabrało jakiejś przeszywającej mocy, zupełnie jakby była hipnotyzerką albo wiedźmą parającą się czarną magią.

- Rozważę to - odpowiedziałem taktownie, starając się zachować stoicki spokój, po czym szybko odszedłem, tłumacząc się nawałem obowiązków. Podeszedłem do Aleksa, by opowiedzieć mu o tym, co się przed chwilą zdarzyło.

- Najwyraźniej widzą w tobie jednego ze swoich. W gruncie rzeczy, gdyby ci się tak przyjrzeć, to rzeczywiście niewiele się od nich różnisz... - stwierdził, śmiejąc się głupawo.

- Mówisz o nich w taki sposób, jakby byli kimś gorszym, a przynależność do nich naznaczała hańbą... Jesteś antysemitą, małym polskim Hitlerkiem... - Byłem rozgniewany.

- Nie wymawiaj tutaj głośno tego nazwiska - upomniał mnie przytomnie.

- Sam zacząłeś - syknąłem, a potem oddaliłem się, myśląc sobie, jak małym człowieczkiem był w rzeczywistości.

Wkurwiał mnie dzisiaj, wkurwiał dokumentnie.

\*

Kiedy goście zajęli już swoje miejsca, a ojciec panny młodej wygłosił finezyjną i dowcipną zarazem, szczęśliwie wolną od jakiegokolwiek patosu mowę, Abid - naczelnny butler - dał nam sygnał do rozlewania wina. W tym momencie, choć wciąż jeszcze spięty, uzmysłowiłem sobie, że podołam całości znacznie lepiej, niż to przewidywałem. Wszystko co musiałem robić, to podpatrywać innych, będąc przy tym ogólnie miłym, przyjaznym i skromnym posługiwaczem - to był klucz do dzisiejszego sukcesu. Co chwila więc, w swoich lizusowskich zapędach, nieposkromionych obawą przedobrzenia, biegałem wokół zgromadzonych przy stole, pytając raz po raz, czy jest coś, co mógłbym dla nich zrobić.

W pewnym momencie moją uwagę zwrócił podstarzały, choć zarazem energiczny jegomość. Ociekając potem, zakasał sobie rękawy i odpiął górne guziki koszuli - wyraźnie się męczył. Na jego przedramieniu zauważyłem jakąś kombinację liczb, co wydało mi się dziwne, bo gdzieś słyszałem, że - mówiąc eufemistycznie - Żydzi nie są wielkimi fanami tatuaży, a poza tym, kto tatuuje się cyframi i co one mogły w tym wypadku oznaczać... Myślałem intensywnie, a potem niemal puknąłem się w czoło w geście samokrytyki. Przecież to najprawdopodobniej zwykły numer telefoniczny, który jegomość zapisał sobie na skórze, nie mając pod ręką kartki papieru, a ja niepotrzebnie doszukiwałem się w tym czegoś naprawdę poważnego, na miarę tatuażu. Postanowiłem, będąc dalej przesadnie usłużnym, zaoferować swoją pomoc, a jednocześnie zaprezentować swoją inteligencję i pomiędzy wierszami nieco go ośmieszyć, dając mu do zrozumienia, że tego typu zachowania nie przystoją zupełnie jego klasie.

- Proszę pana, widzę, że poczynił pan notatkę na swojej ręce. Nie ma takiej potrzeby, jeszcze ktoś zauważy... Służę uprzejmie papierem i czymś do pisania... - powiedziałem do niego dyplomatycznym szepcieniem.

Podałem mu długopis i kartkę, przybory, z którymi szczęśliwie nie rozstawałem się w żadnych okolicznościach.

- Co to ma znaczyć?

Podniósł się z oburzeniem, a mi momentalnie serce podeszło do gardła ze strachu.

- Proszę wybaczyć, nie chciałem się wtrącać, chciałem tylko być pomocny... - Pożałowałem drugiego dna swojej uprzejmości.

- Ty bezczelny skurwysynu! - Nie dość, że mnie wyzwiał, to jeszcze zaczął wymachiwać laską przed oczyma. - Nie po to przeżyłem obóz, żeby mnie takie ścierwo jak ty teraz obrażało. Robisz sobie żarty ze świadectwa zagłady?

Jednym ze swoich nieporadnych ruchów strącił ze stołu butelkę białego wina, która z wielkim hukiem roztrzaskała się na podłodze, ściągając na nas uwagę wszystkich zgromadzonych. Zapanowała złowroga cisza, a ja poczułem, że spoczywa na mnie ciężar odpowiedzialności za opanowanie sytuacji.

- Bardzo przepraszam. Niech pan usiądzie, zaraz wytłumaczę, co miałem na myśli. Proszę się uspokoić - powiedziałem do niego pojednawczo.

- Nie uciszaj mnie! - ryknął.

Tymczasem w moim kierunku zmierzał już Abid, a ja, widząc wyraz jego twarzy, zyskałem pewność, że jakiegokolwiek próby usprawiedliwienia się nie mają najmniejszego sensu.

- Wynos się. - W tonie jego głosu nie było nawet specjalnie agresji, której się mogłem spodziewać.

Spojrzałem na zegarek, była za siedem szósta.

- Przepraszam, że pytam, ale wyklukujesz mnie o szóstej, czy za piętnaście?

- Wynos się - powtórzył beznamiętnie.

## Perfect scenario

Postanowiłem zintensyfikować pracę nad scenariuszem, dając ostatnią szansę naszej współpracy z Heleną. Korzystając z tak zwanego bank holiday, zaprosiłem ją do siebie.



- Napijesz się herbaty albo kawy? - zapytałem na wstępie, wskazując jej drewniane krzesło przy moim biurku.

- Nie masz może gdzieś fotela z oparciem? Kawę organiczną poproszę...

- Nie sądzę, żebym miał organiczną na składzie. - Pokręciłem tylko głową, choć aż się prosiło, żeby wychłostać ją biczem satyry.

- To poproszę wobec tego wody... Mineralnej albo przegotowanej oczywiście - męczyła.

- Jak leci? - spytałem czysto kurtuazyjnie. - Dawno się nie widzieliśmy.

- Zrobili mi dokładne badania i nic nie wykryli - użalała się nad sobą. - A mnie głowa boli bardziej niż kiedykolwiek. Tomasz, ja się boję, może to coś bardzo poważnego...

- Przecież nic nie wykryli, nie masz się co martwić na zapas. - Próbowałem ją pocieszyć w ekspresowym tempie, żeby uciąć ten niewygodny wątek. - Posłuchaj, może to po prostu na tle nerwowym. Sama wspominałaś, że w ostatnim czasie wiele wydarzyło się w twoim życiu. Rozstałaś się z długoletnim partnerem, masz kłopoty w pracy i tak dalej. Przejdźmy teraz do rzeczy, żeby nie tracić czasu...

- Ale dlaczego akurat głowa, i to taki kłujący ból? - Nie zamierzała wcale zmieniać tematu.

- No nie wiem... - Rozłożyłem bezradnie ręce. - Może za dużo o tym myślisz i działa podświadomość? Ostatnio skończyliśmy na tym, że będzie to historia współczesnego emigranta z Polski, który stawia czoło londyńskiej rzeczywistości.

- Niekoniecznie z Polski... - przerwała mi bezceremonialnie. - Może być na przykład z Albanii.

- Z Albanii? Chyba zwariowałaś. Kogo obchodzą Albańcy? To już przerabialiśmy, lepiej żeby był z Polski, wówczas nadamy temu rys wiarygodności i będzie na czasie, skoro tylu teraz tutaj Polaków. Będę mógł się w znacznej mierze oprzeć na swojej osobie, pisząc scenariusz... Sama wiesz, że najlepsze są w sitcomach postacie bazujące na osobach rzeczywistych.

- Czy ja wiem... - Skrzywiła się, zupełnie nieprzekonana. - Czy nie sądzisz, że główny bohater powinien być dowcipny, pełen pozytywnej energii - z kim potencjalny widz byłby w stanie się utożsamić?

- Chcesz powiedzieć, że mi takich przymiotów brakuje? - obruszyłem się.

- Jesteś inteligentną, ciekawą osobą, ale, z całym szacunkiem, żaden z ciebie pierwowzór na bohatera komedii... Raczej dramatu obyczajowego, czy czegoś w tym stylu.

- To ma być trochę inna komedia, z klasą, rozumiesz? Do Polaka dodamy oczywiście innych obcokrajowców, będą z nim mieszkać i udzielać się jako postacie poboczne - co ty na to? - Spojrzałem na nią wyczekująco.

- Innych obcokrajowców... - Zamyśliła się. - Na przykład kogo?

- Nie wiem... Dajmy na to nielegalny imigrant z Brazylii lub Kolumbii, Hiszpan, może Niemiec... Tutaj już ty możesz się wykazać.

- I będziesz eksploatował przyciężki humor o telenowelach, narkotykach i Hitlerze? Czy ja wiem? - Wydawała się pełna wątpliwości.

- Musisz być dzisiaj tak negatywnie nastawiona? Przecież o to chodzi, żeby pomiędzy bohaterami powstawały sytuacje konfliktowe, wszelkiego rodzaju interakcje, nieprawdaż? Zobacz, jakie pole do popisu nam się rysuje, jeśli pójdziemy tym tropem! W dodatku jeśli dobrze się przyjrzyysz wszystkiemu, co powstało w ciągu ostatnich kilku lat, to zauważysz, że wcale nie jesteśmy wtórni - czegoś takiego jeszcze nie było! - Podekscytowany rozwijałem swoją ideę, próbując zaszczyć w niej entuzjazm przynajmniej dla części moich pomysłów.

Zastanawiała się. Widać było, że przynajmniej częściowo zdołałem przełamać jej niezrozumiały opór.

- No, może coś w tym jest. - Skinęła głową, choć nie było w tym geście jednoznacznej aprobaty.

- Ale nie odbieraj tego w niewłaściwy sposób - nie będą to nowi „Przyjaciele”, broń Boże! Raczej coś zdecydowanie ostrego, z ciętymi dialogami, bez wazeliny, rozumiesz? Antyprzyjaciele! Żadnych czułych pojednań w strugach deszczu, żadnych zaręczyn ani innych takich bzdur. - Byłem w jakimś twórczym transie.

- Tutaj akurat zgadzam się w stu procentach - przytaknęła ochoczo. - Żadnego lukru, co to, to nie!

- Musimy wymyślić mniej więcej cztery postacie. Jedną zresztą mamy gotową, mnie samego. Każde z nas zajmie się opracowaniem dwóch bohaterów - w ten sposób połączymy nasze siły i nasze zmysły komediowe w jedną zgrabną całość! Brzmi jak plan! - Sam przykłaśnąłem swojemu pomysłowi.

- Czy wobec tego powinnam stworzyć postać opartą na sobie, twoim wzorem?

- Czy ja wiem?

- Masz coś przeciwko mnie? - Nie było to jeszcze oburzenie, ale w jej głosie dało się odczuć wyraźną irytację.

Miałem wrażenie, że przerabiamy tę samą historię, tyle tylko, że z innym podziałem na role.

- Nie, oczywiście, że jesteś ciekawą osobą... - Przez twarz przemknął mi delikatny uśmiech. - Tylko... Wiesz, ja chciałem naszą komedię skierować do widza dwudziesto-, trzydziestoletniego, najdalej do kogoś u progu wieku średniego.

- Ja mam czterdzieści dwa lata! To jest wiek średni! - odparła wściekle.

- Ja mówiłem o pewnej grupie docelowej, nie musisz zaraz wszystkiego brać do siebie. Jesteś dojrzała, inteligentna, dobrze wyglądasz, nie masz powodów do kompleksów - odrzekłem pojednawczo. - Ale zawsze w przypadku serialu określa się grupę docelową, a przecież sama wiesz, że najlepszym rynkiem są dwudziesto- i trzydziestolatki!

- Naprawdę sądzisz, że dobrze wyglądam? - spytała z kokieterią w głosie.

Odsunąłem się nieznacznie i bezpiecznie spuściłem wzrok. Po mojej głowie zaczęły chodzić różne myśli - między innymi taka, że być może jej wcale nie chodzi o żadne pisanie scenariusza, tylko o uwiedzenie młodego kochasia dla zaspokojenia dogorywającego seksualnego apetytu. Musiałem jakoś rozładować napięcie, które spowodowała tym pytaniem.

- Zapomniałem ci przynieść wody. A sobie kawy... - Podniosłem się raptownie z miejsca. - Przejrzyj sobie gazety, rzuć okiem na płyty - tylko nie musisz wyciągać ich z pudełek, jak chcesz, żebym coś konkretnego puścił, to daj mi znać, dobrze?

Po co w ogóle wspominałem o tych płytach? Teraz jeszcze rzuci się na nie, jak niegdyś polscy melomani rzucali się na płyty zagranicznych artystów jakimś cudem sprowadzane z Zachodu. A ja przecież nieodmiennie nienawidziłem, kiedy ktoś obcy trzymał w swoich dłoniach należące do mnie kompakty. Najważniejsze jednak, że udało mi się przerwać rozmowę w tak krępującym momencie.

Wróciłem po jakichś dziesięciu minutach z wodą, kawą i ciastkami rozsypanymi na płaskim talerzu. Helena siedziała okrakiem na krześle, patrzyła w moją stronę i jednocześnie śmiała się histerycznie, najwyraźniej ze mnie.

- Przepraszam, że tak długo... Z czego się śmiejesz? - spytałem podejrzliwie.

- Nic takiego... - Gwałtownie spowaźniała.

- No powiedz, powiedz - nalegałem. - Chyba nie będziesz mi za chwilę wmawiać, że przypomniał ci się epizod „Hotelu Zacisze”...

- Wiesz... - zaczęła spokojnie. - Zgodnie z sugestią przejrzałam twoje gazety. Niestety, nie masz „Guardiana”. „The Sun”, czytasz tę szmirę? „Evening Standard”, „Times”, co jeszcze - „Młodzi faceci zabawiają się z dojrzałymi paniami”...

Wówczas uświadomiłem sobie, że zapomniałem oddać Aleksowi jego popierdalone piśmko.

- To nie moje...

- Jasne, nie tłumacz się, jesteś już dojrzałym, choć wciąż młodym mężczyzną, a ja, mając już parę ładnych lat na karku, swoje wiem i rozumiem. Wiele w końcu widziałam - mówiła w irytujący sposób, okazując przy tym wyższość.

- Może przejdziemy do scenariusza? W końcu po to cię tutaj zaprosiłem...

\*

Całe spotkanie zakończyło się znacznie owocniej, niż się zapowiadało. Jak się okazało, Helena, która stawiała pierwsze kroki w sekcji dokumentalnej jednej z angielskich stacji, przy okazji projektu, nad którym obecnie pracowała, poznała wpływowego producenta. Ów, jak go określiła, VIP stał się dla niej nawet w pewnym sensie mentorem i przyjacielem w jednej osobie. Helena zapowiedziała, że kiedy tylko skończymy scenariusz, natychmiast przekaże go do przeczytania Davidowi (bo tak ów koleś miał na imię). Jeśli nasz tekst dostatecznie by mu się spodobał, mógłby go spokojnie zarekomendować, gdzie tylko się da, używając swoich rozległych wpływów.

Pozostawało sprężyć się, osiągnąć jakiś kompromis i po prostu napisać coś naprawdę sensownego we w miarę szybkim tempie. O sobie się nie obawiałem - byłem wszak w pełni sił twórczych, ale ona to co innego - schorowana, rozlazła, teraz jeszcze w dodatku myślała, że nasza współpraca może mieć drugie dno. Miałem świadomość tego, że przed nami jeszcze długa i kręta droga.

Ale do tego akurat zdążyłem się już przyzwyczaić.

\*

Córka sąsiadki Brendy bawiła się z ciapatym kotkiem.

- Fajny kotek - zagadnąłem. - Jak ma na imię?

- Jason - odpowiedziała zadowolona.
  - Skąd go masz? Nie widziałem cię z nim wcześniej... - ciągnąłem rozmowę.
  - Przychodził tutaj. Mamusia dawała mu mleko i tak z nami został - mówiła z uśmiechem na twarzy.
  - Rozumiem. Na pewno jesteś dla niego dobra, co?
  - Tak, jest taki miły. - Głaskała go natrętnie.
- Nagle do akcji wkroczyła Brenda, która otworzyła okno i wychylając głowę, krzyknęła w moim kierunku:
- Trzymaj się z daleka i od dziecka, i od tego pierdolonego kota!
  - Jak możesz kłać w obecności małej? - Rozłożyłem ręce i pokręciłem głowę w geście dezaprobaty.
  - Nie będziesz mnie pouczał! Po prostu trzymaj się od nas z daleka, rozumiesz? Wracaj skąd przyjechałeś.
- I kto to mówi! Ktoś, kto zapewne stał na czele pochodów z wrytym na bambusowej tablicy: Ręce precz od Ugandy! Dość wyzysku!

## Ewa chce spadać

Jakaś fanowska strona internetowa podała nieoficjalną informację, że Sting wystąpi w Londynie na jakimś sekretnym kameralnym koncercie, na który bilety będzie można wygrać jedynie w konkursie radiowym. Wtedy przypomniała mi się Ewa i bilety, w których posiadaniu się znajdowała - może jakimś trafem chodziło o to właśnie wydarzenie?

\*

- Nie wszystko ułożyło się tak, jak chciałem - wyznałem z pokorą, kiedy zśliśmy z Ewą przez Tottenham Court Road.
  - Jestem zaskoczona, że starasz się to teraz naprawić - powiedziała głosem pełnym patosu. - Nie myśl, że tego nie doceniam.
- „Naprawić”, wielkie słowo! Przecież w gruncie rzeczy chciałem się tylko dowiedzieć, co to był za koncert i ewentualnie na niego pójść, o ile nie było jeszcze za późno. Najważniejsze jednak, że byłem dla niej przekonujący.

- Przejdziemy się jeszcze trochę, spacer dobrze... - urwałem w pół zdania, bojąc się, że sens mojej wypowiedzi zostanie wypaczony przez jej interpretację.

- Dobrze mi zrobi, to chciałeś powiedzieć?

- No tak, tylko nie miałem nic złego na myśli. Wiesz, ile kalorii spala... A co, wolisz... od razu do restauracji... czy na kawę na przykład... i ciastko...? - zaplątałem się w swoim słowotoku.

Obawiałem się, że cokolwiek teraz powiem, zostanie wykorzystane przeciwko mnie. Musiałem jak najszybciej przejść do rzeczy.

- Wybierz sam, w końcu mnie zaprosiłeś - odpowiedziała.

- Ja nie jestem dobry w wybieraniu... - bąknąłem.

- No cóż, czasami nie doceniamy swoich wyborów - mówiła spokojnie. - Myślimy, że mamy mnóstwo opcji, a tak naprawdę najprostsze rozwiązania bywają najlepsze.

- To co u ciebie? Jak leci? Wszystko okej?

- Nic takiego, wciąż pracuję w tym samym biurze, mieszkam w tym samym miejscu, nic specjalnego - rzuciła mi mdłą odpowiedź.

- No to widzę, że się niewiele zmieniło... - podsumowałem równie banalnie.

- Tak, wciąż ta sama ja, jeśli to masz na myśli.

Nie wiem, dokąd ta rozmowa w ogóle prowadziła. Ona była tak bezbarwną osobą, że musiałem przerzucić ciężar tematu na siebie, żeby ratować sytuację.

- U mnie też bez rewelacji, dalej śnię swój londyński sen... Patrz! - Zatrzymałem się przed sklepem blisko Shaftesbury Avenue. - Widzisz tę księgarnię? Zobacz, znowu potrzebują kogoś na pół etatu. Powiem ci, że kiedyś tam się zgłosiłem, ale... Jest jedno ale... Tam na dole jest sex shop. Powiedzieli mi wtedy, że jak dadzą mi pracę, to będę albo w części górnej, albo dolnej, zależnie od potrzeby. Wyobrażasz sobie? Jednego dnia mówisz do klienta: „tak, jest książka z reprodukcjami Dalego” czy „nie, z Updike'a nic obecnie nie mamy”, a następnego dnia schodzisz na dół i szukasz klientowi atrapy penisa ze sztucznymi włosami...

- Może jednak gdzieś usiądziemy - przerwała mój humorystyczny wywód. - Tu jest taka fajna kafejka po drodze, naprzeciwko... Poczekaj, chyba przeszliśmy...

Szczęśliwie, zgodnie z moim planem, znaleźliśmy się obok agencji sprzedającej bilety.

- Tutaj sprzedają bilety na najlepsze koncerty w Londynie... A właśnie, tak zupełnie przy okazji... Kiedyś mówiłaś coś o jakichś biletach... Co miałaś właściwie na myśli?

- A tak, wygrałam bilety na Wieczór Filharmonii Londyńskiej! Prawie bym zapomniała, a to przecież koncert na dniach! W niedziele masz wolne, z tego co pamiętam? - W jej głosie pobrzmiwał entuzjazm.

Filharmonia. O Boże, tylko nie to. Wiele hałasu o nic.

- W niedzielę? Słuchaj, w niedzielę muszę iść do kościoła...

Zaśmiała się głośno.

- Powiedz, że znowu się wygłupiasz... Przecież wieczór z filharmonią jest około siódmej.

- Ale ja zawsze chodzę na mszę na szóstą... Taki mam rytm dnia - łgałem.

- Słuchaj, pójdziesz na rano, no co ty? Przestań komplikować sobie życie.

- Rano w weekendy długo śpiam... Wiesz, to ranne wstawanie przez cały tydzień... Trzeba jakoś odreagować.

- To pójdziesz na popołudniową mszę - zasugerowała zniecierpliwionym tonem.

Ależ jej zależało na tej filharmonii! A najgorsze, że to przecież ja strzeliłem sobie samobójczą bramkę.

- Nie mogę, jak pójdę na popołudnie, to czuję, że dzień mi się przecina w połowie.

- Słucham? - Zatrzymała się i popatrzyła na mnie oniemiałym wzrokiem. - Tomek, powiedz po prostu, że nie chcesz ze mną iść, bo się mnie wstydzisz...

- Co to, to nie! To nie tak, proszę cię, nie dramatyzuj - odparłem. - Czy myślisz, że do filharmonii chodzą młode, trendy i sporty, modelki, zgrabne... no wiesz... przesadnie zadbane lalki? Nie, nie, jeszcze raz nie. Filharmonia jest dla... dla tych, którzy... cenią to, co ważniejsze, a nie to co... powierzchowne.

- To o co ci, do cholery, naprawdę chodzi? - Straciła nad sobą panowanie. - Czyżbyś do czegoś znowu zmierzał?

- Dlaczego wszędzie doszukujesz się drugiego dna? Czy każda rzeka musi mieć podwójne koryto, czy każdy człowiek musi mieć podwójny podbródek... przepraszam.

Uderzyła mnie w twarz. Spadło to na mnie nagle - nawet nie widziałem, jak robi zamach. Za chwilę byłem sam. Znowu sam. Przeraził mnie sam.

\*

do [ania.perucka2@wp.pl](mailto:ania.perucka2@wp.pl)  
od [tomasz\\_pl@yahoo.co.uk](mailto:tomasz_pl@yahoo.co.uk)

Aniu,

Nie wygrałem biletów na Live 8, czyli sequel geldowskiego Live Aid, mimo że wysłałem chyba z dziesięć SMS-ów. Tymczasem Londyn wygrał prawo do olimpiady 2012.

Wokół mnie toczy się historia.

Tomasz

## 7/7, czyli wróg wewnętrzny

Wszyscy przeżyliśmy to na swój sposób, choć pewna zbieżność naszych reakcji była sprawą nader oczywistą. Każdy realnie myślący londyńczyk zdawał się tego wydarzenia mniej lub bardziej świadomie oczekiwać, ale kiedy wreszcie ów moment nadszedł, nikt nie potrafił się z tym do końca pogodzić. Co prawda wówczas można było jedynie przypuszczać, kto stał za tą serią zamachów na środki transportu w Londynie, ale londyńczycy szybko zredukowali wybór do trzech możliwości: a) islamscy terroryści, b) IRA, c) Francuzi w rewanżu za przegraną batalię o olimpiadę.

Choć tak naprawdę, nie ma się co oszukiwać, wszyscy wiedzieli, kto miał w zwyczaju wysadzać się w powietrze w samobójczych zamachach. Przecież mieliśmy świadomość, że ten moment musiał w końcu nadejść. Pieprzenie o tym, że „multikulturowość i tolerancja”, przymykanie oczu na napływ imigrantów i miliony sypane na zasiłki dla biednych muzułmańskich rodzin stanowią najlepszą ochronę przed zamachami, można było już dawno włożyć między bajki pisane przez lewicowych pseudointelektualistów.

Drogę do pracy przeszedłem w ponad godzinę. Oczywiście kusiło mnie, żeby zadzwonić i odwołać swoją obecność z powodu kłopotów z transportem, ale przyszło mi do głowy, że sklep może zostać zamknięty przed czasem, a my dostaniemy i tak dniówkę, więc nie warto



było w takiej sytuacji nie pojawiać się i na całej sprawie po prostu nie skorzystać.

Okazało się jednak, że na miejscu byli wszyscy. Anthony wpatrywał się obłądnym wzrokiem w ekran monitora, szacując zapewne straty, na jakie ataki terrorystyczne naraziły nasz sklep.

- Cafe City jest praktycznie zamknięte - biadolił. - Katastrofa...

Zadzwoniła do mnie matka. Bóg jeden wie, jak udało się jej dozwonić, skoro, jak się później okazało, tak trudno było wówczas o połączenie - większość sieci zatkała się od nadmiaru sygnałów. Wracając jednak do matki, oczywiście ubzdurzyła sobie, że byłem dokładnie w centrum wydarzeń i albo zginąłem, albo w najlepszym wypadku leżę bez jednej nogi na oddziale intensywnej terapii. Płakała, panikowała, a kiedy wreszcie dała mi dojść na chwilę do słowa i powiedziałem jej, że nic, ale to nic mi nie jest, niemal od razu zaczęła się natrętnie upewniać, czy aby na pewno wszystko ze mną w porządku. Tak jakby trup albo człowiek poszarpany przez bombę, walczący desperacko o życie w szpitalu, mógł prowadzić z nią normalną rozmowę. Cóż, niektórzy nazywają to miłością. Ojciec z kolei, który wydedbił od matki telefon na kilkanaście sekund, podszedł do sprawy zupełnie inaczej:

- Po cholere! pojechałeś do Anglii? Nie masz swojej ojczyzny? Widzisz, na co się narażasz, sam sobie będziesz winny, jak ci się coś w końcu przytrafi... W Polsce byłbyś bezpieczny. Nie możesz tego zrozumieć? W Polsce takie rzeczy się nie zdarzają!

\*

- Klientów nie ma, ale to wcale nie znaczy, że będziemy teraz chodzić w kółko i się nad sobą oraz innymi użalać - powiedział nagle chłodnym tonem Ahmed. - Możemy wykorzystać ten czas na czyszczenie sklepu, bo kwartalna kontrola zbliża się wielkimi krokami.

- Ahmed, kurwa, cały świat o tym będzie mówił, my mamy nerwy postrzępione, a ty każesz nam, jakby nigdy nic się nie stało - czyścić sklep? Może jeszcze byś wysłał nas na ulice, żebyśmy mówili klientom, że nie ma powodów do paniki i żeby wrócili do robienia zakupów w Super Quality Foods? - ironizowałem, jednocześnie kipiąc złością.

Wiedziałem, że posuwam się za daleko, ale autentycznie poraził mnie jego wulgarny cynizm.

- Posłuchaj. - Położył mi rękę na ramieniu. - U nas w Turcji nauczyliśmy się żyć z terroryzmem na co dzień. Rozumiesz, Kurdowie mordują naszych żołnierzy, atakują cywilów...

- To nie Turcja - przypominałem. - Twoje narodowe traumy to nie powód, żeby przechodzić nad tym, co się stało, do porządku dziennego. My tutaj mamy inną wrażliwość.

- A nad czym tu debatować, no powiedz - odrzekł poiryutowany Ahmed. - Jak Blair wysłał żołnierzy do Iraku po ropę, to musiał się z tym liczyć, że mu ktoś w rewanżu narobi gnoju w Londynie, Manchesterze albo Birmingham nie?

- Gównu mnie obchodzi broń masowego rażenia i ropa. Ja się cieszę, że obalili Husajna, bo to był tyran i potwór, który zamienił swój kraj w trupiarnię. A ty chcesz powiedzieć, że mamy to, co się dzisiaj stało, traktować jako cenę za politykę Blaira i jeszcze może Anglicy powinni uderzyć się w pierś, że go w ogóle wybrali?

Sam nie wiem, po co mi w ogóle była ta dyskusja z radykałem, jakim z racji swojego pochodzenia był Ahmed.

- Anglia zasługiwała na nauczkę, szkoda tych ludzi, ale Blairowi się należało - powiedział dobitnie. - Nikt nie kazał mu lizać dupy Bushowi i włączyć do Iraku, suwerennego kraju. Powiedz, że nie mam racji. No zaprzecz!

- Nauczka dla Anglii? Co ty pierdolisz? - oburzyłem się.

- Panowie, nie czas na dyskusje - przerwał Anthony, do tej pory biernie przysłuchujący się naszej potyczce. - Trzeba żyć dalej, zabrać się do pracy. Jedna osoba na kasie, kto chce, niech idzie do domu, reszta niech sprząta i czyści sklep. Ahmed ma rację, kontrola się zbliża, dzisiaj jest dobry dzień, żeby trochę nadgonić stracony czas. Lista zadań jest długa, a czasu niewiele.

Pokręciłem głową ze zdumienia. Przerazający brak wycucia sytuacji, ciągłe stawianie i realizowanie celów w ramach jednego pieprzonego miejsca z kanapkami, które dla części pracujących tutaj osób miało wagę centralnej instytucji City, krwiobiegu, bez którego cały ten skomplikowany organizm nie byłby w stanie w ogóle funkcjonować. Drażnił mnie ten brak dystansu, to przeświadczenie, że uczestniczą w jakiejś misji. A może odnosiłem zupełnie mylne wrażenie, może tylko grali? Może liczyli tylko swoje pieniądze oraz bonusy i żeby je mnożyć, cynicznie stawiali bardzo wysoko poprzeczkę, chcąc wydusić ile się da z przeciętnych pracowników? Maltretowali nas hasłami o pracy zespołowej, pasji, pozytywnym nastawieniu, licząc, że ta

mantra wbije się nam w pień mózgu do tego stopnia, że zaczniemy sami ją powtarzać, nieświadomie zarażając tymi bredniami coraz to nowych pracowników i napędzając maszynę propagandy.

Ludzie tacy jak ja stawali się londyńskimi stachanowcami.

\*

Traf chciał, że jeszcze tego samego dnia zobaczyłem interesujące ogłoszenie w biuletynie Super Quality Foods - potrzebowali kogoś do centrum rekrutacji, najpewniej za tę Polkę Malwinę. Była to dość głośna sprawa w ostatnim czasie - laska poczuła się tak pewnie, że po kilku tygodniach pracy tamże, dała ogłoszenie w jakimś polskim magazynie wychodzącym w Londynie, że pośredniczy skutecznie w załatwianiu pracy. Potem odsyłała zainteresowanych do siebie i przeprowadzała z nimi pomyślną rozmowę kwalifikacyjną (brała podobno sto funtów od głowy). Wpadła, bo przez pomyłkę jeden z ówków trafił do kogoś innego, a kiedy nie dostał pracy, połamanym angielskim, takim, jakiego uczą zapewne w technikum w Strzemielinku Górnym, wybełkotał, że „Jak to?”, że przecież „on zapłacił” i „wszystko było ustawione”.

Jeszcze tego dnia poinformowałem o swoich ambitnych planach Anthony'ego i Ahmeda. Dziwne, nie dość, że nie zatrzymywali mnie, to jeszcze życzyli powodzenia i zapewnili, że mogą liczyć z ich strony na wszelkie możliwe wsparcie. Uznałem, że mają mnie już dość, uznają za wroga wewnętrznego i chcą się jak najszybciej pozbyć ze sklepu.

\*

Mój Boże, Helena! Czy była cała? A co, jeśli moja zła karta przybierze tym razem zupełnie nieoczekiwanie postać śmierci Heleny? Przecież bez niej jej promotor i przyjaciel David nie ruszy palcem w sprawie tego scenariusza, a może, co gorsze, przywłaszczy sobie nasze idee, puszczając mnie, jedyne go prawowitego spadkobiercę, z torbami! Musiałem do niej natychmiast zadzwonić, przekonać się, że jest cała...

- Helena, wszystko w porządku?

- Dziękuję, że dzwonisz, dziękuję, to wiele dla mnie znaczy... - Nie kryła wzruszenia. - Mało brakowało, a pojechałabym tym autobusem... Nie mogę się powstrzymać od łez...

Postanowiła to udokumentować głośnym chlipaniem. Byłem ogromnie poirytowany, że to nie kto inny, a właśnie Helena stała się dla mnie pierwszym ucieleśnieniem rozhisteryzowanej „niedoszłej ofiary zamachów”, która „otarła się o śmierć”, i której należy się więcej współczucia od tych, którzy zginęli, bądź zostali ranni. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że nie będzie to odosobniony przypadek i wkrótce okaże się, że Russell Square można by wypełnić setką tysięcy niedoszłych pasażerów, którzy „zdecydowali się jednak pojechać innym niż feralna trzydziestka autobusem”; że pięćdziesiąt tysięcy osób nie wsiadło tego dnia do pociągu śmierci, bo „miało jakieś przecucie”; że osiemdziesiąt tysięcy osób pracujących tego dnia w okolicach Liverpool Street i dojeżdżających do pracy metrem, wzięło tego dnia wolne.

\*

- A, tak sobie pomyślałem... - mówił smutnym głosem Alex. - Szkoda, że mnie nie było w tym autobusie albo pociągu. Miałbym spokój, nie musiałbym wciąż o niej rozmyślać. Za to ona miałaby sporo do myślenia i zapewne sumienie by ją dręczyło - jej kochany Alex zginął tak tragicznie! „Pewnie śpieszył się do pracy, odkładał pieniądze na ślub... Ciekawe, czy o mnie myślał w chwili, kiedy bomba rozrywała wagon albo double deckera? Czy mi wybaczył?”. Oj, biłaby się teraz z myślami, może nawet sięgnęłaby po tabletki, żeby ze sobą skończyć, odmawiając sobie prawa do życia...

- Skończyłeś? - Spojrzałem na niego krytycznie. - Lepiej zadzwoń do rodziców, żeby się nie martwili.

W tym momencie do kuchni weszła Kasia - do kompletu brakowało więc tylko Luisa, który tropił zapewne w tym czasie nieprawidłowo zaparkowane samochody, z pasją inkwizytora, nie zważając na to, że w taki dzień wypadałoby spuścić nieco z tonu.

- Cześć, Kasiu. Jak dobrze cię widzieć całą i zdrową - powiedziałem spontanicznie.

- Naprawdę? - zapytała podejrzliwie.

- Tak, naprawdę. Tylko nie zaczynaj zaraz opowieści w stylu, że właśnie miałaś jechać na King's Cross czy byłaś w autobusie za feralną trzydziestką. Mam już dość tych, którzy wymyślają historie, jak to dzisiaj oszukali śmierć, rozumiesz?

- Jak mówi mój chłopak Amin...

- Amin? - przerwałem.

- No ten, z Bangladeszu, spotkałeś go przecież kilka dni temu - przypomniała.

- A rzeczywiście! - Skinąłem głową. - Przystaję ich już odróżniać, wybacz, jedna wielka ciemna masa.

- Sam jesteś ciemny. Ciemnogród. W każdym razie on powiedział, że te zamachy, to wszystko przez to, że Blair Bushowi w dupę włożył, rozumiesz? To Blaira trzeba winić, inni?

- Dziewczyno. - Puknąłem się w czoło. - Czy to Blair się wysadził w powietrze, zabijając niewinnych ludzi podążających do pracy? O czym ci ten Amin jeszcze opowiadał? O Żydach, którzy na dzień przed jedenastym września wzięli wolne w WTC? O bohaterskich talibach, którzy teraz jako partyzanci zwalczają marionetkowy rząd amerykański w Afganistanie? O tym, że Iran jako suwerenne i demokratyczne państwo ma pełne prawo do skonstruowania bomby atomowej? Nie powtarzaj tutaj głupot, które usłyszysz i łykasz tak łatwo, jak... Nie, nie każ mi być wulgarnym.

- A ty, niby taki mądry - odrzekła z sarkazmem - to dlaczego wciąż w tych kanapkach siedzisz?

Trafiła w sedno. Ale już niedługo moja praca w tym charakterze będzie tylko przykrym wspomnieniem - obiecałem sobie w duchu. Jeszcze im wszystkim pokażę, na co mnie stać.

\*

- Luis, co jak co, ale chyba nie powiesz, że tak naprawdę w tym całym 7/7 chodziło o to, żeby pozbyć się ciebie... - zagadnąłem Hiszpana, spotkawszy go w przedpokoju.

- Miałem właśnie zamiar jechać na Aldgate, ale w ostatniej chwili zmieniłem zdanie...

Powiedział to w tak niewiarygodnie dramatyczny i namaszczony sposób, że poczułem się zawieszony między potrzebą zbesztania go za przyłączenie się do chóru cudownie ocalonych a wybuchem śmiechu, który ogarniał mnie zawsze, kiedy widziałem go spanikowanego i pełnego najgorszych przeczuć. Ostatecznie machnąłem tylko ręką i wyszedłem z domu do kawiarenki internetowej. Wypadałoby napisać kilka słów do Anki. Może się o mnie zamartwia. Może wyobraża sobie, co by straciła, gdybym tam jednak był, wśród ofiar... A przecież mogłem być...

## Kocia histeria

Aplikowałem więc o pracę w centrum rekrutacji Super Quality Foods, i chociaż nikt nie dawał mi szans na zakwalifikowanie się nawet na rozmowę kwalifikacyjną, to okazało się, że nie tylko zostałem na nią zaproszony, ale również - jakimś cudem - przebrnąłem przez nią pomyślnie. Aby postawić kropkę nad „i”, miałem jeszcze odbyć tam jednodniową praktykę i uzyskać ogólną akceptację. U mnie w pracy sprawę uznano już za przesądzoną - do tego stopnia, że zorganizowano mi naprędce przyjęcie pożegnalne w pobliskim pubie. Zaimponował mi ten gest, co tu dużo mówić. Przecież, było nie było, nadepnałem wszystkim na odcisk, byłem nieznośny, wciąż narzekałem i ciągle sprawiałem jakieś problemy, a mimo to żegnano mnie imprezą!

\*

Właśnie wtedy, podczas przyjęcia pożegnalnego, nabrałem pewności, że wszystkie moje przypuszczenia były prawdziwe. Sonia podająca dyskretnie - najpierw Markusowi, a potem Monice - kopertę z jakąś tajemniczą zawartością wraz z rurką od długopisu, a potem oni, znikający na dłuższą chwilę w toalecie i powracający z głupim uśmiechem na twarzy, jakoś podejrzanie podekscytowani... Mogłem to interpretować tylko na jeden sposób.

- A więc jednak! - Oskarżycielsko wyciągnąłem palec w kierunku przełożonej, kiedy zostaliśmy sami przy stoliku. - Wydało się!

- Daj spokój, wiesz, że nie możemy tego zrobić oficjalnie... No daj już spokój, skoro i tak wiesz...

- Mogliście sobie darować - odparłem, nie kryjąc irytacji.

- No wiesz, dlaczego mielibyśmy? - Spojrzała na mnie pytająco.

- Bo to, do cholery, moje ostatnie przyjęcie z wami i wiesz dobrze, że jestem przeciwny narkotykom!

Wyrwałem z jej dłoni kopertę, którą wcześniej przekazał jej z powrotem Markus.

- Narkotykom? O czym ty mówisz? - Uznałem, że udaje zdziwienie.

- Dobrze wiesz, Sonia, o czym mówię. Rozsypujecie kokainę na kartce, a potem wciągacie do nosa jej linie rurką od długopisu! Akurat właśnie całą waszą trójkę podejrzewałem o silne uzależnienie - powiedziałem demaskatorskim tonem.

- Thomas, zwariowałeś, naprawdę, proszę cię, uspokój się - odparła Sonia.

Choć miałem dowód rzeczowy w dłoni, ona jakby wciąż łudziła się, że jeszcze może mnie przekonać do swojej rzekomej niewinności, mówiąc niespotykane spokojnym, wolnym od zwyczajowej hysterii głosem. Triumfalnie przechyliłem kopertę, licząc na to, że za chwilę wysypie się z niej biały proszek. Ale, ku mojemu zaskoczeniu, jedyną rzeczą, jaka znajdowała się w środku, była kartka z napisem: Thank You & Good Luck.

W tym momencie doszło do mnie, jak bardzo pomyliłem się w interpretacji tego, co działo się półoficjalnie na moich oczach. Na kartce znajdowały się wpisy wszystkich pracowników mojego sklepu - ludzie dziękowali mi za wspólnie spędzony czas i życzyli powodzenia w przyszłej pracy w centrum rekrutacji.

- Markus i Monika nie zdążyli wcześniej, więc musiałam ich poprosić tutaj - dopowiedziała Sonia, a w jej głosie zamiast oczekiwanych pretensji wyczułem wyraźne rozbawienie.

\*

Alex opróżnił worki na śmieci w kuchni.

- Może byś tak pomógł? - Spojrzał na mnie wymownie.

- Właściwie to już kończysz. - Obojętnie wzruszyłem ramionami. - Może następnym razem.

Tymczasem przez otwarte drzwi do środka mieszkania wszedł kot. Patrzył na nas nieufnie, zarazem czując się dość swobodnie.

- Patrz, kot - powiedział dziko podekscytowany Alex.

- Przecież jeszcze nie jestem ślepy. To chyba ten od sąsiadów, od Brendy. Jak mu tam było? Jason! - przypomniało mi się. - Pocziwy. Mam nadzieję, że nie nasra w środku.

- Daj mu mleka - zasugerował Alex, kierując się z workiem ze śmieciami na zewnątrz.

- Chyba oszalałeś. - Puknąłem się w czoło. - Po co nam tu darmozjad? Po co sierściucha przyzwyczajając? Będziesz potem czyścił, jak nachłapie albo dokarmił regularnie, jak postanowi przychodzić częściej?

Mój przyjaciel wrzucił worek do pojemnika na zewnątrz, a zaraz potem, już w progu, znieruchomiał.

- O mój Boże, to Rudi - wydusił z siebie po chwili.

Rzeczywiście, swoją beemwicą zajechał pod dom nasz niemiecki landlord.

- Schowaj kota, wiesz, jaką on ma awersję do zwierząt! Szybko, ja tymczasem spróbuję go zagadać - powiedział spanikowany, a następnie trzasnął drzwiami.

Było to dość histeryczne zachowanie, ale jakoś ta panika mi się udzieliła, w końcu z Niemcami nigdy do końca nie było wiadomo, czego można się spodziewać.

- Jason, chodź tu! - rozkazałem, robiąc gwałtowny ruch w jego kierunku, ale wystraszony kot zrobił unik.

Rzuciłem się ponownie w jego stronę i tym razem zdołałem go złapać. Zwierzak wydawał się wystraszony, poza tym żadne reakcje obronne w obliczu stalowego uścisku moich dłoni nie wchodziły w tym przypadku w grę. Gdzie go schować? Do szafy - bez sensu, z pewnością się wygramoli albo będzie drapał i narobi hałasu. Do toalety też nie, bo jak Rudi będzie miał potrzebę, to wtedy wpadka. I wtedy przyszło mi do głowy coś równie głupiego, jak oczywistego - pralka, w której znajdowało się ubranie robocze Luisa. Szybko nakryłem zwierzaka uniformem traffic wardena i przyknałem wieczko pralki, sądząc, że to powinno załatwić sprawę. Nie da rady stamtąd w żaden sposób wyleźć. Jednocześnie, zabezpieczając się podwójnie, zamknąłem drzwi do kuchni.

W tym czasie Alex robił swoje, zagadując landlorda na temat swojej narzeczonej. Wyszedłem na zewnątrz i przywitałem się ciepło z Rudim. Z rozmowy wynikało, że akurat przejeżdżał i postanowił się zatrzymać, aby spytać, czy wszystko u nas w porządku. Taką informację potraktowałem już na wstępie nieufnie - w końcu nigdy nic go nie obchodziło oprócz zbierania pieniędzy. Właściwie była to świetna sposobność, żeby wspomnieć mu o kilku rzeczach wymagających naprawy lub modernizacji, ale z uwagi na całą tę sytuację z kotem, lepiej było nie przeciągać tego spotkania i przejść do tematów ogólnych, choćby terroryzmu. Szybko znudziły go moje opowieści na temat islamskich fundamentalistów, bo rzuciwszy byle jaki pretekst, zabrał się i odjechał. Alex odetchnął z wielką ulgą.

- A może przesadzamy? Stary, jesteśmy histerykami. Przecież po prostu powiedzielibyśmy, że nam kot sąsiadki wszedł... Robimy z tego jakąś ślapstickową komedię - podsumowałem krytycznie nasze poczynania.

- Nie uwierzyłby - uciał Alex.

Weszliśmy z powrotem do domu. Kuchnia była otwarta, kręcił się po niej Luis. Nagle przeszły mi po plecach ciarki - pralka była włączona! Rzuciłem się w jej kierunku, ale Hiszpan stanął mi na drodze.



- Szybko, wyłącz tę kurewską pralkę! - krzyknąłem.  
- O co ci chodzi? Mało miałeś czasu? - Rzucił mi nieprzyjazne spojrzenie.  
- Tam jest kot, tam jest kot... - wydusiłem z siebie.  
Ale on stał jak bezduszna i bezrozumna kłoda, jakby w ogóle nie docierało do niego znaczenie moich słów.

\*

- Nie widziałeś przypadkiem naszego kota? - Brenda wyglądała raczej na zmartwioną niż rozgniewaną. Gdybym nie wiedział, jak podła była z niej suka, to normalnie zrobiłoby mi się jej żal.  
- Nie, a co, zaginął? - Zmarszczyłem brwi.  
- Skąd wiesz, że zaginął? - Spojrzała na mnie wzrokiem pełnym podejrzliwości.  
- Skoro go szukasz, to wnioskuję, że zaginął... - Wzruszyłem ramionami.  
- „Zaginął” znaczy, że stało się coś złego... To masz na myśli? - panikowała.  
- Niekoniecznie. - Zaśmiałem się nerwowo. - Mógł się zapodziać, na przykład w domu lub w okolicy.  
- Więc na pewno nie widziałeś, nic sobie nie przypominasz?  
- Nie... - bąknąłem w dość nieprzekonujący sposób. - Nie widziałem. Ale obiecuję, że jak tylko coś zauważę, to dam ci natychmiast znać.

\*

Nazajutrz pomogłem jej rozklejać na osiedlu ogłoszenia *Lost cat*. Znalazcy obiecywała nagrodę. Kusiło mnie, żeby podesłać Aleksa ze zwłokami kocura i wydebić te dwadzieścia pięć funtów.

do [tomasz\\_pl@yahoo.co.uk](mailto:tomasz_pl@yahoo.co.uk)  
od [ania.perucka2@wp.pl](mailto:ania.perucka2@wp.pl)

Tomek,

Dziękuję Ci, że napisałeś do mnie e-maila z informacją, że jesteś cały i zdrowy. Bardzo się o Ciebie martwiłam, pomyślałam nawet, że byłoby wielką niesprawiedliwością losu, gdyby coś takiego przeszkodziło nam się kiedyś zobaczyć.

A ja bardzo pragnę Cię poznać, bo wiem, że wartościowy z Ciebie człowiek. Pozdrawiam, Ania

## **Polskie serce**

- Trzy Polki, innit? - Westchnęła Kasia, odnosząc się do liczby polskich ofiar zamachów.

- No - przytaknąłem.

- Chcę się zapytać, dlaczego zamiast nich nie zginęli ci prymitywni pajace jeżdżący parami - wiesz, te Mietki i Zdzichy, robole... Co do ofiar, to jedna była sprzątaczką, druga administratorką, a trzecia księgową, tak jak ja.

Te ostatnie słowa podkreśliła w aż nazbyt widoczny sposób.

- Zgadza się.

- To powiedz mi, ta księgowa mieszkała na Archway, czy pracowała na Archway? - rzuciła to pytanie jakby od niechcenia. - Wspominali, gdzie dokładnie pracowała?

- Nie pamiętam, a dlaczego to dla ciebie takie ważne? Poczytaj gazety z ostatnich dni, tam w salonie trochę tego jest. Po co właściwie pytasz? - Zacząłem się poważnie zastanawiać, co też mogło jej tym razem chodzić po głowie.

Spojrzałem na nią podejrzliwym wzrokiem, a ona, wyraźnie wyczuwając moje intencje, jakby zmieszana, odwróciła twarz, chcąc uniknąć oczekiwanej konfrontacji.

- Bo wiesz - wykrztusiła z siebie nagle - pomyślałam, że... no wiem, że to takie sępie... ale skoro ona... skoro zrobił się wakat... to może ja bym mogła...

- No nie, że też wcześniej się nie domyśliłem! - Złapałem się za głowę. - Nie chcesz chyba powiedzieć, że... Proszę cię, powiedz, że nagle polubiłaś czarny humor.

- No przecież ktoś i tak będzie musiał zająć jej miejsce, innit? - usprawiedliwiała się. - My Polacy musimy się wspierać za życia i po śmierci.

- I co, pojedziesz tam, stworzysz fikcyjną postać jej koleżanki ze studiów i powiesz, że czujesz moralną powinność kontynuowania tego, co zaczęła ta, jak jej było - Monika, bo ona by tego z całą pewnością sobie życzyła?

- To w gruncie rzeczy nie jest taki zły pomysł... - odrzekła bezwstydnie.

- Ja ci nie podsuwam pomysłów - oburzyłem się. - Ja tylko przedstawiam niemoralną logikę twojego postępowania! Czy ty masz jeszcze jakiś wstyd, dziewczyno? Puszczasz się z byle kim, a teraz chcesz żerować na cudzej śmierci - jesteś zepsuta do szpiku kości! Popierdoliło ci się w tej puste głowie.

- A ty co? - Wiedziałem, że nie przyjdzie mi długo czekać na kontratak. - Spójrz na siebie. Skończyłeś zarządzanie, a składasz na czas jakieś pieprzone sałatki w czapeczce i śmierdzącym uniformie. Ja przynajmniej chcę tutaj coś osiągnąć. Zgoda, może często zmieniam partnerów, ale chyba to lepsze, niż trzepanie się pod prysznicem, w mieście, w którym nawet niezłe dupy dałyby się zerznąć takiej piździe jak ty!

- Spierdalaj - mruknąłem na odchodne, kierując się w stronę drzwi. Nie zamierzałem tolerować tego rodzaju uwag pod swoim adresem, szczególnie ze strony kogoś, kto reprezentował sobą mniej niż zero.

\*

Dwudziestego lipca o dziesiątej wieczorem wyruszyłem na swoją misję. Niestety, jako że było świeżo po zamachach, wszechobecność policji dawała się we znaki na każdym kroku, co z gruntu było rzeczą dobrą, ale nie w tym określonym przypadku. Byle tylko ktoś w tej paranoicznej atmosferze nie postanowił mnie przeszukać, bo najpewniej nie skończyłoby się na wstydzie czy kompromitacji.

W Polsce zakopałbym ciało w ogródku albo wywiózłbym do lasu, ale tutaj, na tym śmietniku cywilizacji, posiadanie ogródka z prawdziwego zdarzenia było rzadkością - my nie mieliśmy go wcale - a lasy się nie zdarzały. Musiałem więc wrzucić kociaka do rzeki.

Szedłem wzdłuż Tamizy przez Embankment i chyba nerwy wzięły nade mną górę, bo pozornie czujny, w rozkojarzeniu wszedłem na jakiegoś wielkiego Murzyna.

- Przepraszam, w tych ciemnościach nie zauważyłem. - Wolałem pierwszy przeprosić, niż wdawać się w niepotrzebną wymianę zdań.

- Co? - Nie wiedzieć czemu nie docenił mojego gestu. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- Eeeh... - Uświadomiłem sobie, jak mogły zostać zinterpretowane moje słowa. - Niezdara ze mnie i tyle.

- Nie, nie! Co chciałeś naprawdę przez to powiedzieć? - Najwyraźniej zmierzał do konfrontacji.

- Nic, że jest mi przykro, naprawdę bardzo przepraszam, że byłem nieuważny...

W rękę tamtego błysnął nóż. No tak, jeszcze tego brakowało. Poczuję, że serce podchodzi mi do gardła.

- Wyskakuj z forsy, palancie - syknął z nienawiścią. - Szybko.

- Wszystko, co jest cenne, znajduje się w tym plecaku - szepnąłem.

Podąłem mu torbę, i wykorzystując moment, w którym on chciwie przejął łatwy łup i zastanawiał się zapewne, jakież to skarby mogą znajdować się w środku, zerwałem się i pobiegłem co sił w nogach boczną alejką, nawet się za siebie nie oglądając.

Dwa kłopoty z głowy za jednym zamachem. Szkoda tylko plecaka Aleksa, ale każda misja wymagała jakichś ofiar.

## 21/7

Dwudziestego pierwszego lipca terroryści, zwani przez niektóre „postępowe” angielskie media bombiarzami (tak jakby słowo „terrorysta” przestało się nagle mieścić w kanonie politycznej poprawności), zaatakowali ponownie. Tym razem jednak, dzięki Bogu, nie udało im się wyrządzić żadnych szkód poza dodatkowym podgrzaniem atmosfery i - co za tym idzie - nasileniem psychozy (w końcu, zgodnie z przypuszczeniami, okazało się, że potencjalnych grup samobójczych jest znacznie więcej, a środki komunikacji publicznej, pomimo szczelnej, jak mogło się wydawać, ochrony po 7/7 wcale nie są bezpieczniejsze).

Ofiarą tej nerwówki stał się następnego dnia nieszczęsny brazylijski elektryk, Mendes, który został zastrzelony omyłkowo przez policję na stacji metra Stockwell. Pamiętam jednak, jak wcześniej, z olbrzymią radością zdefiniowaną przez rewanżystowskie zacięcie przyjeżdżaliśmy do wiadomości dezinformujący komunikat, że jeden z czterech poszukiwanych niedoszłych zamachowców zginął, próbując

powtórzyć swój czyn.

Kiedy więc ostatecznie okazało się, że był to Bogu ducha winny młody człowiek, który znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie, bardziej niż żał za stracone życie tego chłopaka, czuliśmy chyba złość, że terroryści na swój sposób znowu triumfowali.

Burmistrz Londynu, Ken Livingstone, prawił tymczasem głodne kawałki o konieczności zachowania jedności wśród mieszkańców miasta, zupełnie jakby najważniejsze w tej całej sprawie stało się teraz chronienie interesów londyńskiej społeczności islamskiej, która oczywiście, jak nas wciąż informowano, w 99,999999999999999% odcinała się od zbrodni, jakiej dopuściło się kilku jej przedstawicieli.

„Pokojowe” przemówienia imamów w Finsbury Park wreszcie zbierały swoje żniwo. Rzygać się chciało od samego czerwonego Kena i całej tej politycznej poprawności, której naczelnym klaunem w tym londyńskim cyrku był właśnie on.

\*

- Nie oddałeś mi wczoraj plecaka - przypomniał Alex. - A ja tam miałem portfel z kartą kredytową...

- Usiądź - poleciłem. - Ten Brazylijczyk miał całe życie przed sobą. Wyobrażasz sobie, co teraz mogą czuć jego rodzice? Wyjechał do Londynu po lepsze życie, a znalazł śmierć.

## **Słoń w składzie porcelany**

Nadszedł mój próbny dzień w centrum rekrutacji, zwykła rutyna wynikająca z procedury - pracę już właściwie miałem w kieszeni, teraz tylko należało przekonać przyszłych zwierzchników, że wybór mojej osoby nie był przypadkowy.

Na wstępie Carola, Hiszpanka, przedstawiła mi pracę w recepcji - odbieranie telefonów, rezerwowanie spotkań, wręczanie przybywającym ankiet, instruowanie co do ich wypełnienia i ostatecznie ich wstępną selekcję i katalogowanie. Wstępna selekcja polegała na odrzucaniu podań pod byle pretekstem - były ich podobno dziennie setki,

a wakatów kilka w tygodniu, chodziło więc o to, żeby wybrać te spośród nich, którym naprawdę nic już nie można zarzucić, nawet po zastosowaniu najbardziej surowych i wymyślnych kryteriów.

Carola mówiła śmiesznym angielskim, z mocno zarysowanym hiszpańskim akcentem. Zawsze intrygowało mnie, że w recepcjach poważnych instytucji w Londynie znaleźć można było tak wiele tego typu przypadków - jaką traumą musiało być dla rodowitego Anglika komunikowanie się z kimś takim.

Potem poznałem Gabrielle, Włocha wyglądającego jak Polak. Przeprowadził w mojej obecności kilka rozmów kwalifikacyjnych, zdradzając mi przy tym, jak to określił „tajniki psychologiczne” i „profesjonalną wiedzę”, które były niczym innym, jak zbiorem tanich spostrzeżeń, o które mógł się pokusić nie tyle początkujący student psychologii, ile średnio błyskotliwy licealista. Zacięcie Gabrielle i pewne poczucie misji, które dało się wyczuć w jego słowach, kiedy opowiadał o swojej pracy, bawiło mnie niezmiernie, choć nie śmiałem dać mu nawet przez chwilę pomyśleć, że jest dla mnie postacią groteskową i pretensjonalną.

Kolejną osobą w centrum rekrutacji była Judy, Szkotka, która co chwila „miała coś do załatwienia” w znajdujących się na górze pomieszczeniach należących do ścisłego kierownictwa firmy. Nie wiem, czy biegła z góry na dół (obowiązkowo z pęczkiem kluczy przytwierdzonych do spodni) bardziej po to, żeby zrzucić kilka kilogramów, których miała w nadmiarze, czy też w ten właśnie dziwny sposób podkreślała wielką wagę wykonywanych przez siebie zadań i kategorię kontaktów, jakie utrzymywała. Tak czy inaczej drażniła mnie wypisana na jej pulchnej twarzy bezmyślność i brak organizacji, połączone z zachowaniem typowym dla maklera giełdowego, który wiecznie musi czuwać nad przebiegiem sesji i być bardziej zestresowany niż to konieczne.

Galerię pracowników centrum rekrutacji uzupełniała postać supervisorki Dorothy, która każdym swoim słowem i gestem dawała mi do zrozumienia, że spoufalac się ze mną nie będzie. Zupełnie jakby spoufalanie się z nią stanowiło trzon moich planów i należało do kanonu zachowań podczas próbnego dnia w pracy.

Folwark zwierzęcy. Jak ja się dopasuję do tego zdziwaczałego, a przy tym wewnętrznie niespójnego stada? - zastanawiałem się w duchu.

Gdzieś pod koniec roboczego dnia nadszedł dla mnie najbardziej ekscytujący moment, w którym otrzymałem możliwość samodzielnego przeprowadzenia rozmowy kwalifikacyjnej i zdecydowania o losach „przesłuchiwanego”. Przypomniały mi się „Psy” Pasikowskiego i pomyślałem, jak zabawnie byłoby, gdyby wszyscy ci ubecy i sbecy przyjechali do Anglii szukać pracy w sektorze rekrutacji, nadmieniając w swoich CV o latach doświadczenia w tej dziedzinie, oczywiście bez wdawania się w szczegóły co do samych technik werbunku i przesłuchiwania...

Nie wiem, co mnie bardziej ekscytowało - to, że samemu mając pracę, z poczuciem pełnego komfortu mogłem decydować o losie innych, czy też to, że wreszcie dano mi robić rzeczy ważne. W końcu zamiast składać kanapkę z kurczakiem i majonezem ubrany w jakiś upokarzający foliowy fartuch i siatkę na głowie, siedziałem sobie w białej koszulce z kwestionariuszem w ręku, wkręcając dupę w wygodny skórzany fotel.

Miałem do przesłuchania dwie osoby - obie starały się o pół etatu. Marvin był z pochodzenia Etiopczykiem, studiował w Londynie język angielski (jak większość osób, które studiowały tu po to, żeby mieć prawo pobytu na czas studiów i prawo do tych dwudziestu godzin pracy - limitu, który był zresztą notorycznie przekraczany, tudzież realizowany rozłącznie w dwóch odrębnych pracach).

- Witaj. - Podałem mu dłoń, a on, lekko podenerwowany, uściśnął ją. - Miałem kiedyś w Polsce kolegę z Etiopii, nazywał się Ibamu i wiele mi zawdzięczał.

- Dzień dobry. - Ukłonił się przesadnie nisko. - Miło mi. Bardzo mi miło.

- Usiądź sobie i rozluźnij się, stres jeszcze nikomu nie pomógł, coś o tym wiem. - Uśmiechnąłem się zachęcająco, ale najwyraźniej nie przekonałem go, bo opadł na krzesło jak drewniana kłoda, spętany strachem, zachowując się zupełnie tak, jakby od tej rozmowy miało zależeć całe jego życie. Może zależało. Czułem, że muszę mu jakoś pomóc, zażartować, rozluźnić nabrzmiałą już od początkowej fazy atmosferę.

- Długo w Anglii? - zagadnąłem.

- Od września tamtego roku.

- To na pewno zdążyłeś kupić kilka egzemplarzy „Band Aid 20”...

- Co takiego? - Najwyraźniej nie zrozumiał, bo nie sądzę, żeby nie skojarzył nazwy.

- „Band Aid 20”, supergwiazdy angielskiej sceny zaśpiewały piosenkę, którą wydano później na singlu i dochód poszedł na dzieci głodujące w Etiopii... Zupełnie tak, jak wcześniej, w latach osiemdziesiątych, tyle tylko, że ze starego składu został jedynie Bono.

- Dzieci głodujące w Etiopii - powtórzył machinalnie, a w jego oczach spętanych do tej pory strachem pojawiła się jakby iskierka gniewu. - Dlaczego właśnie mi o tym mówisz?

- No tak, bo...

Chociaż do tej pory to ja byłem w pozycji dyktującego warunki, jednym pytaniem odwrócił role, spychając mnie do głębokiej defensywy.

- Dlaczego wciąż pojawia się stereotyp głodującej Afryki? A może by zamiast tego porozmawiać o eksploatacji ze strony Zachodu, o taniej sile roboczej i wykorzystywaniu naszych surowców przez chciwe koncerny? - W ciągu kilku minut z tępej pokory przeszedł do ciętej ofensywy. Szok.

- Jestem przekonany, że twoje głębokie wywody są jak najbardziej uzasadnione... - odpowiedziałem sarkastycznym tonem, otrząsając się gwałtownie z ośpienia, w jakie wprowadziła mnie nagła zmiana jego zachowania. - Ale może przejdziemy teraz do meritum. Jakie masz doświadczenie w kuchni i w pracy w środowisku klientów?

Zaczął mi opowiadać jakieś banialuki, jak to z ojcem prowadził stoisko z jedzeniem na jednym z większych ulicznych marketów w Etiopii, a potem, po ukończeniu studiów ekonomicznych, został agentem ubezpieczeniowym. Ależ mnie zdenerwował - powinienem go zmiażdżyć jak wstrętnego robala, który przypałał się przy nodze, ale zacząłem się bać konsekwencji swoich jakoby obraźliwych słów. Bezsilność była tym większa, że chociaż miałem ochotę utracić tego gościa, to dostałem wcześniej wytyczne, żeby jeszcze dzisiaj obsadzić dwa wakaty - jeden na Stockwellu, drugi na West Endzie. Już wyobrażałem sobie, co by się stało, gdybym go teraz załatwił - natychmiast zapewne oskarżyłby mnie o rasizm i złośliwość, co mogłoby zakończyć szybko moją, jeszcze przecież nie rozpoczętą oficjalnie karierę w centrum rekrutacji.

Niech mu więc będzie, niech ma w cholere tę pracę, wpięprzę go na Stockwell, bo West Endu szkoda na takiego pajaca. Oznajmiłem mu, że ma tę robotę. Ucieszył się, a na jego twarzy zagościł wredny triumfalizm. Powiedziałem, że wysyłam go na Stockwell, ale on zaznaczył od razu, że tam nie może, bo mieszka na północy, gdzieś na Edmontonie i nie mógłby docierać na czas do pracy na poranną zmianę. Ustąpiłem mu więc po raz kolejny i skierowałem go do centrum,



uprzednio dokładnie przyjrawszy się jego studenckiej wizji, z nadzieją, że okaże się ona produktem albańskich fałszerzy.

\*

Następny w kolejności był Jorge. Sympatyczny, komunikatywny Brazylijczyk zachowywał się dla odmiany w taki sposób, jakby odgadł, że pracę ma już właściwie w kieszeni, a jedyne, co mu pozostało, to niczego nie spieprzyć. Opowiadał z dumą o swojej dziewczynie z Polski, a mi się przypomniało, jak Damian wspominał kiedyś, że Brazylijki chętnie podstawiają się blondynom z Polski, bo u nich sami kruczocharni.

- Dobra, dostałeś tę pracę. - Uśmiechnąłem się z satysfakcją, przezywając jego radosny słowotok.

- Jak wspomniałeś, mieszkasz na Ovalu, więc do Stockwell będziesz miał blisko, a jeszcze dodam, że nasz sklep na Stockwellu mieści się blisko stacji metra - oznajmiłem.

Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy - nie pamiętam, żebym kiedykolwiek widział coś, co było nośnikiem tyłu emocji - skrzyżowały się w nim gniew, oburzenie, niedowierzanie, rozczarowanie, smutek, złość i sam Pan Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze.

- Myślisz, że to zabawne? - wykrztusił z siebie.

- Co? - spytałem pełen najgorszych przeczuc.

- Te wzmianki o Stockwellu i sam wybór... Myślisz, że to jest śmieszne? Ten biedny chłopak... - Urwał, łkając, choć oczu nie miał wcale wilgotnych.

I wówczas dopiero dotarła do mnie przewrotność sytuacji, w której się obaj znaleźliśmy. 21/7. Natychmiast pospieszyłem z wyjaśnieniami, że tak naprawdę jedynym miejscem, które jestem w stanie w tym momencie zaoferować, jest Stockwell, ale oczywiście mogę poczekać z tydzień i jestem pewny, że w tym czasie coś innego pojawi się na horyzoncie, a wówczas dam priorytet jego osobie, i takie tam podobne brednie. Ale on był niepokieszony, najwyraźniej krew się w nim gotowała, wciąż czuł się dotknięty do żywego moją wcześniejszą uwagą.

- Ja też przeżyłem bardzo śmierć Mendesa, czy jak on się nazywał, uwierz mi, przyjacielu - rzuciłem desperacką bujdcę. - Miałem kiedyś dziewczynę z Brazylii...

Kłopotliwe milczenie.

- Podpisałem nawet petycję protestacyjną - skłamałem ponownie.

- A potem ubrałaś koszulkę Don 't Shoot Me, I'm Brazilian... Nie, nie mamy o czym mówić... Bardziej od policjantów, którzy to zrobili, brzydzę się ludźmi takimi jak ty. Bo widzisz, tamci policjanci działali w amoku, chcieli koniecznie dorwać terrorystę i choć nie ma dla ich pomyłki usprawiedliwienia, to jednak.... Ale ty? Ty śmiejesz się z trupa, budujesz na nim marny żart i próbujesz mnie wciągnąć do tej chorej gry... Brzydzę się tobą i tym miejscem. Nie potrzebuję tej pracy, nie potrzebuję łaski ludzi takich jak ty... Pójdę i opowiem o wszystkim „Wiadomościom Brazylijskim” - perorował zawzięcie.

Dobrze, że byliśmy w zamkniętym pomieszczeniu i nikt nie mógł słyszeć naszej rozmowy.

- Idź, idź! Opowiedz im, jak cię ten podły Gabrielle potraktował podczas rozmowy o pracę...

Lekceważąco machnąłem ręką, choć tak naprawdę wiedziałem, że otworzyłem puszkę Pandory i nic dobrego z tego dla mnie nie wyniknie.

## Zrobiony w Beckhama

Metro stało się chyba najbezpieczniejszym miejscem w całym Londynie poza Downing Street. Ostatecznie więc przemogłem się i zacząłem nim podróżować, przez co zyskiwałem wiele na czasie. Oczywiście, z całym szacunkiem dla różnych społeczności tworzących populację metropolii, podróżując w postzamachowej atmosferze, dokładnie obserwowało się określoną grupę pasażerów. Niektórzy co bardziej wystraszeni zmieniali nawet przedziały, kiedy tylko okazywało się, że... Dobrze, ja też zmieniałem, ale czy zaraz mam się z tego powodu czuć jakoś specjalnie winny? Każdy martwił się o własne życie, w tym momencie rachunek politycznej poprawności nie obchodził nawet najbardziej przetrąconych intelektualnie pasażerów.

W końcu, jak stwierdził Mariano: „nie spotyka się przecież białych zakonnic wysadzających się w powietrze”...

\*

Chodziłem sobie po Oxford Street, znajdując przewrotnie w wędrówce przez jedną z najbardziej zatłoczonych ulic Londynu swego rodzaju uspokojenie. Trudno było to nazwać zakupami - na ogół

kończyło się na wydaniu kilku funtów w jednym z okolicznych McDonaldów, kupieniu jakiejś przecenionej płyty w Virgin albo HMV oraz wymianie nieuprzejmości z jakimś bez trosko idącym przechodniem.

Tego dnia miałem sporo szczęścia, bo w jednej ze słynnych drogerii Super Beauty Store odbywała się promocja wody kolońskiej „David Beckham” i szybko zorientowałem się, że ten błysk fleszów i tłum ludzi wpychających się na chama do przepelnionego sklepu na oczach kilku bezradnych ochroniarzy wskazywały, że w środku był sam David Beckham! Szybko znalazłem drogę przez tłum ludzi, wykorzystując swój wzrost i sprawne łokcie. Trochę dodatkowej walki w środku pola i w końcu dopchałem się do Davida z kawałkiem kartki, na której podpisał się, nie żałując przy tym serdeczności i uśmiechów. Gdybym był nastolatką, to bym się chyba posikał ze szczęścia. Skromny człowiek ten Beckham - jak na gwiazdę takiego kalibru - zupełnie nie wiem, dlaczego bulwarowa prasa robiła sobie na nim takie używanie. Najczęściej dostawało mu się przy okazji jego żony Victorii, która z kolei zasługiwała rzeczywiście na wszystko, co spotykało ją ze strony pismaków i satyryków. Zupełnie bez talentów i osiągnięć od czasu rozpadu Spice Girls, trzy „p” - pretensjonalna, pusta i przereklamowana, wygrzewała się bezwstydnie w blasku męża.

Oczywiście, niesamowicie rozpromieniony, musiałem zaraz obdzielić wszystkich SMS-ami z wiadomością, że spotkałem w centrum Londynu samego Beckhama, i że nawet udało mi się zdobyć jego autograf, a także zamienić z nim kilka słów.

Ten niecodzienny incydent bardzo poprawił mi humor - nie zepsuł mi go nawet SMS zwrotny od Kamila, który napisał: Dziecinada. P. S. Nie wracaj.

\*

Następnego dnia, kiedy zadowolony przyszedłem do pracy, przywitał mnie skoordynowany chichot moich współpracowników.

- No co jest? - spytałem lekko poirytowany. - Mam babę z nosa na policzku, ptasie gównno na bluzie, czy śmierdzą moczem?

- Podobno wczoraj widziałeś Beckhama? - pierwsza odezwała się Octavia.

- Tak, miałem to szczęście. A ty skąd wiesz? - spytałem podejrzliwie.

- Wszyscy wiedzą, pół Londynu wie - odpowiedziała Sonia, podsuwając mi pod nos jeden z londyńskich dzienników. - Jesteś na zdjęciu.

Rzuciłem okiem na fotografię. Rzeczywiście zostałem na niej uwieczniony jako jedna z osób, której Beckham dał autograf.

- No i co w tym zabawnego? - obruszyłem się. - Czy w wieku trzydziestu lat nie można już poprosić o autograf? Zazdrość ma wiele twarzy, co?

- Tomasz, to nie był David Beckham, to był jego sobowtór. Gazeta nabija się z tych, co dali się nabrać... - Słowa Moniki poraniły mnie niczym ostrze używanej po raz pierwszy maszynki w trakcie popiesznego golenia.

Poczerwieniałem na twarzy i czym prędzej skierowałem się do pomieszczenia pracowniczego, żeby uciec przed następną falą docin-ków.

\*

- Naprawdę nie wiem, na kim powinienes się zemścić - na Davi-dzie Beckhamie, czy na Super Beauty Store. - Wzruszył ramionami Alex, kiedy nie bez zażenowania opowiedziałem mu pokrótce całą historię. - Jedno jest pewne, David Beckham jest poza zasięgiem, więc ja bym się skupił na Super Beauty Store... A tak przy okazji, pamiętasz, jak niedawno wystawili Beckhama i jego żonę jako świętą rodzinę w Madame Tussaud? Ktoś to rozwalił, zupełnie jak Ol-brychski, który zaatakował wystawę w Zachęcie.

- Chyba że... Wiem! Wiem! - wykrzyknąłem entuzjastycznie, gdyż wydawało mi się, że wpadłem właśnie na genialny pomysł.

- Co takiego? - spytał chłodno Alex.

- Napiszę anonim do jednej z tych fanatycznych organizacji bro-niących praw zwierząt - wiesz, tych, co to potrafią nawet bezcześcić ludzkie groby... Poinformuję ich, że wiele kosmetyków sprzedawa-nych w Super Beauty Store jest testowanych dermatologicznie na zwierzętach! Wyobrażasz sobie te dzikie tłumy rozjuszonych aktywi-stów pałające zoologiczną nienawiścią do Super Beauty Store? Te pikiety, krzyki, rzucane kamienie? To będzie wspaniałe widowisko! - mówiłem podekscytowany.

- Czasami się ciebie autentycznie boję - odpowiedział Alex.

\*

Kilka dni później zjazałem z Aleksem do lokalnego urzędu pracy. Uznałem, że jeśli nie dostanę roboty w centrum rekrutacji, to będę musiał odejść gdziekolwiek, gdyż honor nie pozwoli mi zostać ani dnia dłużej w moim dotychczasowym miejscu pracy.

- Mam nadzieję, że nikt mnie tutaj nie zobaczy. - Mój przyjaciel rozglądał się niczym Mikulski w najgorętszych odcinkach „Stawki”.

- Nie popadaj w paranoję. Już, zaraz ktoś cię zauważy i nabierze przekonania, że zamierzasz nawiąć z pracy... Nie bądź dzieckiem... - skarciłem go.

- Nie, nie o to chodzi... Sorry, ale zobacz, kto tu przychodzi... Najgorszy element...

- Licz się ze słowami - fuknąłem, nie przestając przeglądać ofert zatrudnienia.

- O, popatrz. - Zaśmiał się nagle, zerkając mi przez ramię. - Potrzebują kogoś do usuwania azbestu...

- Myślisz, że to takie śmieszne? Niektórzy utrzymują z tego rodziny, nie widzę powodu do śmiechu... - oburzyłem się na jego niewybredne poczucie humoru. - Słyszałeś o Polakach w Ameryce za komuny?

- Co byś zrobił, gdyby zaczęło ci rosnać trzecie ucho lub drugie jabłko Adama? - nie przestawał głupio komentować.

- Jesteś cholernym ignorantem, Alex. Lepiej martw się o swoją zajęczą wargę. Będziesz miał dzieci, małe zające, jak się rozbrykają, to nie będziesz ich mógł wyłapać, a na pewno już nie twoja żona, która będzie się gdzieś pierdoliła po kątach z innymi facetami. - Stałem się niewybrednie agresywny, dostosowując się do jego poziomu.

- Myślałem, że to twoja działka, taki humor, a ty... idź do cholery, Tomek. Żaden z ciebie przyjaciel, a kawał gnoja.

Obraził się i wyszedł. Może trochę za ostro z nim pojechałem, ale miałem swoje powody (mój kolega ze studiów zmarł na nowotwór płuc). A poza tym, desperat w jobcentre w towarzystwie osoby, której wiodło się nieźle w przyzwoitej pracy - samo w sobie było to czymś absurdalnym. Zupełnie tak, jakby ktoś gimnastykował się w obecności osoby zagipsowanej albo przymierzał buty w obecności inwalidy wojennego, któremu mina urwała obie nogi.

\*

do [ania.perucka2@wp.pl](mailto:ania.perucka2@wp.pl)

od [tomasz\\_pl@yahoo.co.uk](mailto:tomasz_pl@yahoo.co.uk)

Aniu,  
Niech to wszystko chuj strzeli.  
Pozdrawiam,  
Tomasz

## Jeszcze jeden David

Nasze prace nad scenariuszem szły pełną parą i właściwie można by stwierdzić z dumą, że zbliżyliśmy się do końca, gdyby nie to, że Helena obsesyjnie domagała się co jakiś czas rewizji poszczególnych scen, ulepszania ich i przeredagowywania w nieskończoność. Irytowała mnie tym niesamowicie, ale chociaż byłem przeczulony na punkcie upływającego czasu, w pewnym sensie godziłem się na jej fanaberie, mając nadzieję, że wszystkie te zmiany wyjdą nam w ostateczności na dobre. Ufałem jej instynktowi, choć niekoniecznie osobie.

Któregoś dnia nadarzyła się sposobność, żeby przedstawiła mnie Davidowi, swojemu protektorowi, który miał być dla nas kluczem do odpowiednich drzwi w świecie show-businessu.

Umówiliśmy się w restauracji o dość poshowatym profilu, co oczywiście nie za bardzo mi odpowiadało. Może było to miejsce odpowiednie pod względem klimatu w kontekście wagi naszego projektu, ale z perspektywy mojego portfela, było ono bardzo niewskazane.

- Wygląda to nieźle - pochwalił David, kiedy wraz z Heleną przedstawiliśmy mu szczegóły naszego wspólnego scenariusza. - Bardzo oryginalne, świetnie zarysowane postacie, no i można z tego wyprowadzić wiele rewelacyjnych wątków.

Helena rzuciła mi porozumiewawcze spojrzenie. Z zadowoleniem skinąłem głową.

- Musimy jeszcze nad całością popracować, udoskonalić ją pod względem struktury i dialogów, ale jesteśmy na dobrej drodze - powiedziała Helena.

Przytaknąłem grzecznie, wypatrując reakcji Davida.

- Tak, oczekuję finalnego produktu i zobaczymy, co się z tym da zrobić - odparł.

Nie ma co, z takim sojusznikiem - jeśli wierzyć słowom Heleny, co do jego wpływów - sprawa wyglądała bardzo obiecująco.

- Masz jakieś doświadczenie w dziedzinie scenopisarstwa? - zwrócił się nagle w moją stronę, rzucając mi badawcze spojrzenie.

- Tak, napisałem kilka scenariuszy do amatorskich filmów. Raz nawet byłem blisko nawiązania współpracy z jednym z bardziej znanych polskich reżyserów, ale niestety, jego żonie nie spodobał się kontrowersyjny zamysł mojego scenariusza i namówiła go do zaniechania

realizacji - kłamałem jak najęty.

- Rozumiem. Gdzie pracujesz? - spytał nieoczekiwanie.

Helena była chyba bardziej zszokowana tym pytaniem niż ja sam. Wiedziałem, że nie mogę powiedzieć prawdy.

- Nie robię nic szczególnego. - Wzruszyłem ramionami. - Jestem generalnym menedżerem sklepu w City.

Helena odetchnęła z ulgą, a David na szczęście nie wdawał się w detale. Wymieniliśmy jeszcze kilka uwag natury ogólnej, po czym David opowiedział trochę o swojej pracy, a następnie stwierdził, że musi się już zbierać. Oczywiście jego czas był cenniejszy niż nasz, chociaż miał go znacznie więcej. Kelner przyniósł rachunek. Sześćdziesiąt siedem funtów! Helena sięgnęła po portmonetkę, ale David zatrzymał ją ruchem dłoni.

- Daj spokój, Helena, zapłacę za ciebie - szepnął.

Kurwa żeż jego mać! Dlaczego nie powiedział po prostu, że zapłaci? Dlaczego wymienił tylko Helenę, jakby dawał mi do zrozumienia, żeby sam pokrył swoją część. Bo jako rzekomy generalny menedżer zbijam nie wiadomo jakie kokosy, pracując w City? Bo Helenę znał dłużej ode mnie? Przecież oczywiste było, że albo powinien zapłacić za nas oboje, albo wszyscy powinniśmy poprzestać na zapłaceniu za siebie. Fakt, że w ostatecznym rozrachunku, to on miał nam w przyszłości wyświadczyć przysługę, niczego w tej kwestii nie zmienił.

No, ale już dobrze, stwierdziłem ostatecznie, że nie mam specjalnie wyjścia, jak tylko przelknąć tę gorzką pigułkę i pokryć swoją część w nadziei, że kiedyś zwróci mi się to z nawiązką. Sięgnąłem do portfela i ku swojemu przerażeniu odkryłem, że mam tam zaledwie czternaście funtów.

- Przyjmujemy płatność kartą. - Kelner najwyraźniej chciał mi pomóc, ale tylko jeszcze bardziej mnie pogrążył.

- Zostawiłem w domu, co za pech...

Jęknąłem, zdając sobie sprawę, że nie jestem przekonujący, bo przecież karty kredytowe i debetowe są po to, żeby je ze sobą nosić, a nie zostawiać w domu. Widać było, że David i Helena są zawstyżeni całą tą sytuacją niemal równie mocno, jak ja sam, choć w przypadku Davida można było raczej mówić o zażenowaniu. Dlaczego musiało się to przytrafić właśnie mnie, i to na sam koniec, kiedy wszystko do tej pory szło tak dobrze!

- Poczekaj, pożyczę ci - odezwała się wreszcie Helena, przerywając impas.

Wyciągnęła z portfela pieniądze i uiściła resztę należności. Zrozumiałem, że gdyby powiedziała „zapłacę za ciebie”, zabrzmiałoby to o wiele bardziej niefortunnie niż „pożyczę ci”. David uklonił się jeszcze, pożegnał (bardziej z Heleną niż ze mną) i wyszedł na zewnątrz.

- Jakie wrażenia? - zapytała, kiedy zostaliśmy już sami.

- Gość z klasą. - Grzecznościowe komplementowanie Davida wydawało się sprawą oczywistą.

- Naprawdę może nam pomóc - podkreśliła z namaszczeniem Helena.

- Ale musimy najpierw zamknąć ten scenariusz, więc pospieszmy się. - Uznałem to za dobry moment, żeby ją zdopingować do postawienia kropki nad „i” w kwestii ostatecznej wersji tekstu.

Wkrótce mieliśmy się rozejść - ona miała jechać do biblioteki, a ja do pracy - wyszliśmy więc razem na zewnątrz. Tym, co niemal natychmiast przykuło naszą uwagę, była dantejska scena z udziałem samego Davida i traffic wardena.

- Co się przypierdalasz? Przecież tylko minutę przekroczyłem czas? Rozumiesz to? Tylko minutę? Nie znam hiszpańskiego, żeby ci to przetłumaczyć, półgłówku! - wydzierał się David, a tymczasem jego oponent wcale nie zamierzał przestać wypisywać mandatu.

- Nie musisz mnie napastować... - odpowiedział traffic warden. - Robię tylko to, co do mnie należy.

Zaraz, zaraz, ten głos, ten akcent - nie mogłem się mylić. Tylko co on tutaj robi? Nieważne, musiałem czym prędzej zniknąć z pola widzenia.

- Tomasz? - Dźwięk mojego imienia przeszył mnie na wylot w chwili, kiedy obracałem się na pięcie, desperacko próbując się upłynić.

Musiałem iść dalej, nie przyznawać się. W domu powiem mu prawdę albo wymyślę jakąś przekonującą bajeczkę.

- No, Tomasz, nie wygłupiaj się... Zgubiłem klucze, będziesz w domu około trzeciej?

- Znasz tego głupka? Mieszkasz z nim? - odezwał się do mnie David. - Weź mu wytłumacz, że przekroczyłem tylko minutę. Jako cholerni obcokrajowcy powinniście się lepiej dogadać, on najwyraźniej nie rozumie słowa po angielsku.



- Luis, odpuść sobie z tym mandatem. - Mój ton stał się przesadnie błagalny.

- Co? - Zaskoczenie mieszało się u niego z oburzeniem.

- Daruj sobie ten mandat, ten pan wyświadczył mi olbrzymią przysługę... Wiesz kto to jest?

- Nie wiem i prawdę mówiąc, nie obchodzi mnie to. Po tych wszystkich obelgach? Nie ma mowy o taryfie ulgowej. - Luis poczerwieniał z gniewu.

- Luis, no nie bądź takim formalistą - nalegałem.

- A kim ty jesteś, żeby mnie pouczać? - wściekał się głośno. - Czy ja cię, kurwa, pouczam, jak rozsmarowywać majonez na kanapkach albo zmywać podłogę w sklepie? Pilnuj swoich spraw.

- Pracujesz w sklepie z kanapkami jako zwykły robot? - spytał z niedowierzaniem David.

Najpierw przerzucił swoją uwagę na mnie, a następnie skierował oczekujące wyjaśnień spojrzenie na Helenę. Ta dyplomatycznie spuściła wzrok.

- Przyprowadzasz mi Polaka ze sklepu z kanapkami i opowiadasz, że to żyła złota? Dlaczego nie możemy pracować razem, jak profesjonalista z początkującą, ale przynajmniej ceniącą się osobą? - rugał Helenę, jednocześnie obrażając mnie.

Miałem już dosyć całej tej, wcześniej niezręcznej, teraz już kompromitującej sytuacji.

- Zadzwoń - rzuciłem do Heleny i skierowałem się na przystanek autobusowy.

do [ania.perucka2@wp.pl](mailto:ania.perucka2@wp.pl)

od [tomasz\\_pl@yahoo.co.uk](mailto:tomasz_pl@yahoo.co.uk)

Aniu,

W duchu zdaję sobie sprawę, że od tego czasu nie mogę już ufać Helenie, która narażona będzie na pokusę odsunięcia mnie na boczny tor i zagarnięcia całej puli, szczególnie że stałem się jak komar, który po poczęciu potomstwa jest zbyt ciężki i może pójść w odstawkę.

Pojutrze kończymy całość i wysyłamy do BBC.

Tomasz

## Wielka włóczęga

Redakcja „Tygodnika Polonii Angielskiej” ogłosiła konkurs na reportaż dotyczący londyńskich trampów. Postanowiłem, że podejmę wyzwanie i skrobnę kilka słów, być może przygotowując sobie w ten sposób grunt pod stałą współpracę z gazetą (sama idea współpracy chodziła mi po głowie już od paru miesięcy, lecz wcześniej nie miałem okazji zrobić nic w kierunku jej urzeczywistnienia).

Wybrałem się w okolice Victorii, by spróbować zebrać informacje od kwiatu żebractwa, ale niemal od razu natrafiałem na opór z ich strony. Wiadomo, że nikt nie chce opowiadać, jak spierdolił swoje życie i znalazł się w kartonie Tesco w dworcowej poczekalni, zamiast w wygodnej pościeli starego wiktoriańskiego domu - a jeszcze mówić o tym komuś nieznanemu, kto traktował ich bardziej jako przedmiot badań niż obiekt współczucia!

Zrażony niepowodzeniem, opowiedziałem o wszystkim Aleksowi, a ten podpowiedział mi, że tak naprawdę nie dowiem się niczego wartościowego, jeśli nie spotkam kogoś z Polski albo sam nie przebiore się za trampa, tym samym zdobywając ich zaufanie, a potem naciągając na rozmaite historie. Oczywiście wybrałem tę pierwszą opcję.

Polaka nietrudno było znaleźć w okolicach Victoria Station. Na trop „naszych” naprowadzało na przykład kilka „kurew” albo odpowiednio sumiasty wąs, w ostateczności puszka taniego piwa i nienawistny wzrok śledzący wszystko, co się ruszało w promieniu kilkadziesiątu metrów, szczególnie wszystko, co nie było białe. Ale skąd mogłem mieć pewność, czy tak wypatrzony delikwent jest trampem, czy też jedynie zabija swój czas, włócząc się po Victorii? Kryterium ubrania i, generalnie, wyglądu zewnętrznego nie zawsze się przecież w tym przypadku sprawdzało.

Okazja przyszła jednak sama, gdyż zauważyłem delikwenta odpowiadającego moim potrzebom - młodego przygarbionego chłopaka, który kręcił się wokół polskich autokarów, prosząc wysiadających, tudzież wsiadających doń Polaków o jałmużnę. Założę się, że chłopaczek nie znał w ogóle angielskiego, wyuczenie się na pamięć nawet jednej żebraczej kwestii przewyższało jego umiejętności. A może to angielscy trampowie przegonili go z ich rewiru, pozwalając mu jedynie na działalność na obszarze, który i tak uważali za stracony. Ciekawa sprawa, sporo tych pytań kłębiło się w mojej głowie - jeśli tylko

uzyskam odpowiedzi chociaż na część z nich, to powstanie z tego świetny, być może nawet zwycięski reportaż, a co za tym idzie, otworzy się przede mną możliwość pracy w gazecie. To byłoby dopiero życie - centrum rekrutacji i „Tygodnik”. Byłbym naprawdę kimś, moi rodzice przestaliby wreszcie namiętnie produkować oskarżenia przeciw mojemu „samozatraceniu” i „zgubnemu stylowi życia”, a Dominik musiałby przyznać, że to ja miałem rację, wyjeżdżając do Londynu.

Pełen motywacji, zdecydowałem się postawić wszystko na jedną kartę i zagadnąć młodego. Kiedy zobaczył, że do niego podchodzę, na początku się wystraszył, ale potem zaczął mierzyć mnie wzrokiem i, najwyraźniej oceniając, że jestem zupełnie niegroźny, przeszedł do swoich zwykłych działań.

- Znalazłby się funciak? - zapytał wprost.

- Skąd wiesz, że jestem Polakiem? - Zaśmiałem się.

- Zakładam. Chociaż, szczerze mówiąc, nadawałbyś się na Tottenham.

- Nie rozumiem?

- Wiesz, tam niemal sami Żydzi kibicują. A ty wyglądasz, jak jeden z nich, stary, nie ukryjesz - odparł. - No nie, nie gniewaj się, tak mi się powiedziało. Dasz funciaka?

Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem z niej wcześniej przygotowaną monetę.

- Masz. - Rzuciłem ją w jego kierunku. - Jak mi odpowiesz na kilka pytań, to znajdzie się i drugi.

Poczułem się, jak w amerykańskim serialu kryminalnym z lat siedemdziesiątych, gdzie inspektor karmi swojego małomównego informatora pieniędzmi w zamian za pomoc w śledztwie.

- Co to za pytania? - Spojrzał na mnie spode łba.

- Od kiedy jesteś w Anglii? - Wyjąłem z plecaka notes i długopis.

- Od trzech miesięcy - odpowiedział.

- Od początku jesteś żebrakiem, czy miałeś wcześniej jakąś pracę, zanim trafiłeś z powrotem na Victorię? - Zakładałem, że ktoś taki nie mógł tu przylecieć samolotem.

- Nie jestem żadnym, kurwa, żebrakiem! - oburzył się.

Jego agresywne spojrzenie przywołało nagle znajomy obraz dresiarza z blokowiska, który zamiast w ramach „hiphopowej sztuki” układać rymy na klatce schodowej, woli spuszczać wpierdol przed blokiem tym, którzy śmieją prowokować go nieprzyjaznym wzrokiem

albo, co gorsze, jakąś głupią uwagę.

- No a kim jesteś? - spytałem z sarkastycznym uśmiechem. - Wyślanikiem Caritas na Victoria Station?

- Co to jest, kurwa, Garibas? O czym ty, do chuja, pierdolisz?

- Spokojnie, nie brnijmy za daleko w dygresje. Dlaczego nie uważasz się za żebraka, skoro prosisz ludzi o zapomogę? Przecież, było nie było, żebrzesz.

- Proszę o pomoc, nie żebrzę - odparł dobitnie. - Traktuję to jako drugą pracę.

- Drugą pracę? - powtórzyłem zaskoczony. - A co jest pierwszą?

- Pustaki układam.

- To dobrze płatne, słyszałem. - Zmrużyłem oczy. - I masz jeszcze czelność żebrąć?

- Nie twój zasrany interes - syknął.

Ciekawy przypadek, pomyślałem. Będzie interesującym przyczynkiem do dyskusji o uczciwości żebraków, jak i o kondycji polskich londyńczyków. Postanowiłem uciąć rozmowę z tym pajacem, uznając, że już nic sensownego od niego nie wyciągnę, a kto wie, może kontynuując, narażę się na fizyczną konfrontację.

\*

Następnym krokiem było przeniknięcie do środowiska żebraków angielskich. Sam nie wierzyłem, że się na to właściwie zdobywam, ale postanowiłem ucharakteryzować się na dworcowego włóczęgę, urzeczywistniając w ten sposób aleksowską opcję drugą.

Niedomyty, nieogolony, ubrany w jakieś używane szmaty, które kupiłem w sklepie charytatywnym za grosze, wybrałem się z powrotem na Victorię. Potencjalni rozmówcy znaleźli się sami, bo nowa, nierozpoznana jeszcze twarz natychmiast wywołała żywe zainteresowanie.

- Chodzisz po terenie Wielkiego Ala - poinformował mnie zarośnięty dziad, którego nogi był tak spuchnięte, że z trudem wstrzymałem odruchy wymiotne.

- Sorry, ja tylko gościnnie - odpowiedziałem. - A kto to jest Wielki Al?

- Jeden z ważniejszych trampów na Victorii - wyjaśnił pospiesznie. - Myślałem, że w pierwszej strefie znają go wszyscy. Nie waź się tutaj żebrąć bez jego pozwolenia. Ciągłe musimy stąd przeganiać obcokrajowców takich jak ty.

Z trudem powstrzymałem śmiech - przypomniały mi się gangster-  
skie filmy z wielkimi bossami, dyskutującymi na tajemniczych spo-  
tkaniach o strefach wpływów.

- Powiedz mi, przyjacielu - zmieniłem nieco temat - jak się czuje  
Anglik proszący o jałmużnę obcokrajowca? Jak to jest być w swoim  
kraju na ulicy, kiedy miliony obcokrajowców żyją tu wygodnie, czę-  
sto wykorzystując cynicznie tutejszy system opieki społecznej? Jak to  
jest, że dla takich jak ty brakuje miejsca przy stole, a cały twój dom,  
jak w piosence **Streets of London** mieści się w dwóch reklamówkach?

- O co ci chodzi? - Najwyraźniej pogubił się w moich dywaga-  
cjach.

- No, bo jak sobie wyobrażę, że proszę o pomoc Białorusina na  
polskiej ulicy, to normalnie nie mogę...

- Przestań pierdolić, skoro już tu jesteś, chodź po kartony, zaraz  
będzie wieczór, musimy się przygotować. Idziemy do Tesco - powie-  
dział tonem nieznośnym sprzeciwu.

- Po kartony? - Zmrużyłem oczy pełen najgorszych przeczuć.

- No a co, może do Argosa po poduszki i kołdrę? - Zaśmiał się  
lekceważąco.

No i w końcu poszliśmy do Tesco. Już wtedy miałem przecucie,  
że ta przebieranka brnie zbyt daleko. Na wszelki wypadek trzymałem  
się na uboczu, kiedy Tom - bo tak kazał się nazywać tramp - poszedł  
wypytywać pracowników supermarketu o możliwość uzyskania kilku  
kartonów. Nie dało się jednak ukryć, że byłem z nim - obaj znacząco i  
dokładnie w ten sam sposób wyróżnialiśmy się w tłumie ludzi oble-  
gających o tej porze Tesco. Jakby tego było mało, Tom wskazał mnie  
palcem, zdając się mówić do obsługi: „Tak, on potrzebuje czegoś na-  
prawdę dużego, spójrzcie tylko, chociaż chudy, kawał z niego chłopa”.  
Właściwie, parafrazując slogan reklamowy Tesco, mógłby rów-  
nie dobrze powiedzieć: „Każdy mały karton będzie pomocny”.

Byłem tym wszystkim niezmiernie zażenowany i nie mogłem się  
doczekać, kiedy ta cała mistyfikacja się skończy; kiedy będę mógł  
wreszcie spożytkować owoce swojego poświęcenia i rozsiadając się  
na wygodnym krześle, wystukiwać na klawiaturze tekst artykułu.

Wtedy zdarzyło się coś, co nie miało się prawa wydarzyć, krótko  
mówiąc rachunek prawdopodobieństwa zakpił sobie ze mnie kolejny  
raz. Pan Jakamoto - kolejny **guest appearance** mojego byłego szefa.

Nasze spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy, mój unik okazał się najwyraźniej spóźniony. Odwróciwszy wzrok, łudziłem się jeszcze, że mnie nie pozna w tym przebraniu, ale on szybko rozwiął moje nadzieje. Podszedł do mnie i uśmiechnął się, stwierdzając w geście wulgarnego triumfalizmu:

- Widzę, że coraz lepiej ci się układa. Chyba jednak nie było najlepszym pomysłem odchodzenie ode mnie. Coś bym ci zaoferował, ale moi pracownicy i tak skarżą się, że dają im za mało godzin. Chcesz coś do jedzenia?

Ta propozycja była chamska, w oczywisty sposób nieszczerą.

- Kupię sobie zakupkę chińską i jakoś przetrwam - odpowiedziałem chłodno.

W tym momencie usłyszałem czyjś krzyk. Zanim zorientowałem się, o co chodzi, poczułem szarpnięcie.

- Dawaj, wypierdalamy stąd, szybko! - To był Tom.

Uciekał, trzymając coś pod pachą. Zdezorientowany pobiegłem za nim kilka metrów, jednak za chwilę żelazny uścisk czyjeś dłoni uniemożliwił mi jakikolwiek dalszy ruch. Kiedy Tom zniknął gdzieś na zewnątrz, ginąc w tłumie przechodniów, ja szamotałem się desperacko z ochroną Tesco.

- Ja nie jestem bezdomnym... Piszę artykuł do gazety... Wszystko udowodnię. Mam pracę... - Miotałem się bezradnie.

Wystrzeliwałem z siebie kolejne usprawiedliwienia, ale wyglądało na to, że nikt nie zamierzał mi dawać wiary. I wcale się nie dziwię. Niżej już upaść chyba nie mogłem.

do [ania.perucka2@wp.pl](mailto:ania.perucka2@wp.pl)

od [tomasz\\_pl@yahoo.co.uk](mailto:tomasz_pl@yahoo.co.uk)

Aniu,

Siedzę i słucham Pet Shop Boys King's Cross.

„Someone told me Monday, someone told me Saturday  
Wait until tomorrow and there's still no way  
Read it in a book or write it in a letter  
Wake up in the morning and there's still no guarantee  
There is still no guarantee”

Lecą miły.  
Mam już dość tego Londynu.  
Trzymaj się,  
Tomasz

## Wstydlive korzenie

Oglądałem - odcinek po odcinku - pierwszą serię „Miami Vice” (od jakiegoś czasu skupowałem wydawane na DVD kolekcje swoich ulubionych seriali z przeszłości). Kiedy byłem w trakcie „Powrotu Calderone’a”, usłyszałem pukanie do drzwi. Nie zdążyłem zapytać „kto tam?”, bo intruz od razu wtargnął do środka.

- Alex - powiedziałem, wzdychając ciężko - jesteś mile widziany, ale powinienś poczekać, aż po pukaniu powiem „proszę”.

- Pukam z grzeczności, ale skoro to tylko ja, to po co mam czekać?

- Bo jaki jest sens pukania, jeśli nie czeka się na „proszę wejść”. To lepiej w ogóle nie pukać i nie eksploatować drewna ani dłoni. Gdybym na przykład robił coś kompromitującego, myślisz, że przez ten ułamek sekundy, w ciągu którego pukasz, zdołałbym założyć majtki albo schować mój sekretny dziennik? - perorowałem.

- Słuchaj, zawsze możesz zamknąć drzwi na klucz - odparł. - A poza tym, co robisz, to twoja sprawa. O, widzę, że oglądasz „Miami Vice”. To jest dopiero obciach, przy tym głaskanie się po kutasie uchodzi za szczyt dobrego smaku...

- Nie musisz być wulgarny - skarciłem go. - A propos, zabieraj ode mnie ten obrzydliwy świerszczyk. Przez ciebie najadłem się wstydu przed Heleną...

- Dobrze, że przez świerszczyk, a nie „Miami Vice”.

- Odczep się. Uwielbiam amerykańskie seriale kryminalne z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Nie widzę powodu do wstydu. Jednego tylko nie rozumiem...

- Czego?

- Patrz, załączyłem sobie subtitles. Za każdym razem, jak leci przebój z lat osiemdziesiątych w tle, to oni piszą popular songs from 80s, czy coś takiego. Co to daje głuchoniememu, powiedz? - zapytałem podniesionym głosem. - Czy głuchoniemy zna przeboje z lat

osiemdziesiątych? Może zna tytuły, ale przecież nie zna samych piosenek! De facto więc. chcąc wyświadczyć głuchoniememu przysługę, naraża się go na cierpienie, a wręcz obraża. No nie mam racji? Wyobraź sobie, że jako głuchoniemy cierpisz katusze, bo nie możesz usłyszeć muzyki, a tutaj, zamiast przemilczeć, że piosenka w ogóle występuje, jeszcze się jej obecność podkreśla! To tak, jakbym nagle zaczął biec obok kogoś o kulach albo rozwiązywał szarady, stojąc przy jakimś Downie! No powiedz sam...

\*

Zadzwoiłem do matki, bo już od dłuższego czasu, na skutek rozmaitych koincydencji, zwanych również zbiegami okoliczności, nie mogłem przestać rozmyślać o pewnej sprawie. Nie powiem, żeby spędzała mi ona sen z powiek, ale czułem, że na swój sposób mocno mnie nurtuje.

- Mamo... - zacząłem nieśmiało.

- Przeglądałam gazetę i natrafiłam na kilka ogłoszeń. Potrzebują w Gdańsku rewidenta, jakaś firma, podobno z Ameryki, wycięłam ci. Prześlę ci numer telefonu, zadzwoń, spytaj, a może to coś dobrego. Wiesz, wiele się tutaj ostatnio zmieniło.

Matka tradycyjnie weszła mi w słowo, zalewając potokiem informacji z oczywistym podtekstem i bardzo klarowną intencją.

- Mamo! - powtórzyłem, tym razem jednak przybierając ostry ton. - Dzwonię w środku tygodnia, taryfa jest droga, więc nie przeszkadzaj mi. Ja płacę za rozmowę i ja wybieram temat, chyba że pod koniec sam powiem, żebyś mówiła od siebie! Jak będziesz tak dalej postępować, to przestanę w ogóle dzwonić. A teraz posłuchaj...

Cisza po drugiej stronie słuchawki - najwyraźniej przyjęła moje słowa do wiadomości - ciekawe tylko na jak długo.

- Czy ty albo ojciec macie żydowskie korzenie?

- Co to za pytanie? - oburzyła się moja matka.

- Jak każde, chcę odpowiedzi.

- Ja mogę za siebie mówić, jestem z katolickiej, polskiej rodziny. Wydawało mi się, że twój tata też...

Urwała, a ja usłyszałem, jak zagaduje ojca, który najwyraźniej znajdował się w tym samym pomieszczeniu (co nie było akurat dziwne, zważywszy, że zawsze kiedy zadzwoił telefon, niemal równocześnie biegli w jego kierunku, a potem, niezależnie od tego, kto pierwszy zdołał odebrać, wspólnie okupowali słuchawkę):



- Masz w sobie żydowską krew?

Odpowiedział coś, a ona krzyknęła, by zaraz potem zacząć na niego wrzeszczyć:

- Nic nie powiedziałaś, co to ma znaczyć, tyle lat przede mną ukrywałaś!

Poczułem, jak tysiące mrówek przebiegają mi po plecach. Tak, ona wyraźnie to powiedziała - nie mogło mi się wydawać. Chociaż nie słyszałem, co dokładnie odpowiedział ojciec, to jej reakcja przesądzała sprawę. Klócili się cały czas w tle, a matka dostała przy tym ataku hysterii i, żeby było jeszcze bardziej idiotycznie, odłożyła słuchawkę, dokonując w ten sposób aktu swoistej cenzury.

Nie, tego było za dużo jak na jeden raz. Czy to naprawdę przesądza sprawę? Ale zaraz zaraz... Nawet jeśli mój ojciec ma żydowskie korzenie, oznaczać to może co najwyżej, że jestem Żydem w jakimś bezpiecznym ułamku (w zależności od tego, czy oboje z dziadków od strony ojca byli Żydami, czy też tylko jedno z nich). Zresztą, dlaczego miałbym się tym wszystkim przejmować - przecież nie byłem jakimś tam małomiasteczkowym antysemitą, ale wykształconym i obytym, świadomym tak złożoności świata, jak i wyjątkowości narodu żydowskiego mieszkańcem olbrzymiej metropolii.

No i co z tego, że miałem w sobie trochę Żyda? Przecież z powodu tego ułamka (oczywiście, jeśli w ogóle się to potwierdzi), nie zamierzałem wcale biegać z jarmułką ani odwiedzać synagog, czy tym bardziej organizować manifestacje poparcia dla Szarona. Moje miejsce było wciąż w polskim kościele na Islingtonie, a popierać mogłem, ale rząd PO - PiS, jeśli taki by się trafił (w co oczywiście należało wątpić, bo u nas najlepsze polityczne scenariusze nigdy nie stawały się rzeczywistością).

\*

Nie wiem, co mi przyszło do głowy, ale następnego dnia w pracy opowiedziałem o wszystkim Ahmedowi. Poklepał mnie przyjaźnie po plecach i robiąc poważną minę, powiedział:

- No cóż, nikt nie jest doskonały.

Obaj parsknęliśmy śmiechem.

- Słuchaj... żarty na bok... Miałem dzisiaj dziwny telefon w twojej sprawie... - zmienił nagle temat. - Dzwonili z Tesco i wypytywali, czy tu pracujesz. Nie chcesz chyba powiedzieć, że złożyłeś podanie do Tesco?

Spojrzał na mnie wzrokiem domagającym się wyjaśnień. Cóż miałem mu powiedzieć - przecież nie prawdę, że podanie adresu pracodawcy było jednym ze sposobów na udowodnienie ochroniarzom Tesco, że brali mnie za kogoś innego, niż powinni.

- Powiedzieli coś jeszcze? - spytałem z napięciem w głosie.

- O jakiejś ochronie... Nie mogłem ich dokładnie zrozumieć. O co w tym wszystkim chodzi? Złożyłeś podanie do ochrony?

Zaśmiał się, obejmując wzrokiem moją chudą sylwetkę. Niczego nie rozumiał. Byłem uratowany.

## Czarne chmury

- Dzwonili z BBC - poinformowała Helena, a ton jej głosu wskazywał jednoznacznie, że nie miała dobrych wieści.

- Co im się nie podobało? - zapytałem wprost.

- Nie wdawali się w szczegóły - odpowiedziała sucho.

- A co z Channel 6? Rozmawiałaś w końcu z tym Andrew, którego przedstawił ci David?

- Nie miałam okazji... - jęknęła.

- Kiedy wreszcie poszukamy agenta?

- Muszę się teraz wyprowadzić, a potem jadę na miesiąc do Grecji. Nie będę miała w najbliższym czasie możliwości działania, musisz uzbroić się w cierpliwość - odrzekła.

Skądś już znałem tę gadkę, wciąż to samo zbywanie, tylko coraz to nowe wytłumaczenia - wszystko to utwierdzało mnie w przekonaniu, że moje najczarniejsze przypuszczenia miały rację bytu. Helena próbowała wyrugować mnie z interesu, zniechęcić i doprowadzić do mojego powrotu do Polski, następnie zapewne planowała zadziałać sama, przy wsparciu swojego protektora zgarniając całe wynagrodzenie za miesiące naszej ciężkiej pracy.

- Dobrze, daj mi znać, jak wrócisz - odpowiedziałem. - Aha, jeszcze jedno, czytałem w gazetach, że wywiad przypuszcza, iż po atakach z siódmego lipca i nieudanych próbach z dwudziestego pierwszego, tak zwana trzecia, przyczajona grupa zamachowców może uderzyć w metro i autobusy, według tego samego schematu. Bądź czujna i ostrożna.

- O Boże! - wydawała się autentycznie wystraszona. - Dziękuję za troskę. Ty także się trzymaj...

Po tych słowach rozłączyła się, a ja pomyślałem wówczas, że może się okazać, iż była to nasza ostatnia rozmowa - poza ewentualną wymianą zdań podczas potencjalnej rozprawy sądowej, do której dojdzie z całą pewnością, jeśli kiedykolwiek i gdziekolwiek zobaczę swoje pomysły sygnowane tylko jej nazwiskiem.

\*

Nazajutrz jechałem autobusem do pracy, rozmyślając wciąż o całej sprawie. Helena najwyraźniej prowadziła ze mną od dawna jakąś wyszukaną grę, a ja zyskałem tego świadomość zbyt późno, żeby móc, działając błyskawicznie i z zaskoczenia, bronić się przed jej intrygami lub przynajmniej zabezpieczyć w podstawowy sposób swoje interesy. Nerwy, nerwy i jeszcze raz nerwy. Nie wiedziałem, jak teraz nad tym wszystkim zapanować. Kurwa, jeszcze ten strach, że ktoś rozpierdoli autobus, a ja umrę, nie osiągnąwszy nic w tym swoim zasranym życiu.

Rozejrzałem się wokół, lustrując dokładnie współpasażerów. Tego nawyku nabrałem od siódmego lipca i nie sądzę, żeby kiedykolwiek w przyszłości udało mi się ot tak, po prostu się go pozbyć. Chyba że w Polsce, jeśli kiedykolwiek tam wrócę... Mój wzrok wyłapał stojącą kobietę z wyraźnym wybrzuszeniem - krój jej płaszcza sprawiał, że trudno było powiedzieć, czy była ona w ciąży, czy miała po prostu wypchany kałdun. Przecież nie podejść do niej i nie zapytać, czy jest w ciąży - po pierwsze mogłoby to być pytanie nie na miejscu, bo z jaką agresją zareagowałyby gruba kobieta, której imputuje się ciążę, a po drugie, nawet jeśli odpowiedziałyby w normalny sposób, to co miałbym zrobić w przypadku, kiedy odpowiedź byłaby przecząca? Przecież nie powiem: „to dobrze, stój dalej”. Może od razu lepiej ustąpić? W sumie jednak, nie dość że siedziało mi się tak wygodnie, to naprawdę nie wiedziałem, jak może zareagować... Jeśli jest gruba, to uzna zapewne moją propozycję za niesmaczną prowokację. Wiadomo, jak to jest z grubymi, wszystko biorą do siebie, tak jakby cały świat skupiał na nich swoją uwagę, nie mając niczego innego w zasięgu wzroku i zainteresowań. Nie, niech stoi, przecież nic jej od tego nie będzie. Ktoś powiedział kiedyś w jakimś programie telewizyjnym, że stojąc gubi się więcej kalorii niż w pozycji siedzącej.

Kiedy już przestałem rozmyślać o zaokrąglonej kobiecie, moją szczególną uwagę zwrócił młody mężczyzna o pastelowej karnacji,

wyglądający na Pakistańczyka. Widziałem wyraźnie, jak nerwowo przyciskając do siebie torbę, próbował opanować drżenie rąk. I w tym momencie przypląnął do mnie strumień świadomości, przerażający obraz tego, co za chwilę mogło się wydarzyć w autobusie. Tymczasem on najwyraźniej zauważył, że go obserwuję. Nasze spojrzenia skrzyżowały się i powstało pytanie, kto czuje większy strach - ten, który wie, że za chwilę rozerwie się na strzępy, poświęcając życie w imię wątpliwej misji, której tak naprawdę nie rozumiał, czy też może ten, który znajdując się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie, uświadamia sobie, że przez ten nieszczęśliwy zbieg okoliczności trafi na czołówki jutrzejszych gazet jako jeszcze jedna ofiara terrorystycznego zamachu. Przelotne spojrzenie na twarze innych - pogodnie, roześmiane, zupełnie nie wyczuwające grożącego niebezpieczeństwa... Uśpieni ignoranci...

- Na litość boską - odezwałem się w końcu błagalnym tonem, nie wytrzymując tego napięcia. - Człowieku, w imię czego chcesz nas wszystkich zabić?

Nie wiem, czy to dramatyczny ton mojego głosu, czy też same wypowiedziane słowa sprawiły, że wśród współpasażerów dał się słyszeć pomruk, będący wyrazem przypląwu świadomości. Wszystkie oczy skierowały się w stronę potencjalnego terrorysty, który zamarł w bezruchu, jakby nagle zawahał się, rozważając jeszcze zaniechanie całej akcji. Był tak bardzo poruszony moimi słowami, czy też po prostu, po ludzku, obleciał go nagle strach - trudno było nawet próbować zgadywać.

- W imię fałszywie interpretowanej religii? - Uznałem, że muszę kontynuować, bo jeśli tylko istniał cień szansy, musiałem spróbować to wykorzystać. - Przecież wszyscy mamy tego samego Boga, tylko inaczej go nazywamy... To co powiedziało ci kilku nawiedzonych imamów nijak ma się do prawdziwej esencji wiary muzułmańskiej!

W tym momencie on sięgnął do torby. A więc to był koniec. Koniec wszystkiego. Zamknąłem oczy, prosząc Boga o przebaczenie za moje grzechy wobec Niego (bo przecież wobec ludzi, jak sięgnę pamięcią, nie miałem specjalnie żadnych powodów, żeby czuć się w jakiś sposób winny). Mówi się, że w takim momencie na projektorze pamięci przesuwają się slajdy życia. Ja nic nie widziałem.

Wtedy rozbrzmiał przeraźliwy krzyk. Otworzyłem oczy - drzwi autobusu zostały otwarte, a wszyscy pasażerowie rzucili się gwałtownie ku wyjściu, szukając wybawienia. Odzyskałem tak przytomność umysłu, jak i nadzieję. Zerwałem się błyskawicznie i zacząłem przepychać między współpasażerami. Było w tej ucieczce coś z atmosfery

„Pancernika Potiomkina”. Na drodze stanęła mi zaokrąglona kobieta, o której wcześniej myślałem - była wyraźnie zdezorientowana, szukała ratunku, tak jakby domagała się priorytetowego potraktowania. Wyglądało na to, że była jednak w ciąży... Cóż, w takim momencie wszyscy byliśmy przecież równi, nawet jeśli traktować ją jako podwójne życie. Odepchnąłem ciężarną lekko na bok, a następnie z impetem wbiłem się w masę stłoczonych ciał, chcąc jak najszybciej dostać się na zewnątrz.

\*

Na komisariacie długo składałem wyjaśnienia, opisując dokładnie, co się zdarzyło w autobusie.

- Czy wiesz, do czego doprowadziłeś? - odezwał się w karcący sposób wysoki, trzydziestokilkuletni policjant, który pisał raport na temat całego incydentu.

- Mogę zadzwonić do pracy, że się spóźnię? Jak nie przedzwonię, to dostanę pierwsze ostrzeżenie... Mogę? - spytałem niezamierzenie błagalnym tonem.

Zignorował zupełnie moją prośbę, kontynuując oskarżycielską tyradę:

- Kilka osób lekko rannych, kilka doznało szoku, zamknięcie ruchliwej ulicy, że wspomnę tylko to...

- A co miałem zrobić? Liczyć na to, że podąży w stronę stacji metra i tam się wysadzi, a nie w autobusie? Stwierdzić, że w sumie to nie mój problem? Pan chyba żartuje, z całym szacunkiem... - broniłem się.

- Na drugi raz po prostu daj znać kierowcy, a potem policji. Pozwól profesjonalistom zmierzyć się z trudną sytuacją, nie działaj w pojedynkę jako pseudomediator - powiedział nieco łagodniejszym tonem.

- On tak kurczowo ścisnął tę swoją torbę, że przypuszczenia nasuwały się same...

Mundurowy zaśmiał się pod nosem, a potem pokręcił głową.

- Co tam właściwie było? - odważyłem się zapytać.

- Dmuchana lala - wybełkotał, po czym w niewybredny sposób ryknął śmiechem.

- Czy istnieje islamska wersja sex doll z zakrytą twarzą? Na przykład na czarnym rynku. Czy taką właśnie miał w torbie?

- Wyońś się! - wskazał mi drzwi.

Dojechałem w końcu do pracy, spóźniłem się jednak ogromnie (właściwie nie wiedziałem nawet, czy był jakiś sens w ogóle się tam pojawiać). Anthony westchnął ciężko, wymownie patrząc na zegarek.

- Mogłeś zadzwonić - powiedział z wyrzutem.
- Chciałem, ale policjant mi nie pozwolił - usprawiedliwiłem się.
- Policjant? - Zmarszczył brwi, najwyraźniej zaintrygowany.
- Taki drobny incydent w autobusie, jutro się dowiesz z gazet.

Spojrzał na mnie skonsternowany, widać było, że miał ochotę podrażnić temat, ale ostatecznie, najwyraźniej nie biorąc na poważnie moich słów, porzucił ten zamiar.

- Słuchaj, dzwonił z centrum rekrutacji - zmienił nagle temat, a mi na dźwięk tych słów serce zabiło mocniej.

- I co? - spytałem z napięciem w głosie.
- Prawdę mówiąc, nie bardzo ich rozumiem - odrzekł cicho. - Wiesz, że niby wpłynęły na ciebie jakieś skargi...

- Skargi? - powtórzyłem zaniepokojony.

- No, podobno uraziłeś jakiegoś czarnego wzmiankami o głodującą Afryce... Gdybym cię nie znał, to bym był zaskoczony takim obrotem spraw.

- Skurwiel, przecież dałem mu tę pracę! - Nie mogłem uwierzyć, że ludzie potrafią być tak bardzo niewdzięczni.

- Jeszcze nie skończyłem - odezwał się ponownie Anthony. - Podobno walnąłeś jakimś rasistowskim tekstem do Brazylijczyka. O co dokładnie chodziło?

- Co za bzdura! - Złapałem się za głowę. - Pieprzone kłamstwa! Czy ten palant w ogóle wie, co oznacza rasizm? Ja go tylko chciałem wysłać na Stockwell, nie miałem wyboru!

Dotarło do mnie, że w tej sytuacji moja praca w centrum rekrutacji mogła się zakończyć, zanim w ogóle się zaczęła.

- Ale jest coś jeszcze... Coś, czego nie rozumiem. Judy, ta z centrum rekrutacji, ona twierdzi, nie żebym jej wierzył, bo to głupia krowa, między nami mówiąc, więc myślę, że to pomyłka. W każdym razie ona powiedziała, że... Ona sądzi, że rozpoznała cię w jakimś żebraku, którego zatrzymano w Tesco... - mówił z wyraźnym zakłopotaniem.

- Bzdury - odrzekłem z naciskiem. - Wymyśla jakieś brednie, żeby mnie zupełnie pogrzyżyć!

- Przykro mi, Tomasz. - Niespodziewanie Anthony położył mi pocieszająco rękę na ramieniu. - Wiem, jak bardzo zależało ci na tej pracy.

- Chcesz powiedzieć, że...

- Tak, wzięli kogoś innego, jakiegoś Włocha.

Westchnąłem ciężko. Poczułem, że do oczu napływają mi łzy, ale powstrzymałem je, uznając, że nie czas na dramatyczne sceny.

- Wykreśliłeś mnie z rozkładu obowiązków, wyprawiono mi pożegnalne przyjęcie - jak ja się teraz pokażę ludziom na oczy?

- Przywrócę cię na przyszłotygodniową rozpiskę. Nieważne, że przekroczą koszty pracy, to mogę dla ciebie zrobić - zaproponował.

Musiał, naprawdę musiał podkreślić, że robi mi łaskę.

- Dzięki. A prezent? Mam oddać pożegnalny prezent? Czy może trzymać go do czasu właściwego rozstania? A jeśli do czasu ostatecznego rozstania, to czy tego typu prezent nie obliguje mnie do jak najszybszego odejścia? - zastanawiałem się głośno.

- Oj, przestań zadręczać siebie i mnie tego rodzaju pytaniami - odparł zniecierpliwiony. - Skup się na pracy. Za kilka dni Ahmed będzie miał ostateczny test na **assistant manager**, przyjedzie **area manager**, będzie trochę stresu, potrzebuję więc pełnej mobilizacji zespołu. Wszyscy musimy mu jakoś pomóc, on zasługuje na ten awans, sam wiesz. Jak mu się uda, to odejdzie tydzień później objąć nowe stanowisko w jednym ze sklepów na południu. Wtedy pomyślimy, co zrobić z tobą. Przedyskutujemy, jakie obowiązki można ci dodać, żeby i tobie stworzyć szanse awansu i podwyżki, pasuje ci?

Znalazłem się znowu w „rodzinie” i jakoś wcale nie było mi z tego powodu do śmiechu. Choć mój szef pokazał się z dobrej strony, moja wdzięczność była szczątkowa, a frustracja się pogłębiała.

## Kod Leonarda

W znajdującym się w okolicach naszego sklepu kościele Temple kręcono potajemnie zdjęcia do „Kodu Leonarda da Vinci”, filmu opartego na bestsellerowej powieści Dana Browna. Wszyscy się tym niezmiernie ekscytowali, niektórzy łudzili się, że zobaczą na własne oczy

Toma Hanksa, inni prawili komplementy brownowskiej prozie - był to zresztą zachwyt typowy dla osób, które po raz drugi w całym swoim wyzbytym kultury życiu sięgnęły po książkę.

- Nie widzę powodu do zachwytów - powiedziałem Monice. - Ot, zwykłe żerowanie na kontrowersji. Słyszałem, że powieść jest świetnie napisana, ale to nie usprawiedliwia wymyślania jakichś teorii spiskowych i twierdzenia z perfidną premedytacją, że mamy do czynienia z udokumentowanymi, lecz ukrywanymi faktami. Tania sensacja kosztem wrażliwości wiernych.

- Słyszałeś? - Spojrzała na mnie spode łba. - Nie mów, że nie czytałeś?

- Nie czytałem - przyznałem - i nie zamierzam czytać. Nie chcę się denerwować.

- To po co się w ogóle wypowiadasz, jak nie czytałeś?

- To, że ktoś czegoś nie czytał lub nie oglądał, nie oznacza wcale, że nie może mieć swojego zdania na dany temat na podstawie tego, co wie i słyszał - odparłem.

- Mnie tam się podoba. A może tak naprawdę było?

- Stadna komplementacja - dodałem z sarkazmem. - *Very trendy*. Rzygać się chce. Pomyśl tylko, co by się stało, gdyby na przykład ktoś napisał książkę, w której życie Mahometa przedstawione jest w sposób alternatywny - przekreślający tradycję i zapis historyczny mużulmanów. Zaraz podniosłyby się głosy, że to obraza, oburzająca tania prowokacja, a zaangażowani w ten projekt musieliby się niedługo potem zacząć ukrywać, jak niegdyś Rushdie, żeby nie skończyć jak potomek van Gogha w Holandii. A my co na to? Wstęp do świątyni, ciągłe „ochy” i „achy” nad talentem Browna, utyskiwania na rzekomą konspirę i knowania w wykonaniu Watykanu i Opus Dei, pociągi pełne półgłówków zaczytujących się „Kodem”.

- O czym ty w ogóle mówisz? - Spojrzała na mnie jak na idiotę. - Zapisz się do jakiegoś klubu dyskusyjnego, mi się nie chce z tobą w ogóle gadać. Nudzisz. Przeczytałam książkę, podobała mi się i to wszystko.

Pokręciłem głową. Z kim ja w ogóle pracowałem? Każde dwa dłuższe zdania przekraczały ich możliwości intelektualne (nie wspominając już o jakimś sensownym dyskursie), a ich wyobraźnia zamykała się w ciasnym opakowaniu sałatek albo pudełek od kanapek, które masowo wytwarzaliśmy.



\*

- Zamierzasz oddać prezenty? - spytała nieoczekiwanie Monika.
- Co? - Zmrużyłem oczy. - Za dużo łośosia wkładasz do sałatki, potem będzie strata w statystykach.
- Skoro wróciłeś, to chyba logiczne, że powinieneś oddać prezenty - naprzykrzała się.
- Nie zamierzam niczego oddawać. Kupony na płyty? I co byście z tym zrobili?
- Kupilibyśmy za to płyty do sklepu. To byłoby fair, w końcu wszyscy składaliśmy się na te kupony dla ciebie, to wszyscy byśmy z nich mieli teraz jakiś pożytek.
- Zapomnij. - Machnąłem ręką. - Mam oddać swoje kupony, żeby potem być katowanym Kanye Western, Tupakiem czy innym Eminemem? Co to, to nie. Po prostu nie kupicie mi prezentu, jak będę odchodził następnym razem...
- Sam wiesz, co powinieneś zrobić. Ja się więcej nie odezwę. Aha, jeszcze jedno, na twoje miejsce przyszedł jakiś burak ze Słowacji, ma na imię Juraj i jak mu powiedziałam, że Janosik był Polakiem, to nazwał mnie głupią, niedouczoną suką. No sam powiedz, nie był?

\*

- Nazajutrz zauważyłem Kasię czytającą książkę w salonie. Zaskakujące. Oczywiście był to „Kod Leonarda da Vinci”. To już nie zaskakiwało.
- Weź jeszcze w międzyczasie rozwiąż sudoku, a normalnie ukatrupię - powiedziałem ze złością.
  - Co się czepiasz, wszyscy to czytają. Bardzo dobrze napisana książka.
  - A co ty możesz o tym powiedzieć? - odparłem zde gustowany. - Po pierwsze, zapewne rozumiesz tylko piąte przez dziesiąte, a po drugie nie masz skali porównawczej. Przyznaj się, kiedy ostami raz coś w ogóle czytałaś? Nie, „Hallo”, „OK” i wypociny Dalajlamy się nie liczą, przykro mi...
  - Odwal się. - Pokazała mi środkowy palec. - Wiem dobrze, że masz za ciasny umysł, żeby docenić tę książkę. Rozpalał na nowo stopy, rozpętał świętą inkwizycję, o to ci chodzi, inni?
  - Dobrze, że ty jesteś otwarta - wściekałem się. - Gdybyś kasowała za każdy numer, dziś byłabyś milionerką.
  - Ja cieszę się swoim ciałem, zanim się zestarzeje!

- I to jest twoje życiowe credo? Bawić się swoim ciałem? Dawać wszystkim?

- Sama sobie wybieram, z kim chodzę spać. I powiem ci coś - ani ty, ani Alex nigdy nie przeszlibyście mi przez głowę. Nawet gdybym była z wami uwięziona na bezludnej wyspie... - syknęła.

- Dlaczego, Kasia? Bo mam jasną karnację? Bo nie jestem obwieszony złotymi łańcuchami i nie znoszę Seana Paula? Bo nie mam koźni w Kalkucie? Bo zamiast jarać skuna zajmuję się pisaniem scenariuszy? Bo mówię isn't it zamiast innit?

- Tomek, jesteś przeraźliwie nudny, szalenie upierdliwy, a w dodatku wcale o sobie nie dbasz. To ci wystarczy, czy wyliczać dalej?

To wystarczyło, żebym poczuł się naprawdę cholernie samotny i nic nie wart. Długo można tłumaczyć sobie różne rzeczy, wznosić wokół siebie mury obronne, ale i tak pod naporem prymitywnego tarana prędzej czy później coś pęknie.

\*

Do sklepu przyszedł Nick, nasz regularny klient i prawnik. Tradycyjnie zamówił latte. Tego dnia wyglądał wyraźnie na zmartwionego. Czy był to więc odpowiedni moment, żeby zawracać mu głowę moją sprawą? Z jednej strony nie, bo przecież roztrząsając swoje problemy, nie będzie miał w ogóle ochoty wysłuchiwać o moich, ale z drugiej strony jego otepienie działało na moją korzyść - mógłbym mu w tym momencie powierzyć słonia do depozytu, a on, zamyślony i zdekoncentrowany, poprowadziłby go bezmyślnie za sobą.

- Wspominałem ci kiedyś o tym scenariuszu, który przygotowuję z przyjaciółką, prawda? Otóż ostatnio moja przyjaciółka zachowuje się dość dziwnie, to znaczy podejrzanie i trochę się boję, że... że wiesz... coś pójdzie nie tak. To znaczy, mówiąc wprost, muszę się jakoś ochronić, zabezpieczyć swoje prawa... - bełkotałem.

Niepostrzeżenie wyjąłem z kieszeni dyskiętkę i wręczyłem mu ją.

- Mógłbyś to dla mnie przechować? Na wszelki wypadek, gdybym kiedyś musiał coś udowadniać przed sądem...

- Nie ma sprawy - odpowiedział obojętnie, chowając dyskiętkę do kieszeni.

Ciekawe co też sobie o mnie pomyśli? Pracownik sklepu z kanapkami napisał scenariusz w nie swoim języku i jeszcze boi się, że ktoś

go z tego scenariusza okradnie! Dopiero będzie miał ze mnie ubaw... Sądzę jednak, że mogę liczyć na jego profesjonalizm i skoro już zdecydował się przyjąć dyskietkę, to w razie czego będę mógł na niego liczyć - rzecz jasna jeśli idzie o ewentualny materiał dowodowy.

- Pewnie pomyślisz, że mam jakieś obsesje, czy paranoję, ale wiesz... - usprawiedliwiałem się. - Długo nad tym pracowałem, sporo serca włożyłem, nie mówiąc już o różnych pomysłach, które ciągnęły się za mną latami. Wiesz, to trochę tak, jak z matką, która nosi przez dziewięć miesięcy dziecko, żeby potem urodzić je martwe albo - na przykład - dziecko zostaje porwane z porodówki i ślad po nim ginie. Matka cieszyła się z tej nowej istotki, wyobrażała sobie, jak będzie nosiła ją na rękach, jak będzie ją pielęgnowała, a tutaj nagle taki szok!

Monika, która zrobiła Nickowi kawę, położyła ją na kontuarze, a on chwycił gwałtownie kubek i wyszedł bez pożegnania. Bezradnie rozłożyłem ręce.

- Nawet nie spytał, czy zapłacić - powiedziałem, wzruszając ramionami. - Czyżby brał darmową kawę za pewniaka?

W tym momencie zauważyłem Sonię układającą kanapki na półkach. Podeszedłem do niej i odezwałem się:

- Widziałeś Nicka, jakiś dziwny jest... Ty znasz go dłużej, zawsze taki miły, a dzisiaj jakoś powiało chłodem...

- To ty nie wiesz? Jego żona rodziła w ubiegłym tygodniu. Niestety, dziecko zmarło przy porodzie...

- Co? O mój Boże... - Złapałem się za głowę.

Co on teraz zrobi z moją dyskietką? Wrzuci do pierwszego przydrożnego kosza? Tych na szczęście nie było zbyt dużo, prawdopodobnie w związku z zagrożeniem terrorystycznym... A jak dostanie się w niepowołane ręce i ktoś to opublikuje w internecie pod swoim nazwiskiem? Co ja teraz zrobię? Przecież nie pobiegnę za nim i nie zacznę przeproszać, bo zrobię z siebie kompletnego idiotę! Muszę poczekać na odpowiedni moment - tylko co jest w tym przypadku odpowiednim momentem? Przecież takiej straty człowiek nie przeboleje całe życie! I o co go właściwie zapytam: Przepraszam, ale czy na pewno trzymasz moją dyskietkę u siebie? Czy nie wyrzuciłeś jej przypadkiem po drodze?

Wiedziałem, że nie było innego wyjścia, jak tylko znaleźć innego prawnika. Przeklęta Helena, ileż kłopotów kosztowała mnie ta znajomość.

## Boliwijska niespodzianka

Wiedziałem, że powinienem ruszyć w teren. Moje dotychczasowe priorytety obróciły się przeciwko mnie, skazując na samotny tryb życia i brak czegoś zupełnie podstawowego.

Siedziałem wczesnym popołudniem w przytulnym pubie Ace w Soho - polecił mi go niegdyś Luis, twierdząc, że to jedno z najlepszych miejsc na West Endzie, jeśli chce się wyhaczyć jakąś interesującą partię. Oczywiście rada to trochę bezużyteczna, gdyż fajnych ludzi mógłbym spotkać praktycznie wszędzie, niemniej jednak postanowiłem dzisiaj sprawdzić to właśnie miejsce. Choć z drugiej strony, jaką on mógł mieć wiarygodność, jeśli chodzi o takie sprawy? Przecież całe dni spędzał przed komputerem, nie mając realnych przyjaciół, nie wspominając już o partnerce.

Na razie przyszło mi obserwować samych dziwnych facetów, którzy najwyraźniej tak jak ja postanowili spróbować szczęścia. Swoją drogą dziwne to, przyjdzie tu za chwilę jakaś ładna dziewczyna i wszyscy rzucimy się na nią jednocześnie, jak wygłodzone stado tygrysów rzuca się na pełną gracji sarenkę, która zapuściła się na ich teren łowiecki... Ci faceci byli jacyś tacy zniewieściali, zapewne banda nieudaczników, do których znakomicie pasowałem. Poczieszające było przynajmniej to, że przy nich miałem jakieś realne szanse.

Nagle jeden z mężczyzn, siedzący dotychczas przy barze i zagadujący barmana, rzucił mi ukradkowe spojrzenie, a następnie, po chwili wahania, podniósł się i skierował w moją stronę. Miał mniej więcej dwadzieścia trzy lata - ubrany w wytarte džinsy i kolorową koszulę, gładko wygolona twarz, ogólnie bardzo zadbany i o przyjemnej aparycji.

- Cześć - powiedział do mnie przyjaznym tonem. - Jestem Tim.
- Witaj. - Odwzajemniłem jego uśmiech. - Tomasz.
- Sam jesteś? - rzucił niby od niechcienia.

Uznałem to za bardzo dziwne pytanie.

- Tak. - Skinąłem głową. - Mam nadzieję, że już niedługo.
- Samotność nie jest najlepszym rozwiązaniem - odparł banalnie.
- Nie jest to do końca kwestia wyboru - odpowiedziałem poważnym tonem.

- Rzuciła mnie dziewczyna, mam już tego dość. Piąta w ciągu ostatnich czterech lat... Kompletna porażka z tymi kobietami - zwierzył się.

- Przykro mi. Mnie to nawet nie miał kto rzucić - wychłostałem się pejczeniem autoironii. - Próbuj dalej.

- Owszem, spróbuję, ale tym razem czegoś innego. Dlatego tu właśnie jestem - odrzekł tajemniczo.

No dobrze, ale po cholere przysiadł się do mnie? W każdej chwili mógł się pojawić ktoś interesujący i wówczas obaj zaprzepaścimy szansę, dając podstawy do niepotrzebnych spekulacji.

- To co, napisz się czegoś, czy wyjdziemy stąd? - zapytał nagle.

- Nie do końca cię rozumiem... - Rzuciłem mu badawcze spojrzenie.

- Posłuchaj, będę z tobą szczerzy. Spotykałem się z dziewczynami, ale zawsze miałem w głowie taką fantazję, że paraduję tylko w kolarzach po swoim pokoju, przychodzi jakiś starszy ode mnie koleś, daje mi klapsa w tyłek, masuje mnie przez te kolarki, potem ściąga je i każe się wypiąć...

Otworzyłem ze zdumienia usta - że też wcześniej nie przyszło mi do głowy to, co było aż nazbyt oczywiste. Przeklęty Luis! To był bar dla gejów, a ja zostałem wzięty za jednego z nich przez chłopaka, który najwyraźniej postanowił zmienić drużyny. Cóż mogłem w tej sytuacji zrobić - wyjść, mówiąc na odchodne, że zaszła jakaś katastrofalna pomyłka albo odegrać do końca rolę, która została mi przypisana i ocalić tego gościa przed dezercją z obozu heteryków. W końcu zdecydowałem się na tę drugą opcję.

- A wiesz, jak to będzie bolało, jak ci wjadę w dupsko? - spytałem, patrząc mu głęboko w oczy.

- Nie wiem, jeszcze... Ale przecież używacie kremów, wazeliny, żeby poluzować zwieracze...

- Używamy, ale co z tego, i tak bardzo boli, bo tego bólu nie da się poważnie zredukować.

- Nie pomagasz mi - powiedział z wyrzutem. - Zawsze mogę być dawcą, a nie biorcą.

- Słuchaj, naprawdę nie sędzę, żeby to był dobry pomysł... Masz kryzys, bo rzucają cię panny, ale jeśli nie czujesz się stuprocentowym gejem, to nie ma sensu, żebyś zawracał sobie głowę, a mnie dupę, realizując swoje fantazje. Albo, jak mój znajomy, obejrzyj sobie wyścig kolarski, przekartkuj „Men's Health”, wrzuć ręczny i po sprawie. Potem weź zimny prysznic, zastanów się nad sobą, rozejrzyj po sąsiedztwie i w pracy, może znajdzie się jakaś ładna i mądra dziewczyna warta twojej uwagi.

Mój głos brzmiał pewnie, a on wydawał się słuchać w skupieniu. Wyglądało na to, że stałem się dla niego swego rodzaju autorytetem.

- Oryginalny z ciebie gej - szepnął, przypatrując mi się uważnie. - Ale to się ceni, że zamiast mnie wykorzystać, starasz się pomóc...

- Trzymaj się. - Podniosłem się z miejsca i skierowałem ku wyjściu. - Powodzenia.

Luis, ty skurwielu, zapłacisz mi za to - przyrzekłem sobie w duchu.

\*

Poirytowany całym tym incydentem, udałem się do sklepu muzycznego, aby poszperać wśród płyt i oddać się w ten sposób jednemu z najciekawszych sposobów trwonienia czasu. Traf chciał, że w momencie, kiedy zwróciłem się do przegródki z nagraniami Stinga, okazało się, że nie jestem jedyną osobą zainteresowaną tym artystą. Jakaś filigranowa brunetka wyglądająca na latynoskę przeglądała tytuły na „The Very Best of Sting & The Police”. Jeden punkt za wygląd, drugi za muzyczne zainteresowania.

- Mogę w czymś pomóc? - zwróciłem się do niej z uprzejmym uśmiechem.

- Jesteś z obsługi? - Spojrzała na mnie nieco zaskoczona.

- Nie, ale jestem jednym z największych specjalistów od twórczości Stinga w Polsce - oświadczyłem z nieskrywaną dumą, choć zaraz po wypowiedzeniu tych słów poczułem się idiotycznie, zdając sobie sprawę, jak groteskowo musiałem zabrzmieć. Ale ona zaśmiała się uroczo, najwyraźniej biorąc moje przechwałki za niewinny żart.

- Zastanawiałam się, fajna składanka, ale aż dwadzieścia funtów! To może jakaś pomyłka?

- Nie, nie. - Pokręciłem głową. - To japońska edycja z jednym z utworów śpiewanym po japońsku. Ale musi być gdzieś tutaj tańsza, normalna wersja... O, proszę! - Po krótkiej chwili odnalazłem pożądaną płytę.

- Dzięki...

Wyciągając mi kompakt z ręki, patrzyła mi głęboko w oczy, a ja, niemal zahipnotyzowany jej urokiem, poczułem dreszcz ekscytacji. Nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia.

- Jeszcze w czymś mogę pomóc? - odezwałem się wreszcie. - Mam na imię Tomasz.

- Silviana. Przyleciałam z tatą do Londynu na kilka dni - odrzekła kokietyrnie. - Są tu jakieś miejsca, które mógłbyś polecić mojej szczególnej uwadze?

Przeszliśmy się po Trafalgar Square, Leicester Square i Piccadilly. Dowiedziałem się, że Silviana przyjechała z Boliwii, jej ojciec był politykiem (obecnie w opozycji) i uczestniczył w Londynie w jakiejś tam konferencji na temat relacji Europy z Ameryką Południową. Miałem nadzieję osobiście wpłynąć na pogłębienie tychże relacji...

Po godzinie spaceru wyznała, że trochę zgłodniała, i obrała kierunek na McDonalda (jej entuzjazm przypominał mi dzień, w którym jako dziecko po raz pierwszy jadłem w McDonalddie, będąc przekonany, że odkryłem właśnie raj na ziemi). Zaprotestowałem, mówiąc, że powinniśmy znaleźć coś bardziej przytulnego i w lepszym guście. Nic nie przychodziło mi do głowy, bo tak naprawdę byłem na bakier ze znajomością godnych uwagi restauracji. Korzystałem zawsze z najtańszych rozwiązań, takich jak Subway albo McDonald właśnie... W takich chwilach wyrażała się najpełniej moja rozkoszna przewrotność. Ona nalegała jednak na Maca, gdyż podobno Boliwia była jedynym krajem na świecie, gdzie ten się nie przyjął i zmuszony był kilka lat temu spakować interes, zostawiając swoich fanów na pastwę losu. Nie zamierzałem jej jednak ustępować.

Przeszliśmy w kierunku Covent Garden, by rozkoszować się czarem tamtejszego rynku i powikłanych, okalających go zewsząd uliczek, na których zawsze działo się coś szczególnego, głównie dzięki tworzącym jego klimat osobliwościom, takim jak mimowie, żonglerzy, uliczni muzycy, czy też nawet zwykli naciągacze.

- Pięknie tu - rozmarzyła się Silviana. - Chcę zdjęcie...

Podawała mi aparat, a ja zacząłem przygotowywać się do właściwego ujęcia.

- Chcę z tobą - powiedziała z naciskiem. - Poproś kogoś...

Akurat w pobliżu przechodziła para starszków, których postanowiłem zatrzymać i poprosić o zrobienie nam wspólnego zdjęcia. Chętnie zgodzili się pomóc, ale już po chwili, mocując się z nimi intelektualnie i próbując wyjaśnić zasady obsługi aparatu, uświadomiłem sobie, że był to zły wybór. Nie, aparat nie strzela, nie ma też dymu - miałem ochotę na wypowiedzenie tego rodzaju uwagi, ale postanowiłem trzymać język za zębami. W końcu, kiedy dotarło wreszcie do starego, że „my musimy być w okienku”, a on „tylko nacisnąć czarny przycisk”, ustawiliśmy się z Silvianą, oczekując z coraz większym zniecierpliwieniem na zakończenie przeciągającej się sesji.

- Może pan łaskawie nie trząść tak rękoma? - odezwałem się poirytowany. - Bo wyjdziemy z kadru i cały wysiłek na marne...

\*

- Skąd mogłem wiedzieć, że jest poważnie chory, częściowo sparaliżowany? Dlaczego po prostu nie dał tego zdjęcia zrobić żonie? Punkt honoru, przesadna wiara we własne siły? Naprawdę nie chciałem go obrazić... - usprawiedliwiałem się przed Silvianą.

- Zapomnijmy o całej sprawie. Chodźmy po prostu coś zjeść... - zaproponowała pojednawczo.

Wylądowaliśmy w końcu w jednej z tych poshowatych restauracji, które wabiły elegancją, aby później uderzyć po kieszeni wyśrubowanymi cenami. Wiedziałem, że nie wyniknie z tego nic dobrego. Weszliśmy do środka, gdzie zostaliśmy momentalnie umiejscowieni przez gejawatego Francuza przy stoliku numer siedem, znajdującym się w pobliżu ornamentowej fontanienki.

- Uroczu tutaj... - zachwycą się Silviana.

- Nie sądzę, żeby wbudowywanie fontanienek wewnątrz restauracji było najlepszym pomysłem - odezwałem się z przekory. - Jedząc, będę się bał, że zaraz nastąpi jakaś awaria i zostanę spryskany, a może nawet zostanę spryskany bez awarii, tylko dlatego, że siedzę w jej pobliżu. Wybacz, muszę zacząć od toalety.

Skinęła głową, a ja skierowałem się w stronę ubikacji. Oczywiście męska była zajęta - zawsze są zajęte, ludzie potrafią być tacy nieznośni. Frustrowałem się, dopóki mojej uwagi nie zwróciła osobna toaleta dla niepełnosprawnych - jedna ze zdobyczy epoki politycznej poprawności. Nie miałem specjalnie ani czasu, ani cierpliwości, żeby się certolić - wszedłem bezceremonialnie do środka. Szczerze mówiąc, robiłem to nie po raz pierwszy (dawno już bowiem odkryłem, że toalety dla niepełnosprawnych są zawsze puste i zadbane, a przy tym niesłychanie przestrzenne). Zaryglowałem się w środku i opróżniłem pęcherz - niestety, jak zwykle w takim wypadku pierwszy strumień długo wstrzymywanego moczu chybił celu, rozlewając się po lśniącej wcześniej czystością podłodze.

- Kurwa! - wyrwało mi się.

Spojrzałem na siebie w lustrze. Dlaczego znajdowało się tak wysoko? Przecież człowiek na wózku nie byłby w stanie się w nim przejrzeć. Najwyraźniej uszło to uwadze konstruktorów. Dobrze się prezentują? Może być, z europejskim paszportem jestem wart więcej, niż na to wyglądam, szczególnie dla dziewczyny z Boliwii, która nigdy w



Polsce nie była i której być może Polska kojarzyć się będzie z Zachodem. Rzut oka na wnętrze portfela - na szczęście miałem tam setkę przygotowaną na zapłacenie czynszu. Miałem nadzieję, że cała impreza nie przekroczy dwudziestu funtów. Ciekawe, czy ona zakłada, że ja za nią zapłacę? One wszystkie są takie same... A może z grzeczności zaoferuje się pokryć przynajmniej część kosztów? Ale ostatecznie to Silviana była z biednej Boliwii, więc dlaczego miałbym robić z siebie dziada? Nawet jeśli jej stary był przy kasie...

Kiedy wychodziłem z ubikacji, zauważyłem, że przed drzwiami czekała starsza pani na wózku, a obok niej stała jej opiekunka - wysoka i wyniosła zarazem kobieta, mniej więcej koło czterdziestki. Spojrzała na mnie z góry, po czym odezwała się manierycznie:

- Znak wózka inwalidzkiego nie jest na drzwiach dla ozdoby.

Następnie, zwracając się do niepełnosprawnej, spytała:

- Wejść z tobą, mamó?

- Nie trzeba, poradzę sobie! - fuknęła niespodziewanie tamta, torując sobie drogę do ustępu.

Jak to jest, że często kierując się najlepszymi intencjami, oferujesz pomoc niepełnosprawnemu, a zamiast być docenionym, narażasz się na tego rodzaju reakcje z jego strony? Bo przecież on wcale nie jest niepełnosprawny, tylko „sprawny inaczej”; wyjdzie z siebie, żeby tylko pokazać, że tak wiele może sam zdziałać, i że tak naprawdę obejdzie się bez ciebie i bez całej tej twojej litości, którą możesz sobie schować. Ba, więcej, litość ta staje się de facto obraźliwa, bo nieświadomie manifestujesz swoją wyższość nad niepełnosprawnym, tak jakbyś się chełpił, że ty możesz, a on nie; jesteś odbierany tak jak Jaś Fasola, który w jednym z odcinków rozciąga się na wszystkie strony na oczach kobiety w gipsie. A przecież chciałeś tylko pomóc! Ale to nie był na szczęście mój problem. Starłem się trzymać z daleka od niepełnosprawnych, żeby nie prowokować ich nerwowych reakcji - jedynym punktem styczności między nami stawała się okazyjnie toaleta.

Wróciłem na swoje miejsce. Silviana czekała z niecierpliwością, lustrując od góry do dołu menu.

- Był kelner, spytał, co podać, nie wiedziałam, co zamówić, powiedziałam, żeby wrócił za chwilę - poinformowała mnie.

O mój Boże, ona była naprawdę urocza! To magnetyczne spojrzenie oczu, w których kryła się pasja i skromność jednocześnie, tylko

latynoski miały w sobie coś takiego! Kiedy rzuciłem okiem na menu i cennik, moje serce zabiło jeszcze mocniej - najtańsze posiłki szacowały się w granicach kilkunastu funtów.

- Ja wezmę chicken tikka masala! - Wskazała palcem pozycję na karcie dań.

- Ja zadowolę się sałatką - odparłem. - Tak naprawdę nie jestem głodny.

Złożyliśmy zamówienie. Kelner spojrział na mnie zaskoczony.

- Sałatka jako starter, rozumiem?

- Jako starter i finisher - odpowiedziałem zdecydowanym tonem. - Jak będę coś jeszcze chciał, to dodam do zamówienia, na razie dziękuję.

Przeszliśmy wreszcie do rozmowy. Silviana opowiadała mi o sobie - studiowała socjologię na uniwersytecie w La Paz, korzystając z przywilejów, jakie zapewniał jej wpływowy ojciec, który często zabierał ukochaną córeczkę w swoje podróże zagraniczne. Później zaczęła wypytywać o mnie. Zainteresował ją zwłaszcza projekt scenariusza, a kiedy uchyliłem rąbka tajemnicy, zaczęła dociekać, jak to jest, że mając dyplom magistra z Polski, przyszło mi przygotowywać w Londynie kanapki.

- Coś mało pikantna ta chicken tikka masala - zauważyła, zabrawszy się za przyniesione w międzyczasie jedzenie. - Nie ma tu jakichś przypraw?

Przyprawy! Znalazło się dystyngowane gardło! - pomyślałem z sarkazmem.

- Nie na naszym stole. Ale patrz, na stole obok, przy którym siedzi ta całująca się para jest ich od groma. Pójdę, poproszę - zaproponowałem.

- Nie kłopotz się... - zaoponowała. - Wszystko w porządku.

- Nie ma sprawy. - Postanowiłem być do końca dżentelmenem. - To żaden kłopot.

Skierowałem się do stolika obok i zagadnąłem siedzącą tam parę.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale tak się składa, że na naszym stole nie postawiono przypraw... Zastanawiałem się, czy nie przeszkadzałyby pani ani pani chłopakowi, żebyśmy sobie je pożyczyli na dośłownie kilka minut? - Uśmiechnąłem się uprzejmie.

- Co ty powiedziałeś? - Spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakbym co najmniej miał swastykę wytatuowaną na czole.

- Chciałem pożyczyć przyprawy... - powtórzyłem, zastanawiając się, o co jej może chodzić.

- Myślisz, że jesteś zabawny? - W jej oczach błysnęła dzika agresja. - Skąd ty w ogóle się urwałeś? Ze średniowiecza? Co za skurwiel!

Zauważyłem, że ta scysja, której sens w ogóle jeszcze do mnie nie docierał, zaczęła przyciągać uwagę innych. Silviana spojrzała na mnie w dziwny, choć zarazem wymowny sposób, jakby dawała mi do zrozumienia, żebym jak najszybciej wrócił na miejsce i zignorował cały ten incydent, ale ja, poważnie obrażony, zamierzałem nie tyle wyjaśnić całą sytuację, ile zrewanżować się z nawiązką suce, która mnie werbalnie tak sponiewierała.

- O co ci chodzi, kobieto? Twój język pasuje do Camden Town, a nie Covent Garden! - odezwałem się w końcu bełkotliwie.

- A ty pasujesz do Iranu! Tak, jesteśmy lesbijkami, ale w tym kraju nie musimy się z tym kryć, ani tym bardziej nie musimy słuchać tego rodzaju obelg. - Powiedziała to jej partnerka, którą brałem do tej pory za faceta - w ten sposób cała sytuacja wyjaśniła się momentalnie.

- Przepraszam. - Rozłożyłem bezradnie ręce. - Ale miałem prawo się pomylić, bo nie wyglądasz na kobietę. Nie chciałem was obrazić, ale oszukując naturę, musicie się liczyć z tego konsekwencjami.

- Co ty pierdolisz? Nie oszukujemy natury, wręcz przeciwnie...

- Ależ na litość boską, wyglądasz na faceta i mam wrażenie, że tak właśnie chcesz wyglądać - przerwałem jej w pół zdania, żeby przedstawić swój punkt widzenia. - A więc nie dziw się pomyłkom...

- Odpieprz się - warknęła.

- Nigdy was nie rozumiałem. - Westchnąłem ciężko. - Jeśli czujecie pociąg do kobiet, a niechęć do facetów, to po jaką cholere wyglądacie jak faceci? Weź mi to wytłumacz, jeśli to się w ogóle da wytłumaczyć. Tak samo jak zniewieściali homoseksualiści, zupełnie ta sama logika!

- Masz za ciasny umysł, żebym ci to próbowała wytłumaczyć, a teraz zostaw nas w spokoju i po prostu się odpierdol! - Z całej sceny zrobiło się spektakularne widowisko. Tylko Silviana spuściła wzrok, najwyraźniej zażenowana do granic wytrzymałości.

- Same się odpierdolicie. - Machnąłem ręką. - A przyprawy możecie sobie wsadzić w dupę, tym bardziej, że nic innego nie macie, żeby sobie wsadzić.

Zniżyłem się do ich poziomu. Tymczasem Silviana zerwała się z miejsca i skierowała pospiesznie w stronę toalety, tracąc w ostateczny sposób cierpliwość.

- Silviana, zaczekaj! - Pobiegłem za nią. Dogoniłem ją tuż przed toaletą i schwytałem za przedramię.

- Przepraszam, że się uniosłem. Mam nadzieję, że nie zepsułem ci wieczoru...

Milczała, zastanawiając się nad tym, co odpowiedzieć. Biedaczka. Zastygliśmy w kłopotliwym bezruchu. Jak na złość, w tym samym momencie w naszą stronę zaczęły się zbliżać znajoma już kobieta wraz z matką poruszającą się na wózku.

- Mamy poczekać znowu, aż ty załatwisz swoją potrzebę? - powiedziała do mnie z sarkazmem, nawiązując do tego, że blokowałem toaletę dla niepełnosprawnych. Potem zwróciła się do matki. - Pomogę ci, żebyś znowu nie rozlała po całej podłodze...

- Sama sobie poradzę - skarciła ją stara. - To nie ja rozlałam, już ci mówiłam... Ty, to ty to zrobisz... Że też wcześniej o tym nie pomyślałam!

Stara wiedźma wyciągnęła w moim kierunku oskarżycielsko palec, przygotowując się zapewne do rzucenia uroku.

- Silviana, wybór tej restauracji nie był chyba najszczęśliwszym pomysłem... - podsumowałem. - Nie ma jak kawałek pospolitego hamburgera i przesolone frytki od Donalda.

- Zapłacisz? - odezwała się wreszcie. - Poczekam na zewnątrz.

## **Kłopotliwy pogrzeb, kłopotliwa wizyta, kłopotliwy zakup**

Siedziałem w kuchni z Alekssem przy kawie.

- No bo zobacz - westchnąłem ciężko, zwracając się do Aleksa - w double deckerach palą ciężkie narkotyki na górze; co chwila jakiś szalencie zabija kogoś w parku albo na ulicy młotkiem; sprzedają ci torbę wypchaną ziemniakami za cenę laptopa; wyłudniają pieniądze za załatwienie pracy; praktycznie robią z niektórych dziwek imigrantek niewolnice; w szkołach pełno nożowników; w bankomatach pełno urządzeń kopiujących karty klientów. I my tu mówimy o tym samym cudownym Londynie? A co na to policja? Policja zajmuje się umacnianiem różnicowania kulturowego w swoich szeregach, tropi rasizm w ramach swoich jednostek, zwalcza przejawy homofobii wśród funkcjonariuszy!

Rozumiesz, Londyn staje się miastem bezprawia, a oni mają to w dupie, bo najważniejsze są potrzeby kilku powalonych piewców postępu, zastraszone społeczeństwo się zupełnie nie liczy! A zresztą, popatrz na samo społeczeństwo - zamiast domagać się od burmistrza tego, co zrobił w Nowym Jorku Giuliani, oni wręcz pierdolą takie głupoty, że dupa więdnie: „och, uzbrojona policja na stacjach metra, nie czuję się z tym dobrze”; „och, żeby teraz po zamachach policja nie odebrała nam naszych obywatelskich swobód, nie ograniczyła wolności”; „och, zero tolerancji - to jakiś faszyzm”; „och, wprowadźmy więcej community officers, oczywiście jak najbardziej zróżnicowanych rasowo i etnicznie, bo oni rozumieją problemy społeczeństwa i powstrzymają rozwój przestępczości”.

- Nie widziałeś gdzieś cukru? - zapytał Alex. - Do której Sainsbury jest dzisiaj otwarty?

Podniosłem się i wyszedłem z kuchni, trzaskając drzwiami.

\*

Odwiździłem Helenę w szpitalu. Co tu dużo mówić, nie wyglądała zbyt dobrze - blada twarz, podkrążone oczy i zapadłe policzki.

- Tomasz! - Ucieszyła się na mój widok. - Miło cię widzieć.

- Chciałem spytać, jak się masz, ale byłoby to dość niestosowne w tym przypadku - bąknąłem.

- Nie najlepiej. Mam silne bóle w klatce piersiowej, składniki krwi w dysproporcji... - powiedziała cichym głosem. - Lekarz mówi, że nie jest jeszcze pewien, z czym mamy do czynienia. A trzyma mnie tu już czwarty dzień. Nic z tego nie rozumiem... Pierdolony NHS, co to za służba zdrowia? Tomasz... Tomasz....

- Co? - Spojrzałem na nią pytająco, zmęczony brzmieniem swojego imienia.

- A co, jeśli on kłamie? Może nie chce powiedzieć mi strasznej prawdy, może chce się jeszcze upewnić przed ogłoszeniem wyroku? - wyszeptła pełnym dramatyzmu głosem.

- Przesadzasz... - uciąłem zbyteczne dywagacje.

Zapanowała cisza.

- Słuchaj, a jak wysyłałaś ten nasz scenariusz do telewizji i grup producenckich, to opatrzyłaś go dwoma nazwiskami i dwoma adresami, tak jak ustaliliśmy, prawda? - zdobyłem się na odwagę i zadałem pytanie, które nurtowało mnie już od dłuższego czasu.

Wiem, że nie był to stosowny moment, ale ta myśl naprawdę nie dawała mi spokoju - bo co na przykład się stanie, jeśli, nie daj Boże, ona teraz umrze, a po jej śmierci ktoś jednak zainteresuje się naszym scenariuszem i mojego adresu tam nie będzie? Przepadnie? Nie, przecież nie mogłem do tego dopuścić.

- Dlaczego pytasz? - W jej wzroku czaiła się podejrzliwość.

- Techniczny szczegół... - odpowiedziałem odrobinę zbity z tropu.

- Dość niezręczny moment wybrałeś... Tomasz, Tomasz... Ty chyba nie pytasz po to, żeby...

Nawet nie dokończyła, odwróciła głowę i przybrała minę obrażonej.

- Co też ci po głowie chodzi, Helena? - Rozłożyłem ręce. - Przecież wiesz, że twoje zdrowie jest dla mnie najważniejsze! Tylko z tobą jestem w stanie tworzyć tak interesujące rzeczy! Nasze style i fascynacje spletają się w całość w perfekcyjny sposób, przecież sama o tym wiesz!

Najwyraźniej ją udobruchałem.

- Tak myślisz? - spytała nieco pokrzepiona.

- Więcej: wiem o tym. - Starłem się, aby brzmiało to przekonująco. - Zobacz, co ci przyniosłem.

Wyciągnąłem z reklamówki skórzaną kurtkę, którą niegdyś Alex kupił dla swojej narzeczonej, a którą później, zanim go nie powstrzymałem, chciał wyrzucić, gdyż „uosabiała jej niegodziwość i przywoływała bolesne wspomnienia”.

- Kurtka? Po co mi kurtka w szpitalu? - Patrzyła na mnie dziwnym wzrokiem.

- Robi się już chłodniej, a ty musisz o siebie dbać - powiedziałem pełnym troski głosem.

Obejrzała dokładnie nieoczekiwany prezent.

- Skórzana?

- Tak - potwierdziłem. - Skóra pierwszej jakości.

- Możesz to zabrać. Wiesz, ile zwierząt musiało polec, żeby taką kurtkę można było zrobić? To nieludzkie! Przyszedłeś mnie drażnić?

Wiedziałem, że nie je mięsa, podnieca się ekologią, ale skąd mogłem wiedzieć, że jej fanatyzm sięga tak daleko? Zupełnie jakby postanowiła być drugim Morrissem.

- Może czekolady zamiast tego? - Wyjąłem z plecaka słodycze. - Następnym razem przyniosę ci koszulkę **Meat Is Murder**.

- Kupiłeś mi czekoladę z Tesco? Nie wierzę...

Patrzyła na mnie krytycznym wzrokiem, zupełnie jakby w jej głowie pojawiła się nagle poroniona myśl w stylu: czekolady w Tesco są wytwarzane przy użyciu mleka, które uzyskuje się przez wydojenie krów, przynoszące tymże powolną śmierć albo obrzęki cysticków.

- Co w tym złego? - żądałem wyjaśnień. - Masz coś przeciwko Tesco?

- Wiesz dobrze, że rzeczy z log supermarketu są synonimem najgorszej jakości. W końcu dlatego są najtańsze!

- Próbowałem kiedyś tej czekolady i wcale nie jest taka zła - usprawiedliwiłem się. - Przesadzasz. Przynajmniej takie Tesco musi dbać o swoją markę, więc nie rzuci na półkę byle gówna.

- Tomasz, chcę być sama. Dziękuję, że wpadłeś, ale nie czuję się najlepiej i jeśli się nie obrazisz, to wołałabym teraz się przespać - wypaliła bez ogródek.

Znowu przewróciła się na drugi bok, dając mi do zrozumienia, że dzisiejsze spotkanie uważa za skończone. W tej sytuacji spakowałem kurtkę, schowałem czekoladę do kieszeni i podniosłem się z miejsca, decydując się uszanować jej prośbę.

- Jakbyś czegoś potrzebowała, to daj znać - rzuciłem na odchodne.

- Do zobaczenia - odrzekła, nie odwracając nawet głowy na pożegnanie.

\*

Dlaczego nie mogła mi spojrzeć w oczy? Czy coś przede mną ukrywała? Czyżby moja obecność wywoływała u niej wyrzuty sumienia i dlatego, żeby je stłamsić, chciała się mnie za wszelką cenę pozbyć? A może prowadziła ze mną podwójną grę - może ktoś zainteresował się już scenariuszem, a ona trzymała tę wiadomość tylko dla siebie, licząc, że ja, zniechęcony niepowodzeniami, wyjadę z Londynu, zostawiając cały tort dla niej, a kiedy dowiem się o całej sprawie, będzie już za późno, żeby cokolwiek jej udowodnić? W końcu - jakie przeciwko niej miałem dowody? To że główny bohater był wzorowany na mojej osobie nie przesądziłoby w żaden sposób o moim prawie do tekstu. Nick na pewno mi nie pomoże... Nawet nie wiedziałem, czy propozycje wysłane przez nią do stacji telewizyjnych są naprawdę sygnowane nazwiskami nas obojga, nie wspominając o adresach.

Co za miasto! Nie można było ufać absolutnie nikomu - wszyscy tylko czekali na to, żeby cię oszukać.

Wujek Staszek umarł. Ale przecież wiedziałem, że nie jest z nim najlepiej... Do dziś nie wiem, dlaczego moi rodzice zdecydowali się na takiego a nie innego chrzestnego. Niegdyś marynarz, stary nudziarz, który roztrwoniał swoje oszczędności. Uwielbiał spotykać się z kolesiami przy wódce w zadymionym pokoju i dyskutować nad reformami Rakowskiego albo nad losem AWS-u, którego klęskę przewidział, zanim jeszcze sama formacja powstała. Takie oryginalne połączenie intelektualisty z żulem.

- Pogrzeb będzie w czwartek - poinformowała mnie matka.
- Zapal ode mnie znicz - poprosiłem cynicznie.
- Sam zapalisz, przecież przyjeżdżasz, nie?
- Nie uda mi się załatwić w tak krótkim czasie biletu na samolot - skłamałem.

- No to wykupię ci autokarowy... - nalegała.

- Mamo, po jaką cholere mam przyjeżdżać? Nie zaczynaj znowu. Przecież rozmawiałem z nim w czasie świąt... Nic już nie mogę dla niego zrobić... Zapalić znicz? Czy myślisz, że zmarłego obchodzi zapalenie zniczy? Co mu z pamięci po śmierci, liczy się pamięć za życia! Po co te wszystkie kwiaty, fanfary, przecież to był skromny człowiek... Myślisz, że co - że zaraz pojawi się na swoim pogrzebie jako duch z listą obecności do sprawdzenia? - ironizowałem.

- Wszystko byś zmieniał i przewracał do góry nogami - odpowiedziała wzburzonym głosem moja matka. - Co jak co, ale na pogrzeb chrzestnego przyjedziesz.

- A założymy się? - Poczuję, jak ręce trzęsą mi się ze złości.

- Czego ja się po tobie spodziewam, ty nawet jak byłeś w Polsce, to na pogrzeby nie chodziłeś, a miałbyś specjalnie przyjeżdżać z Anglii? Przecież gary czekają do mycia, kto będzie mył gary, jak pan magister wróci do Polski? - wrzeszczała na mnie, jakbym był jakimś gówniarzem.

- Wymyślisz coś dla tych starych kwok, które będą się oburzały moją nieobecnością - odrzekłem. - Jesteś już w końcu przyzwyczajona do takich sytuacji.

- A żebyś wiedział, że jestem - powiedziała z wyrzutem.

- Twoja wina! - odparłem oskarżycielsko. - Pępowina odpadła już kilkanaście lat temu, a ty wciąż z nią latasz, szukając możliwości ponownego jej przyczepienia. Dobranoc, mamo.



Znamienne, że nie rozczułała się specjalnie nad samym wujkiem Staszkiem. Ale czego tu oczekiwać, skoro całe życie uważała go za zdeprawowanego samotnika i pogrążonego w alkoholizmie degenerata? A teraz organizowała pospolite ruszenie na jego pogrzeb, żeby udowodnić innym, a może i samej sobie, coś zupełnie przeciwnego...

\*

Nieoczekiwanie Silviana zaprosiła mnie do pokoju hotelowego, żebyśmy, jak się wyraziła: „spędzili ze sobą więcej czasu pod nieobecność jej ojca”.

- No, no, no! - Alex poklepał mnie po plecach. - Ktoś tu będzie miał dzisiaj stukanko.

- Słuchaj, czy takie zaproszenie jest z tym równoznaczne? - zastanawiałem się głośno.

- Stary, masz trzydziestkę na karku, nie bądź dzieckiem. A co myślisz, że będziecie robić - składać puzzle z „Władcą pierścieni”, czy może grać w bierki?

Mnie wcale nie było do śmiechu. Powinienem się cieszyć, a tymczasem czułem się jakoś niepewnie. Być może dlatego, że trudno mi było przypomnieć sobie, kiedy ostami raz uprawiałem seks.

- Będziesz wreszcie mógł zrobić użytek ze swoich czekoladowych prezerwatyw - dodał. - Patrz, nawet wynajęła pokój hotelowy...

- Mam nadzieję, że to nie ja będę musiał pokryć koszty tej ekstrawagancji - odparłem mało entuzjastycznie. - Wystarczy mi wspomnienie stołowania się w Covent Garden. Pokój wynajęła, ale kto za niego zapłaci w ostatecznym rozrachunku?

- Stary, idź i skorzystaj, chociaż raz przestań myśleć o kosztach. Kto wie, może ta eskapada do Covent Garden właśnie ci się zwraca. Wiesz, ile zapłaciłbyś za profesjonalną prostytutkę?

- Nie życzę sobie, żebyś porównywał ją do profesjonalnej prostytutki - oburzyłem się.

- Spokojnie - odezwał się pojednawczo. - Chciałem tylko chłodno kalkulować. Nie zapomnij gumek, to najważniejsze.

W tym momencie przyszło mi do głowy pewne pytanie.

- Tak się zastanawiam, gdybym poszedł spać z czarną dziewczyną i wyjął te czekoladowe prezerwatywy, to czy nie ośmieszyłbym się albo wręcz jej nie obraził?

- A skąd ja to mogę wiedzieć? - Po chwili namysłu rozłożył bezradnie ręce.

- Ale na szczęście Silviana nie jest czarna, tylko ma odrobinę ciemniejszą karnację niż my. Taka upośledzona biała. Idę, trzymaj za mnie kciuki. Możesz sobie wszystko wyobrazić i wcielić się w Hala Solo - w końcu ciągle powtarzasz, że twoja miłość do „Gwiazdnych wojen” nie ma granic.

- Bardzo zabawne, coś ci się udaje i zaraz musisz mnie dołować, zapominając, że jesteśmy ulepieni z tej samej gliny.

- Sorry, Alex. Nie denerwuj się, wiesz dobrze, że prędzej czy później i tak spotkamy się na tym samym łez padole. A póki co, życz mi powodzenia!

\*

Nie mogłem po prostu iść z pustymi rękoma, postanowiłem więc coś kupić - wybór padł na damską bieliznę. Nie mając zbyt dużego pojęcia o tego rodzaju asortymencie, uznałem, że zakupy mogą okazać się szalenie pouczającym doświadczeniem. Wybrałem się do La Sentita, chcąc uniknąć eksploracji jakichś typowych sex shopów (La Sentita specjalizowała się w eleganckiej i dystyngowanej bieliznie - przynajmniej mi jako taka właśnie się jawiła).

- Mogę w czymś pomóc? - zaoferowała się sympatyczna dziewczyna w muzułmańskiej chuście na głowie.

- Pracujesz tu? - spytałem dla pewności, a ona potwierdziła skinieniem głowy.

- Dziwne... - bąknąłem.

- Co dziwne, proszę pana?

- Eeee... Nic - zbyłem jej pytanie, nie chcąc poruszać drażliwych kwestii.

- Więc, mogę w czymś pomóc?

- Ah, szukam czegoś... - zaciąłem się.

- Bielizny damskiej?

- Tak, dobrze... wnioskujesz - wydobyłem z siebie.

- Poznaję takie przypadki - odpowiedziała, uśmiechając się wdzięcznie.

Jakie „przypadki”? - miałem ochotę zapytać.

- Coś na osobę dość chudą, ale... z całkiem sensownym rozmiarem, tak, żeby... - bełkotałem.

- Rozumiem, proszę za mną do innej sekcji. - Poprowadziła mnie w stronę bocznej części sklepu.

- Proszę poszperać, a jakby pan miał jakieś pytania, to będę w pobliżu. Przymierzalnie są tam... - Wykonała półobrót ręką.

- Zaraz, zaraz... - Pokręciłem głową. - Chyba się nie rozumiemy.

Nasi klienci czują się komfortowo niezależnie od swoich preferencji - rzuciła formułką z wyuczonym taktem.

- Nie dysponuję rozmiarem...

- Dlatego może pan skorzystać z przymierzalni - powtórzyła.

- Bierzesz mnie chyba za kogoś innego. - Przez moją głowę przeszło pewne podejrzenie.

- Proszę się nie tłumaczyć, dla mnie to jest naprawdę bez znaczenia. - Jej spokojny ton jeszcze bardziej wyprowadzał mnie z równowagi.

- Ale ja chcę podkreślić...

- Nie musi pan!

- Ale chcę.

- To proszę.

- Nie jestem żadnym trannie, nic w tym stylu. Po prostu moja dziewczyna... eee... zamierzam jej zrobić niespodziankę... a znamy się niedługo i...

- Dobrze, jeśli teraz czuje się pan lepiej, to miło było mi pomóc. Życzę udanych zakupów.

- Właściwie, to odechciało mi się już zakupów. - Westchnąłem. - Jak trafić z powrotem do wyjścia? Tak z ciekawości, twój tata i mąż wiedzą, że tu pracujesz? Bo ja mogę im powiedzieć, może wypchną cię za to przez okno...

## **Ostatni odcinek latynoskiej telenoweli**

- Wynajęłaś pokój? - spojrzałem z uznaniem na Silwianę. - Doceńmiam to...

Zdawałem sobie sprawę, że zabrzmiałem szalenie pretensjonalnie.

- Chciałam, żebyśmy mieli trochę spokoju... Trochę intymności. - Patrzyła mi głęboko w oczy, a moje serce - i nie tylko - pulsowało.

- Sporo musiało cię to kosztować... - stwierdziłem niby przypadkiem, tak naprawdę chcąc upewnić się, czy aby na pewno zapłaciła za rezerwację.

- Naprawdę niedużo, mój tata się wszystkim zajął.  
- Poprosiłaś tatę, żeby zaaranżował dla nas pokój hotelowy? - spytałem zdumiony.

- Nie, głuptasie, powiedziałam mu, że potrzebuję pokoju na kilka godzin nauki, bo tam, gdzie mieszkamy, coś remontują na ulicy i nie mogę się skupić... - wyjaśniła.

- Jesteś pewna, że ten pokój jest opłacony?

- Dlaczego wciąż pytasz? - zniecierpliwiła się lekko. - Mój tata opłaca moje zachcianki.

- Wybacz, ale... Dlaczego nie powiedziałaś, że tak dobrze stoisz, w restauracji, wtedy tam... Mogliśmy, no wiesz, podzielić... rachunek... W końcu ja... jestem tylko pracownikiem cateringowym, było nie było...

- Masz z tym jakiś problem, Tomasz? To punkt honoru dla faceta, żeby zapłacić za pierwszy wspólny posiłek - nawet w kraju Trzeciego Świata, takim jak Boliwia, byle Indianin o tym wie.

- Jakie ty masz piękne oczy - zmieniłem czym prędzej temat. - Wiem, że nie jest to najszczęśliwszy komplement, ale najchętniej wyłupałbym je i przywłaszczył, żeby nie spuszczać z nich wzroku...

- Tomasz, jesteś dziwny, ale podobasz mi się. - Chwyciła mnie za rękę, kierując się w stronę pokoju.

Dałem się prowadzić jak dziecko, rozmyślając nad tym, co za chwilę się stanie. Na korytarzu minęliśmy jakąś starszą kobietę, która na nasz widok najpierw uśmiechnęła się pod nosem, a potem powiedziała niby do siebie:

- Niektórzy ojcowie są naprawdę cudowni dla swoich córek.

- Znasz ją? - zapytałem, nie rozumiejąc za bardzo, o co mogło starej chodzić.

- Niby skąd?

- To skąd wiedziała o twoim ojcu?

- Daj spokój, wiesz przecież, o co jej chodziło - odrzekła wyraźnie rozbawiona. - Mogę mieć dziewiętnaście lat, ale wyglądam na niewiele więcej niż siedemnaście! Tak to jest z Latinami.

- Ależ, ale... Jeśli ty wyglądasz na siedemnaście, to ja muszę wyglądać na co najmniej trzydzieści pięć, sześć, żeby cię ktoś nazywał moją córką! Czy ja naprawdę aż tak starzeję się z wyglądu? - zmartwiłem się.

- Czy mi się wydawało, czy błysnął flesz? - spytała nieoczekiwanie.

Zatrzymała się i czujnym wzrokiem przebiegła po wszystkim, co znajdowało się wokoło.

- Nie wiem, nic nie widziałem. - Zdziwiony jej pytaniem wzruszyłem ramionami.

Kiedy tylko wyłądowniliśmy w przestronnym pokoju hotelowym, prawie natychmiast zaczęła mnie rozbierać - rzuciła się na mnie niczym wygłodniały lew, który rzuca się na bezbronną gazelę. Wyśmiała mnie, kiedy wyjąłem z kieszeni czekoladowego kondoma:

- Nie znoszę czekolady, mam wręcz uczulenie! Zapomnij!

- To co my teraz zrobimy? Nie mam innych. Muszę zejść na dół i coś kupić - zafrasowałem się.

- Zwariowałeś? Ja biorę pigułki, nie ma problemu... - Kusiała mnie ponętnymi piersiami.

- Ale, tu nie chodzi tylko o ciążę...

Na razie w pojedynku szachowym pomiędzy zdrowym rozsądkiem a penisem zaistniał swoisty pat.

- Chcę, żebyś coś dla mnie założyła... - Zacząłem wyjmować z plecaka kupioną dla niej bieliznę.

Przyjrzała się uważnie mojemu podarunkowi.

- Mój pierwszy stanik - przeczytała ze śmiechem. - Chyba nie sądziłeś, że...

- Pokaż! - Wyrwałem go z jej ręki, żeby upewnić się, że nie zmyśla.

- Przepraszam, Silviana. Nie wiedziałem, że tam jest ta przeklęta etykieta. Szczerze mówiąc, myślałem, że są dość pojemne...

Zaczęła mnie namiętnie całować. Intrygujące, od dawna już nikogo nie kręciła tak moja nieporadność.

- To co z tym zabezpieczeniem? - zapytałem.

- Po prostu mi zaufaj... - Objęła mnie ramionami i przyssała się do mojej szyi, jakby była nie z La Paz, a z Transylwanii.

Z założenia nie ufałem nikomu, a już na pewno nie komuś, kto brał pigułki antykoncepcyjne będąc nastolatką i zaciągał do łóżka na drugim spotkaniu takiego nieudacznika jak ja. Popęd rządzi się jednak swoimi prawami, toteż dość szybko penis odzyskał przewagę i w końcu odniósł spektakularne zwycięstwo nad zdrowym rozsądkiem. Kochaliśmy się bez zabezpieczenia ponad dwie godziny z przerwami.

Kiedy wychodziliśmy z hotelu, Silviana przypomniała sobie, że zostawiła w pokoju papierosy.

- Pójść po nie? - zaoferowałem się, mając nadzieję, że nie odpowie przecząco.

- Zostawiłam pieniądze u ojca, pożycz mi dyche, kupię sobie. Szkoda zachodu dla połowy paczki.

- Naprawdę mogę pójść...

Moja motywacja została pobudzona, gdyż wołałem już przejść się z powrotem do pokoju hotelowego, niż pożyczać pieniądze, szczególnie komuś, kto za kilka dni miał wylądować na odległym kontynencie.

- Pożyczysz mi? - spytała zniecierpliwiona.

Przypomniały mi się słowa Aleksa. Była warta znacznie więcej niż dziesięć funtów, nie mogłem robić z siebie chama. Wyciągnąłem portfel i wydobywszy z niego banknot, w wielkopańskim geście wcisnąłem go w jej dłoń.

- Dzięki. - Uśmiechnęła się anielsko i skierowała w stronę pobliskiego deli.

Tym razem to mnie się wydawało, że coś błysnęło. Będę musiał z nią na ten temat później porozmawiać. O co w tym wszystkim właściwie chodzi?

\*

- No proszę! - Alex poklepał mnie po plecach, kiedy skończyłem opowiadać mu całą historię. - Wreszcie coś się ruszyło, jestem pod wrażeniem!

- Ruszyło? Taka fajna dziewczyna, a zostało nam tylko kilka dni! - Nie kryłem rozgoryczenia.

- Wykorzystaj ją do szpiku kości i zapomnij - doradzał cynicznie Alex.

- Wiesz, że taki nie jestem... Ja w przeciwieństwie do ciebie mam klasę... Nie, zapomnij, nie mam klasy. Jesteśmy tacy sami. Po prostu jestem desperatem i jak tylko jakaś dziewczyna się mną zainteresuje, to najchętniej zaraz prosiłbym ją o rękę, bojąc się, że za chwilę mi ucieknie. A ona jest taka fajniutka, że naprawdę żal będzie się żegnać. Chyba że namówię ją na studiowanie w Londynie! Fajnie byłoby mieć ją przy sobie...

- Chcesz ustawić jej życie, żeby mieć ją przy sobie? A co, jeśli ona ci się znudzi? Powiesz jej, żeby przerwała studia i wróciła do Boliwii? - wyrażał głośno swoje wątpliwości.

- Znudzi, dlaczego zaraz znudzi? - Rozłożyłem ręce. - Owszem, są rzeczy, które mi się w niej nie podobają, ale to się da wyjaśnić...

- Jak co na przykład? - dociekał.
- Jak pigułki. Taka młoda dziewczyna na pigułkach...
- Tomek, obudź się, w niektórych krajach pigułki zapisuje się już trzynastolatkom, a tu masz już, było nie było, dorosłą pannę!
- Jestem dość konserwatywny, nic na to nie poradzę...
- Nie dość, skoro wprowadziłeś jej wczoraj czekoladową niespodziankę! - Chichotał.
- Oj, kurwa. - Zdenerwowałem się. - Nie wiem, co ty masz z tymi czekoladowymi kondomami. Możesz sobie je wziąć, bo jak na razie to przynoszą mi pecha. No dalej, weź całą cholerną paczkę.
- Ale przecież wczoraj... - Spojrzał na mnie pytającym wzrokiem.
- Nie, nie, nie. Nie użyłem ich, jeśli chcesz wiedzieć.
- Chcesz powiedzieć, że uprawiałeś seks bez gumki? W dobie AIDS? - Puknął się w czoło.
- Wygląda na porządną dziewczynę... - głupio starałem się sam pocieszyć.

Momentalnie uświadomiłem sobie nieodpowiedzialność swojego zachowania i możliwe skutki tego wybryku.

- Porządna dziewczyna? Która porządna dziewczyna bierze pigułki i umawia się na pierdolenie z facetem starszym od niej o ponad dziesięć lat?

Szuja. Przewrotnie posłużył się moim własnym argumentem, do którego wcześniej odniósł się przecież lekceważąco. Zacząłem zadrećcać się nieprzyjemnymi myślami: chłamydia, syfilis, żółtaczka zakaźna typu B, HIV - co takiego mogło się do mnie przyplątać za jej pośrednictwem? Z iloma innymi facetami dała się porwać namiętności, i czy za każdym razem tak dogmatycznie sprzeciwiała się użyciu prezerwatywy? Musiałem z nią na ten temat porozmawiać, i to jak najszybciej, żeby tylko rozproszyć to kłębowisko myśli, które opanowało mój umysł i sparaliżowało mnie strachem przed chorobą.

Tak, na pewno wyjdzie coś w końcu ze scenariuszem, a jednocześnie okaże się, że jestem nosicielem jakiegoś przekłętego świństwa i swój przyszły sukces przyjdzie mi oglądać ze szpitalnego łóżka... A w czasie, kiedy „schorowana” Helena będzie pisała dalsze odcinki, ja będę pisał swój testament... I przyjdzie ta świadomość, że przegrałem wszystko, co wreszcie było w zasięgu ręki, przez jeden głupi błąd - chwilę słabości, która nijak miała się do kanonu moich zachowań.

Tylko co ja powiem Silvianie? Jak ją o to zapytać, żeby jej nie urazić?

Silviana zadzwoniła pierwsza. Nie pozwoliła mi nawet na wypowiedzenie tradycyjnego „jak się masz”, przechodząc od razu do rzeczy:

- O mój Boże, nie uwierzysz, co się stało. Pamiętasz ten błysk, o którym ci mówiłam?

I nie czekając na moją odpowiedź, kontynuowała:

- Okazało się, że przyjechali za nami dziennikarze takiego lewackiego boliwijskiego brukowca...

Tutaj wymieniła jakąś zabawnie brzmiącą nazwę.

- Śledzili mojego ojca i mnie po całym Londynie. Dzisiaj się ukazał artykuł, że... że...

Wybuchnęła nagle płaczem.

- Że co? Dokończysz, czy mam zgadywać?

- Że się prostytuowałam w Londynie... Że niby ty byłeś moim klientem... Jest nawet zdjęcie, jak wręczasz mi pieniądze...

- Jestem na zdjęciu w gazecie? Na pierwszej stronie? A ile ten dziennik ma nakładu? - Ucieszyłem się.

- Tomasz, przestań! Zrobili ze mnie dziwkę! Poza tym wiesz, co to oznacza dla mojego ojca? Usta pełne chrześcijańskich frazesów, a tu coś takiego! Jego kariera i przyszłość są zagrożone! Bez jego pieniędzy będę niczym, rozumiesz?

- Możemy to wyjaśnić. Powiem, że jesteś moją dziewczyną i tak dalej... - pocieszałem ją.

- I co to zmieni? Przecież jak już raz kogoś obrzucą błotem, to potem tak już przylgnie - histeryzowała.

- Są przecież sądy - przypomniałem. - Wnioskuje, że macie niezawisłe sądownictwo w Boliwii. Czy to może jakaś fikcja, jak na kraj Trzeciego Świata przystało?

- Procesy, kto się bawi w procesy? Do ludzi przemawiają obrazki i sensacja, a nie wyroki niezawisłych sądów, rozumiesz?

Fascynująca dziewczyna, gdzie by szukać drugiej takiej dziesiętnastolatki z tego rodzaju publicystycznymi puentami, w dodatku jakże trafnymi!

- Silviana, przykro mi, jestem pewien, że wszystko się ułoży. Zobaczymy się jeszcze? - spytałem drżącym głosem.

- Chciałabym oczywiście, ale na razie sporo się dzieje - odparła.

- Zostało nam niewiele czasu.



- Wiem... - przytaknęła.
- Silviana, czy ty... czy... - urwałem.
- Co?
- Silviana - zacząłem ponownie. - Może byśmy poszli do... szpitala...
- Po co? - spytała podejrzliwie.
- Wczoraj daliśmy się porwać namiętności, poszliśmy na całość... Mam nadzieję, że nie przekazaliśmy sobie nic ekstra...
- Co masz na myśli? Możesz wyrażać się trochę jaśniej?
- Wiesz, żyjemy w dobie... chorób wenerycznych... nigdy nie wiadomo, czy na przykład, oczywiście nie mając tego świadomości, nie masz...
- Dlaczego ja? A ty? Skąd wiesz, czy ty czegoś nie masz? Bo co, bo niby, jak jestem z Ameryki Południowej, to jestem bardziej podejrzana niż ty, polski londyńczyk? - Jej ton stał się agresywny.
- Silviana, wybacz, nie miałem tego na myśli. Ja... ja po prostu wiem za siebie, moje życie seksualne zamyka się w liczbie palców jednej dłoni... no nie... nie w tym sensie... - motałem się.
- Wiesz, to było wczoraj widać. Myślałam, że jesteś ciekawą osobą, ale grubo się myliłam. Żegnaj.

\*

do [ania.perucka2@wp.pl](mailto:ania.perucka2@wp.pl)

od [tomasz\\_pl@yahoo.co.uk](mailto:tomasz_pl@yahoo.co.uk)

Wszystko się kiedyś kończy. Dla mnie codziennie się coś kończy. Jak śpiewał Morrissey: "My life is a succession of people saying goodbye".

Tomasz

## **Wielki dzień Ahmeda**

Nadszedł sądny dzień dla Ahmeda. Nie wiem, czy wszyscy staraliśmy się tak bardzo mu pomóc w poczuciu solidarności, czy też może bardziej chcieliśmy przypiecztować jego odejście. W każdym razie sklep lśnił czystością, wszystko było poukładane wręcz przesadnie symetrycznie, każda śrubka była dokręcona.

Alice, Angielka, która była jedną z grubych ryb w head office (odpowiedzialnych za politykę kadrową), spóźniła się ponad piętnaście minut, po czym usprawiedliwiała się kłótnią z konduktorem na routemasterze. Po co w ogóle wdawała się w takie detale, kogo to właściwie obchodziło? Pokłóciła się na routemasterze - czyżby chciała dać wyraz swojej niechęci do londyńskiej ikony, która i tak niedługo miała stać się historią, bo Livingstone, czy kto tam inny był za to odpowiedzialny, stwierdził, że zapchane do granic przyzwoitości, nagrzane jak sauna gaśienicowate autobusy będą bardziej wygodne i bezpieczne? A wszystko w imię patologicznej troski instytucji o obywatela... Jakże wybiórcza była to troska - to, że ktoś wyskoczy z otwartego autobusu i złamie sobie nogę, było znacznie większym zmartwieniem urzędników, niż to, że na ulicach Camden dealerów jest prawie tyłu, że bez trudu mogliby zaopatrzyć pół Londynu.

Alice przywitała się najpierw z Anthonym, potem z Ahmedem i jeszcze z Sonią, do poziomu mrówek się oczywiście nie zniżając. Rzuciłem jej chłodne, pełne dystansu spojrzenie, żeby przypadkiem nie pomyślała, że się jej boję, czy też czuję do niej jakikolwiek respekt tylko z tego powodu, że pracuje w head office.

Godzinę później, kiedy przebierałem się w pomieszczeniu pracowniczym, Alice weszła niespodziewanie do środka i zagadała mnie:

- Jak się miewasz?

Pytanie obrzydliwie mdłe.

- Dobrze, a ty?

- Znakomicie.

- To dobrze.

- Słuchaj, chciałabym zapytać o Ahmeda. Co o nim sądzisz? - Natychmiast stało się jasne, dlaczego w ogóle zadała sobie trud rozmowy ze mną.

- Chłopak ma wiedzę i duży potencjał. Oczywiście nie jest najłatwiejszy we współzyciu, ale trzeba wziąć pod uwagę, skąd pochodzi...

- Z Birmingham? - Nie pojęła mojej aluzji.

- Mam na myśli Turcję. On urodził się i wychował w Turcji, niech cię jego znakomity angielski nie zmyli... Ale nie zrozum mnie źle - nie mam nic przeciwko Turkom. To zaradny naród, mają duże możliwości, a ich imperialna przeszłość tylko to potwierdza.

- Myślałam, że urodził się tutaj... - zawiesiła głos.

- Co za różnica? - Wzruszyłem ramionami, wpatrując się w nią pytającym wzrokiem.

- Żadna - przyznała. - Bo papiery... zakładam, że papiery ma w porządku.

Dokąd to wszystko prowadziło? Nie miałem ochoty kontynuować rozmowy, która wydawała się zupełnie niepotrzebna, przynajmniej z mojego punktu widzenia. Dlaczego to właśnie ja miałem wystawiać świadectwo Ahmedowi? A może ona mnie tak naprawdę podpuszczała - może chodziło jej o to, żebym się nakręcił i palnął jakąś gafę, która byłaby na tyle niestosowna, że dałaby jej powód do zwolnienia mnie w trybie natychmiastowym? Może po niefortunnym występie w centrum rekrutacji zostałem przeznaczony do odstrzału? Bo dlaczego do cholery wybrała właśnie mnie do rozmowy na temat Ahmeda, i dlaczego miałem wrażenie, że w pewnym sensie mnie prowokowała?

Chciałem, żeby zostawiła mnie w spokoju, tym bardziej że miałem na sobie bokserki o rozmiar za duże i często gdy zmieniałem spodnie, uważny obserwator mógł dostrzec fragment mojego penisa. Ale ona stała przy mnie natrętnie i jak zahipnotyzowana gapiła się w sufit, oczekując zapewne, że za chwilę ponownie rozwiąże mi się język.

\*

Ahmed oczywiście dostał swój upragniony awans. Jeszcze tego samego dnia wspólnie świętowaliśmy jego sukces. Kolejny raz byłem świadkiem szczęścia kogoś innego, sam będąc ubabrany w nieskończonej mizarii swojego życia.

Celebrowaliśmy w pubie. Pierwszą kolejkę postawił Ahmed - trudno się było dziwić tej rozrzutności, w końcu jego zarobki miały wkrótce gwałtownie podskoczyć. Drugą kolejkę miał kupić Robert. Tutaj jednak wszyscy mieliśmy się odpowiednio dorzucić. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że nie miałem monet. Ale nie ma tego złego - przypominało mi się stare pięć funtów (pozaobiegowe i wymienialne tylko w banku), którego nikt nie chciał zaakceptować (nawet kiedy próbowałem wciskać je tępo wyglądającym sprzedawcom imigrantom w jakichś obskurnych budkach z pączkami, czy innym świństwem). Pomyślałem, że wcisnę je Robertowi, a on przyniesie je z powrotem, niezaakceptowane i w ten sposób znowu napiję się za darmo. Robert wrócił z alkoholem, ale już bez moich pieniędzy. Kiedy towarzystwo zaczęło znowu się zalewać, podszedłem dyskretnie do Słowaka i szepnąłem mu do ucha:

- Przyjęli tego piątką?  
- O czym ty mówisz? - Zmarszczył brwi.  
- Te pięć funtów, które ci dałem, przyjęli je?  
- Słuchaj, nieważne, nie martw się - odpowiedział lekko zamroczony.

- Ja się nie martwię teraz, ale martwiłem się wcześniej, że nie przyjmą - próbowałem desperacko podtrzymać temat.

- Słuchaj, nie ma sprawy, naprawdę!

Machnął lekceważąco ręką, zupełnie nie rozumiejąc w czym rzecz.

- Właściwie jest, skoro przyjęli, to gdzie jest reszta? Nie chcesz chyba powiedzieć, że pint jakiegoś zasmarkanego piwa kosztuje teraz pięć funtów? - zdobyłem się na szczerłość.

I choć wydawało mi się, że mówiłem dość cicho, to w jednym momencie wszyscy zamilkli, a ich spojrzenia skoncentrowały się na mnie.

- Zasmarkanego piwa? Czeskie piwo jest najlepsze na świecie! - Wściekł się. - Chcesz swoją resztę? Proszę bardzo, twoja reszta...

Wyciągnął z kieszeni garść monet i ostentacyjnie rzucił je na stół. Próbowałem zaprotestować, ale było już za późno. Po chwili zaczął zbierać je ze stołu, jedną po drugiej, licząc je głośno:

- Jeden, dwa, dwa pięćdziesiąt, trzy, trzy dwadzieścia... masz, jeszcze do czterech i pięciu... Ja stawiam, przecież tak naprawdę o to ci od początku chodziło!

- Spokojnie... spokojnie... - próbował go powstrzymać Ahmed.

Ale rozwścieczony Robert nie dał się już udobruchać. A najgorsze było to, że cała wina spadła jak zwykle na mnie i to ja byłem znowu czarną owcą w szczęśliwej rodzinie pracowników naszego sklepu.

\*

## Miniepilog

W następny poniedziałek doszło do szokującego wydarzenia - Ahmed został zwolniony z natychmiastowym skutkiem. Pociągnąłem Sonię za język. Okazało się, że dokładna kontrola jego papierów wykazała poważne nieprawidłowości - jego rzekome obywatelstwo brytyjskie okazało się picem na wodę (tak naprawdę był w Anglii na

tymczasowej wizie studenckiej, która wygasła już ponad rok temu). Trudno było powiedzieć, czy jego papiery były sfałszowane, czy też wprowadził ich w błąd w jakiś inny sposób; nie wiedziałem też, jak do tego doszli. Jedno pytanie niepokoiło mnie jednak w sposób szczególny; właściwie to nie było nawet pytanie, a raczej świadomość winy połączona z wyrzutami sumienia - przyszła mi na myśl moja rozmowa z Alice i ta niepotrzebna wzmianka o Turcji...

Byłem niebezpieczny, rujnowałem życie nie tylko sobie, ale też innym. Generalnie nie miałem litości dla nielegalnych imigrantów, ale akurat Ahmed zasługiwał tak na szacunek, jak i na swoją szansę - o tym byłem święcie przekonany.

Szkoda chłopaka. Mam nadzieję, że jakoś ułoży sobie życie. Nigdy nie darowałbym sobie, gdyby deportowali go do Turcji. Założę się, że Niemcy tak szybko nie wypuszczą Turcji do Unii Europejskiej.

## **Elegancja tolerancja**

Robert płakał. Rosły chłopak zalewał się łzami - oczywiście musiało to wyglądać dziwnie, nawet jeśli płacz był rzeczą tak uniwersalną jak śmierć. Sonia powiedziała mi na stronie, że zmarł jego dziadek.

- Wydawało się, że już jest z nim lepiej, ale niestety... - mówiła z wyraźnym fałszywym współczuciem.

Miałem wrażenie, że przez twarz przeszedł jej podły uśmiezek.

- Może rzeczywiście było już lepiej, ale dowiedział się jakoś, że wnuk ma czarną dziewczynę i to go rozłożyło. Znasz mentalność starych ludzi w tym zakątku Europy... No, nie znasz, ale możesz się domyślić albo uwierzyć mi na słowo... - Nie wiem dlaczego, ale naszła mnie ochota na niestosowne komentarze.

Patrzyła na mnie w dziwny sposób, a po chwili w jej oczach błyskała już jakaś diabelska iskra, tak jakby miała zaraz wybuchnąć śmiechem albo oczekiwała na ciąg dalszy z mojej strony.

- No nie patrz tak na mnie. - Wyciągnąłem przed siebie ręce. - Ja żadnego anonimu nie wysyłałem na Słowację.

- Widzę, że macie świetną zabawę. - Nagłe pojawienie się Octavii

zmroziło mi krew w żyłach. Zupełnie nie wiem, skąd się wzięła i jak wiele zdołała usłyszeć.

- Rozmawialiśmy właśnie, jak możemy pomóc Robertowi - chrząknąłem, nie brzmiąc wcale przekonująco.

- Po prostu trzymaj się od niego z daleka - odpowiedziała stanowczym tonem Octavia.

Sonia śmiała się ostentacyjnie, a ja paliłem się ze wstydu. Kiedy Octavia wreszcie sobie poszła, nie omieszkąłem podzielić się z Sonią czymś, co mnie od zawsze dręczyło.

- Posłuchaj, to trochę niesprawiedliwe, że czarnoskóry może się czerwienić ze wstydu i nikt tego po nim nie pozna, a ja zawsze zostaję przyłapany na kłamstwie.

- Poskarż się komisji równości, czy czemuś takiemu - odrzekła z sarkazmem, po czym zaczęła się rozglądać za kartką z zamówieniami.

Był to dla mnie sygnał, że część mózgu Soni wyprana przez kursy w head office Super Quality Foods zaczyna przejmować kontrolę nad sensowną resztą. Nadszedł czas, żeby się wycofać albo udać, że szukam sobie jakiegoś zajęcia, zanim ona sama mi go nie znajdzie.

\*

Przeglądałem dziesiątki aplikacji, a Alex kręcił się wokół mnie i gadał jak najęty. W końcu skapitulowałem i dałem się wciągnąć w dyskusję. Na szczęście nie rozmawialiśmy o jego narzeczonej, ale o przejawach politycznej poprawności.

- Zawsze mnie bawią te ich dodatki o „równych szansach” - powiedziałem. - A co się stanie, jak tego na przykład nie wypełnię? Automatycznie zmniejszam swoje szanse?

- Po prostu wypełniaj. - Westchnął ciężko Alex. - Na potrzeby ich statystyk...

- Zauważyłeś, że gdziekolwiek pójdziesz, do jakiegokolwiek sklepu czy miejsca, zawsze znajdzie się jakiś margines, swoiste alibi na potwierdzenie tego, że „równe szanse” są rzeczywiście zapewniane? To w jobcentre trafi się jakiś doradca, który nie umie dobrze mówić po angielsku, za to śpiewa jakieś r'n'b, czy inne gówno, przeszkadzając wszystkim bezrobotnym... To znowu w jakimś fast foodzie zanim zjesz połowę zamówienia, już biegnie do ciebie jakaś obłąkana krowa z obsługi, pytając, czy skończyłeś i czy ona może wyczyścić stół albo wyrzucić za ciebie papierową torebkę...

- A autobusy? - Zaśmiał się Alex. - Czasami wydaje mi się, że autobusy są wizytówką equal opportunities...

- W najgorszym znaczeniu - przytaknąłem. - Ci wszyscy niekumaci kierowcy. Mógłbyś im pokazać „Timesa” zamiast biletu i by się nie skapnęli... Ty, spójrz na aplikację, jest osobna rubryka dla ludzi z Karaibów i czarnych, tak jakby czarny z Karaibów nie był po prostu czarnym albo oryginalny czarny mógł się wywodzić wyłącznie z Afryki... O co tu chodzi?

- Mnie nie pytaj. Słuchaj, a może jesteśmy po prostu ignorantami? Rasistami? Zastanawiałaś się kiedyś nad tym? - Alex zdobył się nagle na akt autodeprecjacji.

- Nie dam sobie przykleić łatki rasisty. - Machnąłem ręką. - Popatrz na to... Sex... czyli płęć...

- Słyszałaś o tym - przerwał mi nagle Alex - że jakiś Polak w Ameryce wypełniał formularz przy wjeździe i w rubryce sex zamiast zaznaczyć płęć wpisał: I like!

- Nie przerywaj mi, ja ci nie przerywałem... Mam coś niesamowitego! Zobacz! Płęć - mężczyzna, kobieta i inne. Możesz wpisać, co chcesz!

- Dla transseksualistów... - bąknął.

- Ale po co? Transseksualistą stajesz się po to, żeby przejść do drugiej drużyny - odparłem. - Więc zaznaczasz tę drużynę, do której przeszedłeś!

- Ale wiesz co - zastanawiał się głośno Alex - mówi się o transseksualistach, ale tak naprawdę to tylko faceci, którzy przerabiają się na kobiety, rzadko albo nigdy odwrotnie.

- Po co odwrotnie? - Wzruszyłem ramionami. - Przecież jeśli kobieta czuje się facetem, to staje się lesbijką. A potem zdarzają się pomyłki! Czasami normalnie nie jesteś w stanie odróżnić.

- A ty coś o tym wiesz!

Najwidoczniej opowiedziałem mu wcześniej historię z Covent Garden.

- Słuchaj, ale zapomnieliśmy o czymś takim, jak shemales. - Chichotałem, przywołując kolejne wspomnienie. - Zresztą do niedawna nie wiedziałaś, że w ogóle coś takiego istnieje!

- Zamknij się! Muszę skoczyć do banku. - Podniósł się i zostawił mnie samego z tymi pieprzonymi aplikacjami, w momencie, kiedy tak dobrze mi się rozmawiało.

References. Nienawidziłem tego wymogu.

## Ostateczne wyjście

Nie miałem innego wyjścia, jak tylko ewakuować się z Super Quality Foods - gdziekolwiek, i to w ekspresowym tempie (byle tylko nie z powrotem do „jedzenia”). W końcu, po wzmorzonych wysiłkach, znalazłem pracę w Starmanie, sklepie papierniczo-biurowym. Proces rekrutacji przeszedłem nadspodziewanie bezproblemowo - po prostu nakłamałem w ich formularzu aplikacyjnym o mojej rzekomej pracy w Nowym Jorku w PaperOffice, wymyślonej przeze mnie sieci sklepów, a podczas rozmowy kwalifikacyjnej podniecałem się swoją znajomością długopisów i innego badziewia (inna sprawa, że gdyby zadano mi konkretne pytanie, leżałbym na łopatkach, bredząc coś na temat bica i parkera, bo nic innego nie przyszłoby mi do głowy).

Czekałem na ten dzień bardzo długo, więc nie omieszkalem trochę pocelebrować swojego sukcesu. Wręczyłem Anthony'emu wymówienie i spojrzałem mu w oczy z nieukrywaną satysfakcją. Ale on wzruszył tylko obojętnie ramionami i mruknął:

- Spodziewałem się tego, nie wiedziałem jednak, że tyle ci to zajmie. Japończycy popełniali seppuku, czy harakiri, jakkolwiek się to nazywało, a po tym, co stało się z Ahmedem, traktuję to jako twoje swoiste, spóźnione seppuku.

- Harakiri - poprawiłem. - Z seppuku ma się do czynienia w przypadku, kiedy...

- Zawsze lubiłeś za dużo gadać - przerwał, okazując brak zainteresowania.

- Wiesz, kiedyś taki Amerykanin opowiadał mi kawał o polskich lotnikach kamikaze... Ja lubię Amerykanów, ale wtedy sobie pomyślałem: mój Boże, to rzeczywiście głupi naród. Zaglądać do rozporzeka swojemu prezydentowi, wyklądać feminizm na uniwersytetach, a teraz jeszcze robić z naszych orłów furiatów, krzyczących bonzai. Nie do pomyslenia.

- Znalazłeś coś? Mam na myśli jakąś pracę... Czy idziesz na bezrobocie? A może wracasz do Polski? Co na jedno wychodzi...

- Znalazłem, o mnie się nie martw. - Uśmiechnąłem się triumfalnie. - Będę pracował w Starmanie.

- I z tego powodu tak się cieszysz? - Prychnął nieoczekiwanie śmiechem. - Zamieniasz kanapki na zeszyty i stąd tyle satysfakcji?



- Co? - Zmrużyłem oczy.
- Przecież wiesz, że masz dyplom i coś powinieneś z tym zrobić. Dziwię się, że do tego tylko sprowadza się ta zamiana. - Jego słowa przeszły mnie na wylot. Osiągnął swój cel, sprowadzając mnie do parteru.
- Ale przynajmniej już się nie ubabram w majonezie i nikt mi nie powie: „masz pięć minut na pozmywanie po sobie” - odpowiedziałem.
- Och, Tomasz! - Machnął ręką, chcąc najwyraźniej uciąć dyskusję. - Jak już powiedziałem, nikt cię tu nie trzyma i nikt nie będzie szczególnie za tobą tęsknił. Mimo wszystko, powodzenia. Teraz przynajmniej będziesz miał papier, żeby pisać swoje scenariusze.
- Jesteś taki gorzki, bo chciałeś mi sam dać wypowiedzenie, a nigdy nie było na mnie haka, co? - odparowałem bezceremonialnie.
- Tak sobie tłumacz. - Odwrócił wzrok. - A teraz wybacź, może zabierzesz się do pracy, w końcu wciąż jeszcze utrzymujesz się ze swojej papraniny tutaj.
- Aha, przypomniało mi się coś jeszcze - powiedziałem. - Wisisz mi za wakacje...
- Przecież ci wypłacę, myślisz, że mnie nie stać na ekwiwalent jednego dnia? - Zaśmiał się szyderczo.
- Właściwie to dwóch i wiem, że cię stać. Sporo się naoszczędzałeś przez ten czas - zauważyłem złośliwie. - Jeszcze jedno. Mystery Shopper. Dostałem w tym tygodniu nagrodę. Dwadzieścia funtów w gotówce. Kiedy zamierzałeś sobie o tym przypomnieć?
- Ale ty jesteś, kurwa, upierdliwy. - Stracił nad sobą panowanie i wyciągnął z kasy pieniądze.
- Co to? - Przyglądałem się uważnie banknotowi.
- Dwadzieścia funtów. - Widziałem, jaką satysfakcję przynosi mu ten postępek. - Funtów szterlingów.
- Dlaczego akurat musisz mi dawać w szkockim banknocie? - zapytałem wprost. - Masz przecież cały plik angielskich dwudziestek!
- Nie wiem, czemu narzekasz, w końcu to prawny środek płatniczy.
- Niby tak, ale nikt nie lubi tych pieniędzy, są wrzodem na dupie. W każdym sklepie ogląda się je z dziesięciu stron, pod każdym kątem, podejrzewając, że są wycofane z obiegu albo fałszywe.
- Bierzesz, czy nie?
- Zacisnąłem zęby i wyrwałem mu z ręki banknot. Znowu triumfował.

\*

No i koniec, kropka, finito. Jeszcze jedna tura pożegnań, która nie zrobiła już na nikim żadnego wrażenia. Ostatnia kawa, kiedy wychodziłem, której towarzyszył żart Anthony'ego, że tak naprawdę nie jestem już pracownikiem firmy i powinienem za nią zapłacić.

Tak kończyła się moja przygoda z Super Quality Foods.

## Na gorącym uczynku

W Starmanie były trzy grube zwierzchniczki, każda z nich licząca sobie ponad czterdzieści wiosen, dwóch Bangladeszów i kilku angielskich nastolatków bełkoczących czymś w rodzaju slangu przemieszanego z cockneyem. Słowem - koszmar. Układałem na półkach teczki i segregatory, ścierałem kurz z niszczarek dokumentów i podchodziłem do klientów, pytając ich, czy mogę w czymś pomóc.

Co ja tu właściwie robiłem - po raz kolejny uciekłem z deszczu pod rynną. Pieprzony Anthony wiedział, co mówi... Najbardziej irytowała mnie generalna menedżerka, która chwaliła się, że pracuje tutaj od piętnastu lat. Kto mógł w takim miejscu wysiedzieć piętnaście lat? Grzechem byłoby zostać dłużej niż dwa, a i to pod warunkiem że miało się na karku mniej niż trzydziestkę.

\*

W Starmanie uczulano nas na to, żebyśmy zapobiegali kradzieżom w sklepie. Problem strat handlu detalicznego w związku z praktyką wynoszenia przez „klientów” (a także pracowników) różnego rodzaju rzeczy - mierzony był w miliardach funtów i żadne miejsce nie było bezpieczne od tego typu złodziejskich praktyk. Owszem, szeregowi pracownicy często potrafili przymykać oczy albo nie wykazywać dostatecznej czujności, ostatecznie pensja minimalna nie rozbudzała w nikim potrzeby bycia sklepowym policjantem i użerania się z pyśkatymi dzieciakami albo konfrontowania się z niebezpiecznym elementem, ale ja, wiedziony imperatywem moralnym, postanowiłem skrupulatnie wypełnić obowiązek chronienia sklepu przed tego rodzaju stratami.

Wyczułem go. Rzucił mi się w oczy, choć nie od razu. W końcu był starannie przystrzyżony i pachnący drogą wodą kolońską, w ogóle bardzo zadbany, ubrany w elegancki garnitur, niczym nie odróżniał się od pracownika biurowego, jakich przez sklep przewijały się codziennie setki. Podejrzeń zacząłem nabierać, gdy zobaczyłem, jak porównuje dwa oprawione w skórę organizery. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby przy okazji nie rozglądał się na wszystkie strony, a w końcu, zapewne uznając, że nie jest obserwowany, schował jeden z nich do przepastnej kieszeni swojego płaszcza. Zaraz potem szybkim krokiem skierował się ku wyjściu.

- Przepraszam, czy mogę w czymś pomóc? - Podbiegłem w jego kierunku i przeciąłem mu drogę ucieczki, rzucając jednocześnie wymowne spojrzenie.

- Nie, dziękuję. - Pokręcił głową, udając, że nie rozumie moich intencji.

Jego taktyka - świetnie odgrywana uprzejmość - wcale nie osłabiła mojej konsekwencji.

- Kasy są tam. - Wskazałem palcem na stanowisko kasjerskie.

- Ale ja niczego nie kupuję - w przekonujący sposób wyraził zdziwienie.

- Naprawdę? - Zmrużyłem groźnie brwi.

- Naprawdę - odpowiedział lekko zniecierpliwiony, najwyraźniej zirytowany moim uporem w dążeniu do prawdy.

- Wie pan, używając kieszeni płaszcza jako koszyka, łatwo można zapomnieć o tym, że za produkt trzeba zapłacić...

- Co ty mówisz, kurwa, co? - Nagle stał się agresywny.

- To pozwól, że powiem ci formułkę...

W tej sytuacji nie pozostawało mi już nic innego, jak tylko oficjalnie wysunąć przeciwko niemu oskarżenie o kradzież.

- Jaką formułkę? Śpieszę się. - Spojrzał na zegarek.

- Jestem pracownikiem Starmana i zauważyłem, że schował pan organizer do kieszeni, a następnie chciał się z nim oddalić. Czy zechce pan pójść w mojej asyście do biura menedżera, żeby rozwiązać ten problem? - wypowiedziałem wyuczony na pamięć tekst.

Byłem z siebie dumny. Powiem więcej, choć głupio się do tego przyznać, poczułem się także dowartościowany jako pracownik Starmana.

\*

Gina, generalna menedżerka, patrzyła na mnie z irytacją.

- To nasz stały klient od - niech pomyślę - dziesięciu, może jedenastu lat...

- Skąd mogłem wiedzieć, pracuję tu zaledwie od kilku tygodni. - Rozłożyłem ręce. - Wiem, że dla ciebie tacy ludzie to w pewnym sensie rodzina...

- Nie bądź bezczelny. - Oburzyła się. - Nie dość, że narobiłeś kłopotu, to teraz jeszcze mnie obrażasz... Nie ujdzie ci to na sucho.

- Posłuchaj, widziałem jak porównuje dwa organizery, a potem jeden z nich wkłada do kieszeni. Skąd mogłem wiedzieć, że przyniósł swój, tym bardziej że mamy taki w sprzedaży? Zareagowałem zgodnie z procedurą - broniłem się.

- Jak ty się tu w ogóle znalazłeś? Kiedy występowaliśmy o referencje do Super Quality Foods, to mówili, że jesteś dobrym i bystrym pracownikiem...

Pomyślałem z wdzięcznością o Anthonym.

- To chyba mnie tam nie odeślesz jako wadliwy produkt?

Czarny humor nie przypadł jej wyraźnie do gustu:

- Twoje miejsce jest w jobcentre, na stanowisku petenta, żeby była jasność. A tak właściwie to dlaczego nie wrócisz do Polski, żeby zwiększać tam współczynnik bezrobocia? - powiedziała bez pardonu.

Suka. Wiedziałem, że będzie się mnie chciała za wszelką cenę pozbyć.

\*

Godzina do zamknięcia. Co za dzień - cholernie busy. Szczęśliwie moja zmiana dochodziła właśnie do końca. Wówczas przypomniało mi się to nieszczęsne dwadzieścia funtów w postaci szkockiego banknotu - postanowiłem je wymienić u stojącego na kasie tępawego Lee, którego ulubionym zajęciem było nazywanie wszystkich gejami.

- Możesz mi wymienić? - Podałem mu banknot. - Same z tym kłopoty.

- Co to jest? - spytał podejrzliwie.

- Szkocki banknot - odrzekłem.

- Czemu chcesz go wymienić? - dopytywał się głupio i natrętnie.

- Bo mnie drażni. Po prostu. Chyba nie będzie to dla ciebie zbyt kłopotliwe? W końcu nie obsługujesz teraz ani jednego klienta. - Westchnąłem.

- Ale po co? Przecież możesz tego normalnie użyć - odparł.
  - Mogę, ale same kłopoty z tym szkockim gównem. Co to za wyraz odrębności? Szkocki funt szterling? Mają swoją drużynę piłkarską, to powinno im wystarczyć - dowcipkowałem.
  - Co ty powiedziałaś? - Najwyraźniej nie nadażał za moją ciętą ripostą.
  - Po co Szkotom funt szterling? Rozumiem, żeby to była osobna waluta, ale jaki jest sens robienia szkockiego funta szterlinga? To tak, jakby pies miał na łańcuchu wygrawerowane: „Jestem niezależny”! - Zaśmiałem się, zadowolony z obrazowego porównania, jakie przyszło mi do głowy. Ale Lee nie było wcale do śmiechu. Wyglądał wyraźnie na wzburzonego.
  - Obrażasz mnie jako Szkota - wycedził nagle, aż sapiąc ze złości.
  - Nie wiedziałem, że jesteś Szkotem... Myślałem, że jesteś Irlandczykiem...
  - Nie wolno ci mówić takich rzeczy nikomu, rozumiesz? Szkotowi, Irlandczykowi, Walijszycowi...
  - Dobrze, już dobrze, przepraszam. To co, przyjmiesz jako Szkot szkocki banknot? - Moja twarz przybrała niewinny wyraz.
  - Mówiłem ci już, że to funt szterling! - Oblał się purpurą gniewu.
  - Nieważne, wymienisz je, czy nie? - Nalegałem, potwornie zniecierpliwiony.
  - Zejdź mi z oczu, przynajmniej do jutra...
- Szczęśliwie dla niego przyszli klienci. Nie miałem wyjścia, jak tylko się wycofać. Niestety, pechowy banknot pozostał w moich rękach. A co gorsza, ja pozostałem w beznadziejnej pracy, do której miałem następnego dnia wrócić. I za dwa dni także, i za tydzień również, i za miesiąc też...
- Kompletna mizeria, tylko zamiast ogórków - buraki.

## Zejsście

Kasia poznała nas z kolegą z pracy, niejakim Dwayne'em. Był to rosty Nigeryjczyk podchodzący pod trzydziestkę i trzeba przyznać, że na tle poprzednich adoratorów naszej Polki-dajki wyróżniał się wąsko pojmovaną klasą. Nie posuwał jej na przykład u nas w domu, tylko zabierał na kolację, a potem na noc do siebie (jak mówił: „na oglądanie

telewizji”). Poruszał się nowiutkim audi, obwieszony złotymi łańcuchami, a przy tym ubrany w dobrze skrojony garnitur, emanował bogactwem - oczywiście trudno było podejrzewać, że doszedł do niego ciężką pracą w jakimś barze sałatkowym.

- Jest biznesmenem - powtarzała do znudzenia, jak mantrę, Kasia.
- Drug dealer - kwitował po cichu Alex, czyniąc tym samym zbędnym wypowiedanie się przeze mnie na ten temat.

Pewnego piątkowego wieczoru Dwayne zaprosił Kasię na przyjęcie, które organizował w swojej rzekomej podlondyńskiej willi. Tak się złożyło, że w momencie ich rozmowy na ten temat, ja, Alex i Luis byliśmy z nimi w kuchni. Nie wiem, czy z grzeczności, czy też przekory, a może potrzeby, niespodziewanie, ku przerażeniu samej Kasi, Dwayne zaproponował również nam przyjazd na przyjęcie. Nie miałem na taką eskapadę najmniejszej ochoty, ale żeby zrobić Kasi na złość, przystałem na jego propozycję. Do mnie przyłączył się Alex. Ale najbardziej zaskakujące w tym wszystkim było to, że wybierał się z nami również Luis.

\*

- Nie mogę w to uwierzyć! Musieliście się wpięprzyć, inni? - Kasia przypatrywała się nam z wyrzutem.

- Zaprosił nas, co cię to obchodzi? Myślisz, że będziemy chodzić za twoją dupą i cię kontrolować? - odpowiedziałem zdenerwowany. - Daj sobie na wstrzymanie.

- Ale Luis? Po cholereę on się w to wmieszał? Przecież on przyniesie mi więcej wstydu niż ty i Alex razem wzięci. Nigdy nie chodził na imprezy, zawsze siedział u siebie w pokoju pod kluczem, inni? Co on tam będzie robił? Możecie mu powiedzieć, żeby nie nazywał mnie swoją znajomą?

- Spytaj jego, co ja mogę wiedzieć na temat jego zachowań? Tyle samo, co ty. - Wzruszyłem obojętnie ramionami.

- Musisz coś wiedzieć, ostatnio zachowuje się inaczej niż zwykle - zastanawiała się głośno Kasia. - Upił się kilka razy, częściej wychodzi z domu. Rozmawia z kimś przez telefon, co mu się wcześniej nie zdarzało... Mam złe przeczucia...

- Jak posłuchasz uważnie muzyki, która dobiega z jego pokoju, to rozróżnisz piosenkę Pulp Common People. Może chłopak się zainspirował... A twoje przeczucia są bez znaczenia, ty nie masz serca.

- Machnąłem ręką, ucinając dalszą rozmowę na temat Hiszpana.

\*

Spektakl Sodomy i Gomory. Brak mi było słów, żeby opisać to, co działo się na przyjęciu u Dwayne'a. Od momentu, kiedy tu razem przyjechaliśmy, nie mogłem się doczekać chwili, kiedy będziemy się stąd wspólnie zbierać. Kręciłem się po rozległej posiadłości, zabijając czas przypadkowymi rozmowami, a kiedy byłem sam, rozmyślałem o swojej przyszłości. Z pewnego otępienia wyrwał mnie dopiero czyjś krzyk.

- O mój Boże! - wrzeszczała jakaś panienska. - Ktoś pływa w basenie!

- A gdzie ma pływać, w trawie? - Prychnął niewybrednym śmiechem jakiś mulat pałacy skręta.

Zerwałem się na równe nogi i pobiegłem w kierunku basenu. Przebisnąłem się przez grupę naćpanych i zjaranych gapiów, podejrzewając, że oni nie są w stanie ocenić realności tego, co się wokół nich działo, a tym bardziej stosownie zareagować. Na powierzchni wody unosiło się ciało Luisa.

\*

- Powiedz, jak to jest, że często ludzie umierają, kiedy decydują się zrobić coś wbrew sobie? To czasami działa jak znak, swego rodzaju kronika zapowiedzianej śmierci... - powiedziałem nieco refleksyjnym tonem. - Płyniesz pod prąd swojego dotychczasowego życia i spotyka cię śmierć.

- Myślisz, że to na nas spoczywa obowiązek powiadomienia jego bliskich? - zastanawiał się z kolei Alex.

- Myślę raczej, jak tu znaleźć kogoś na jego miejsce do pokoju. Albo znaleźć inne mieszkanie, zostawiając Kasię na lodzie. Nie zapomnij, że płacimy rzutą, a bez pieniędzy Luisa trzeba będzie zabulić dwadzieścia kilka funtów więcej od łebka. A jak tu kogoś znaleźć, skoro wszystkie rzeczy Luisa są w pokoju? Co niby mamy z nimi zrobić - sprzedać, spalić, czy oddać do Scope czy jakiegoś cancer research? - perorowałem sfrustrowany.

- No to co robimy? - dopytywał się Alex. - Dzwonimy do jego krewnych, czy nie?

Póki co postanowiłem zadzwonić na numer Luisa, żeby sprawdzić, czy telefon jest wśród jego rzeczy. Niespodziewanie dzwonek z Common People dał się słyszeć w pokoju Kasi.

- Nie wierzę. - Spojrzałem na Aleksa.
- Ja też nie. - Pokręcił głową.

\*

do [ania.perucka2@wp.pl](mailto:ania.perucka2@wp.pl)

od [tomasz\\_pl@yahoo.co.uk](mailto:tomasz_pl@yahoo.co.uk)

Aniu,

Śmierć, ona przypomina o sobie w takich momentach, kiedy najmniej się tego spodziewamy. Czai się wszędzie, szachując nasze poczynania jak w bergmanowskiej „Siódmej pieczęci”. Dzięki, że jesteś, Aniu. Myślę o Tobie, nawet jeśli ostatnio piszę trochę mniej niż zwykle.

Tomasz

## Świństwo

Byłem bardzo nerwowy - to znaczy zawsze taki byłem, ale sprawa Luisa doprowadziła mnie wręcz do krańcowego rozdrażnienia. Picie herbatek i ziółek wcale nie pomagało. Zresztą to było dobre dla starszych pań, a nie kogoś, u kogo negatywne emocje stanowią drugi krwiobieg.

Pokłóciłem się z Bangladeszem, który oskarżył mnie o zbyt ostentacyjne jedzenie kanapki z szynką w jego obecności w pomieszczeniu pracowniczym. Szynka - mięso nieczyste... Menedżerka zwróciła mi uwagę, że powinienem być bardziej wrażliwy na cudzą tożsamość. Zupełnie nie wiem, jak wstętu do wieprzowiny mógł stanowić o czyjejś tożsamości, ale sam zainteresowany szybko mi wyjaśnił, że ortodoksyjni muzułmanie nie tolerują świńskiego mięsa. Mało tego, zamiast poprzestać na wykładzie, zaczął mnie straszyć:

- Nie wiem, czy wiesz, ale w pewnych kręgach naukowych mówi się, że spożywanie wieprzowiny przez trzy dni z rzędu może doprowadzić do śmiertelnej choroby...

- Co ty powiesz? - Spojrzałem na niego przenikliwie. - A jakie to kręgi? Profesorowie z Karaczi?



- Chcesz powiedzieć, że zmyślam? - Rzucił mi nienawistne spojrzenie.

- To ty to powiedziałaś. Posłuchaj, co to za naukowcy, którzy są na usługach religii? - Prychnąłem niewybrednie.

- Nie podoba mi się twój ton...

Wychodziło na to, że dalsza dyskusja z nim nie ma najmniejszego sensu.

- Nic ci się nie podoba. Może nie czujesz się w Anglii jak u siebie? - zapytałem retorycznie.

- Nie przeginaj, bo się doigrasz... - warknął.

- Tak jak ci z autobusu numer 30? - Nie byłem w stanie powstrzymać się przed tego rodzaju komentarzem.

- Ty skurwysynu - krzyknął nagle, rzucając się na mnie z pięściami. Odepchnąłem go tak silnie, że uderzył plecami o ścianę, a następnie opadł, tracąc równowagę. Kiedy już pokonał szok, jaki wywołał w nim mój kontratak, podniósł się i popędził ponownie w moją stronę. Odbiłem się od niego bokiem i zachwiałem. Podniósł rękę, żeby uderzyć mnie w twarz, ale w tym momencie do akcji wkroczyła jedna z grubych menedżerek i rozdzieliła nas na metr, stawiając naturalną tamę swoim ciałem. Następnego dnia to ja dostałem wypowiedzenie.

\*

Zebrałem w sobie odwagę i zadzwoniłem do Anthony'ego.

- Tak się zastanawiałem - mówiłem, lekko chrząkając - wczoraj złożyłem wypowiedzenie... i... tak mi przeszło przez myśl, czy... nie potrzebujecie kogoś na pół etatu... Chętnie bym wrócił...

- My nie, ale zgłoś się do centrum rekrutacji, może coś będą dla ciebie mieli - odpowiedział chłodno i odłożył słuchawkę.

\*

Zjadłem jeden z większych zestawów w McDonalddie, mając głęboko gdzieś przesłanie „Super Size Me” i całą tę nagonkę skierowaną przeciwko restauracji innej niż wszystkie. Przed wyjściem postanowiłem skorzystać jeszcze z toalety. Niestety, właśnie kiedy kierowałem się w jej stronę, drogę przeciął mi jakiś mężczyzna, który dopiero co wszedł do McDonalda.

- Czego się wypychasz? - warknąłem oburzony.

Zignorował mnie, co jeszcze bardziej mnie rozwścieczyło.

- Człowieku, to toaleta tylko dla klientów. Ty dopiero przyszedłeś,

jeszcze niczego nie kupiłeś, a już się wpierdalasz, kiedy właściwy klient chce z niej skorzystać... - Złapałem go za rękę.

- A gdzie to jest napisane? - Wyszarpnął się z mojego uścisku.

- To chyba oczywiste - zauważyłem. - To nie jest Europa Wschodnia, żeby takie rzeczy trzeba było wypisywać. Tu takie coś się rozumie samo przez się.

- Coś ci się chyba w głowie popierdoliło, koleś - rzucił mi na odchodne, po czym zamknął się w środku ubikacji.

do [ania.perucka2@wp.pl](mailto:ania.perucka2@wp.pl)

od [tomasz\\_jpl@yahoo.co.uk](mailto:tomasz_jpl@yahoo.co.uk)

Aniu,

Wszystko się sypie jak domek z kart. Gdyby nie korespondencja z Tobą, musiałbym przyznać się przed sobą do zupełnej klęski. Powiem szczerze, mam w sobie odrazę do internetowego nawiązywania znajomości, ale kiedy piszę do Ciebie, jest zupełnie inaczej, czuję, że świetnie się rozumiemy i powinniśmy się spotkać w rzeczywistości.

Posłuchaj, znalazłem promocję na bilety autokarowe, załączam linka. Wspominałaś, że będziesz miała dwa tygodnie wolnego... Wiesz, ja jestem teraz bezrobotny i będę mógł Ci poświęcić trochę czasu, żeby z Tobą odkrywać Londyn, tak jakbym tutaj dopiero sam przyjechał.

Będziemy odkrywać siebie samych. Proszę, przybądź i napraw mój świat.

Tomasz

## **W pokoju nieboszczyka**

Nie miałem co zrobić z czasem, więc, żeby go jakoś pożytecznie wypełnić, odpowiedziałem na ogłoszenie jednego ze sklepów charytatywnych (zbierającego środki na rzecz niepełnosprawnych fizycznie). Potrzebowali kogoś do segregacji i wyceniania płyt.

- Masz dobre serce - powiedział Alex. - Nie masz pracy, a jeszcze się poświęcasz.

Skromnie wzruszyłem ramionami.

- Co tak naprawdę się za tym kryje? - wtrąciła się nagle Kasia.

- Nic się nie kryje, po prostu postanowiłem, że zamiast łązić po Oxford Street i Soho, łudząc się, że wypatrzę jeszcze jakieś interesujące płyty, po prostu oddam trochę swojego czasu na potrzebę jakiejś pożytecznej idei...

- Chcesz sobie polepszyć CV, innit? - Zaśmiała się sarkastycznie.

- Ty wszędzie się doszukujesz interesowności, to twój styl. - Machnąłem ręką. - Dla mnie natomiast istnieją wyższe przesłanki.

- No przyznaj - drażniła się - nie masz od kogo brać rekomendacji, to chcesz je wydebić od menedżera sklepu, w którym będziesz pracować za darmo godzinę tygodniowo...

Tak, właściwie czytała w moich myślach. Czasem bałem się, że jesteśmy w gruncie rzeczy tacy sami... choć ściana między nami.

- Słuchaj, naprawdę nie jestem zainteresowany twoją filozofią postępowania - odrzekłem spokojnie. - Pewnie żal ci, że nie ma tu nigdzie w gazetach klasycznych nekrologów. To z pewnością pomogłoby ci w rozglądaniu się za lepszą pracą.

- Chuj.

- Dziwka.

- Spokojnie, spokojnie - odezwał się pojednawczo Alex. - Macie czasami wrażenie, że w tym domu unosi się duch Luisa?

- Ja nie wierzę w takie magię - zbyła go Kasia, choć przysięgłbym, że na jej twarzy odmalował się strach.

- Ja też mam takie wrażenie. - Spojrzałem porozumiewawczo na Aleksa. - Wczoraj na przykład, to trzaśnięcie drzwiami. Przysięgłbym, że były to drzwi od pokoju Luisa, a przecież trzymamy ten pokój zamknięty na klucz!

- Aż mnie ciarki przeszły, przestań! - odkryła się Kasia.

- A mnie wydawało się kilka dni temu, że ktoś chodził po jego pokoju o północy. - Alex przyjął zaproszenie do gry. - Nie wchodziłeś tam przypadkiem?

- Nie, daję słowo. Boję się tam wchodzić, szczególnie w nocy. Właściwie to od kiedy powierzyliście mi klucz do jego pokoju, nie mogę w nocy dobrze spać... Dręcą mnie koszmary. Śnił mi się na przykład mój zmarły przyjaciel ze studiów... - mówiłem ściszym głosem.

Westchnąłem ciężko, kręcąc głową, i mimo przesadnie teatralnej wymowy tych gestów, zyskałem świadomość, że w gruncie rzeczy byłem w tym akcie przekonujący. Wyjąłem pęk kluczy z kieszeni i oddzielając jeden z nich, podałem go Kasi.

- Nie chcę tego przekleństwa. Masz, ty go noś.

- A po co mi to? - Wzburzyła się, odsuwając się na bezpieczną odległość.

- Daj spokój, przecież nie wierzysz w te magie! Przecież ciebie to nie dotyczy, więc co się martwisz! - Podtykałem jej klucz pod nos.

- Idę, szkoda czasu na rozmowę z wami. Potem będę miała całą noc zepsutą z powodu tego całego straszenia. Bo człowiek wie, że to bzdura, ale i tak się boi, to naturalne - odpowiedziała.

- Jesteś buddystką - przypomniałem. - Spokój i opanowanie, wewnętrzna harmonia, czy to nie tak miało być? I jak to wszystko się ma do twojej hysterii?

- Odczep się. Idź lepiej dać na tacę na mercedesa dla księdza - syknęła.

- No nie! - Rozłożyłem ręce w geście bezradności. - Ile ty masz lat dziewczyno, i w którym roku my zyjemy? Takie teksty były dobre dla młodzieńców z meszkiem na twarzy, którzy zaczynali liceum gdzieś na początku lat dziewięćdziesiątych i wydawało im się, że mają taki zakres wiedzy i wrażliwości społecznej, że mogą skomentować dowolną rzecz i być brani na poważnie. Tani antyklerykalizm wyszedł już z mody jakiś czas temu, nie zauważyłaś?

- Po co ta mowa? - spytała wściekle. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że ksiądz, jak zbiera na tacę, to głaszcze dziecko z miłości? Chyba, że jest to miłość rozumiana dość szeroko...

- Jeszcze kiedyś przypomnisz sobie o tym, że byłaś wychowana w wierze katolickiej... - Pogroziłem jej dydaktycznie palcem, po czym schowałem się w swoim pokoju.

\*

Byłem tak przekonujący w tym całym straszeniu, że kiedy około pierwszej wszedłem cicho do pokoju Luisa (upewniwszy się wcześniej, że zarówno Alex, jak i Kasia śpią), żeby poszukać tam swojej książki, poczułem mrowienie na plecach. Zapaliłem światło, żeby nie kluczyć w ciemnościach.

Kiedy patrzyło się na rzeczy należące do kogoś, kto jeszcze niedawno żył, a kogo nie było już wśród nas, zawsze czuło się taki wszechogarniający żal. Było to coś więcej niż tylko zwykły sentymentalizm.

Bo te rzeczy leżały takie nieposegregowane, wszędzie panował bałagan, tak jakby był pewien, że ma jeszcze mnóstwo czasu, żeby to wszystko ogarnąć, że jeszcze wiele razy przyjdzie mu zamknąć za sobą drzwi i tam, na biurku, chwytający za serce widok Pulp „Different Class”, zawierający kawałek Common People, który był pośrednio sprawcą całej tej tragedii.

No dobra, ale do sedna, gdzie mogła być moja książka? Nie czułem się komfortowo, grzebiąc w rzeczach osoby zmarłej - musiałem się liczyć z tym, że znajdę rzeczy wstydlive, czy wręcz kompromitujące. I rzeczywiście tak się stało... Pudełko z pończochami. Może kupił dla kogoś? Ale dla kogo, przecież on nikogo nie miał... Otwarte. Wygląda na to, że używane. No cóż, nie mnie osądzać. Przez głowę przeszła mi chora myśl - wyobraziłem sobie, jak paraduje w samych pończochach po pokoju z penisem w stanie erekcji. Nie, to było chore, absolutnie niedopuszczalne i naganne moralnie. Przecież nie mogłem sobie wyobrazić usztywnionego nieboszczyka - to było niesmaczne, nawet jak dla mnie.

Gdzie jest ta przeklęta książka? Spojrzałem w okno i ciarki mnie przeszły - wydawało mi się, że przez chwilę mignęła mi tam czyjaś twarz. To tylko złudzenie, przekonywałem sam siebie. Gra wyobraźni, wiatru i cienia. Nagle usłyszałem otwierające się gdzieś drzwi - Alex albo Kasia! Zgasilem gwałtownie światło i zastygłem w bezruchu. Za chwilę usłyszałem czyjeś kroki. Była to raczej Kasia, bo Alex chodził trochę jak słoń. Może Luis? Nie, to niemożliwe! Chociaż, może jego duch zdenerwował się, że buszuję w jego pokoju i zdecydował się mnie poważnie nastraszyć. Nie, no o czym ja w ogóle mówiłem - sam uwierzyłem w wygenerowaną przez siebie opowieść. Za chwilę jednak kroki ucichły, widocznie ten ktoś, załóżmy Kasia, wróciła do swojego pokoju albo weszła do łazienki lub kuchni. Siedziałem w ciemnościach i czułem się jak idiota. Z jednej strony bałem się zjawisk paranormalnych, a z drugiej kogoś z krwi i kości, kto mógłby nakryć mnie w pokoju zmarłego. Wstyd, buszowałem nieoficjalnie po jego pokoju, w ciemnościach, jakbym nie mógł tego zrobić w dzień, w normalnym trybie. Musiałem się stąd wydostać jak najszybciej. Cisza - nadszedł więc odpowiedni moment. Wygramoliłem się z pokoju i pierwsze, co zobaczyłem, to jakaś postać na korytarzu. Wrzasnąłem przeraźliwie, a owa postać też wrzasnęła, wypuszczając z ręki filiżankę gorącej herbaty. Kasia.

Ze swojego pokoju wybiegł Alex. Oboje patrzyli na mnie wzrokiem domagającym się wyjaśnień, a przez moją głowę przechodziły dziesiątki pomysłów na usprawiedliwienia.

\*

- To wy jeszcze nie śpicie?
- Do grobu też mu się włamiesz, żeby sprawdzić, czy tam nie ma twojej książki? - kpiła ze mnie Kasia.
- Przynajmniej chcę tylko odzyskać swoje, a nie - twoim przykładem - jak sęp rzucam się na jego własność. W końcu nie ma jak dobry telefon komórkowy. Co za hipokryzja! Jesteś obrzydliwa...
- Nie wiedziałam, że to jego... Przysięgam! - Najwyraźniej udało mi się zepchnąć ją do głębokiej defensywy.
- Nie chcę przerywać tego widowiska - wtrącił się Alex - ale przypominam, że nie poinformowaliśmy jeszcze jego krewnych... Trzeba będzie jakoś zorganizować transport ciała do Hiszpanii...
- A kto się będzie bawić w transport, wiesz, ile to kosztuje? Tu się estetycznie spopiela - odezwała się Kasia.
- Spopiela? - Zaśmiałem się. - Chyba raczej kremuje.
- Nie masz na myśli balsamowania przypadkiem? - zapytał głupio Alex. - Jak Lenina?
- Lenin jest legendą, a Luis, z całym szacunkiem, nikim... - podsumowała Kasia.
- A skąd ty wiesz, że oni sobie życzą kremacji, może chcą go pochować na rodzinnym cmentarzu - wyraziłem na głos wątpliwość. - W końcu Hiszpania to kraj katolicki, chociaż Hiszpanie, których spotyka się w Londynie, zdają się temu zupełnie zaprzeczać...
- Trzeba coś z tym zrobić, jeszcze go spo... skremują bez uprzedniej konsultacji, jako osobę nieznaną i potem rodzina będzie miała pretensje. - Alex przychylił się do mojego punktu widzenia. - Trzeba skontaktować się z policją. Niech oni powiadomią krewnych.
- Chyba jednak my powinniśmy to zrobić. - Westchnąłem.
- My, czyli kto konkretnie? - spytała Kasia.
- No, najlepiej ktoś, kto ma jego telefon! - Alex trafił swoim komentarzem w dziesiątkę.
- Nie ma mowy - odrzekła oburzona. - Weźcie sobie ten cholerny telefon i dzwońcie sami.

Przyniosła komórkę i demonstracyjnie rzuciła ją na stół. Spojrzałem na Aleksa, ale on asekuracyjnie odwrócił wzrok. Jak zwykle wszystko było na mojej głowie.

## Plan zemsty

Od zawsze nienawidziłem socjalizmu i wszystkich jego wynalazków. Kiedy tylko pomyślałem, że podatki, oparte przecież także na moich wypracowanych upokorzeniach zarobkach, idą na leniwych narkomanów albo na fałszywych azylantów, to coś się we mnie gotowało. I może właśnie to poczucie niesprawiedliwości - bardziej niż konieczność - sprawiło, że pewnego dnia postanowiłem zrobić coś wbrew swoim ekonomicznym przekonaniom: wystąpić do władz obcego kraju o zasiłek dla bezrobotnych. Opowiedziałem o wszystkim Aleksowi, a on, choć nie ukrywał rozbawienia, pobłogosławił moje plany.

- Słuchaj, jak mam się ubrać na rozmowę w sprawie zasiłku?  
- Nie wiem, nigdy nie byłem i mam nadzieję - nie będę - odrzekł.  
- Po co ten triumfalizm? - zapytałem poirytowany.  
- Nie chciałem cię urazić, tak mi się powiedziało.  
- Ale powiedz - ciągnąłem swój wątek - jak się ubiorę za dobrze, to pomyślą, że skoro mam pieniądze na porządne ciuchy, to muszę mieć i na mieszkanie.  
- Ty masz porządne ciuchy? Wybacz, wcześniej nie zauważyłem - odparł Alex. - No to nie, w takim wypadku ubierz się jak dziad.

Dokuczał mi, cwaniaczek. Wiem, że normalnie uznałbym to za całkiem udany żart, ale tym razem jakoś nie było mi do śmiechu.

- Jak dziad? Pomyślą, że z takim podejściem nigdy nie znajdę pracy i już zawsze będą mieli mnie na karku, a wtedy mogę zapomnieć o zasiłku.

- Słuchaj, muszę już iść. Powodzenia! - Klepnął mnie w plecy i skierował się bezceremonialnie ku wyjściu. - Pozdrów innych nieudaczników.

\*

Kiedy nadeszła moja kolej na rozmowę z pracownikiem jobcentre, wciąż miałem na sobie słuchawki irivera. Zdjąłem je pośpiesznie.

- Przepraszam - mruknąłem.

- Drogi sprzęt. - Rzucił mi przenikliwe spojrzenie. - Te irivery wcale nie schodzą w dół, chciałem sobie takiego ostatnio kupić, ale sto pięćdziesiąt funtów to przesada...

Źłupio mi się zrobiło. Rozmyślałem o stosownym ubraniu, a przyniosłem ze sobą drogi odtwarzacz. Potworna gafa!

- To nie mój. - Odkasznąłem. - Pożyczyłem od kolegi, mnie ostatnio nie stać na luksusy.

- Rozumiem. Zrosłeś się z cudzym sprzętem.

Nie odpowiedziałem. Właściwie odpowiedziałem, rumieńcem uczniaka przyłapanego na niewyszukanym kłamstwie. Tymczasem on przystąpił do przeglądania wypełnionych przeze mnie wcześniej dokumentów.

- Ostatnio wyciągnąłeś z konta prawie dwa tysiące funtów - stwierdził. - Jednego dnia...

- Transfer do Polski. - Byłem przygotowany na tego rodzaju pytanie. - Moja matka jest samotną wdową, wobec której mój przebywający w Polsce brat zaniedbuje swoje obowiązki, więc od czasu do czasu przesyłam pieniądze.

- Rozumiem.

Wcale nie rozumiał, a już na pewno nie wierzył. Może niepotrzebnie przelukrowałem? Może powinienem był po prostu powiedzieć, że słaćcam alimenty?

- Będziemy musieli skontaktować się z twoim ostatnim pracodawcą.

- Czy to absolutnie konieczne? - Skrzywiłem się.

- To normalna procedura - poinformował, zaskoczony moją reakcją. - Masz coś przeciwko temu?

- Nie...

Znowu nie zabrzmiałem przekonująco.

- O, widzę, że udzielasz się charytatywnie. - Najwyraźniej zauważył moją wzmiankę o pracy społecznej.

- Tak. - Nie kryłem dumy.

Od początku zakładałem, że to zadziała i pomoże mi wziąć ich na litość w decydującym momencie. Ale jego twarz, jak na złość, wcale nie wyrażała entuzjazmu.

- Coś za to dostajesz? - spytał chłodno.

- Nie, czysto społeczna praca - zastrzegłem. - Żadnego wynagrodzenia!

- Żadnych pieniędzy na bilety, najedzenie? Zupełnie nic?

- Żadnych - powtórzyłem z całą stanowczością.



- Musisz przynieść potwierdzenie stamtąd, list z liczbą godzin, adresem, oświadczeniem, że nic nie dostajesz, podpisanym przez menedżera tego sklepu - zażądał.

Mam poprosić swoją przełożoną ze Słowenii (która z kolei miała w zwyczaju prosić o napisanie po angielsku każdej, nawet najprostszej notki, swoją nastoletnią podwładną, Irlandkę) o sporządzenie dla mnie tego rodzaju pisma? To było nie do przełknięcia.

- Mój menedżer jest na wakacjach, ale może pan tam zadzwonić i sprawdzić wszystkie informacje - zaproponowałem.

- Potrzebuję poświadczenia na firmowym papierze - odparł. - Zanim ono nie nadejdzie, wniosek o zasiłek zostaje zawieszony. Jeśli nie nadejdzie w ciągu tygodnia, wniosek podlega umorzeniu.

\*

- Miło cię widzieć! - wykrzyknął entuzjastycznie Mariano.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Mrugnąłem porozumiewawczo. - Dzięki, że zgodziłeś się przyjść.

- Długo już pracuję w Super Quality Foods, ale muszę powiedzieć, że rzadko się zdarza, żeby utrzymywać stare kontakty... Wiesz jak to jest, kochanie... - urwał nagle.

- Życie. - Wzruszyłem ramionami. - Dla mnie stare znajomości bardzo się liczą. Pójdziemy może do jakiejś kawiarni, czy wolisz się przejść po West Endzie?

- Może na kawę, tylko poczekaj, wybiorę jakieś pieniądze z bankomatu, skoro już tutaj stoimy...

- Nie, nie - zaprotestowałem. - Skoro ja cię zapraszam, to przecież postawię ci tę kawę.

\*

Nie wiem, co on sobie wyobrażał. Zaoferowałem się przecież z kawą, a jemu zachciało się jeszcze czekoladowego muffina i soczku.

- Nie, nie wyobrażam sobie tego... - Zdawał się nie podzielać mojego entuzjazmu dla pomysłu, którym się z nim przed chwilą podzieliłem.

- Ale to nie jest takie skomplikowane, jak się nad tym zastanowisz. Mariano... - nalegałem.

- Nie, wcale, kochanie - zdobył się na ironię. - Pójść do nieznanego mi sklepu, wyszukać generalną menedżerkę, sprowokować ją do

homofobicznego zachowania, a potem oskarżyć w oficjalnym liście do head office, domagając się jej dymisji. Kochanie, to jest skomplikowane!

- Ale przyjaciele powinni sobie wyświadczać przysługi, przecież na tym polega przyjaźń - odezwałem się w akcie desperacji.

- Słuchaj, jesteśmy bardziej kolegami niż przyjaciółmi. Kochanie, przypomniałeś sobie o mnie po jakimś tam czasie i wydawało mi się, że masz dobre intencje, ale szybko mi uświadomiłeś, jak bardzo się mylę... Za tym zaproszeniem stała potrzeba przysługi...

- Naprawdę nie chciałbym, żebyś tak mnie odebrał. - Rozłożyłem bezradnie ręce.

- A jak mam cię odebrać?

- Zrozum, oni naprawdę są homofobami, mogę ci powiedzieć, jakie żarty tam chodziły, u mnie w pracy... Zrobisz coś dla swojego środowiska przy okazji... - Postanowiłem zagrać na najpewniejszych strunach.

- Mam ci oddać pieniądze za kawę, muffina i soczek? - Spojrzał na mnie chłodnym wzrokiem. - Jak sądzę, poczyniłeś pewne inwestycje, kupując mi to wszystko.

- Daj spokój, nie musisz mnie na koniec obrażać... - Poczulem się dotknięty tym komentarzem. - Oddaj za muffina i soczek, to będziemy kwita.

## Anka

Właściwie wszystko się waliło, kompletna ruina. Nie miałem żadnego powodu, żeby kontynuować ten żaloszny spektakl, pisać kolejne akty marnej sztuki, którą i tak niewielu mogło zrozumieć, a jeszcze mniej chciało oglądać.

I nagle napisała Ania - że przyjmuje moje zaproszenie, że nie chce zostawiać mnie samemu sobie, szczególnie w takiej chwili; że przyjedzie do mnie, bo bardzo jej zależy na tym, żeby mnie osobiście poznać. Ucieszyłem się i wystraszyłem zarazem. Ucieszyłem, bo potrzeba mi było kogoś, kto znałby moje problemy, akceptował takim, jakim jestem i byłby w stanie wyciągnąć z dołka psychicznego, w jakim się znalazłem. I ona, jak sądzę, świetnie wydawała się pasować do tej roli. Z drugiej strony wystraszyłem się, bo właściwie znałem ją tylko z okazjonalnej korespondencji - a przecież internet był pełen idiotów

i nieudaczników, którzy za parawanem odpowiednio dobranych słów skrywają swoją nijakość i brzydotę. Owszem, czułem do niej pociąg, jako do rozmówczyni, ale czy na tej podstawie mogłem budować coś poważniejszego, zapraszać ją do siebie? Zaczynałem w sumie żałować, że rozkochałem ją w sobie, że budowałem tymi e-mailami jakiś nierealistyczny romans, który teraz miał się zmaterializować, i to przecież na moje życzenie, na moją odpowiedzialność, w mojej sprawie...

Choć może niepotrzebnie panikowałem, może to ona była właśnie tym kołem ratunkowym, jakie szykował mi los? Owszem, na tych kilku zdjęciach, które przysłała, szalenie zresztą niewyraźnych, wyglądała na osobę leciutko zaokrągloną, ale może przez ten czas schudła, albo może po prostu była niefotogeniczna i tak naprawdę prezentowała się całkiem sensownie?

Kurwa, nie było wyjścia, we wtorek, o czternastej, miałem ją odebrać z Victoria Station, pomóc jej z walizą i zawieźć do siebie do domu, a potem spędzić z nią cały tydzień i albo odbudować dzięki niej swoje szczęście (jakkolwiek górnolotnie by to zabrzmiało), albo, w najgorszym wypadku, przemęczyć się jakoś honorowo, pokazać jej Big Bena, kilka mostów i wsadzić ją z powrotem do tego okropnego autokaru, kłamiąc, że było miło.

Przecież tyle razy mi pomogła, wsparła psychicznie, samą swoją wirtualną obecnością, nie wiem sam, skąd te nagłe obawy... Instynkt, czy neuroza?

\*

- Cześć, Tomku, poznasz mnie po bandanie na głowie, mam wielką zieloną walizę, stoję przy fontannie - mówiła przez telefon Ania. - Czekam.

Nie spodobał mi się jej głos. Nieznośna pewność siebie, w niczym nie przypominała skromnej i spokojnej dziewczyny, której e-maile sprawiały mi wcześniej tyle radości.

- Dobra, idę - odpowiedziałem krótko, po czym rozłączyłem się. Jak wreszcie zobaczyłem ją przy tej fontannie, to aż mnie odrzuciło. Niska, gruba, w dodatku pretensjonalnie ubrana, rozwaliała się z tym plecakiem, jakby Londyn był dla niej czymś oczywistym, już oswojonym, czymś, do czego przynależała w takim samym stopniu jak ja. Przez głowę przeszła mi pewna śmiała myśl, ale szybko się opamiętałem. Klęska, katastrofa, przecież ona nie miała się gdzie podziać,

mogła w tej chwili liczyć tylko na mnie. Ale z drugiej strony...

Pierdolę, i tak wszystko stracone, i tak nie miałem już żadnego honoru, na niczym mi już nie zależało, nie miałem już nic do udowodnienia ani sobie, ani tym bardziej nikomu innemu. Najwyżej prześpi się na Victoria Station albo znajdzie sobie jakieś miejsce, a jutro przebukuje bilet i wróci w trybie natychmiastowym do Polski - musiała mieć w końcu jakieś pieniądze ze sobą, przecież nie liczyła chyba, że zarabiam tu jakieś kokosy i wszystko jej sfinansuję!

Telefon, wyłączyć telefon i cofnąć się niezauważonym...

\*

Takiego doła nie miałem dawno. Myślałem o tym wszystkim, co spieprzyłem osobiście albo co spieprzyło się samo, bez mojego bezpośredniego udziału. Nagle dotarło do mnie, że być może byłem po prostu kawałkiem skurwiela, zwykłą kanalią, gnojem przystrojonym w dyplom zarządzania i scenopisarskie ambicje, z kwalifikacjami osobowymi niewiele lepszymi od tych, jakie posiadały polskie wsiowe dziewczyny, które zachłystywały się nowymi kreacjami w tanim Primarku, i z niewiele ciekawszą historią od tych osiłków z Europy Wschodniej, którzy przerabiali ołówkiem lub żyletką daty na bilecie, ciesząc się, że głupawy kierowca wcale się nie zorientował.

Kim więc byłem? Pieprzonym nieudacznikiem, który zamiast pokładać swoje klocki w Polsce, postanowił budować coś w Londynie, zachłystując się naiwnie błyskiem westendowskiego neonu i przepychem oferty Virgin Megastore? I to wszedłszy w czwartą dekadę życia! W Polsce przynajmniej stałem w miejscu. Tutaj ciągle się cofałem.

Przeszedłem się po centrum. To, co niegdyś mnie fascynowało, jakoś dzisiaj bardzo spowszedniało - blask kolorowych sklepów przechodził w szarzyznę tureckich knajpek; zadbane, pachnące panny ustępowały miejsca ohydny żebrakom ze spuchniętymi nogami, którzy spali pod każdym niemal bankomatem; spektakularne z punktu widzenia turysty double deckery wyglądały dla zasiedziałyh londyńczyków jak olbrzymia puszka ze stłoczonymi ludźmi zamiast sardynek; wreszcie, cały ten multikulturalny i barwny charakter Londynu nasuwał skojarzenia z jakimś centrum dla uchodźców.

I w ogóle, tak jakoś... rzygać się chciało. Tego dnia po raz pierwszy wypiliśmy szklanekę wódki. Alex pił ze mną. Za zerwane zaręczyny.

## Tańczące domino

Sortowałem właśnie najnowszą dostawę płyt CD w sklepie charytatywnym. Całkiem sympatyczne były dzisiejsze podarki - spomiędzy nieznannej i typowej szumowiny (chińskie bajki, jacyś lankijscy grajkowie i czwartoligowe greckie śpiewaczki operowe) wyłowilem takie rzeczy, jak Coldplay, Craig David, A-ha i kilku jeszcze innych uznanych wykonawców.

Fajne było to zajęcie, szkoda, że zupełnie nic za to nie dostawałem... Przynajmniej jednak nikt nie dźwięczał mi bezustannie nad uchem, doceniano moje zaangażowanie i w sumie, choć zapewne nieco na wyrost, traktowano mnie jak poważnego eksperta. Przynajmniej dzięki temu będę miał jakiś sensowny wpis do CV i rekomendację, które wykorzystam, starając się kiedyś ponownie o pracę w HMV. Tylko że moja szefowa ze Słowenii nie umie pisać po angielsku...

I ten nieszczęsny *jobseeker's allowance*. Nie uzyskałem go, bo urzędnik uznał, że żaden tam ze mnie rezydent, skoro mam w Polsce dom na własność. Właściwie to nie wiem, jak mogłem popełnić tego rodzaju rażący błąd i zdobyć się na uczciwość - musiałem stracić przez chwilę kontakt z rzeczywistością. Tymczasem co chwila słyszy się o jakichś bogatych, cwanych imigrantach, którzy przychodzą stękać o zasiłek, twierdząc niezgodnie z prawdą, że im się nie przelewa, i oczywiście go dostają, obsługiwani często przez innych imigrantów, którym w ramach *equal opportunities* zagwarantowano pracę w *jobcentre*... Oto Anglia właśnie.

Nagle zostałem wyrwany z rozmyślań niespodziewanym widokiem tej jakże charakterystycznej i dziwacznej zarazem pary, jaką tworzyły córka z matką (poruszającą się na wózku), kojarzące mi się z niefortunnym posiłkiem, jaki spożyłem niegdyś z Silvianą w Covent Garden. Głupie krowy. Zdecydowałem, że lepiej nie będę patrzył w ich stronę, choć przecież prawdopodobieństwo, że mnie rozpoznają, było mniejsze, niż żeby miał się tutaj zjawić Chris Martin.

Nieprawidłowa kalkulacja.

- Co tu robisz? - Stara podjechała do mnie wózkiem.

- Pracuję. - Wzruszyłem ramionami, patrząc na nią kątem oka. - Czy ja panią znam, i czy mogę w czymś pomóc?

- A pewnie, że znasz! - Za chwilę pojawiła się i córka. - Mam ci przypomnieć? Co to za podwójna moralność! Po co tu pracujesz?

Przychodzisz odpokutować za swoje grzeszki wobec niepełnosprawnych?

- Raczej przychodzi się wyśmiewać! - Stara wyciągnęła w moim kierunku oskarżycielsko palec.

- Wyśmiewać z kogo? - spytałem, udając zaskoczenie.

- Jak to z kogo? Z niepełnosprawnych! - wykrzyknęła.

- Co za wredna insynuacja! Myślicie, że przeciętny klient tego sklepu to niepełnosprawny? Gdybym rzeczywiście miał jakiś chory głód wyśmiewania się z niepełnosprawnych, to karmiłbym się gdzie indziej. Na przykład... na przykład... pracując w sklepie z wózkami dla niepełnosprawnych... - palnąłem pierwszą lepszą bzdurę, jaka przyszła mi do głowy.

Wrogi duet przypatrywał mi się uważnie, najwyraźniej nie nadążając za moimi słowami.

- Tutaj w Londynie są sklepy z samymi parasolkami, z plakatami, z kartkami urodzinowymi, z jakimś ezoterycznym badziewiem. Sądzę, że musi być i sklep z wózkami dla niepełnosprawnych... wyłączenie. Mylę się?

- Chory, on jest naprawdę chory... Wyjeżdżamy stąd! - rozkazała stara (niczym ciężko ranny marszałek wciąż wydający żołnierzom rozkazy na polu przegranej już bitwy).

Córka posłusznie skierowała wózek w stronę wyjścia.

- Zostaw, poradzę sobie - zbeształa ją matka i zaskakująco sprawnymi ruchami rąk zaczęła obracać kołami.

Pewnie sterownik się popsuł. Mnie też się psuły jako dziecku, kiedy wujek Staszek, wtedy marynarz, przywoził dla mnie z Ameryki zdalnie sterowane samochody... Pamiętam, jak się wtedy frustrowałem i jak beczałem, bo nigdzie nie szło tego naprawić, a tym bardziej wymienić. Zresztą wymiana w świadomości dziecka nie istnieje.

\*

Przyszedł czas na porządki, tym razem w dosłownym sensie. Nigdy nie lubiłem sprzątać, ale coś mnie dzisiaj tknęło. Zacząłem od swojego pokoju, ale z czasem przeniósłem się do pomieszczeń wspólnych, żeby udowodnić moim współlokatorom, że stać mnie jeszcze na odrobinę altruizmu.

Kasia - ona była naprawdę nieznośna z tymi kolorowymi dodatkami do gazet rozrzuconymi po całym salonie. Z kolei niedojezione chipsy należały z całą pewnością do Aleksa. No nie... Przecież już parokrotnie zwracałem Kasi uwagę na to, żeby nie chodziła wszędzie z tymi pieprzonymi papierosami, zostawiając dookoła popiół, zupełnie jakby popielniczka i doniczki kwiatów już jej nie wystarczały.

A cóż to takiego - moją uwagę przykuło nagle ozdobne pudełko z jakimś ni to popiołem, ni to piaskiem wewnątrz. Wsypałem jego zawartość do popielniczki, a następnie opróżniłem całość, wysypując do kosza. Żadnej tolerancji dla brudu i śmieci! Ale każdy altruizm ma swoje granice - po odkurzeniu stwierdziłem, że mam na dzisiaj serdecznie dość..

\*

- Wiesz, co wczoraj przywieźli? - zagadnęła mnie wieczorem w kuchni Kasia.

- Nie.

- Prochy Luisa - poinformowała. - Nikt się po nie nie zgłosił, to dostarczyli je tutaj. I co my z nimi zrobimy?

- Trzeba przekazać krewnym... Ale w spisie numerów nikt się nie rzuca w oczy. Rudiemu żadnych telefonów nie podawał. Porażka.

- I tak wyłączyłeś w końcu jego komórkę... Nie miałeś nawet odwagi odebrać, jak zadzwonił kilka razy - przypomniała. - Więc nawet, jeśli ktoś chciałby się znowu skontaktować...

- Zawsze mogą napisać list - przerwałem.

- Na pewno nie ma nigdzie w jego pokoju adresu z Hiszpanii? Pewnie dokładnie go przetrzebiłeś...

- Po co ta ironia? Wiesz, że szukałem swojej książki. Przynajmniej nie próbowałem sobie przywłaszczyć jego rzeczy, tak jak ty.

- Przywłaszczyć? Ty znowu o tej komórce? - Puknęła się w czoło.

- Chciałam tylko sprawdzić, jakie ma funkcje. Wiesz, że interesuję się telefonami. Kiedyś nawet chciałam być doradczynią w Orange.

- Nieważne. - Jej nieziszczona kariera w Orange obchodziła mnie w tym momencie mniej niż stan wilgotności na Suwalszczyźnie. - Lepiej pomyślmy, co zrobić z tymi prochami, jeśli nie znajdziemy jego rodziny. Założę się, że ostatecznie nikt się do niego nie przyzna. Gdzie one w ogóle są?

- Chodź ci pokażę. - Zaprowadziła mnie do salonu. - Tutaj.

Opadłem na fotel. Ona trzymała w ręku ozdobne pudełeczko.

- O Boże! Co się stało z jego zawartością? O mój Boże!

- Przecież buddyści nie wierzą w Boga - odpowiedziałem nieprzytomnie, skrywając twarz w dłoniach.

Katastrofa. Nigdy wcześniej nie widziałem Kasi w takim szoku.

- Już dobrze, odłóż to - odezwałem się zniecierpliwiony. - Puste,

nie rozumiesz? Ładne z zewnątrz, ale puste w środku. Zupełnie jak Jordan i Peter Andre, jak ty sama...

\*

Opowiedziałem o wszystkim Aleksowi. A on po prostu się śmiał, i ten śmiech doprowadzał mnie do jeszcze większej irytacji niż wściekłość Kasi.

- Co teraz zrobimy? Wsypujemy coś do pudełka, czy przepuścimy śmieci przez sitko i spróbujemy go odzyskać? - ironizował.

- Przestań, to nie jest zabawne. Jak byś ty się czuł? - oburzyłem się.

- Nijak. Myślę, że jemu w tym momencie jest to już naprawdę obojętne.

- Tak mówisz, ale czyżbyś nie wiedział, że nawet niektórzy chrześcijanie nie chcą kremacji, bo boją się, że nie zostaną później przywróceni do życia? Co to za chrześcijanie, którzy nie wierzą w nieograniczone możliwości Boga! Nadażasz? - perorowałem z przejęciem.

- Nie zmieniaj tematu na religijno-filozoficzny. Nasz, a właściwie twój problem jest o wiele bardziej praktyczny!

- Co więc sugerujesz? - Spojrzałem na niego z nadzieją.

- Nic. - Wykazywał zupełną obojętność.

- Słuchaj, jak rodzina oddaje kogoś do kremacji, to czy go ubiera w elegancki garnitur i buty? Przecież to strata, w jednej chwili idzie na spalenie! - przeszło mi nagle przez głowę.

- No przecież nagiego go nie włożą...

- A Luis, jak myślisz, jak był wtedy ubrany? Czy w ogóle był ubrany? Dziwne, że tak krótko go trzymali w tej kostnicy i spopielili bez uprzedniej konsultacji z rodziną. Widocznie brak im miejsca w kostnicach. Tyle teraz czarnych i azjatyckich gangów. Biedny Luis...

- Kto by przypuszczał, że ktoś tak szybko wyląduje na śmietniku historii? - Zaśmiał się nerwowo Alex.

## Samotny w sieci

Nastała chłodna noc, ale ja byłem jakoś dziwnie odporny na zewnętrzne zimno, pogrążony w świecie swoich analiz, w którym jakakolwiek fizyczna niewygoda traciła zupełnie na znaczeniu.



Kiedyś już miałem podobne myśli - wyobrażałem sobie, jak snuję się w okolicach Tower Bridge z ulubioną muzyką płynącą z mp3 playera, jakby skróconą ścieżką dźwiękową do mojego życia, a kiedy wreszcie całość wybrzmi, zwieńczona najprawdopodobniej Ommadawn Oldfielda, wówczas to zrobię, bo wtedy nie będzie już nic do dodania i nic do stracenia.

Tutaj niczego nie osiągnąłem, do Polski wracałbym skompromitowany, zresztą nie mam do czego wracać. Wszystko poszło nie tak, jak sobie to wcześniej wyobrażałem i zaplanowałem. Z dnia na dzień nie dokona się cud - Channel 6 nie ogłosi nagle, że kupuje od nas scenariusz; Silviana nie przyleci z Boliwii, uznawszy, że nie może beze mnie żyć; ja nie wystukam na tym pieprzonym ekraniku w jobcentre żadnej naprawdę dobrej oferty, a jeśli już, to po tym, jak skontaktuję się z osobą rekrutującą, nie okaże się przecież, że w zatrudnieniu mnie na jakimś porządnym stanowisku biurowym nie będzie jej przeszkadzał mój staż pracy w smaźalniach, kanapkarniach i sklepach z klockami czy segregatorami...

O Boże, lzy płynęły mi jak głupiej nastolatce, którą ignoruje klaso wy Brad Pitt, dobrze, że nikogo nie było w pobliżu. W dzień ten most zalewali zewsząd turyści, fotografowano go, ekscytowano się nim, ale teraz, w nocy, będzie należeć tylko do mnie, będę mieć na niego wyłączność. W końcu miał się stać moją trampoliną do wieczności...

I teraz, tutaj, zacząłem się zastanawiać nad tymi detalami, które zawsze były frustrujące i intrygujące zarazem; pytania, z którymi ciężko się było mierzyć żywemu... Jak będę wyglądał, kiedy mnie znajdą? Czy moje paznokcie nie będą czasem przydługie, czy moje majtki nie będą przybrudzone? Czy będę dostatecznie dobrze ubrany? Ale jaki był sens skakać w najlepszych rzeczach?

A może lepiej by było, żeby mnie ktoś teraz napadł i zabił - w ten sposób nie ciągnęłoby się za mną przynajmniej piętno samobójcy! Jakże łatwo jest potępiać samobójców, dopóki nie zapragnie się zostać jednym z nich. Chociaż i teraz czułem gdzieś tam w głębi, że ja przynajmniej mam jakieś sensowne powody, żeby to zrobić, a oni nie; że ja już nie mam szansy, a oni wciąż jakąś mają; że ja zostanę przez Boga w pewien sposób usprawiedliwiony, oni zaś niekoniecznie.

Zapewne trafię do czyścica. Tam trochę pocierpię, ale wytrzymam, w końcu cierpienie to, oprócz kłopotów, moja specjalność.

Nie, kiedy jechałem na miejsce czterdziestką trójką, to przecież nawet założywszy, że mam zamiar skoczyć, nie miałem tego tak naprawdę na myśli. Drażniłem się z samym sobą, że jednak stać mnie na to; ciąłem się emocjonalnie, myśląc, jak mi źle, i jak łatwo z tym wszystkim będzie skończyć w przyływie chwili. Ale przecież nie przypuszczałem, że dotrę tak daleko, a potem właściwie stanę tam i przechylę się, gotowy na ten ostateczny krok.

Nie powinienem był tutaj przyjeżdżać, teraz w końcu wypadaloby chociaż raz zdobyć się na konsekwencję. Tylko, kurwa, za jaką cenę? Tego się nie da później zrestartować, po tym nie przebudzę się jak ze złego snu... Wyobraziłem sobie moje sine ciało zaplątane wśród wodorostów z jakimiś świńskimi stworzonkami wpierdalającymi mnie ze smakiem (czy zadomowi się we mnie jakaś ryba - z obrzydzeniem przypominałem sobie scenę z „Błaszanego bębenka”, w której ryby wpływały do wnętrza konia). Ale z drugiej strony, to chyba lepsze od ciągłych niepowodzeń i tej przeklętej niepewności, która zżerała mnie w jeszcze bardziej bolesny sposób. Codziennie.

I nagle ciszę, która sprzyjała napływaniu do mnie coraz to nowych myśli, przerwał czyjś zapijaczony głos:

- Cześć, jestem Jakub, napijesz się? Mam dzisiaj urodziny, nie chcę sam pić. - Jego zapadające się kości policzkowe i poraniona twarz przeraziły mnie.

- Właściwie to jestem zajęty. - Westchnąłem ciężko, żeby zniechęcić go do dalszego nagabywania mojej osoby.

- Będiesz skakał, co? - Nagle jego zmęczone oczy nabrały głębokiego wyrazu.

Przejrzał mnie.

- A co cię to obchodzi?

- A... nic. - Trochę go wystraszyłem swoją opryskliwością.

- A powinno. Przecież jeszcze jestem młody. Powinieneś zapytać, dlaczego chcę skakać.

- Dlaczego więc?

- Nie twój biznes. Opróżnij flaszkę i zostaw mnie w spokoju. Szczęśliwych urodzin. - Machnąłem ręką. Zebrało mi się znowu na płacz.

- Słuchaj, naprawdę nie chciałem przeszkadzać. Ja też nie lubię płakać w czyjejś obecności.

- A co mnie to obchodzi? - Udawałem obojętność. - Po co mi o tym wszystkim opowiesz?

- Napij się, ostatniego łyka - albo na rozluźnienie, albo na zmianę zdania... - Podsuwał mi butelkę.

Miałem pić z jednej flaszki z jakimś lumpem - co to, to nie!

- Zabieraj to ode mnie, frajerze! - Odepchnąłem go.

Upadł, ale szybko się podniósł. Gdyby był wściekłym psem, z kącików ust wypłyłyby mu najprawdopodobniej krew i piana. Po jego przyjacielskich gestach nie było już najmniejszego śladu. Roztrząskawszy butelkę, zrobił z niej tulipana, którym zaczął mi wymachiwać przed oczami.

- Myślisz, że jesteś kimś lepszym niż ja, co? Dla tych kurewskich urodzin byś się ze mną napił!

- Spokojnie, uspokój się! - apelowałem do jego zdrowego rozsądku (jeśli pijący takowy mają).

Co miałem teraz zrobić? Skacząc z mostu, rozwiązałbym dwa problemy na raz, ale przecież jednocześnie zostawiłbym go albo z wyrzutami sumienia, albo z głupią satysfakcją, a przecież i jednego, i drugiego chciałbym uniknąć. Zbratać się z nim? Pokazać, że się nim nie brzydzę, przyciągnąć i przytulić do siebie, a potem wypić z jego butelki? Nie, to byłoby przeraźliwie naiwne i sentymentalne, zupełnie nie w moim stylu.

- Spierdalaj dziadu, bo ci zajebię! - Chwyciłem za leżący nieopodal sporych rozmiarów kamień i zrobiłem zamach.

Niespodziewanie poskutkowało. Odrzucił tulipana i oddalił się pospiesznie. Wiedział w końcu, że ma do czynienia z autentycznym desperatem.

## Decyzja

- Wracam do Polski - poinformowałem matkę przez telefon - ale to nie znaczy, że zarzucam Londyn. Po prostu biorę sobie wakacje od Londynu. No wiesz, jako że jestem chwilowo bezrobotny i nie chce mi się płacić za mieszkanie, to lepiej, jak wrócę do Polski, trochę odpocznę... Ale wrócę później nad Tamizę, rozumiesz?

- Przed kim się usprawiedliwiasz? - Jej pytanie było niczym strzelanie do posłańca z wrogiego obozu, który w pokojowej misji przyniósł dobre wiadomości.

- Nie chcę, żebyś dławiała się triumfalizmem - odpowiedziałem ostro. - Ani ty, ani ojciec, ani Dominik, ani nikt inny.

- Nie muszę, wymodliłam twój powrót... - Łkała irytująco, dając wyraz swojemu wzruszeniu.

- Przecież mówię, że to tylko wakacje od Londynu - wycodziłem przez zęby. - Nie denerwuj mnie, bo jeszcze zmienię zdanie...

- Faustynka już taka duża - powiedziała podekscytowana. - A żona Kamila to taka panna, że wszyscy się na ulicy za nią oglądają.

- Psy czują łatwe mięso - odrzekłem chłodno. - Nigdy nie miała najlepszej reputacji...

- Nie zaczynaj znowu - skarciła mnie. - Aha, zapomniałam ci powiedzieć, wiesz, że córka pani Zabłockiej też jest w Londynie?

- Tak? A co takiego robi?

Ciekawe, co też nagadała rodzicom - umierałem z ciekawości.

- Jest sekretarką - odpowiedziała moja matka. - Widzisz, bez wykształcenia, a jak daleko zaszła! A ty? Niby masz wykształcenie, a kanapki robisz...

Sekretarką? Ty czarownico, ja ci dam! Jak chętnie bym tę dziwkę teraz zdemaskował! Wiedziałem jednak, że jeśli to zrobię, to albo wszystkiemu zaprzeczy, albo pociągnie mnie ze sobą na dno i właściwie nie będzie się liczyło, że pół Londynu dymało Zabłocką, a istotne stanie się to, że Płachta przeszedł przez próg burdelu. Poza tym, nawet jeśli się ostatecznie przyznała, to oczywiście nie omieszka poinformować naszych matek, jak to się zaczęło (tak zwana włoska przygoda) i wtedy to ja wyjdę na jakiegoś alfonsa, a ona okaże się „ofiara podłych okoliczności”.

- Niektórym się wiedzie, a innym nie - odparłem sucho. - Dlatego wracam, to znaczy robię sobie przerwę od Londynu. Chcę spojrzeć na wszystko z dystansu i odpowiedzieć sobie na pytanie: w czym tkwi błąd i jak go naprawić.

- Nazywaj to jak chcesz... Ojczyzna i tak czeka.

Ojczyzna!

- Tylko bez patosu, bo się jeszcze rozmyślę - odrzekłem ostro.

\*

Robiłem ostatnie duże muzyczne zakupy na Oxford Street, kiedy przeszli obok mnie wyznawcy Kryszny. Zdażyłem się do ich obecności już przyzwyczaić, tym bardziej że w mieście zdominowanym przez

różnej maści dziwaków i cudaków wtapiali się doskonale w krajobraz, nie rzucając się w oczy tak bardzo, jak to miało miejsce na przykład w Polsce.

- Hare Hare Rama! - Tym razem była to dwójka młodych facetów. Śpiewali, idąc środkiem chodnika. Nagle jeden z nich zatrzymał się i spytał drugiego:

- Znamy coś innego?

On go zapytał po polsku! Tamten pokręcił tylko przecząco głową i za chwilę powrócili do swojego tematu przewodniego. Województwo londyńskie z każdym miesiącem nabywało coraz to nowych odcieni bieli i czerwieni. Być może, skoro na element napływowy składali się już nawet polscy krysznowcy, był to znak, że powrót nie jest wcale takim złym pomysłem...

Może Polska jest u progu zmian? Może stanie się mi bliższa, bardziej przychylna? W końcu wyjechali najlepsi i najgorsi... Zapewne nasz kraj stać się miał wkrótce polem do popisu dla średniaków takich jak ja.

I choć gdzieś tam, w głębi duszy, nie chciałem wcale wyjeżdżać z Londynu, to decyzja została podjęta nieodwołalnie.

## Pożegnanie z Tamizą

Telefon do Adriana, tego samego, który polecił mi niegdyś pracę w Super Quality Foods.

- Adrian? Tu Tomasz Płachta.

- Płachta? Nie pamiętam żadnej Płachty...

- Oglądaliśmy mecz Polski w pubie, gadaliśmy i wtedy poleciłeś mi pracę w Super Quality Foods - przypomniałem.

- Jak przez mgłę. Co chcesz?

- Ja odnośnie tej pracy.

- Nie musisz mi w nieskończoność dziękować - odezwał się z irytującą manierą. - Zresztą, musiałem być pijany, polecając ci to gównu.

- Adrian, chuj ci w dupę - powiedziałem przed odłożeniem słuchawki. - Zmarnowałem przez ciebie prawie rok czasu.

\*

Dwudziestopięcioletni brat Kasi miał atak serca. Przeżył, ale trafił do szpitala, gdzie wykryto jakieś poważne nieprawidłowości w lewej komorze.

- Modłę się za niego każdego dnia - podkreśliła Kasia.

- Do Buddy? - zapytałem z przekąsem.

- Nie, do Boga - odrzekła niespodziewanie.

- Do jakiego boga? - wypytywałem.

- Do tego katolickiego, no wiesz... W buddyzmie nie ma boga, in-nit? Przecież, wiesz...

- Przecież chrześcijaństwo, szczególnie w katolickim wydaniu, to dla ciebie zakłamana religia, tak do niedawna twierdziłaś... - przypomniałem.

- Oj, czepiasz się. Muszę być pragmatyczna, tu chodzi o życie mojego brata... - Zbywająco machnęła ręką. - Możesz się też pomodlić? Proszę...

- Pomodłę się, obiecuję, choć tak naprawdę sam nie wiem, czy Bóg mnie jeszcze słucha - odrzekłem nieco załamany głosem.

Po co ja to, kurwa, powiedziałem? Spojrzała na mnie nieco zaskoczona, a ja poczułem się głupio, bo podałem właśnie w wątpliwość coś, co było dla mnie do tej pory jedyną trwałą wartością.

- Fajnie się z tobą mieszało.... - zdobyła się na wymuszoną uprzejmość.

- Z tobą też - rzuciłem w nieprzekonujący sposób. - Trzymaj się i uważaj na siebie. Powodzenia.

Rzuciliśmy się sobie w ramiona i choć było to tak mało wiarygodne, jak scena śmierci Hamleta odegrana przez szkolną trupę teatralną, to może właśnie dlatego trwaliśmy tak przez jakiś czas, jakby wzajemnie zapewniając się, że jest to właściwie możliwe do odegrania.

Patrząc na Kasię, pomyślałem sobie, że być może nie ma na świecie ludzi złych, są tylko ludzie przerażająco puści i potwornie zagnębieni.

\*

Zadzwoniłem do Rudiego.

- Za ostatni tydzień zapłacą ci z mojego depozytu. Zresztą wszystko już ustaliłem z Kasią i Alekssem - poinformowałem go.

- Wyjeżdżasz? - Nie krył zaskoczenia.

- Tak, nie układa mi się, nic tu po mnie - odpowiedziałem bez zbędnego patosu.

- Czasami trzeba lat, żeby wyjść na prostą...

- Chcesz mnie zatrzymać, co? Najpierw Luis wybył do wieczności, a teraz ja do Polski. Niedługo nie będzie komu tutaj mieszkać! Sorry... Wiesz, nie mam już cierpliwości, a poza tym jestem w wieku, w którym czas na eksperymenty minął - stwierdziłem chłodno.

- Jak uważasz. To twoje życie.

Miał rację, nie wiem, po co w ogóle mu o tym wszystkim mówiłem. Nie musiałem przecież na dobrą sprawę do niego wcale dzwonić.

- Dziękuję za wszystko. Jakby coś mnie podkusiło, żeby wrócić, odezwę się, może będziesz dla mnie coś miał. Choć to mało prawdopodobne, nie lubię wchodzić dwa razy do tej samej rzeki...

- Jasne, pozostaniemy w kontakcie.

Wszyscy tak mówili, żeby zapomnieć o sobie już następnego dnia. Życie.

- Oczywiście. Pozdrów Jurgena. Powiedz mu, żeby pozostał sobą, nawet jeśli nie wszystkim podoba się kierunek, który obrał - powiedziałem.

- Co masz na myśli? - zdziwił się Rudi.

Boże, jakże mało domyślny on był. A może tylko udawał, starając się wyciągnąć ode mnie, ile naprawdę wiem.

- Osobiście staram się być dyplomatą - oznajmiłem wprost. - To miasto jest ogólnie tolerancyjne, niemniej jednak trzeba być czujnym, homofobii nie da się wyeliminować całkowicie ze społeczeństwa.

- Czego? - Jego ton nabrał nieoczekiwanej nerwowości.

- Homofobii - powtórzyłem nieco zmęczony jego grą w „nie wiem, o co chodzi”.

- Chyba nie chcesz powiedzieć... - urwał w pół zdania.

- Słuchaj, Rudi, nie musisz przede mną grać. Ta ojcowska pruderia jest niepotrzebna. Jurgen to fajny, wartościowy chłopak. To, że jest gejem, nie znaczy, że nie będziesz z niego kiedyś dumny. Może nie będziesz miał z jego strony wnuków, ale bez tego świat się nie zawali - powiedziałem spokojnym tonem.

- Nie, nie, nie! Tylko mi nie mów, że Jurgen jest pedałem! Błagam cię, powiedz, że żartujesz! Ze to jeden z twoich przygłupich, niesmacznych tekstów, takich jak ten, że przypominam z wyglądu Hessa - dramatyzował.

- Nie mów, że nie wiedziałeś... Błagam cię, to ty teraz powiedz, że żartujesz.

- Nic nie wiedziałem! Absolutnie! Owszem, podejrzewałem go, ale zawsze jakoś zaprzeczał. Miał przyjaciółki... Nigdy z tym sam nie wyszedł... - W jego głosie pobrzmiwał szok przemieszany ze zranioną ojcowską dumą.

- Ale ja nie wiedziałem, że ty nie wiedziałeś - odrzekłem spanikowany. - Proszę cię, jak będziesz z nim o tym rozmawiał, to nie mów, że wiesz ode mnie. Tak czy inaczej, do zobaczenia, Rudi. Miłego dnia...

\*

Pojechałem do domu Soni. Nie wiem, co mnie podkusiło; czułem, że nie powinienem, a jednak coś mnie tam pogało wbrew instynktowi samozachowawczemu. Coś. Nie miałem pomysłu, jak jej to powiedzieć i dlaczego akurat w sobotni wieczór na kilka dni przed wyjazdem, skoro przestawało mieć to w tym kontekście jakiegokolwiek większe znaczenie. A może sama się domyślała i stawiając kropkę nad „i”, odbierałem temu to, co było najbardziej interesujące - jak u wczesnych Muldera i Scully - naturalną dyskrecję i konieczne niedopowiedzenie. W każdym razie stanąłem przed drzwiami jej mieszkania i po dziesięciu minutach zastanawiania się, jak ubrać w słowa to, co zamierałem jej powiedzieć (oczywiście nic sensownego nie przyszło mi ostatecznie do głowy), nacisnąłem wreszcie dzwonek.

Przerwałem jej jakąś imprezę - wyszła z rozszerzonymi źrenicami, z jakimś ohydztwem w dłoni i zaśmiała się na mój widok. Poczułem, że w tym śmiechu była odrobina szyderstwa.

- Co tu robisz? Przecież pożegnaliśmy się już, co nie?

- Przyjechałem ci coś powiedzieć... - wykrztusiłem z siebie, czerwieniąc się momentalnie.

- Wszyscy wiedzą i wszyscy o tym mówią od dawna, Tomasz!

Ona właściwie wydawała się mówić te słowa z zadowoleniem! Ale która kobieta nie cieszyła się z cichych adoratorów; stanowili oni uosobienie tanich pochlebstw, na które tak łase przecież wszystkie były (niezależnie od tego, co same twierdziły). Co więc się za tym tak naprawdę kryło? Może poniżająca kpina, brak jakiegokolwiek wdzięczności, czy przynajmniej zwykłej subtelności... Jakie miało znaczenie, że była teraz w innym wymiarze, w świecie oparów i iluzji? Przecież zawsze ją podejrzewałem o to, że jest nałogową narkomanką, która nie umie kontrolować ani swojego uzależnienia, ani swoich reakcji. A więc wiedziała, domyślała się... Ale czego właściwie się domyślała,



sকoro ja sam nie wiem, co do niej czułem? To mogła być zwykła fascynacja, a nie żadne głębsze uczucie - w końcu gardziłem jej stylem życia i przesadnym poświęceniem dla Super Quality Foods; przecież więcej między nami było różnic niż wspólnych punktów. I dlaczego teraz, i zapewne jeszcze wcześniej, bawiła się tą wiedzą w tak niesłychanie cyniczny sposób?

- Słuchaj... - Czułem, że po prostu muszę coś powiedzieć. Cokolwiek.

- Wstąpisz na imprezę? - zapytała niejako z wymuszonej grzeczności. - Ale my tu palimy trawę, więc nie wiem, czy ci się spodoba... Co by na to powiedział papież?

Przekroczyła granicę. Ostatecznie i nieodwracalnie.

- A o standardach Super Quality Foods też rozmawiacie i podniecacie się długością bagietki oraz dokładnością rozsmarowania majonezu? Muszę iść... Trzymaj się, Sonia.

Zacząłem się wycofywać, ale ona nieoczekiwanie mnie zatrzymała.

- Tomasz, powodzenia... Zastługujesz na szczęście i jestem przekonana, że spotka cię w końcu coś dobrego. Zmusiłabym cię, żebyś wszedł do środka, chociaż na chwilę, ale... ale sam wiesz... i ja to wiem... dragi nie są dla ciebie. Wiesz, ty jesteś i bez nich paranoikiem, skutki zażycia byłyby w twoim wypadku prawdopodobnie opłakane...

Zaśmiałem się mimowolnie.

- Uważaj na siebie, Sonia. Mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś zobaczymy. Nie wypal się.

Ucałowałem ją na pożegnanie. Bez dwóch zdań, fascynująca była z niej osoba. Nic tego nie zmieni. Nawet tani antypapizm, jaki z niej emanował.

\*

- Nie zostawiaj mnie tutaj samego....

Zwilgotniałe oczy Aleksa w sposób ostateczny dowiodły, że ta dziwna przyjaźń była jednak czymś trwałym.

- Będzie dobrze, uda ci się... - Poklepałem go po plecach.

- Wrócisz jeszcze? - zapytał.

Nie potrafiłem, a może nie chciałem odpowiedzieć na to pytanie.

- To jak, wyświadczysz mi tę przysługę? - Znów odkrył swój irytujący egoizm.

- Alex, nie - odpowiedziałem poirytowany. - Nie uwiodę i nie porzucę twojej byłej narzeczonej. Po pierwsze, marny ze mnie uwodziciel, po drugie, mieszkam w innej części Polski. Po prostu zapomnij...

- Wobec tego będę musiał przystąpić do realizacji planu B - odparł, wzdychając ciężko.

- Plan B? - zdziwiłem się. - Nigdy nie wspominałeś o żadnym planie B...

- Skoro to, żeby naprawiła sobie zęby, było moim pomysłem - w końcu sam łąziłem z nią po protetykach i innych specjalistach - a ona teraz je szczerzy do kogoś innego, to chyba trzeba jej ten uśmiech wybić z głowy, razem z tymi zębami... Zna się paru pajaców, którzy za kilkadziesiąt złotych pokiereszowaliby każdą twarz... - wyjaśniał z diabelskim uśmiechem na twarzy.

Nie sądziłem, żeby był w stanie aż tak daleko się posunąć, ale z drugiej strony, z Aleksem nigdy nic nie było do końca oczywiste.

- A tak przy okazji - kontynuował zawzięcie - dzięki za ten pomysł z zoofilią. Spreparowałem kilka zdjęć i już umieściłem w necie. Dalsze prace w toku. Jak myślisz, powiadomić ją, czy czekać aż...

Urwał, znowu coś w nim pękło.

- Jak ona mogła mnie zostawić dla jakiegoś dupka, przekreślić nasze wspólne lata w tak głupi sposób? Tomasz, powiedz mi, czym ja sobie na to zasłużyłem? - Poleciały łzy. Naturalnie jemu.

- Alex. - Nagle przyszło mi do głowy coś tak oczywistego, że aż nie mogłem uwierzyć, że wcześniej nie zadałem tego pytania. - Zawsze mówimy „ona”, „narzeczona”. Nigdy nie użyłeś jej imienia! Spędziłem z tobą całe dni, miesiące, rozmawiając o osobie, której imienia nawet nie znam!

- Nie pytaj, stary... - Wstydliwie spuścił wzrok.

- Powiedz, tu i teraz - domagałem się.

- Jarosława. Rozumiesz? Żeby chociaż była Mirosława, to bym mógł na nią mówić Mirka, a tak? Jarka? Przecież to brzmi absurdalnie. Zawsze wydawało mi się, że z jej matką, moją niedoszłą teściową, jest coś nie tak. Nadać dziecku takie imię! - użalał się.

- Alex, twoja przyjaźń wiele dla mnie znaczy. - Ucisnąłem jego dłoń. - Mam nadzieję, że pozostaniemy w kontakcie.

- Tomasz, brak mi słów... Dzięki za wszystko. Trzymaj się, przyjacielu, mam nadzieję, że Polska ci się znowu znudzi i niczym w filmowym sequele, powrócisz tu jeszcze...

- A propos, sorry, wiem, że to być może niewłaściwy moment, ale przypomniało mi się, że nigdy nie oddałeś mi pieniędzy za to kino... Pamiętasz, „Egzorcyzmy Emily Rose”... Pożyczyłeś ode mnie chyba trzy funty, a może nawet cztery, bo pamiętam, że kupiłeś wtedy colę...

- Diabeł tkwi w szczegółach. - Alex pokręcił głową z niedowierzaniem.

Najwyraźniej imponowała mu moja pamięć.

- Taki koleś jak ty trafia się raz na sto lat. Zostać wyrzuconym z charytatywnego sklepu! - dodał, klepiąc mnie po raz kolejny czule po ramieniu.

\*

Dwa lata życia wrzucone pospiesznie w dwie walizki. Wiem, że jeszcze nieraz obejrzę się za siebie, choć niczego już tak naprawdę się nie nauczę. Trudno było wybierać pomiędzy rolą gdyńskiego nieudacznika a londyńskiego cierpiętnika, jednak lepsze propozycje na razie się nie pojawiały.

## Zakończenie

Podróż trzydziestkąósemką - niestety nie otwartym routemasterem, ale już gąsienicowatym, przesadnie nagrzanym mercedesem, który go zastąpił - przebiegała przez tak wiele ciekawych miejsc Londynu, że retrospekcja była tak oczywista, jak nieunikniona. I gdzieś tam Fix You grupy Coldplay brzmiące w słuchawkach, kilka dyskretnych łez spływających po wysuszonej i zmartwionej twarzy.

Angel Islington z magią Upper Street i wspomnieniem polskiego kościoła na Devonii; potem Holborn, w którego bezpośredniej okolicy znajdowały się najważniejsze miejsca mojej pracy; Tottenham Court Road ze statuą Freddiego Mercury'ego, która stanowiła dla turystów znacznie większą atrakcję niż strzelisty drapacz chmur Centurion Point, oraz z widokiem na wydeptaną przeze mnie setki razy w poszukiwaniu rozmaitych płyt Oxford Street; West End z zatłoczonym, rozświetlonym reklamami Piccadilly Circus; Hyde Park i wreszcie punkt docelowy, Victoria Station, od której wszystko się zaczynało, i na której wszystko się miało skończyć.

\*

Szedłem z walizkami w stronę zjazdowiska polskich autokarów, kiedy drogę zastąpił mi chłystek, którego rozpoznałem niemal natychmiast.

- Znalazłby się jakiś funciak? - spytał.

- Zamuruj się, pajacu - odpowiedziałem poirytowany. - Zrób światu przysługę.

- Co, kurwa, co? - Skoczył mi do gardła, tarmosząc nową koszulę z Esprita, mój ostatni londyński zakup. - Co ty powiedziałeś?

- Przecież pracujesz na budowie, gnojku. - Gwałtownie go odepchnąłem, tak że stracił równowagę i upadł na chodnik.

Myślałem, że bójka jest nieunikniona, ale on był w takim szoku, że zupełnie nie stać go było na kontratak, nawet słowny. Żeby jeszcze dodatkowo go upokorzyć, rzuciłem w jego kierunku kilka monet o mniejszych nominałach.

- Nie będą mi już potrzebne - powiedziałem. - Wracam do Polski. Zainwestuj w pastę do zębów, ale zmień papierosy, bo z tą twoją żółtaczką zębów żadna panna cię nie zechce i będziesz się trzepał po dworcowych toaletach do końca swojego zasranego życia. Czyli już niedługo.

\*

Gdy tylko wpakowałem swoje walizy do luku bagażowego autokaru, podszedł do mnie śmierdzący tanimi papierosami kierowca i nakazał zajęcie miejsca. Krztusił się, kiedy tylko próbował wypowiedzieć więcej niż trzy słowa. Oczywiście wszystkie lepsze miejsca w autokarze były już zaklepane w typowy dla taniej mentalności sposób - swetry porozpościerane na dwa miejsca, siedzenie okrakiem na środku i czujne spojrzenia osób, które zdawały się tylko czekać na okazję, żeby wykrzyknąć triumfalnie: „Zajęte!”, a potem rzucić się niczym Rejtan, blokując drogę z dramatycznym „Po moim trupie”. Ulokowałem się w końcu na najbardziej zniechęconym przez siebie miejscu, czyli „na kole”. Opadłem na fotel, wdychając ciężko i uzmysławiając sobie po raz n-ty, jak wielką porażką okazał się mój pobyt w Londynie. Co gorsza, doszło też do mnie, w jak bezsensownej próżni znajdowało się teraz moje życie, skoro wyjeżdżałem z Anglii z niczym, wracając do Polski - do prawie niczego.

Nie, nie, nie... Powiniennem kategorycznie unikać w takim momencie rozmyślań. Trzeba było oddać się jakiemuś sensownemu albo

przynajmniej absorbującemu zajęciu. Szczęśliwie pod moim siedzeniem znalazłem egzemplarz „Tygodnika Polonii Angielskiej”. Spojrzałem na datę - nowy numer, świeżutki, ale pachnący jakimś tłuszczem, którym był zewsząd oblepiony, a nie farbą drukarską. Zawartość jak zwykle ta sama - tandeta z pretensjonalnymi historiami Ań, Łukaszów i Maciejów, którzy przyjechali do Londynu szukać szczęścia i odkryli je w „tolerancyjnym, wielokulturowym społeczeństwie”; poza tym tygodnik wypełniały sztapowe relacje z imprez polonijnych oraz setki ogłoszeń, w których „pomocni” rodacy podejmowali się wynajmowania mieszkań i pokoi rodakom desperatom oraz oferowali tymże pomoc (oczywiście za grube pieniądze) przy załatwieniu National Insurance Number czy rejestracji w home office (jakby była w tym jakaś szczególna filozofia). Przekartkowałem magazyn i nagle moim oczom ukazało się coś, czego ujrzeć tam się nie spodziewałem, a właściwie nie powinienem był - artykuł „Bezdomni w Londynie”. Czytałem z otwartymi ustami, wyławiając co chwila swoje sformułowania, spostrzeżenia, a nawet przypadki, na które natrafiłem, przygotowując swój reportaż. Tyle tylko, że nikt nie raczył mnie wymienić jako, de facto, autora lwiej części tego tekstu. Sygnowany był on nazwiskiem Elizy Borowiak - kimkolwiek ona była. Czy w ogóle istniała, to już inna sprawa. Wyruchali mnie, mówiąc brzydko. A ja siedziałem w tym autobusie i nie mogłem zrobić już nic, żeby się na nich odegrać.

W momencie, kiedy kolejna fala gorzkiego rozczarowania i niekończącej się frustracji wezbrała we mnie, gotowa przynieść sztorm niewysłowionego gniewu i zatopić mnie w sposób ostateczny, zadzwonił telefon. Spojrzałem na ekranik - Helena. Czego, do cholery, mogła jeszcze chcieć? Opowiedzieć mi o swoich bólach kręgosłupa, czy też o wybijaniu krokodyli w Brazylii i rozdzierającym serce procesie wyrabiania z nich pasków i torebek?

- Thomas... Thomas... - Jej głos urywał się raz po raz.

- Helena, właśnie wyjeżdżam z Londynu... Na dobre... Nawet nie miałem czasu się pożegnać... - Zauważyłem w tym momencie, że przysiadła się do mnie spocony jegomość o rozłożystych wąsach, z puszką Stelli w ręce.

- Co takiego? Thomas, nie możesz! - krzyknęła desperacko.

- Nie o to chodzi, czy mogę i czy chcę. Czuję, że muszę. Helena, moje możliwości już się wyczerpały! - odpowiedziałem nieco nieprzyjaznym tonem.

- Dzisiaj dzwonili do mnie z Channel 6! Są zainteresowani naszym scenariuszem, mamy w przyszłym tygodniu spotkanie!

- Co takiego? - Podskoczyłem na fotelu, trącając siedzącego obok mężczyznę w tak niefortunny sposób, że piwo rozlało mu się na spodnie.

- Kurwa! - zaklął, rzucając mi jednocześnie pełne złości spojrzenie.

- Thomas, jesteśmy tak blisko! Rozumiesz? To się naprawdę dzieje!

- Zaraz wysiadam, zostaję... Helena, będziemy wielcy! Po latach posuchy, nadszedł dla nas czas zbiorów! - Przeciskając się przez jeszcze do niedawna współpasażerów, a teraz tylko zwykłych szaraków, z których kategorii się właśnie wyłamywałem, wydostałem się z autokaru, niczym z przeklętego miejsca. - Poczekaj, zaraz do ciebie odzwonię... Jeszcze jedno: wtedy, dwudziestego ósmego lipca naprawdę miało się coś wydarzyć... Bomby, nowa fala terroru... Nie sądz, że wymyśliłem to, żeby cię straszyc, czy tym bardziej dla taniej sensacji. Gazety naprawdę były dobrze poinformowane. Przepraszam, że się nie zmaterializowało... To znaczy dobrze, że nic się nie stało, ale w każdym razie przepraszam za fałszywy alarm.

Niestety, straciłem połączenie. Nieważne. Póki co musiałem odwrócić bieg wydarzeń, zaczynając od poproszenia zdumionego kierowcy o wyciągnięcie z powrotem mojego bagażu.

- Ale przecież... dopiero.... - W tym momencie, jak można było przewidzieć, dopadł go atak kaszlu.

- Tak, wiem! - Lekceważąco machnąłem ręką. - Czasami w życiu o wszystkim decydują sekundy. Jeszcze jedno... Czy jest jakaś szansa, że... odzyskam część pieniędzy za bilet?

Spojrzał na mnie w dziwny sposób. Rozporek. Od rana miałem świadomość, że coś było nie tak.

\*

Czyżby na moją stację zajechał wreszcie tak długo wyczekiwany pociąg, czy to tylko zwodnicze światła zajaśniały na chwilę w tunelu, dając mi promień fałszywej nadziei? Wciąż pytania - pytania w nieszczeńściu, pytania w szczęściu, nie było tej udręce końca.

Ale jedno było pewne ponad wszelką wątpliwość - wiadomości o mojej śmierci okazały się przedwczesne.

## Spis treści:

Nowy początek .....	Ewa chce spadać .....	174
(Po) rachunki .....	7/7, czyli wróg wewnętrzny .....	177
Współlokatorzy .....	Kocia histeria .....	183
Chłopiec bez nóżki.....	Polskie serce.....	187
Lalka .....	21/7 .....	189
Grecka Helena.....	Słoń w składzie porcelany... ..	190
Ojciec chrzestny.....	Zrobiony w Beckhama .....	195
Orzełek w klapie emigranta ..	Jeszcze jeden David .....	199
Bezguście .....	Wielka włóczęga.....	203
Chodź, pomaluj mój świat ...	Wstydlive korzenie.....	208
Chiński bufet.....	Czarne chmury .....	211
Rozkład .....	Kod Leonarda.....	216
Filantropia.....	Boliwijska niespodzianka....	221
Tango dla trojga .....	Kłopotliwy pogrzeb, kłopotliwa wizyta, kłopotliwy zakup. .	229
Sting me .....	Ostatni odcinek latynoskiej telenoweli .....	236
Lap-wtopa .....	Wielki dzień Ahmeda.....	242
Niedzielną historia .....	Miniepilog.....	245
Przełom .....	Elegancja tolerancja .....	246
Miniepilog.....	Ostateczne wyjście .....	249
Halloween .....	Na gorącym uczynku.....	251
Cierpiętnicy.....	Zejście .....	254
Zdemaskowani .....	Świństwo.....	257
Starzy znajomi .....	W pokoju nieboszczyka .....	259
Nowy rok, nowe nadzieje, nowe złudzenia .....	Plan zemsty .....	264
Powrót na dno .....	Anka .....	267
Zakazane rewiry.....	Tańczące domino .....	270
Natalia w Londynie.....	Samotny w sieci .....	273
Sesja grubych ludzi.....	Decyzja.....	276
Śmierć Papieża.....	Pożegnanie z Tamizą.....	278
Zabawa po żydowsku.....	Zakończenie .....	284
Perfect scenario.....		